

IGOR

BREJDYGANT

UKŁAD

w
ydawnic
ab
two

IGOR
BREJDYGANT

UKŁAD



Copyright © Igor Brejdygant, MMXIX

Wydanie I

Warszawa MMXIX

Niniejszy produkt objęty jest ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że wszelkie udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, upublicznianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Spis treści

[Dedykacja](#)

[Układ](#)

[Przypisy](#)

Polskim policjantkom i policjantom dedykuję

Monika odgarnęła liście, postawiła znicz i donicę z chryzantemami, za których wonią nigdy nie przepadała, i popatrzyła na płytę nagrobną. Obok stał już jakiś palący się znicz. Pewnie jedna z rozlicznych kochanek zapaliła ojcu, pomyślała. Ona nie przyszła tu jednak do ojca. Obok napisu „Bohdan Brzozowski” był jeszcze drugi, który wyróżniał się świeżością farby.

Tak naprawdę nie było nawet wiadomo, gdzie go pochować. Piotr nie był Piotrem. Nazwisko i imię, pod którymi funkcjonował przez ostatnie lata, należały do człowieka, który nie żył, albo jeszcze do kogoś innego. Nie sposób do tego już teraz dojść. Piotr nie był też Borysem. Tamte dane sprzed szesnastu lat zostały tak samo zmyślane jak te ostatnie, a może nawet jeszcze bardziej, bo wtedy łatwiej było się podszyć. Słowem: nie wiadomo, kim był, nie udało się odnaleźć jego korzeni, rodziny ani też, co za tym szło, grobu rodzinnego. W związku z tym Miejskie Przedsiębiorstwo Usług Komunalnych miało obowiązek przydzielić mu anonimową kwaterę na jednym z dwóch cmentarzy: na południowych bądź na północnych rubieżach miasta. Monika biła się jakiś czas z myślami. W końcu po rozmowie z matką Barbarą, która wprawdzie sprawiała znów wrażenie, jakby nie znała tła sprawy, ale nawet jeśli je znała, to niewiele zmieniało, ustaliły, że Piotr vel Borys zostanie złożony na Bródnie w ich grobie rodzinnym, pod nazwiskiem, które przybrał jako ostatnie.

Sprawa jego śmierci w normalnych okolicznościach byłaby roztrząsana w długotrwałym dochodzeniu, ale okoliczności nie były normalne i wszystkim zależało raczej na tym, żeby śledztwo szybko umorzyć, a Monikę odesłać przynajmniej na tymczasowy urlop. Oczywiście działała w obronie koniecznej. Wskazywały na to okoliczności sprawy, a przede wszystkim fakt, że denat, czyli Piotr, był wielokrotnym zabójcą. Tego, jak wielokrotnym, nikt na razie nie chciał nawet ustalać. Mimo wszystko sprawa była bardzo niejednoznaczna, a takich nikt w policji nie lubił.

Wszystko poukładało się w każdym razie tak, że Monika od miesięcy nie miała właściwie nic do roboty. Przez chwilę spotykała się z psychologiem przydzielonym jej przez komendę stołeczną, ale robiła to raczej po to, by usatysfakcjonować zwierzchników, niż po to, by rzeczywiście otrzymać pomoc. Z tyłu głowy wisiała niedokończona sprawa, ale na razie nie miała ani siły, ani ochoty jej podejmować. Z informacji, które przynosił jej zaprzyjaźniony asystent, aspirant Adam Wójcik, wiedziała, że policyjny zdrajca komisarz Stasiak zniknął i że był wprawdzie poszukiwany, ale z umiarkowaną intensywnością. Ujawnienie takiego skandalu w policji nikomu nie było na rękę. Dużo intensywniej, jako współpodejrzanych o zabójstwa, policja poszukiwała psychologa hipnotyzera Zimeckiego oraz tajemniczej kobiety, której znaleźć organy nie miały szans, gdyż oprócz numeru buta nie wiedziały o niej kompletnie nic.

Buty. Te znalezione w szafie w mieszkaniu Piotra-Borysa, zabitego przez Monikę, kryminalistka zbadała tak, jak nie badała żadnego dowodu rzeczowego w historii komendy stołecznej. Kształt stopy odcisnięty na wkładce, drobinki skóry i włoski, nawet ślady zapachowe. Wszystko zostało zgromadzone i przebadane w tę i z powrotem. Szczęśliwie nic nie pasowało do Moniki. Do Moniki nie pasowały też ślady na bagnecie znalezionym w torbie. Odciski w kartotekach przynależały do Borysa, który nie istniał, przebadane w kierunku DNA ślady skórne wskazywały na kogoś jeszcze, ale znów... szczęśliwie nie była to Monika.

Wiało. Monika przyglądała się chwilę, jak płomień w dwóch już teraz zniczach z mozołem walczył o przetrwanie. W oddali zgarbiona staruszka z nie mniejszym mozołem próbowała za pomocą

zmiotki wyciągniętej zza grobu ściągnąć liście poprzyklejane do lastrykowej płyty. Monika spojrzała znów na płytę przed sobą: jej była granitowa i polerowana, z takiej liście usuwało się łatwiej, a poza tym nie pozostawiała brązowych śladów. Piotr Zawilski zmarł 18 listopada 2017. A kiedy się urodził? Monika uśmiechnęła się do wspomnień. Człowiek bez wieku, pomyślała. Wcześniej, jeszcze przed pogrzebem, w kancelarii cmentarnej życzliwy proboszcz sugerował, żeby może podała jakąś datę urodzenia, tak na wycucie, ale Monika nie chciała robić nic na wycucie. Miała dosyć kłamstwa związanego z osobą Piotra. Wszystko, co o nim wiedziała, okazało się fikcją. Nie miała pojęcia, kim był ani skąd pochodził, więc próba zmyślenia, ile miał lat, nie miała sensu. Całą jej wiedzę o nim, którą mogła uznać za prawdziwą, stanowiły te momenty, w których byli razem. Jedyne, czego mogła być pewna, to tego – że zaistniał w jej życiu. Najpierw dawno, przed wielu laty, jako Borys, a potem, chwilę jeszcze temu, jako Piotr, którego zabiła. Gdzieś w głębi trzewi czuła, że zarówno wtedy, jak i teraz, przed chwilą za ledwie, ten człowiek był dla niej kimś ważnym, a ona była ważna dla niego. Pamięć uczucia, jak pamięć zapachu, była bardzo ulotna, ale też boleśnie intensywna. Monika wiedziała, że ten mężczyzna darzył ją uczuciem. Jak bardzo było silne, przynajmniej na razie nie mogła mieć pojęcia.

– Ma pani może zapalniczki? – Damski głos za plecami wyrwał ją z zamyślenia.

Za nią stała kobieta cała odziana w czerń, której wcześniej nie dostrzegła. Jej twarz zakrywała czarna siateczka żałobnej woalki. Bardzo staroświeckie, pomyślała Monika.

– Oczywiście, proszę. – Podała tamtej zapalniczki.

– Mogę pożyczyć na dwie minuty? Zapalę tam na grobie – kobieta wskazała na grób w całości pokryty podwiedłymi już lekko kwiatami i wieńcami – i zaraz odniosę.

– Jasne. – Monika uśmiechnęła się do niej i nagle naszła ją refleksja, że może lepiej się stało tak, jak się stało. Gdyby spędziła z Piotrem czy Borysem ostatnie kilkanaście lat, to teraz byłoby jej jeszcze o wiele trudniej.

Kobieta w czerni oddalała się powoli.

Adam wszedł do sekretariatu gabinetu komendanta stołecznego równo za minutę dziesiątą. W życiu radził sobie z punktualnością raczej słabo, w sytuacjach takich jak ta jednak musiał trochę ograniczyć bycie sobą. Artystowska dusza nie pasowała do szarawej lamperii ani do brązowej wykładziny. Ogólnie wszystko to było jakby nie z jego bajki, a jednak lubił to i całkiem dobrze udawało mu się tu funkcjonować.

– No co tam u pana, aspirancie Wójcik? – Komendant inspektor Matecki nauczył się nazwiska Adama stosunkowo niedawno, ale teraz wciąż przybywało powodów, by go nie zapominać.

– Dziękuję panie inspektorze, jakoś leci. – Adam miał ochotę rozejrzeć się po wnętrzu gabinetu, w którym nigdy jeszcze nie był, ale czuł, że mogłoby to zostać potraktowane jako nadmiar asertywności.

– Co u koleżanki Brzozowskiej, jak ona się miewa? – Komendant sięgnął po papierosa do paczki leżącej na biurku, po czym skierował ją w stronę Adama.

Adam lekko się zdziwił, nie był pewien, czy to nie jakiś rodzaj podpuchy, ale z drugiej strony byłoby to zgoła bez sensu.

– Nie wolno, ale można. – Matecki uśmiechem rozwiął jego wątpliwości.

Zapalili.

– No więc co z tą Brzozowską? – wrócił do sprawy.

– Dobrze, w porządku raczej. – Adam zaciągnął się delikatnie, żeby nie przesadzić z nadmiarem swobody. Inspektor, choć mianowany na to stanowisko został głównie dzięki znajomościom oraz wcześniejszej lojalności wobec ludzi będących obecnie u władzy, nie był pozbawiony inteligencji ani przede wszystkim spostrzegawczości, dlatego docenił umiar Wójcika w korzystaniu z sytuacji.

– Panu jakoś leci, koleżanka raczej w porządku. – Uśmiechnął się. – A coś więcej, bliżej, jakieś szczegóły? Chciałbym wiedzieć, co się dzieje z moimi pracownikami.

Ostatnie słowa inspektora zabrzmiały minimalnie mniej przyjemnie, choć Matecki nie przestawał się uśmiechać.

– Komisarz Brzozowska jest na urlopie, o ile wiem, spędza go w domu, odpoczywając, a ja... – Wójcik namyślił się trochę nerwowo – ja mam kilka spraw, nic wielkiego.

– Rozumiem, oczywiście, a co z tamtą sprawą? – Matecki zgasił papierosa, wciskając go gołym kciukiem w szkło popielniczki.

– Z tamtą? – zawiesił się aspirant.

Matecki przyglądał mu się teraz bardzo czujnie.

– Tak, kurwa, co z tamtą?! – uniósł się nagle wyraźnie. – Pan myśli, że z kim rozmawia, panie aspirancie? Z debilem?!

– Nie – Adam przełknął ślinę – panie inspektorze.

– No więc co z tamtą sprawą, do cholery?! – Ostatnie słowo, choć groźnie brzmiące w kontekście sytuacji, Matecki wypowiedział już znów miękko i się uśmiechnął, a Adam pomyślał, że oprócz tego, że lojalny, wierny, inteligentny i spostrzegawczy, to inspektor jest też lekkim wykrętem.

– Tamta sprawa jest badana, ale zgodnie z zaleceniem nie wykonujemy żadnych gwałtownych ruchów, zresztą prowadzi ją komisarz Sieradzki, o ile wiem, rozesłane zostały listy gończe za psychologiem Zimeckim, laboratorium bada ślady, ale to wiem tylko z korytarzy, panie komendancie. – Adam wyrecytował długie zdanie, próbując cały czas główkować jednocześnie, do czego pije Matecki.

Inspektor zapalił kolejnego papierosa, ale tym razem nie poczęstował już Adama. Można by było przypuszczać, że zapomniał, gdyby nie to, że Matecki nie był człowiekiem, który o czymkolwiek zapominał.

– Nie chce mi pan powiedzieć – stwierdził nagle stanowczo.

– Czego, panie inspektorze? Może gdybym... – zaczął Adam.

– Dobrze, dziękuję. Proszę przyjść, jak się pan namyśli. – Matecki spojrzał nagle na Adama przenikliwie.

Wójcik wstał i ruszył w kierunku drzwi.

– No i proszę pamiętać, że komisarz Brzozowska nie została jeszcze w pełni oczyszczona z podejrzeń o udział w tamtych morderstwach. – Matecki postanowił najwyraźniej zagrać tą kartą.

Teraz Adam się zdenerwował. Rozumiał ciekawość swojego przełożonego odnośnie do ustaleń, które udało mu się poczynić, ale były pewne granice.

– Oczywiście pamiętam, panie inspektorze. – Uśmiechnął się i nabrał powietrza. – Aczkolwiek, jeśli wobec, jak obaj wiemy, niewinnej Moniki zostaną wyciągnięte jakieś dodatkowe konsekwencje,

to obawiam się, że wtedy do prasy mogą trafić materiały, które nie powinny. Słowem, ogólnie może się zrobić bałagan.

– Wypierdalaj. – Matecki najwyraźniej aluzję pojął w całej jej rozciągłości.

Adam wyszedł do sekretariatu i uśmiechnął się na pożegnanie do pani Eli. Z nią należało żyć w dobrych układach, bo po pierwsze była fajną babką, a po drugie przesiedziała już w tym sekretariacie trzech poprzedników Mateckiego, więc z dużym prawdopodobieństwem przesiedzi i jego. Kiedy jednak wyszedł za duże i ciężkie drewniane drzwi, które mogły swoim wyglądem przypominać oryginalne wrota z czasów, gdy pałac Mostowskich należał do rodziny Mostowskich, stanął przy ścianie i chwilę ciężko oddychał.

Czy właśnie stracił pracę w organach ścigania? – To pytanie frapowało go w tej chwili najbardziej.

Prawda w tej sprawie była taka, że Adam rzeczywiście wiedział znacznie więcej, ponieważ od dwóch miesięcy razem już teraz nie z porucznikiem, ale od niedawna kapitanem Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego Czesławem Wareckim prowadzili swoje własne, przez nikogo niezleczone i przede wszystkim przez nikogo niepochwalone, dochodzenie w sprawie, która kosztowała dotąd życie co najmniej sześciu osób i która swoimi korzeniami sięgała najprawdopodobniej do połowy lat dziewięćdziesiątych poprzedniego stulecia. Do tej pory udało im się zebrać zeznania od dwójki mężczyzn, którzy byli wykorzystywani przez gang pedofilski we wczesnych latach dwutysięcznych. Ową dwójkę stanowili Wacek, którego kilka miesięcy wcześniej namierzyła Monika, i jego kolega Norbert, do którego kontakt pozyskali właśnie przez Wacka. Dodatkowo wraz z Wareckim namierzyli miejsce, w którym zamieszany prawdopodobnie w sprawę minister Morawski widywał się z zamieszany w nią z całą pewnością biskupem Kurzebą i z właścicielem kas pożyczkowych Boreckim. Później spotkali się jeszcze z trzema świadkami wykorzystywanymi przez gang pedofilski, których pomógł im namierzyć Wacek. Dalej jednak posunąć się z dochodzeniem nie mogli bez prerogatyw, które mogłyby wydać policja w osobie Mateckiego albo komendanta głównego Walczaka lub macierzysta firma Wareckiego, czyli ABW. Niestety nic nie wskazywało na to, by któraś z tych instytucji kwapiła się z nadaniem oficjalnego biegu sprawom. Wszystko wskazywało na to, że tak naprawdę nikt w organach powołanych do tego, by strzec prawa i ścigać jego łamanie, nie miał zamiaru sprawić, by śledztwo oficjalnie ruszyło z miejsca. Z drugiej strony zarówno Wójcik, jak i Warecki mieli wrażenie, że ich poczynania, które z całą pewnością nie umykały organom, były traktowane ze sporym marginesem pobłażania. Innymi słowy: nikt nie miał odwagi wydać rozkazu, ale wielu chciało się dowiedzieć, o co w tym wszystkim tak naprawdę chodziło.

Monika, jak co wieczór od kilku tygodni, weszła do jednego z klubów mieszczących się w magazynach na tyłach ulicy Kolejowej, a właściwie pomiędzy Kolejową a torami łączącymi Dworzec Zachodni z Centralnym. Przez jakiś czas chadzała na Mokotowską, ale w końcu uznała, że po pierwsze, jest tam za drogo, a po drugie, zbyt mało anonimowo. Może zresztą szło o jeszcze coś innego. Kluby na Mokotowskiej były eleganckie i snobistyczne, przychodziła tam elita warszawskiego celebryctwa i próżniactwa. Znajdowali tam to, czego szukała także ona, ale im bardziej chodziło o lans, a jej o zapomnienie. Znacznie lepiej i w gruncie rzeczy przyjemniej

zapominało się w klubie Soczi na Kolejowej, gdzie przy okazji zresztą można też było spotkać ciekawszych ludzi.

– To, co zwykle? – zapytał sympatyczny chudzielec o kocim spojrzeniu.

– Tak, ale daj od razu trzy porcje, nie chce mi się w kółko przyłazić – uśmiechnęła się Monika.

– Jak przestaniesz przyłazić, to już zaczniesz się lot w dół – odpowiedział tamten i sięgnął do kieszeni. – W zaciszu domowych pieleszy zapadniesz się trzy razy szybciej niż tu.

– Zapadam się i tak, a poza tym nie mam żadnych pieleszy. – Monika wyciągnęła z torebki zwitek przygotowanych wcześniej banknotów i dokonali wymiany handlowej.

– Tym gorzej – skonstatował.

– Nie będzie ich dzisiaj? – zapytała, wpatrując się w jego brązowe zęby.

– Raczej nie – pokręcił głową chudzielec. – Nalot ma być za dwa dni.

– To idę zapalić. – Uśmiechnęła się do niego.

– Idź, tylko potem nie leż w pielesze czy co tam masz albo nie masz, tylko chodź potaćzyć, może gacha sobie przygruchasz, razem zawsze raźniej – doradził.

Zaśmiała się krótko. Lubiła tego chłopaka. Sprzedawał wprawdzie śmierć, ale robił to głównie po to, żeby móc samemu sobie ją aplikować. Tacy handlarze z jakiegoś powodu zawsze wydawali jej się bardziej moralnie usprawiedliwieni do robienia tego, co robili, niż ich zleceniodawcy, którzy często nigdy nawet nie mieli w płucach, ustach ani w krwiobiegu tego, na czym dorobili się fortun.

Zapaliła tam, gdzie palili wszyscy, czyli na tyłach tancbudy zwanej klubem. Pod stopami chrzęściły stłuczone szklane lulki, w kawałkach sreberek odbijały się światła miasta, a zużyte kondomy przyprawiły o mdłości. Po głębokim buchu świat wśród smrodu, sreberka, szkła i kondomów, jak co wieczór, stał się niewyobrażalnie piękny na chwilę. Ktoś jej kiedyś powiedział, że jeśli się to zapaliło, to nic już nigdy nie mogło człowieka oczarować swoim pięknem. Na szczęście nie była to do końca prawda, ale coś w tym było z całą pewnością.

Monika? – Znajomy głos przyszedł z oddali. – Co ty odpierdalasz?

Otworzyła oczy. Stojący przed nią rasta Robert też wydał jej się piękny jak nigdy.

– A co? – zapytała idiotycznie i uśmiechnęła się kompletnie nieadekwatnie do sytuacji.

– Jajco! – Robert był zły, ale ona tego nie widziała. – Oddaj mi to. – Wyciągnął rękę.

Ona pokręciła głową. Nie wiedziała nawet wprawdzie, co mianowicie miałyby mu oddać, ale w stanie, w jakim była, nie miała zamiaru oddawać mu niczego, bo oddanie czegokolwiek mogło zburzyć tę niewyobrażalną harmonię, w której się znalazła.

Robert złapał ją za ramię, wyciągnął zza baraku i przeprowadził parę kroków w kierunku połamanej ławki, która prawdopodobnie stała tu, zanim jeszcze wynaleziono to, co przed chwilą paliła Monika. Usiedli. Robert chwilę jej się przyglądał. Mimo że blada i z podkrążonymi oczami, wciąż była diabelnie ładna. Kosmyki krótkich włosów opadały jej na czoło i przysłaniały delikatnie obrysowane brwiami oczy, w które można było wpatrywać się godzinami, i to nawet wtedy, gdy jej wzrok był błędny. Monika, choć wciąż skołowana, to zaczynała powoli kojarzyć to, za czym nie przepadała ostatnio przesadnie, czyli rzeczywistość. Robert, trochę ze zdenerwowania, a trochę z przyzwyczajenia, sięgnął po fajkę i też zapalił. Przy czym to, co palił on, było znacznie mniej szkodliwe, bo nie zabierało tak daleko od rzeczywistości. Monika wyciągnęła rękę, ale on nie podał

jej fajki. Zamiast tego patrzył na nią mało przyjaźnie, w końcu zapytał:

– Od jak dawna?

– Co od jak dawna? – Monika była wciąż mocno skołowana. W innym wypadku nie zadawałaby tak głupich pytań.

– Od jak dawna palisz to gówno? – Robert wskazał na kieszeń, w której Monika kurczowo ścisnęła ciepłą jeszcze szklaną fajkę.

– Nie pamiętam. – Nie pamiętała, bo na razie w ogóle niewiele pamiętała.

– Koniec z tym – powiedział głosem nieznoszącym sprzeciwu, który nie zrobił na niej żadnego wrażenia. – Dostarczę ci dowolną ilość zielska, za darmo, tak długo jak będzie trzeba, ale z tym masz skończyć.

– Bo? – Popatrzyła na niego ze zdziwieniem. – Zgłosisz mnie na policję?

– Nie. Bo się zeszmacisz i będziesz cierpieć – powiedział prosto. – Nie pamiętasz?

– Pamiętam mało, jak wiesz. – Uśmiechnęła się, świat powoli przestawał być piękny, Robert w nim zresztą też.

– Nie graj ze mną w słówka. – Jego oczy, czerwone jak słońce o zachodzie, świdrowały ją na wylot. – Możesz nic nie pamiętać, ale to cierpienie pamiętasz doskonale.

– Teraz mam inne. – Nie wytrzymała jego spojrzenia.

– Nie użalaj się nad sobą. Przez dwa miesiące myślałaś, że zabiłaś ludzi, teraz już wiesz, że nikogo nie zabiłaś, więc chyba jest lepiej. – Robert nie dawał się zepchnąć w retorykę.

– Teraz wiem, że zabiłam swojego męża. – Uśmiechnęła się ze smutkiem.

– Który chciał zabić ciebie, a wcześniej cię wrobił i cholera wie, co jeszcze – nie odpuszczał Robert.

Przez chwilę milczeli, z baraku dochodziły odgłosy rytmicznych basów. Współczesna muzyka mogłaby się właściwie składać wyłącznie z tego, bo tylko to tworzy, rytm, a cała reszta i tak jest bez znaczenia, pomyślała Monika.

– No więc... Od kiedy? – Robert wrócił do pytania z początku rozmowy.

– Od miesiąca – skłamała Monika, bo tak naprawdę zaczęła zaraz po pogrzebie Piotra, a od niego upłynęło już coś koło trzech miesięcy.

– To jeszcze możesz wyjść z tego sama. – Robert sięgnął do kieszeni i wyciągnął z niej pokazną torbę o bardzo intensywnym zapachu jakby igliwia, a jednak nie igliwia. – Masz, to ci pomoże. Jesteś za fajna, za inteligentna i, kurwa, za ładna, żeby się wykończyć.

– Jaki szarmancki młody człowiek – uśmiechnęła się Monika, po czym wzięła torbę bardziej po to, żeby skończyć już tę nużącą dla niej rozmowę, niż żeby naprawdę wykorzystać jej zawartość do wychodzenia z czegośkolwiek.

Adam patrzył na Roberta i nie wierzył własnym oczom. Minutę wcześniej dyżurny zadzwonił do niego z dołu, żeby powiedzieć mu, że przyszedł do niego jakiś dziwny typ. Wójcik, jako że pracował w policji, widział w życiu bardzo wielu dziwnych typów, ale ta wizyta przerosła jego najśmielsze oczekiwania. Rasta Robert, człowiek wyjęty spod prawa, wiecznie upalony dealer gandzi, którego poznał kilka miesięcy wcześniej za pośrednictwem Moniki w dziwnych okolicznościach w hotelu Metalowców na Długiej, był ostatnią osobą, której spodziewałby się na dyżurce komendy stołecznej

policji.

– Możemy pogadać? – Robert odciął sekwencję powitań i przeszedł od razu do rzeczy.

– A dzień dobry, co u ciebie i takie tam? – chłodno zażartował Adam.

– Nie mam czasu. – Robert wyglądał na człowieka, który rzeczywiście nie miał czasu, a Adam zastanawiał się, dlaczego zawsze najbardziej zalatani są ludzie, którzy tak naprawdę nie mają nic do roboty. – To znaczy, chuj, że ja nie mam, ale generalnie nie ma, nie ma czasu – dokończył trochę nerwowo Robert.

Ogólnie sytuacja nie była łatwa, a teren mało sprzyjający. Adam słusznie zdziwił się, widząc tu Roberta. Tak naprawdę ten nigdy w życiu by się tu nie zjawił, gdyby nie sprawa, z którą przyszedł.

– Wyrażaj się, na policji jesteś. – Adam zerknął w stronę dyżurnego za szybą, który całej sytuacji przyglądał się ze sporym zainteresowaniem.

– A co ty myślisz, że ja nie wiem, co tu jest, myślisz, że bym się tu pchał, gdybym nie musiał? – Robert zaczynał się nakręcać.

– Dobra, chodź, przestań się pultać. – Adam złapał go lekko za ramię i pchnął w stronę drzwi prowadzących na wyłożony kostką placyk.

Wyszli. Robert sięgnął po firkę.

– Ty, proszę cię... – Adam szybkim ruchem przejął firkę i razem z jego dłonią schował ją z powrotem do kieszeni kurtki Roberta. – O co chodzi?

– O Monikę. – Robert, który przed momentem był gotów wywalić bucha przed wejściem do najważniejszej warszawskiej komendy policji, teraz nagle ściszył głos nieomal do szeptu.

Adam popatrzył na kamery i ruszył wolnym krokiem w stronę ławeczek przed wejściem do kina Muranów.

Usiedli i zapalili. Wójcik papierosa, Robert zielsko.

– No więc? – zaczął Adam, który odniósł wrażenie, że po zapaleniu Robert zapomniał, dlaczego tu w ogóle siedzieli.

– Chuj, dupa i kamieni kupa – Robert nieco mętnie powrócił do porzuconego tematu.

– Nie filozuj, bo nie ma czasu. Co z Moniką? – Adam popatrzył na niego mniej przyjemnie.

– Monika wali. – Robert w końcu wyrzucił z siebie to, z czym przyszedł.

– Tak jak ty? – Adam spróbował zdezawuować informację.

– Nie, bo ja nie walę, tylko palę, tak jak ty, kurwa, a ona wali. – Robert wyraźnie się wnerwił.

– Co wali?

– Wali cracka! Dasz wiarę?! – Teraz Robert patrzył przenikliwie w oczy Adama.

– Skąd wiesz? – Adam nie dał wiary.

– Bo ją widziałem. – Robert lekko spuścił z tonu. – Przez przypadek. Byłem w klubie Soczi przy Kolejowej, czasem robię taki obchód po klubach, no i się wybrałem, to jest tam od Towarowej...

– Wiem, gdzie jest Soczi – przerwał Adam, bo Robert zaczynał rozwijać dłuższą frazę. – I co?

– No i wchodzę na teren, tam takie magazyny są, hale, wokół chaszczce, ławeczka i patrzę, i mi się wydaje... No i jak podszedłem, to nogi się pode mną ugięły. Ona tam sama ze szkłem i grzeje, ciągnie to gównno.

– Może hasz? – Adam spróbował wprowadzić alternatywę.

Robert nawet nie skomentował, popatrzył tylko na niego chwilę, w końcu Wójcik pokiwał głową.

Przy czym jak przy czym, ale akurat przy odróżnianiu haszu od cracku Robert nie mógł się pomylić.

– Powiedziała, że od miesiąca – po chwili odezwał się rasta. – Nie wygląda jeszcze na za bardzo starganą, więc może nie kłamała, ale nawet miesiąc na tym to, bracie, słaba opcja jest.

– Wiem. – Adam nigdy nie miał akurat do czynienia z narkotykami, sam nie brał, bo tata nie odblokował mu po prostu nawet takiej opcji w głowie, a z wydziałem do spraw narkotyków też do tej pory nie było mu po drodze. Miał jednak kolegów, z których jeden od czterech lat już nie żył, a zabrało go nic innego, jak właśnie crack. – Czemu crack akurat?

– Bo jest najbardziej bajkowy i przy okazji najszybciej wykurwia cię na tamten świat – refleksyjnie zauważył Robert. – Nie jestem pewien, na czym jej bardziej zależy.

W drodze powrotnej do naczelnika Adam czuł się dziwnie. Nie był pewien, czy bardziej mu się to kojarzy ze skokiem na bungee bez liny przywiązanej do nóg, czy może z wejściem do reaktora atomowego, w którym przed chwilą stopił się rdzeń. Różnica była zasadnicza. W pierwszym przypadku śmierć następowała gwałtownie: albo ze strachu w trakcie samego lotu, albo tuż po jego bolesnym zakończeniu. W przypadku drugim najpierw było cholernie gorąco, a później umierało się wolno i w męczarniach. Kiedy Matecki zobaczył go w drzwiach od gabinetu, uśmiechnął się szeroko, a Adam pomyślał, że bardziej wygląda to na reaktor.

– Jednak się pan namyślił? – zapytał naczelnik, po czym znacząco nie wskazał fotela naprzeciwko siebie.

– W pewnym sensie – zaczął Adam, a przed sobą oczami wyobraźni zobaczył zbliżające się z ogromną prędkością betonowe podłoże. Czyli bungee, pomyślał.

– Co pan ma na myśli, panie aspirancie? – Naczelnik nadal się uśmiechał, a Adam po stokroć wolał, żeby już tego nie robił.

– Chciałbym, żeby przywrócił pan Brzozowską do pracy – zaczął.

– Coś jeszcze by pan chciał? – Uśmiech znikł z twarzy naczelnika, ale zastąpiło go coś jeszcze gorszego.

– W zamian przekażę panu nasze dotychczasowe ustalenia. – Wójcik wyciągnął swój jedyny atut, niestety naczelnik zareagował tak, jakby na stół rzucił parę błotek.

Przez chwilę milczeli, Matecki ważył coś w sobie, ale chyba nie była to para błotek wyjęta z rękawa przez Adama. Wójcikowi przyszło do głowy, że może chodzić bardziej o to, czego nie wyciągnął, i o to właśnie, żeby tego nie wyciągał. Perspektywa upublicznienia ustaleń i faktu zamieszania w sprawę wysoko postawionego oficera komendy stołecznej, inspektora Leopolda Stasiaka, prawdopodobnie była wciąż większym straszakiem, niż ujawnienie ustaleń byłoby zachętą.

– Niech pan ją przyprowadzi – rzucił nagle Matecki, jakby od niechcienia. – A tamtego panu i tak nie zapomnę. Odmeldować się.

Czyli jednak stopiony rdzeń, pomyślał Adam i wyszedł.

Monika siedziała na balkonie i paliła jednego papierosa za drugim. Tak naprawdę nic konkretnego jej nie dolegało, symptomy narkotykowej intoksykacji minęły kilka godzin temu, już nad ranem czuła się w miarę dobrze i udało jej się nawet w końcu zasnąć. Tak miała teraz właściwie codziennie. Rytuał wyglądał w ten sposób, że wstawiała około południa, bo zasnąć udawało jej się

najczęściej dopiero około piątej nad ranem. Przez dwie godziny snuła się po mieszkaniu, paląc papierosy i pijąc kolejne kawy. Nic jej nie dolegało, ale w głowie panował chaos wymieszany z wyrzutami sumienia jak groch z kapustą. Około czternastej robiła się w końcu głodna, ale nie miała ani siły, ani inwencji na to, żeby cokolwiek sama sobie przygotować. Nigdy zresztą nie była w tym przesadnie mocna, bo też nigdy tak naprawdę nie musiała budować domu, zarządzać gospodarstwem ani gotować. Mieszkanie od zawsze było dla niej raczej pokojem hotelowym niż domem, w którym budowały się relacje i panowała normalność. Nawet gdy żył jeszcze Piotr, czyli Borys, jadali przeważnie na mieście, potem przychodzili do niej jak do pokoju wynajmowanego na godziny. W obecnym trybie około czternastej wychodziła coś zjeść do jednej z knajpek w pobliżu, a co trzy dni jechała do mamy na Bielany. Miała bliżej, bo po śmierci Piotra znów pojawił się dobry powód, by się przeprowadzić, i mieszkała teraz przy alei Wojska Polskiego na Żoliborzu. Po jedzeniu bądź po powrocie od mamy zaczynała się szykować na wieczór, który co dzień stanowił kulminację wydarzeń. To znaczy: niestety nie chodziło o sam wieczór ani o żadne wydarzenia, chodziło tak naprawdę wyłącznie o ów krótki moment, który następował po wciągnięciu do płuc trujących oparów z palonych kokainowych śmieci, czyli z cracku. Tego jednak Monika nie wiedziała, ponieważ jej mózg tak sprytnie zdołał już zwieść sam siebie, że wydawało mu się, iż chodzi o atrakcyjność wieczoru: może o spotkanie interesujących ludzi, prowadzenie ożywczych dyskusji albo cokolwiek jeszcze innego, równie niedorzecznego w kontekście ławki za barakiem przy Kolejowej. Kiedy zadzwonił dzwonek domofonu, było w pół do pierwszej, czyli początkowa faza, w której trzeźwa już Monika próbowała osiągnąć stadium psychicznej równowagi, potrzebne jej choćby do tego, by znów móc wieczorem się z niej wyprowadzić.

– Halo? – odezwała się do słuchawki raczej *pro forma*, bo i tak, odkąd się tu wprowadziła, nic nie było w niej słycać. Następnie wcisnęła przycisk otwierania.

Potem, gdy już poszedł, zastanawiała się, czy gdyby usłyszała jego głos w słuchawce, w której nie było nic słycać, otworzyłaby wejście na klatkę. Nie udało jej się opowiedzieć sobie nawet na to stosunkowo proste pytanie.

– Cześć. – Wójcik, jak zawsze nienagannie ubrany i nienagannie opalony, stał przed nią i uśmiechał się.

– Cześć. Co jest? – zapytała zdecydowanie za szybko, nie poprzedziła tego nawet choćby udawaną próbą zdziwienia albo w ogóle czegośkolwiek bądź.

– Ja jestem. – Już samo to zachowanie nawet w wydaniu Moniki, przeważnie nie nazbyt wylewnej, ale jednak spełniającej choćby ramowe wymogi *savoir-vivre*'u, wzbudziło w Adamie niepokój, który zdawał się potwierdzać to, w co tak bardzo nie chciał uwierzyć Robertowi. – Mogę wejść?

– Pewno. – Monika zreflektowała się trochę, co zaowocowało nawet uśmiechem, ale nadal w jej zachowaniu było całe mnóstwo nietypowego dla niej fałszu.

Weszli, Adam usiadł w salonie na sofie. Monika przyniosła kawę, choć nie zapytała go nawet, czy ma na nią ochotę.

– Co tam w fabryce, w życiu, opowiadaj. – Zapaliła papierosa.

– Dobrze, raczej dobrze. – Adam starał się jej nie przyglądać zbyt natarczywie, choć mocno go korciło. – Z Mateckim trochę problemy, ale poza tym git.

– A jak... – Przez moment Monika, która zorientowała się już, że jest na cenzurowanym, przeraziła się, że nie przypomni sobie teraz imienia chłopaka Adama, ale na szczęście w końcu się udało. – ...Witek?

– Super – uśmiechnął się Adam. – Wprowadził się do mnie, latem planujemy wziąć ślub w Holandii.

– No co ty! – Monika po raz pierwszy, odkąd przyszedł, zachowała się spontanicznie. – To genialnie. Latem, czyli... – No właśnie, jaka teraz jest pora roku, jaki miesiąc, kiedy będzie lato, Monika kątem oka zerknęła w stronę balkonu. – Już niedługo? – Wolała nie ryzykować.

– Za cztery miesiące konkretnie. – Adam spojrział na nią przenikliwie, bo jej wykręt nie umknął jego uwadze. – Lato zaczyna się za cztery miesiące, Monika.

Przez chwilę milczeli, ona zaczynała być wściekła. Z jednej strony nie do końca potrafiła zlokalizować źródło złości, z drugiej nie bardzo też próbowała. Była wściekła i już.

– Co za różnica, kiedy się zaczyna? – wypaliła po chwili na tyle dłużej, że pytanie było już trochę odklejone od kontekstu.

– W sumie bez różnicy – skostatował polubownie Adam, żeby przygotować grunt pod sprawę znacznie trudniejszą. – A co u ciebie?

– Dobrze, odpoczywam, czytam. – Monika wskazała głową na książkę leżącą na stoliku obok i od razu zdała sobie sprawę, że książka jest przykurzona, co w sposób oczywisty zdradza, że od dawna nie była czytana. Na szczęście Adam nie pociągnął spojrzeniem za jej wskazaniem, gdyż cały czas patrzył na nią. – Chodzę na spacer, do matki, na fitness. – Uśmiechnęła się trochę kokieteryjnie.

– Na fitness? – Adam powtórzył za nią jak echo. – Matecki chciałby, żebyś już wróciła – wypalił po chwili.

– Ale ja nie chcę wracać – odpowiedziała Monika tak szybko, jakby zawczasu miała tę odpowiedź przygotowaną. – Przynajmniej na razie – dodała po chwili dla rozluźnienia.

Adam pokiwał głową i zebrał się w sobie.

– Jak nie wrócisz, to się wykończysz. – Nie patrzył teraz na nią, wzrok podniósł dopiero na ostatnie zdanie. – Wiesz o tym?

– Czym się wykończę, odpoczywaniem? – Monika zaśmiała się krótko i nieszczerze.

– Tym też, ale przede wszystkim wykończysz się crackiem. – Adam przełknął ślinę. Było mu gorąco, czuł się zmęczony, a przede wszystkim bał się tego, co teraz nastąpi.

Nie nastąpiło nic. Monika zastanawiała się przez moment, czy podjąć próbę obrony przez atak, ale doszła do wniosku, że byłaby to strata czasu. W stanie, w którym się znajdowała, nie interesowało jej kompletnie to, czy wykończy się crackiem, czy też czymkolwiek innym. Z drugiej strony była na tyle inteligentna i na tyle niegdyś przyuczona do trudnej sztuki odkłamywania prawdy na własny temat, że wiedziała przynajmniej tyle, iż wdawanie się w wymianę zdań, której nie ma szans wygrać, pozbawi ją resztek psychicznego komfortu brania. A na takie ryzyko nie mogła sobie pozwolić.

– Nie chcę wracać – powiedziała tylko po długim namyśle, który trwał dwie i pół sekundy.

– Nikt cię nie zmusi, ale im dalej w las, tym bardziej potem będzie bolało. – Adam uśmiechnął się naprawdę przyjaźnie. – Zresztą, komu ja to mówię.

Kiedy wyszedł, Monika szybko zabrała się do jakichś przypadkowych domowych czynności,

przede wszystkim odkurzyła książkę, żeby na przyszłość nie mieć już tak nerwowych sytuacji, potem umyła podłogę w kuchni i kibel w łazience, i włosy pod prysznicem, w końcu wstawiła pranie i się rozplakała.

Z Wareckim spotykali się dwa razy w tygodniu nad Wisłą w pobliżu Centrum Olimpijskiego i Spójni. Miejsce, które jako propozycję poddał Adam, było idealne z tego względu, że kręciło się tu mnóstwo mężczyzn chcących wyglądać na przypadkowych, którzy tak naprawdę schodzili się tu w celu uprawiania między sobą przygodnego seksu w warunkach lekkiego psychicznego wzmożenia. Owo wzmożenie wynikało z faktu, że po pierwsze w każdej chwili ktoś mógł ich tu nakryć, a po drugie było tu całe mnóstwo dzikich zwierząt, a to dodawało sprawie dodatkowego kolorytu. „Przypadkowi” mężczyźni kręcili się w tę i z powrotem po leśnych ścieżkach i duktach. Część jeździła na rowerach, inni pokonywali chaszcze *per pedes*, a wszyscy byli bez względu na porę roku opaleni i bez względu na wiek dobrze zbudowani. W tych dwóch aspektach fizyczności panowie zresztą idealnie się uzupełniali, bo Adam był nienagannie opalony, a Warecki za to świetnie zbudowany. Pomiedzy spotkaniami nie kontaktowali się w żaden sposób. Kontakt odradził Warecki, który jako spec od inwigilacji wiedział doskonale, że właściwie nie istniała już bezpieczna forma łączności, bo wszystkie kanały potencjalnie mogły być zinfiltrowane.

Ich znajomość znacznie się zacieśniła po tym, jak kilka miesięcy wcześniej wspólnie zdemontowali sprawę podejrzeń skierowanych na Monikę. Adam uznał wtedy, że sytuacja jest bez wyjścia, i kierowany instynktem, zawiadomił Wareckiego o jej zniknięciu, a potem też o tym, że w sprawę, niestety po stronie złych mocy, wplątany był inspektor Stasiak. Wtedy to wspólnie odszukali Monikę i zjawili się w mieszkaniu na Hożej chwilę po tym, jak Brzozowska zabiła Piotra vel Borysa. Później prokurator przez moment zastanawiał się wprawdzie, czy jej czyn można zakwalifikować jako obronę konieczną, ale w końcu po zapoznaniu się z całością materiałów zdecydował, że tak. Inaczej niestety najwyraźniej zdecydowała Monika, która teraz postanowiła wymierzyć sobie karę dodatkową i zaczęła walić crack.

– Czyli co robimy? – zapytał Warecki, kiedy stanęli na niewielkiej piaszczystej skarpie nad brzegiem Wisły.

Gdzieś daleko w górze rzeki topił się cały uzbierany z mozołem przez przyrodę zimowy śnieg i stan wody był wyjątkowo wysoki jak na tę porę roku. Wisła bulgotała im tuż pod stopami.

– Przede wszystkim musimy... – Adam spojrzał na Wareckiego – w każdym razie ja muszę ją z tego jakoś wyciągnąć.

– Musisz? – Kapitan popatrzył na Adama z ciekawością.

– Chcę – odpowiedział tamten. – Powiedzmy, że wiele jej zawdzięczam, a poza tym to jest superbabka.

– Dobra, nie musisz mi się tłumaczyć. – Warecki spoglądał w prawo, tam, gdzie w oddali na płyciźnie widać było, jak rwący jest w tym momencie nurt rzeki. Wisła przypominała mu trochę Biały Dunajec, nad który chodził się kąpać w dzieciństwie. Na samo wspomnienie chłodu tamtej wody lekko się wzdrygnął. – Tylko jak zamierzasz to zrobić?

– Pojadę do Wacka – zaczął, a widząc, że Warecki nie bardzo wie, o kim mówi, wyjaśnił: – Do tego naszego świadka na Zacisze, którego odnalazła Monika. Pogadam z nim, o ile wiem, on też się

kiedyś przeturlał przez narkotyki, ona go lubi, ufają sobie. Może on jakoś na nią wpłynie.

Monika wyszykowała się wprawdzie jak co wieczór, ale dziś nie czuła już tej samej beztrioskiej ekscytacji, która towarzyszyła jej przez ostatnie tygodnie. Niestety stało się to, czego obawiała się najbardziej, i już sama wizyta Adama odebrała jej w jakimś przynajmniej stopniu komfort brania, czyli zabawy, czyli beztrioskiej ulgi. Przez trzy miesiące z okładem, odkąd wróciła do nieonej praktyki, udawało jej się utrzymywać w stanie permanentnej pomrocności. Nie myślała o konsekwencjach, nie pamiętała przeszłości i tego, jak już kiedyś przed laty prawie zwariowała, gdy wychodziła z wieloletniej beztrioski podobnej do tej obecnej. Stojąc przed lustrem i zamalowując coraz głębsze cienie pod oczami, za cholerę nie mogła sobie przypomnieć, jak to w ogóle było możliwe, że przez tych kilkadziesiąt ostatnich dni udawało jej się nie pamiętać, że będzie cierpieć, że to droga donikąd, która skończy się w najlepszym razie męczarnią odwyku. Może moment, kiedy zaczynała, smutek i wyrzuty sumienia po zabiciu Piotra, odesłanie jej na przymusowy urlop z policji – może cały ten łańcuch trudnych okoliczności wprowadził ją w stan takiego emocjonalnego pogubienia, że ucieczka w narkotyki wydawała się optymalnym wyjściem z sytuacji, stanowiła propozycję jedyną z możliwych. Tak, chodziło chyba o tę nieuchronność i o to, że po raz pierwszy od kilkunastu lat doprowadziła się do miejsca, w którym jej mózg zdołał w końcu znów sam sobie wmówić, że narkotyki stanowiły ostatnią deskę ratunku. Właściwie nadal tak uważała, tyle że teraz dotarło do niej to, o czym udawało jej się nie pamiętać do tej pory, czyli że deska nie była tak naprawdę deską, tylko stalową szyną, która ciągnęła ją w otchłań z prędkością większą niż wcześniej. Tak to własna głowa zdołała zastawić na Monikę tę najgorszą z możliwych pułapek. Sprawa była zatem zasadniczo prosta. Pomyłka została popełniona i teraz wystarczyło puścić stalową szynę i wrócić do punktu wyjścia, a właściwie – wejścia. Był tylko jeden szkopał. Po trzech miesiącach trzymania się stalowej szyny puszczenie jej tak po prostu z rąk nie było już za bardzo możliwe.

– Ile? – Młodociany chudzielec patrzył na nią z uśmiechem.

– Dwie – odpowiedziała, nie patrząc na niego.

– Rozsądek jednak zwyciężył? – spytał zaskoczony.

– Muszę ograniczać – odpowiedziała krótko i wyciągnęła dłoń z banknotami wplecionymi pomiędzy palce.

– Tego się nie da ograniczyć. – Młody sięgnął do kieszeni.

– Wiem.

Mężczyźni jej nie interesowali. W tej sprawie było wyjątkowo dziwnie. Nie chodziła wprawdzie w czerni, ale odkąd jesienią pochowała Piotra, czuła się pogrążona w żałobie. Wciąż tylko nie mogła do końca ustalić sama ze sobą, po kim mianowicie nosiła tę żałobę. Czy po Piotrze, z którym spędziła wcześniej rok życia i którego zabiła nożyczkami do paznokci, czy może po swoim mężu Borysie, którego nie pamiętała, czy wreszcie po nich obu naraz, skoro byli przecież jedną osobą. Sprawa nie była prosta, właściwie okazywała się tak zagmatwana, że prawdopodobnie wszelkie nadzieje na jej rozwiązanie kiedykolwiek stawały się płonne, ale nie zmieniało to faktu, że mężczyźni jej nie interesowali, gdyż była w żałobie.

– Może byśmy wyszli na chwilę? – zaczepił ją nagle wysoki facet, który nie wiedząc skąd zapodział się tu w eleganckim obcisłym korpogarniturze typu włoskiego.

Monika wybudziła się z transu i nagle zdała sobie sprawę, że tańczy, choć nie wie nawet od jak dawna.

– Po co? – Spojrzała na niego.

– Czy ja wiem? – Uśmiechnął się, wyraźnie zaskoczony pytaniem. – Przewietrzyć się?

– Możemy – powiedziała, przerywając tym samym w końcu taneczny trans.

Podeszli do baru. Efekt zac zadzenia crackiem wypalonym w chaszczach za budynkiem powoli mijał. W takich momentach zawsze dla ratowania się przed zbyt silnym zderzeniem z rzeczywistością aplikowała sobie kilka drinków. Facet upierał się, żeby zapłacić. Ona się nie zgodziła.

Na zewnątrz światało. Mężczyzna wydał jej się atrakcyjny, ponieważ nic nie mówił. Po godzinie byli u niej w mieszkaniu, po półtorej było po wszystkim. To, co się stało, dało jej sporo przyjemności, ale nie przyniosło żadnej ulgi.

– Czym się zajmujesz? – zapytał, kiedy siedzieli już przy kuchennym stole, a ona robiła kawę.

– Jestem na zwolnieniu – odpowiedziała zdawkowo.

– Na zwolnieniu z... – Mężczyzna był ciekaw, ale jakby *pro forma*.

– Jak masz na imię? – Monika uciekła w zupełnie inną stronę, sugerując przy okazji, że wiedzieli o sobie zdecydowanie zbyt mało, i to nawet o tych najbardziej elementarnych rzeczach, żeby pytać o rzeczy mniej oczywiste. Nie przeszli przez A, więc mówienie o D nie miało sensu.

– Marek – odpowiedział z uśmiechem. – A ty?

– Ewa – skłamała Monika, bo przyszło jej do głowy, że skłamał także Marek. – Pracuję w agencji reklamowej.

– W której? – ucieszył się Marek.

– A ty gdzie pracujesz? – odpowiedziała pytaniem na pytanie, przy okazji narzuciła reguły gry w tej rozmowie.

– Ja... na giełdzie. – Marek uśmiechem potwierdził, że przyjmuje zasady wyznaczone przez Monikę. Ta gra, do czego komisarz była przekonana coraz bardziej, okazywała się raczej rodzajem pantomimy. – Nie na warzywnej – dodał po chwili.

– Makler? – dopytała.

Nie była już teraz przesadnie ciekawa, co odpowie domniemany Marek, bardziej interesowało ją, dlaczego, albo raczej po co, kłamie. Czy robi to podobnie jak ona, czyli na wszelki wypadek, bo po co ujawniać swoje dane osobowe i zajęcie komuś, z kim jednorazowo poszło się do łóżka, czy może chodzi o coś bardziej złożonego.

– Makler. – Marek pokiwał głową i wypił pierwszy łyk kawy. – Pracuję w domu maklerskim Pekao – dodał po chwili i zaskakująco poszerzył zakres informacji.

– Ja pracuję, a właściwie pracowałam, bo chyba już im się znudziłam, w takiej lokalnej małej agencji, Mediapol się nazywa. – Monika podała nazwę agencji, której szefem był Piotr. Na szybko niestety tylko tyle była w stanie wymyślić, ale po chwili zrobiło jej się głupio. W pewnym sensie użyła Piotra w rozmowie z facetem, z którym go zdradziła. Miała takie poczucie, pomimo że Piotr nie żył. Może poczucie wynikało z tego, że to ona go zabiła.

– Czemu bierzesz? – zapytał nagle Marek, który nie wiadomo jak miał na imię.

– Co to za pytanie w ogóle? – Monika wstała od stolika, udając wzburzenie. – Skąd ci przyszło do głowy, że biore?

– Bo sam biore. – Marek uśmiechnął się delikatnie, a Monika pomyślała, że coś jest w tym facecie, i to nawet mimo że na pewno nie jest tym, za kogo się podaje. A może właśnie dlatego.

– To sam sobie odpowiesz. – Monika się nie uśmiechała. – No dobra, chyba musisz lecieć, robić te swoje nieistniejące pieniądze.

– Nie muszę, ale aluzju poniał. – Marek miał na tyle dużo lat, że chował się jeszcze w świecie pełnym radzieckich elementów.

No właśnie, ile ten facet może mieć lat, czterdzieści pięć, może siedem, pomyślała Monika. Mogła zapytać, ale nie miała ochoty, bo to uruchomiłoby lawinę dalszych zacieśnień, a ona nie chciała się zacieśniać, bo chciała już tylko iść spać.

Kiedy Adam podjechał pod dom Wacka, było już dobrze po dziesiątej wieczorem. Wcześniej miał sporo roboty w firmie, potem był jeszcze ze swoją nową największą miłością w życiu, czyli z Witkiem, w kinie. Kino mogło się właściwie nie odbyć, bo i tak wciąż myślał o Monice i o tym, że musi coś zrobić, żeby wyszarpnąć ją ze szponów nałogu, ale po pierwsze, był Witek, którego za nic nie należało zaniedbywać, a po drugie, miał wrażenie, że w ciągu dnia nie do końca był sam. Ktoś, a może wielu ktosów, towarzyszył mu do późnych godzin popołudniowych. Był policjantem, więc czuł ich obecność przez skórę, choć na razie nikogo konkretnie nie przyuważał. Tak było od jakiegoś czasu, mówił o tym na razie tylko Wareckiemu, bo tylko jemu ufał. Z reguły pod wieczór natężenie tego odczucia malało, prawdopodobnie śledzący go odpuszczali, może działali w systemie zmianowym, może na razie miał tylko ogon na pół etatu, może wieczorem tamci nie spodziewali się już z jego strony żadnych nieprzewidzianych ruchów.

Dobrze jest mieć instynkt i dar obserwacji, bo dzięki temu aspirant stał teraz przed furtką i nikt mu się już nie przyglądał.

W oknach paliło się światło, ale drzwi otworzyły się dopiero po trzecim dzwonku, może zresztą przycisk przy furtce nie kontaktował. Po minucie stał przed nim chłopak piękny jak Adonis, a Adam pomyślał, że gdyby nie Witek, to zrobiłby wiele, żeby się z nim bliżej zaprzyjaźnić.

– O co chodzi? – odezwał się mało ufnie i mało sympatycznie Adonis, więc wyglądało na to, że Adam nie miał u niego i tak przesadnych szans.

– Nazywam się Adam Wójcik, jestem współpracownikiem Moniki Brzozowskiej z komendy stołecznej – mówił, a wyraz twarzy tamtego kompletnie się nie zmieniał, więc w końcu wyciągnął swoją legitymację służbową. – Aspirant Adam Wójcik. Mogę wejść?

Adonis nie odpowiedział, ale otworzył furtkę i ruszył w stronę wejścia do domu.

– Czy jest Wacek? – zapytał Adam, kiedy już stali w obszernym salonie, obwieszonym czarno-białymi zdjęciami chłopaków prawie tak przystojnych jak jego rozmówca.

– Nie ma, zresztą powinien pan chyba wiedzieć. – Tamten ruszył w stronę barku stojącego na środku pokoju.

Teraz Wójcik się zorientował, że oczy Adonisa były delikatnie przekrwione, a chód nie do końca stabilny.

– Wiedzieć co? – zapytał.

– Wiedzieć, że nie ma, bo zgłosiłem jego zniknięcie. – Narzeczony Wacka nalał sobie dość dużo i zerknął pytająco na Adama.

Wójcik, choć kusilo go ogromnie, żeby wypić kilka drinków z tym mężczyzną, pokręcił głową odmownie. Poczucie obowiązku i wierność zasadom znów przeważały w nim pokusę.

– Kiedy? – zapytał i odruchowo rozejrzał się po wnętrzu.

Przyczyna zaginięcia osób, wedle statystyk, w sześćdziesięciu procentach była związana z osobami zgłaszającymi.

– Dwa dni temu – odpowiedział piękny i pociągnął ze szklanki tak dużego łyka, że aż lekko siorbnał, co definitywnie odebrało Adamowi chęć do flirtu.

– Gdzie pan zgłosił? – Adam przestał rozglądać się po wnętrzu i patrzył teraz prosto w oczy mężczyzny.

– Na komendę na Targówek, na Chodecką czy Chotecką, a co? – Chłopak chyba poczuł, że Adam próbuje być podejrzliwy, i wyraźnie go to wnerwiło. – Myśli pan, że go stuknąłem i zakopałem w ogródku?

– Nic nie myślę. – Wójcik nie dawał się sprowokować. – Sprawdzę tę Chodecką, może jeszcze nie ruszyli z poszukiwaniami, mają siedemdziesiąt dwie godziny przy osobie dorosłej.

Przez chwilę stali i żaden nie miał pomysłu na to, co ma się wydarzyć dalej.

– W jakich okolicznościach zniknął? – zapytał Adam, który jako policjant miał w zanadrzu sekwencję pytań nieomal automatycznych.

– Nie wrócił z pracy, dwa dni temu – zaczął tamten, jego oczy stawały się tymczasem coraz bardziej czerwone, a mowa powoli się rozluźniała. Adam nie był pewien, czy dlatego, że mężczyzna zaczynał mu ufać, czy może raczej dlatego, że robił się coraz bardziej wlny. – Najpierw dzwoniłem na komórkę, potem pojechałem do kliniki...

– Do kliniki? – wtrącił się Adam.

– Wacek prowadzi klinikę dla zwierząt, jest weterynarzem, Brzozowska nie mówiła? – zdziwił się przystojny.

– Nie pytałem. – Adam pokręcił głową. – Co było dalej?

– Dalej? – Mężczyzna nagle się rozkleił. – Dalej nic nie było, nie ma go tam, nie odbiera, jego matka nic nie wie, po prostu zniknął, a za chwilę zniknę ja.

– Czemu? – zdziwił się Wójcik.

– Bo jestem zależny. – Mężczyzna spojrzał na Adama z wyrzutem, jakby nie rozumiał, dlaczego ma tak mało empatii albo może brak mu zwykłej rezolucyjności. – Bo nic nie zarabiam, nic nie mam, nie mamy zalegalizowanego związku, więc zaraz będę musiał stąd iść, i co dalej? Z powrotem na dworzec?

Mężczyzna zaczął płakać.

– Na dworzec już na pewno nie... – Adam zbliżył się i otoczył go ramieniem. Wreszcie chociaż w ten sposób mógł dać upust swemu uwielbieniu dla piękna.

Na komendzie przy Chodeckiej, zgodnie z przewidywaniami Adama, nie rozpoczęto jeszcze nawet procedury poszukiwań osoby zaginionej. Taka procedura sprowadzała się zresztą głównie do tego, że

osoba zgłoszona była wrzucana na tak zwany bęben, czyli do systemu informatycznego dostępnego dla każdego policjanta w każdym dowolnym miejscu w kraju. Później, po kilku dniach, personalia z automatu trafiły jeszcze do Krajowego Systemu Informacji Policji. Więcej z reguły komenda, do której zgłoszono zaginięcie, nie robiła, chyba że sprawa dotyczyła zaginięcia dziecka: wtedy procedury były znacznie ostrzejsze i bardziej wymagające. Wacek jednak dzieckiem od dość dawna już nie był. Wójcik, nauczony przypadkiem Moniki, która w swoim czasie wykorzystwała do poszukiwania swojego własnego telefonu nakaz prokuratorski i źle się to dla niej później skończyło, zrobił inaczej. Od razu poszedł drogą nieformalną i o pomoc poprosił zakochaną w nim wciąż i niezmiennie Elwirę pracującą w sieci Orange. Telefon Wacka nie był wprawdzie zarejestrowany w tej sieci, ale to na szczęście Elwirze nie utrudniało za wiele, ponieważ operatorzy często współpracowali i pomagali sobie, świadcząc wzajemnie takie nieoficjalne usługi.

Telefon Wacka w momencie kiedy namierzała go Elwira, już nie działał, co nie było najlepszym zwiastunem, ale o niczym jeszcze nie przesądzało. Przykładowo: mogło być tak, że Wacek, uzależniony od heroiny, wrócił do zabójczego nałogu i wpadł w ciąg, a wtedy prawdopodobnie ładowanie telefonu przestałoby z automatu należeć do jego priorytetów. Gorzej, że ostatnie logowanie telefonu umiejscowiono w okolicach Jeziorka Czerniakowskiego, i to na jego północnym krańcu, czyli w rejonie, gdzie nie było żadnych zabudowań. Najgorsze jednak okazało się to, że telefon nad brzegiem jeziora po raz ostatni zalogował się do BTS-ów o godzinie drugiej nad ranem.

Chyba nie zrobimy tego po cichu? – Adam zaczął rozmowę z Wareckim zaraz po tym, jak ten pojawił się w pubie Tola na Polu Mokotowskim.

Pub Tola był miejscem, gdzie zawsze, a w każdym razie – przeważnie, Adam widywał się z Moniką na spotkaniach nie do końca oficjalnych, gdy była ona jeszcze aktywna zawodowo i życiowo. Dlatego w sytuacji awaryjnej panowie, zgodnie ze scenariuszem uzgodnionym wcześniej, spotkali się wyjątkowo nie nad Wisłą, ale właśnie tutaj.

– Potrzebujemy nurków. Nawet gdy weźmiemy z jakiegoś klubu, to i tak jeśli coś znajdą, będzie trzeba zgłosić, a wtedy wyjdzie, że bez powiadamiania szukaliśmy zwłok – dokończył Wójcik.

– Pytanie, czy zawiadamiamy twoich, czy moich? – zastanowił się kapitan Warecki.

– Jeden pies, i tak jak dowiedzą się jedni, to zaraz będą wiedzieli drudzy. – Adam wzruszył ramionami i przywołał kelnerkę chodzącą wśród stolików.

– Tak będzie, ale... można coś ugrać, rozegrać, czy ja wiem. – Kapitan wypił łyk zamówionego wcześniej piwa.

– W takim razie dam to szefowi, może w ten sposób przynajmniej nie stracę roboty do końca miesiąca – uśmiechnął się Wójcik.

– Widzisz, wszystko można jakoś rozegrać. – Warecki chciał coś jeszcze dodać, ale pojawiła się kelnerka.

Pół godziny później Adam pojechał prosto z pubu do fabryki, gdzie od razu po przybyciu, z pominięciem drogi formalnej, wtargnął do gabinetu Mateckiego. Oczywiście pominięcie procedur nie mogło oznaczać pominięcia sekretarki pani Eli, której zameldował, że sprawa jest najwyższej wagi, i poprosił ją grzecznie o wprowadzenie do Mateckiego, pomimo że był on zajęty

przygotowaniami do narady z innymi komendantami z województwa.

– Myślę, że to, co chcę powiedzieć, jest na tyle ważne, że wzbogaci też naradę, do której pan się szykuje – zaczął Wójcik, po tym jak Matecki pomimo protekcji i wsparcia pani Eli poprosił go w prostych żołnierskich słowach o natychmiastowe opuszczenie gabinetu.

– Czyli? – Matecki zawibrował głosem w najniższej dlań osiągalnej tonacji. Jako że nie był zbyt wysoki ani przesadnie dobrze zbudowany, niski głos stanowił tak naprawdę jedyne właściwie uzewnętrznienie jego autorytetu.

– Czyli zniknął najważniejszy świadek w sprawie pedofilskiej, którą odkryła Brzozowska. – Adam wyrecytował jednym tchem, jednocześnie starając się swój głos delikatnie podnieść, żeby pozostać w odpowiednim głosowym stosunku służbowym. Szczęśliwie Bozia nie wyposażyła go w bas, z urodzenia czy raczej z mutacji był tenorem, ale teraz spróbował wspiąć się jeszcze odrobinę wyżej.

– Jak zniknął? – zainteresował się Matecki.

– Po prostu jego chłopak, to znaczy partner... – Adam przypomniał sobie, że Matecki mentalnie był zakorzeniony głęboko w czasach, gdy mężczyźni nie mieli chłopaków – ...zgłosił dwa dni temu do miejskiej na Chodeckiej zaginięcie: Waław Stelmaszyk nie wrócił z pracy.

– No i co z tego? Może go rzucił – przytomnie zauważył inspektor.

– Może i rzucił, ale nie rzuciłby własnego domu, dobytku, matki i firmy. Od tamtej pory nie pojawił się nigdzie i nikt z nim nie miał kontaktu. – Adam wiedział oczywiście znacznie więcej, choćby to, że komórka Stelmaszyka pojawiała się po raz ostatni w nocy nad jeziorkiem, ale tego Mateckiemu ujawnić nie mógł, bo te informacje pochodziły z nielegalnego źródła.

– Sprawdźcie po logowaniach telefonu. Wypisz raport i zapotrzebowanie, ja ci podbiję, potem się zawiezie do sądziego – rozsądnie zaproponował Matecki. – Ale rewelacji mi tu żadnej nie przyniosłeś na wzbogacenie narady.

– Ale narada jest dopiero jutro – uśmiechnął się nieco tajemniczo Adam.

– Znowu wiesz coś, czego mi nie mówisz. Ja nie mogę z wami pracować. To jest jakiś tajny klub, kurwa, jakaś sekta, a nie komenda stołeczna. Tu wszyscy coś wiedzą, coś knują, chodzą pod ścianami, co to za załoga jest? – Matecki, który komendantem stołecznym był od niedawna, rzeczywiście nie cieszył się, przynajmniej na razie, wśród kolegów Adama przesadnym zaufaniem, więc wrażenie, które odnosił i które teraz z wściekłością mu referował, było prawdopodobnie uzasadnione.

– Czy mogę się odmeldować? – zapytał Adam dopiero kilka sekund po tym, jak szef, czerwony na twarzy, lekko się uspokoił.

– Spierdalaj. – Inspektor Remigiusz Matecki żegnał się w ten sposób z wszystkimi podwładnymi, oprócz oczywiście pani Eli, która w tym momencie stanęła właśnie w drzwiach.

– Panie komendancie – powiedziała z wyrzutem – jak tak można?

– Oczywiście, pani Elu, nie można, przepraszam, ale nerwy tu mam straszne – usprawiedliwił się Matecki, a Adam zauważył przy okazji, że do pani Eli nie zwracał się też wcale basem.

Po chwili komendant raz jeszcze zerknął na Adama, a jego wzrok mówił dokładnie to samo, co przed chwilą, i to basem.

W czasie gdy Adam biegał po korytarzach i zbierał podpisy, żeby sieć komórkowa oficjalnie

potwierdziła to, co już i tak wiedzieli od Elwiry, kapitan Warecki dojeżdżał właśnie pod adres w podwarszawskiej Wildze. To tutaj mieszkał drugi z trójki świadków, których Monice udało się zwerbować za pośrednictwem Wacka. W jego przypadku sprawa była jednak nieco bardziej skomplikowana niż ze Stelmaszykiem, bo oprócz adresu nie mieli do niego żadnego kontaktu. Wiedzieli jedynie, że ma na imię Józek i że mieszka w Wildze przy skrócie do Rodzinnego Parku Rozrywki „Wodna Kraina”. Namiar był trochę mało precyzyjny, na szczęście Warecki miał ze sobą zdjęcie Józka, które Monika zrobiła, gdy była w Wildze przed dwoma miesiącami, czyli zanim Matecki wysłał ją na przymusowy urlop.

Monika obudziła się dziesięć po drugiej po południu, bo po nocy z przygodnym Markiem potrzebowała trochę więcej odpoczynku. Do komputera nie usiadła od razu. Najpierw wzięła prysznic, podczas którego przyglądała się swojej figurze trochę bardziej niż zwykle. Doszła do wniosku, że może nie była już tak jędrna jak dwadzieścia lat wcześniej, ale za to udało jej się ostatnio uzyskać absolutne optimum, jeśli chodzi o proporcje wszystkiego do wszystkiego, a jej skóra wciąż była świeża i spragniona dotyku. Nie zajrzała do komputera także w trakcie śniadania, ale myśli o tym, żeby to zrobić, cały czas kręciła jej się gdzieś z tyłu głowy. „Marek Araszkiwicz Bank Pekao” – gdy te cztery słowa wpisywała w okienko wyszukiwarki, była przekonana, że albo nie dostanie żadnego rezultatu, albo co najwyżej coś, co nijak nie będzie łączyło tego człowieka z tą instytucją. Jakież było jej zaskoczenie, gdy okazało się, że jest jednak inaczej. Marek Araszkiwicz, podpisany i ze zdjęciem, widniał przed nią jako żywo na stronie domu maklerskiego Pekao, wraz z adresem poczty elektronicznej i numerem telefonu kontaktowego.

– To mnie pan zaskoczył, panie Marku. – Monika uśmiechnęła się do siebie, popijając suchą już nieco, bo wczorajszą, kajzerkę łykiem rozpuszczalnej kawy, po czym popadła w zamyślenie.

Jaki to wszystko ma sens właściwie? Dlaczego tak bardzo przestała się interesować całą tą sprawą? Odsunęli ją, to fakt, ale wcześniej nie dość, że ją odsunęli, to do tego jeszcze ją ścigali, a ona miała siłę i chęć ciągnąć sprawę, żeby dojść do prawdy. No właśnie, „prawda” – może to o nią chodziło w tym wszystkim? Wcześniej chciała dojść do prawdy na temat tego, czy sama zabija, czy ktoś ją wrabia, a jeśli tak, to dlaczego. Doszła. Okazało się, że zabijał jej narzeczony, który na domiar złego kiedyś, pod innym wprawdzie imieniem, był nawet jej mężem, czego ona nie pamiętała. Mąż zabijał, narzeczony ją wrobił, zabiła ich obu w jednej osobie, prawda została odkryta i od razu w tej samej niemal chwili zlikwidowana. Co więcej mogło ją zainteresować po czymś takim? Kto wynajmował narzeczonego, kto wykorzystywał go jako cyngla, dlaczego tak długo on sam pozostawał na usługach tego kogoś, skoro z drugiej strony próbował ją chronić? Wszystko to ciekawe, ale nie dość motywujące, żeby podnieść się po tym, co przeżyła. Poza tym sprawa zdawała się już teraz toczyć właściwym torem. Może wprawdzie nadal różne osoby w policji i pewno też wyżej próbowały coś tuszować, ale – o czym była przekonana w stu procentach – Wójcik i Warecki, który okazał się nawet dosyć przyzwoitym gościem, na pewno wyjaśnią sprawę i posadzą za kraty winnych. Oskarżenie miało bardzo silne podstawy w postaci zeznań świadków, a nade wszystko nikt już nie był zagrożony śmiercią. Tak, to też było ważne. Monika lubiła funkcjonować w sytuacjach zagrożeń, miała taki swoisty syndrom pola walki, który wyniosła jeszcze prawdopodobnie z czasów, gdy każdy dzień na narkotykowym bajzlu mógł być jej życia dniem ostatnim. Papierki, zbieranie

dowodów, zeznań, mozolne składanie puzzli: nie, to wszystko nie było dla niej.

Warecki pokazywał zdjęcia świadka tak długo, aż ustalił w końcu, gdzie dokładnie mieszkał, a nawet i to, że nazywał się Józef Waluś. Niestety – na miejscu okazało się, że Józek, syn obecnego gospodarza, wyjechał do pracy do Niemiec i odwiedzał dom rodzinny dwa, góra trzy razy do roku. Ojciec, trochę niechętnie, ale w końcu przekazał numer do syna. Kiedy Warecki zadzwonił, po drugiej stronie zgłosiła się niemiecka sekretarka automatyczna. Nagrał się więc, i to nawet dwukrotnie: poprosił o kontakt pod numerem, który podał. Jednak do wieczora nikt nie oddzwonił.

Kiedy Warecki szukał Józka, Adam w kilka godzin zorganizował nakaz sądowy na numer Waclawa. Prześledzenie logowań trwało moment i dało oczywiście te same wyniki, które znali już wcześniej. Tym razem jednak Wójcik mógł je już przedłożyć Mateckiemu. Prewencja z psami i nurkowie dojechali nad Jeziorko Czerniakowskie kolejnego ranka. Poszukiwania trwały osiem godzin. Najpierw znaleziono but, który jako należący do Waclawa rozpoznał jego narzeczony, piękny Adonis, ściągnięty na miejsce specjalnie przez Adama. Później w kępie drzew po zachodniej stronie akwenu psy natrafiły na ślady krwi, i to w dużej ilości. W końcu pod wieczór nurkowie przeczesujący dno odnaleźli ciało. Po wydobyciu go na brzeg było widać już na pierwszy rzut oka, że oprócz śladów kilkunastu ciosów zadanych nożem lub innym długim i ostrym narzędziem na ciele było też mnóstwo krwawych wybroczyn, przypaleń papierosami i innych ran świadczących o tym, że ofiara przed zamordowaniem była najprawdopodobniej także torturowana. Po zakończeniu wstępnych oględzin zwłok Adam przysiadł na brzegu jeziora. Czuł się okropnie, bo wydawało mu się, że w jakimś sensie był odpowiedzialny za śmierć tego człowieka. Nie on wprawdzie bezpośrednio nakłonił go do tego, by złożył zeznania, ale wiedział o tym, kontaktował się z Wackiem wielokrotnie, przywoził go na komendę, spotykał się w różnych miejscach, słowem: uczestniczył w procesie pozyskiwania od niego zeznań, których – nawiasem mówiąc – „na papier”, czyli oficjalnie, uzyskać się nie udało. Umówieni byli, na prośbę Wacka, który być może miał już jakieś złe przeczucia, że spotkają się raz jeszcze u niego w domu i Adam nagra przynajmniej jego zeznania na dyktafon. Kiedy zjawił się u niego tamtego wieczora, oprócz rozmowy o problemach z Moniką chciał też właśnie mieć to nagranie. Niestety już go nie zastał. Wyrzuty sumienia? Podobno w miarę upływu lat kolegom śledczym wyrzuty sumienia już aż tak nie doskwierają. Być może instynkt samozachowawczy w ten sposób ratuje ich przed obłędem. Adam patrzył w wodę pod stopami, na swoje odbicie, myślał o człowieku, którego pokiereszowane ciało leżało kilka metrów za jego plecami. W końcu wstał, wyciągnął z kieszeni telefon, podszedł do ciała i ku zaskoczeniu kryminalistyka i fotografa pracujących już na miejscu zrobił telefonem kilka zdjęć. Potem odszedł kawałek, zdjęcia wysłał pod znany sobie numer, a następnie wyrzucił je z telefonu i ruszył w stronę samochodu, w którym czekał już na niego Warecki.

Monika słyszała dźwięk przychodzącego SMS-a, ale nie odebrała go od razu, bo w świecie, w którym się znajdowała, SMS-y nie miały prawa bytu. Patrzyła teraz w czerń nieboskłonu rozświetloną lampami miasta i bardzo jej się to podobało. Makler giełdowy Marek miał przyjść za godzinę albo za pół, albo... to też nie miało w tej chwili żadnego znaczenia. Po dziesięciu minutach, kiedy niebo przestało być taką rewelacją, to znaczy nadal nie było złe, ale już bez porównania, Monika wyjęła w końcu aparat z kieszeni. Przede wszystkim chciała sprawdzić, która jest godzina, jak długo jej nie

było i za ile przyjdzie Marek. Przy okazji zobaczyła powiadomienia o SMS-ach i przypomniała sobie, jak wcześniej brzdąkały tym przemiłym, niebiańskim wręcz dźwiękiem. Komisarz pomyślała nawet wtedy o trąbach jerychońskich, choć za nic nie mogła sobie przypomnieć, o co z nimi chodziło. Otworzyła najpierw jednego SMS-a, który okazał się MMS-em, potem kolejne cztery. Na ostatni patrzyła dłużej, a potem przypomniała sobie, co to były trąby jerychońskie, i zaczęła wymiotować.

Zwłoki Wacka jeszcze tego samego dnia trafiły na stół w zakładzie medycyny sądowej na Oczki. O ile do tej pory ciągnięcie sprawy nie było nikomu na rękę, o tyle teraz, w momencie gdy główny świadek zginął, i to w okolicznościach niepozostawiających wątpliwości co do udziału osób trzecich, dalsze próby zamykania sprawy pod dywan oznaczałyby prawdopodobnie szereg szybkich dymisji wśród znaczących policjantów, w tym zwolnienie samego Mateckiego. Inspektor może nie był najlepszym policjantem, ale odznaczał się genialną zdolnością wyczuwania wszelkich fluktuacji, a najczęściej udawało mu się je wyczuwać wcześniej niż innym. Na tym polegał tak naprawdę jego geniusz. Fakt, że wcześniej nie naciskał w sprawie śledztwa przeciw grupie pedofilskiej, że nie powołał specjalnej grupy i nie zmusił swoich podwładnych do działania, nie wynikał z tego, że sam miał w tym jakiś interes. Chodziło raczej o coś innego: inspektor Matecki wyczuwał, że mają w tym swój interes ludzie, od których zależała jego przyszłość. Tak naprawdę nie potrafiłby ich wskazać nawet z nazwiska, bo to, iż komendant główny nie naciskał, też przecież wcale nie oznaczało, że miał w tym interes osobisty. Jego sytuacja mogła być analogiczna do sytuacji Mateckiego, tyle że podniesiona o jedno oczko wyżej na drabinie zawodowej hierarchii, po której z mozołem pięli się obaj. Po znalezieniu zmasakrowanych zwłok Wacława Stelmaszyka w Jeziorze Czerniakowskim do sprawy włączyły się niestety media, a kiedy tak się działo, interesy grup zmieniały się diametralnie. Teraz przede wszystkim trzeba było się wykazać dynamizmem i inicjatywą. Policja musiała działać ze zdwojoną mocą. Efektem tej mocy było jak na razie to, że Adam, Warecki i jeszcze kilku funkcjonariuszy z wydziału zabójstw i terroru kryminalnego stali teraz wokół kamiennego stołu, na którym leżało ciało nieprzypominające w najmniejszym stopniu człowieka, do którego należało jeszcze kilkadziesiąt godzin wcześniej.

– Przypuszczalny czas zgonu: od dwudziestu do dwudziestu pięciu godzin temu. – Doktor Walińska rozglądała się po zebranych, zdziwiona tym, że nie widzi wśród nich komisarz Brzozowskiej. – A gdzie Monika?

– Na przymusowym urlopie – odpowiedział Adam.

– Po co mam wam to opowiadać, jak i tak potem będę musiała to opowiedzieć jej? – Popiół z papierosa tkwiącego w kąciku jej ust oderwał się i spadł, omijając o centymetry kamienny blat, na którym leżał najważniejszy i jedyny jak do tej pory dowód w sprawie zabójstwa Wacława, czyli jego własne ciało.

– Ona nie chce prowadzić tej sprawy, zajęta jest swoim odlotem – odezwał się podkomisarz Laskowski, na oko czterdziestoletni policjant z wąsem, stojący przy ścianie i oglądający eksponaty w porzewiałej szklanej szafce.

– Co ty pierdolisz? – buńczucznie odpowiedział mu pytaniem Adam.

Mężczyzna odepchnął się od szafki i podszedł blisko do Adama, którego przewyższał wzrostem o półtorej głowy, a masą o jeszcze więcej.

– Mam swoje źródła, gówniarzu. – Mężczyzna stał na tyle blisko, że Adam czuł przetrawiony alkohol w jego oddechu.

W tym momencie od drugiej strony stołu podszedł do nich Warecki. On nie był już o półtorej głowy niższy od tamtego, choć masą ciała nie mógł się z nim równać. Kapitan położył dłoń w przyjaznym geście na ramieniu podkomisarza.

– Przestań, Janusz. – Uśmiechnął się.

– Nie nazywam się Janusz, synku. – Duży spróbował strząsnąć rękę Wareckiego ze swojego ramienia, ale nie mógł.

– Nie? A wyglądasz. – Warecki w tym momencie zwarł uścisk dłoni i mężczyzna najpierw syknął z bólu, a po chwili lekko przyklęknął.

Kiedy Warecki go puścił, poderwał się jednak natychmiast i ruszył w jego stronę.

– Co jest, kurwa?! – Nikt z obecnych nigdy wcześniej nie miał pojęcia, że głos doktor Walińskiej jest tak donośny. Wszyscy zamarli w bezruchu, jak na stop-klatce. – Gdzie wy, do cholery, jesteście?! W jakimś swoim chińskim barze dla lumpów czy w moim laboratorium?! Spokój, bo was wszystkich stąd... – w końcu Walińska przypomniała sobie, że przecież jest damą, i to w słusznym wieku – ... wyrzucę za drzwi!

– Masz przesrane, garniturku. – Laskowski jeszcze popatrzył groźnie na Wareckiego, ale nie zrobił już w jego kierunku nawet kroku. Wynikało to zresztą z dwóch powodów. Po pierwsze, nie był tak głupi, na jakiego wyglądał, i doskonale zdawał sobie sprawę, że konfrontacja z Wareckim źle by się dla niego skończyła, i to w obecności kolegów. Drugi powód, raczej potraktowany przez niego w tym momencie czysto użytkowo, był natomiast taki, że Walińska miała donośny głos. Słowem: Lucyna uratowała go przed blamażem.

Doktor zgasła papierosa w słoiku, który był tak pełny kiepów, że wyglądał jak trofeum kolekcjonerskie palacza z ostatnich dwudziestu lat, po czym popatrzyła chwilę na nich wszystkich.

– Gówno wam powiem, przekażcie Mateckiemu, że albo sprowadza policjantkę, która będzie potrafiła to rozkminić, albo niech se zmieni patologa. – Doktor zdjęła gumowe rękawice. – Bo szkoda mi na was tracić czas.

Adam popatrzył po kolegach, po czym pierwszy ruszył w stronę drzwi, a gdy miał ich już wszystkich za plecami, delikatnie się uśmiechnął.

Monika siedziała na ławce. Teraz nie patrzyła na rozświetlone niebo, tylko na śmiecie pod stopami.

– Co potrzeba? – Głos sympatycznego chudzielca, którego imienia nie zapamiętała nigdy, bo uznała to za kompletnie bezcelowe, doszedł do niej gdzieś z oddali.

– Muszę się uspokoić – powiedziała, nie podnosząc nawet głowy. – Browna masz?

– Może się znajdzie – odpowiedział tamten i usiadł koło niej.

– Nie mam czasu na „może”. – Wciąż nie patrzyła na niego. – Masz czy nie?

– Mam. – Chudzielec sięgnął do kieszeni, ale przy okazji odsunął się też nieco od Moniki, wyrażając w ten sposób brak akceptacji dla jej obcesowości. Następnie wyjął torbę z brązową substancją, do złudzenia przypominającą kolorem i konsystencją lekko zwilgotniały cukier trzcinowy. Na palcach pokazał cenę i czekał. Wymiana handlowa odbyła się w milczeniu, po czym chudzielec wstał i chciał odejść.

– Jak ty masz w ogóle na imię? – Monika teraz zwróciła się do niego już zupełnie innym tonem, próbując w ten sposób zmasać wcześniejsze wrażenie szorstkości czy wręcz obcesowości.

– Daniel – uśmiechnął się chłopak.

– Długo walisz po kablach? – Monika popatrzyła na jego wpadnięte oczy i twarz wychudzoną do niemożliwości.

– Skąd wiesz, że walę po kablach? – zaprotestował chłopak.

Monika, zamiast odpowiadać, wskazała głową w kierunku jego stóp. Daniel nie miał skarpetek. Między nogawką a cholewką buta była wąska przerwa, w tej przerwie widać było kilka czarnych kropek, śladów po nakłuciach.

– A ty co, w policji robisz? – Uśmiechnął się, po czym dodał po chwili: – Od trzech lat.

– Kurwa – skomentowała krótko Brzozowska. – Zacząłeś od browna – wskazała głową na plastikową torebkę, którą wciąż trzymała w dłoni – potem nie było już co ukraść od starych z domu ani skąd wziąć hajsu, więc przepiąłeś się na kompot, teraz masz kieszenie wypchane tym gównem, ale nie tkniesz, bo cię stukną, więc dalej walisz to błoto do żył. Zgadza się?

– Jesteś z policji czy z Monaru? – Daniel już się nie uśmiechał.

– A co wydaje ci się bardziej prawdopodobne? – odpowiedziała pytaniem na pytanie.

Drugi ze świadków z listy, którą stworzyła Monika razem z Wackiem, zanim jeszcze została wysłana na przymusowe wczasy, które spędzała dotychczas na narkotykowym haju, mieszkał samotnie w Radomiu. Warecki i Adam wyruszyli do niego następnego dnia po feralnej sekcji zwłok na Oczki. Notatki, w których Monika spisała zamiary przekazane później Wójcikowi, miejscami były nie do końca jasne. Adres Witolda z Radomia, podobnie zresztą jak miejsce zamieszkania Józka z Wilgi, był właśnie zapisany takim nieco szyfrowanym językiem. Adam dzwonił do niej od poprzedniego wieczora, żeby uściślić dyrektywy, ale Monika nie odbierała, a jechać do niej do domu nie miał ochoty. Właściwie wszystko, co miał jej do powiedzenia, przekazał już poprzednim razem, a jako kodę do tego wysłał jeszcze zdjęcia znad jeziora. Kiedy był u niej, zabawiła się z nim trochę w kotka i myszkę, a on nie lubił, gdy bawiono się z nim, a właściwie bardziej nim. Myślał o niej dużo, martwił się, ale uznał, że dopóki ona sama nie wychynie z norki, w której się zaszyła, wszelkie działania z zewnątrz i tak nie przyniosą żadnych rezultatów.

Takie było spojrzenie na sprawę Wójcika, ale Matecki nie był psychologiem, a meandry emocjonalnych stanów komisarz Brzozowskiej miał w poważaniu i w związku z tym od siódmej rano tego samego dnia do jej drzwi waliło już trzech kolegów z prewencji. Nie przyniosło to jednak żadnego skutku, bo Monika była wprawdzie w środku z nowo poznanym Markiem z Pekao, ale otwierać nie miała ochoty, a na policyjnych procedurach znała się na tyle, że wiedziała, iż koledzy przynajmniej na razie do mieszkania siłowo nie wejdą, bo potrzeba na to kwitka, którego tak łatwo się nie dostaje.

Kiedy Adam z Wareckim przyjechali do komendy wojewódzkiej w Radomiu, nad rozszyfrowaniem notatki pracował już cały zespół lokalnych funkcjonariuszy. Wyglądało na to, że sprawa, ze spychanej pod dywan, stała się w ciągu zaledwie dwóch dni jedną z najbardziej priorytetowych. Nie tylko zresztą dla policji sprawa była priorytetowa, lecz także dla ministerstwa, i stąd

niesformalizowana do tej pory obecność Wareckiego stała się już oficjalna. Szef ABW wydelegował go do pracy w zespole łączącym siły Agencji z siłami policji i z różnymi jeszcze innymi zresztą siłami podlegającymi resortowi spraw wewnętrznych.

A my nie możemy tej całej Brzozowskiej zapytać po prostu, zamiast się tu głowić? – zapytał jeden z lokalnych śledczych.

– Nie możemy, bo nie odbiera telefonów, a nie wiemy też, gdzie jest – lapidarnie odpowiedział Wójcik.

– Znikła wam koleżanka? – bardziej stwierdził sarkastycznie, niż zapytał tamten.

– Tak – odpowiedział Warecki, co zamknęło dyskusję, bo w Radomiu na stawianie się ludziom z ABW nikt nie miał odwagi.

W notatkach Moniki była ulica, był numer lokalu, nie było natomiast numeru budynku. Kiedy Adam z Czesławem dojechali, narada radomska w sprawie rozszyfrowania tej łamigłówki trwała już od wielu godzin, na razie panowie nie doszli do żadnych wiążących wniosków i stąd postulat znalezienia Moniki zmieniał się z wolna w jedyną opcję. W sytuacjach trudnych opcja wyeksportowania odpowiedzialności i przerzucenia potrzeby kreatywności poza siebie była jedną z częściej stosowanych, nie tylko w polskich organach ścigania.

Podczas gdy koledzy z lokalnej komendy na zmianę utyskiwali i wychodzili na kolejne papierosy, Adam odpałił w komórce mapę Google z podglądem satelitarnym.

– Przy Sandomierskiej są tylko dwa bloki dziesięciopiętrowe? – zapytał po chwili.

Przez moment nikt nic nie mówił, część obecnych analizowała, czy pytanie nie jest przypadkiem podchwytliwe. Inni, ci z większym dystansem do siebie, próbowali sobie przypomnieć, ile dziesięciopiętrowców jest na Sandomierskiej.

– Dwa – potwierdził w końcu młody aspirant, który miał najwięcej dystansu, najmniej chorej ambicji i mieszkał na osiedlu Ustronie, na którym znajdowała się Sandomierska.

– Mamy numer mieszkania dziewięćdziesiąt pięć, czyli z dużym prawdopodobieństwem dziewięć piętro... – zasugerował Adam.

– To wcale nie jest powiedziane, czasem są takie wysokie numery w czteropiętrowcach też – próbował oponować komisarz, który choć nie zostało to nigdzie oficjalnie powiedziane, najwyraźniej miał prerogatywy do tego, by wieść tu prym.

– Jasne. – Adam pokiwał głową. – Tylko jak przyjmujemy pana założenie, będziemy tu siedzieli już zawsze, a jak moje, to może sprawdzimy coś w terenie.

Tamten obraził się wyraźnie, co nie było zbyt przydatne, więc Adam dodał po chwili:

– Prawdopodobnie nie mam racji, nie znam Radomia, ale musimy znaleźć tego faceta jak najszybciej, więc może spróbujemy? – Uśmiechnął się, tym razem polubownie.

– Spróbować można. – Komisarz się zgodził, zadowolony, że to on nadal podejmuje tu finalne decyzje.

W pierwszym z dziesięciopiętrowców pod numerem dziewięćdziesiąt pięć mieszkała rodzina Chińczyków. Trudno było się z nimi dogadać, tym bardziej że kiedy zobaczyli czeredę policjantów, byli prawdopodobnie święcie przekonani, że ich pobyt w Polsce dobiegł końca. Po tym jak przez pół

godziny nie udało się uzyskać od nich żadnych sensownych informacji, do wymiany włączył się w końcu na szczęście gospodarz domu. Ów człowiek nie posługiwał się wprawdzie żadnym z chińskich narzeczy, ale lokatorów znał na tyle długo, że po pierwsze, wykształcił zdolność komunikowania się z nimi w sposób pozawerbalny, a po drugie, jak na gospodarza przystało, dość dużo o nich wiedział. Chińczycy mieszkali tu na tyle długo, że z całą pewnością adres nie mógł należeć do czterdziestoletniego Witolda z Radomia, mieszkającego samotnie.

Kiedy wraz z Wareckim, komisarzem, czyli szefem grupy radomskiej, i jeszcze dwoma policjantami w różnym wieku wyjechali windą na dziewiąte piętro w drugim z zapuszczonych dziesięciopiętrowców, od razu po otwarciu drzwi w nozdrza uderzył ich bardzo silny zapach. Dla komisarza z Radomia i dla jednego z towarzyszących im starszych policjantów zapach ten był na tyle oczywisty, że panowie popatrzyli tylko na siebie i wiedzieli w zasadzie już wszystko.

– Za późno. – Dowodzący spojrzał na Adama.

– Co: za późno?

– Za późno przyjechaliśmy. – Do rozmowy dołączył głos kobiety, której nie było jeszcze widać, bo stała w korytarzu za załomem.

Nie było jej widać, ale głos miała na tyle charakterystyczny, że zanim wyszli na wąski korytarz, Adam wiedział już, że przed drzwiami zobaczą komisarz Brzozowską.

– A jednak – powiedział tylko, kiedy ją ujrzał.

– Dzwońcie po strażaków. – Kiwnęła mu głową.

Nie wyglądała najlepiej. W ciągu tych kilku dni, odkąd Adam ją odwiedził, jej stan, a w każdym razie wygląd, jeszcze się pogorszył. Była blada, a właściwie bladozielona, miała nieumyte włosy i trochę nieświeże ubranie. Adam popatrzył na nią chwilę.

– Dobrze, że jesteś – zauważył z uśmiechem.

Strażacy przyjechali po kilku minutach. Początkowo rozważali wejście do mieszkania od strony okna, ale wysuwanie drabiny, a następnie przejście z niej na balkonik utrudniał dosyć silny wiatr. Skończyło się na siekierze i rozpieraku hydraulicznym. Drzwi zostały uszkodzone, ale i tak po zebraniu materiału dowodowego trzeba je będzie zaplombować, więc wiele to nie zmieniło.

Zwłoki leżały na dywanie pośrodku salonu w plamie zaschniętej krwi, która w kolorze na tyle przypominała perski wzór na dywanie, że stawała się w pierwszym oglądzie prawie niewidoczna. Pierwsze, co zrobili strażacy po wejściu do mieszkania, to otworzyli wszystkie okna na oścież, ale i to niewiele pomogło. Ciało, choć nie mogło tu leżeć dłużej niż cztery dni, było już w stanie bardzo mocno zaawansowanego rozkładu. Nagle gdzieś między nogami Moniki przemknął przerażony czarny kocur.

– Zamknijcie drzwi, bo jak stąd wyjdzie, to już po nim! – Monika zdążyła krzyknąć do wychodzących strażaków.

W mieszkaniu zostało dwóch policjantów z grupy radomskiej, do tego Monika, Adam i Warecki. Wszyscy stali teraz, wpatrując się w leżące przed nimi na wznak ciało przystojnego mężczyzny w wieku na oko czterdziestu lat. Jego twarz i rany na tułowi co rusz obsiadały muchy, odganiające przez Monikę.

– Kiedy mamy zgon Wacka? – Brzozowska spojrzała na Adama.

– Cztery, pięć dni temu. Walińska za wiele nam nie powiedziała, bo... – Adam chciał naświetlić szybko zdarzenie, które miało miejsce na Oczki.

– Wiem, dzwoniła do mnie – ucięła Monika. – Myślę, że ten nie żyje co najmniej od czterech dni, a przypuszczam, że zamiar na niego – wskazała głową na leżące przed nimi ciało – dostali od Wacka, którego torturowali przed śmiercią. Wniosek końcowy: dość im się spieszyło.

Adam przytaknął od razu. Hipoteza o tym, że ciało Wacka było tak zmalretowane, bo torturami wyciągali od niego jakąś wiedzę, i jemu przeszła już wcześniej przez myśl.

– Wacek zniknął siedem dni temu, nie wiemy, jak długo go torturowali, zanim go zabili. – Warecki podał ich hipotezę w wątpliwość. – Pani doktor pewnie już do tego doszła, ale nie byliśmy godni poznania jej wiedzy.

– Byliście godni, tylko zaczęliście się u niej tłuc, a to zmieniło jej nastawienie. Nie wiem tego na pewno, ale tak przypuszczam. – Monika lekko się uśmiechnęła, choć generalnie jej sytuacja osobista, samopoczucie, a przede wszystkim świadomość, że giną ludzie, których to ona namówiła do zeznań, nie wprawiały jej w szczególnie dobry nastrój.

– No, dobrze, panowie – spojrzała na obecnych – na razie w ogóle stąd wyjdźmy, wrócimy po kryminalistykach.

Adam i Warecki popatrzyli na siebie, a potem na policjantów z lokalnej wojewódzkiej.

W głosie Moniki było coś tak stanowczego, że choć zapewne słuchanie poleceń od kogokolwiek z Warszawy uwłaczało ich godności, a kiedy wydawała je kobieta, uwłaczanie się zwielokrotniało, żaden z nich nic nie powiedział, za to wszyscy gęsiego opuścili mieszkanie.

– Trochę to wygląda tak, jakby sam się zaciukał nożem, a na koniec go połknął. – Przystojny, wysoki i dobrze zbudowany kryminalista wezwany przez komisarza prowadzącego dochodzenie z ramienia wojewódzkiej w Radomiu popatrzył na Monikę i na pozostałych, lekko się uśmiechając.

– Nic? – zapytała Brzozowska.

– Totalnie nic, nawet okrucha albo nitki, to znaczy pobrałem trochę materiałów, ale raczej *pro forma*, wszystko wygląda na tutejsze, nawet drobinki łupieżu są chyba z głowy denata.

Rozmowie toczącej się na klatce schodowej przysłuchiwała się już od jakiegoś czasu kobieta stojąca przy schodach, nieco dziwnie wyglądająca. Monika widziała ją, odkąd wyszli z mieszkania, teraz ruszyła w jej stronę.

– Monika Brzozowska, komenda stołeczna policji – wyrecytowała.

– A dokumenty? – Sąsiadka spojrzała na nią czujnie. – No, że jest pani z komendy.

– Nie mam chwilowo przy sobie. – Monika obejrzała się za siebie w kierunku stojących przy drzwiach kolegów. – Mogę przyprowadzić któregoś z kolegów, oni mają.

Kobieta pokręciła głową. Ogólnie wyglądała dosyć specyficznie. Jej włosy były nieumyte jeszcze bardziej od włosów Moniki, miała na sobie półprzezroczystą stylonową podomkę w kwiaty, spod niej prześwitywała bielizna. Jej oczy zaś przepelniał lęk. Przez moment stały w milczeniu, Monika czekała na jakiś odzew, kobieta czekała nie wiadomo na co.

– Pani jest sąsiadką? – zapytała w końcu Brzozowska.

Kobieta pokiwała głową.

– Mogę zadać kilka pytań?

Znów kiwnięcie głową.

– Znała pani pana Witolda? – Monika wskazała na drzwi, przy których stała przez cały czas grupa policjantów.

– Znałam – odpowiedziała kobieta bardzo cicho, po czym dodała po chwili nagle znacznie głośniejszym głosem: – Sąsiad.

– Zauważyła pani ostatnio coś podejrzanego, jakieś odwiedziny, odgłosy? – Monika była już świadoma profesjonalizmu zabójcy (a może zabójców?) Witolda, więc nie liczyła na wiele, ale zapytać nie szkodziło.

– Elegancki samochód, była ich dwójka, mężczyzna i kobieta, przyszli w nocy, wyszli po półgodzinie, nie wiem, jak weszli, ale wszystko bardzo cicho, może mieli klucze, na klatce nie rozmawiali – wyrecytowała kobieta, patrząc Monice w oczy, po czym uciekła wzrokiem.

Schizofrenicy szczególnie w aktywnej fazie choroby średnio nadają się do funkcjonowania w społeczeństwie, ale mało śpią w nocy i są niezwykle spostrzegawczy, widzą detale, których ludzie normalni nie zauważają, i to z niezwykłą ostrością. Tyle że czasem zdarza im się tworzyć też rzeczy, których tak naprawdę nie było. W tym jednak wypadku nic nie wskazywało na to, by kobieta konfabulowała.

– To wszystko, co pani mówi, jest bardzo ważne. – Monika sama była w słabym stanie psychicznym, być może to czyniło ją bardziej godną zaufania z punktu widzenia kobiety: taka swoista solidarność ludzi wylęknionych.

– Może pani sekundkę poczekać? – zapytała. – Chcę pani coś pokazać.

Kobieta znów nie odpowiedziała, tylko lekko pokiwała głową, po czym wyjrzała za okno, a może tylko popatrzyła na okno, na deszcz spływający powoli po szybie.

Adam odznaczał się pewną cechą, która czasem bywała dość technicznie uciążliwa, ale czasami, tak jak teraz, okazywała się dość przydatna: mianowicie przeważnie nosił ze sobą większość dokumentów dotyczących prowadzonej sprawy.

– Masz portret pamięciowy tej kobiety? – zapytała, kiedy wyciągnęła go z mieszkania z powrotem na klatkę.

– Kobiety? – Nie skojarzył od razu, tym bardziej że zauważył świdrujący go z odległości kilku metrów wzrok sąsiadki.

– Tej, która kiedyś próbowała mnie zabić, z którą Piotr przyszedł na spotkanie ze mną, której portret... – mówiła Monika z lekkim zniecierpliwieniem, wpatrując się w Adama i czekając, aż jego pamięć w końcu zaskoczy.

– Mam – stwierdził z uśmiechem.

Portret nie był przesadnie szczegółowy, ale przynajmniej z grubsza przypominał kobietę, którą Monika do tej pory widziała dwa razy w życiu. Po raz pierwszy nad morzem szesnaście lat temu, a po raz drugi mniej więcej pół roku wcześniej, kiedy Piotr przyszedł z nią na spotkanie w Mielżyńskim, udając, że kobieta odgrywa rolę przykrywki. Przy czym wtedy, gdy widziała ją po raz drugi, Monika nie pamiętała jeszcze, że piętnaście lat wcześniej ta sama kobieta wbiła igłę w jej nadgarstek i wepchnęła pięć centymetrów brudnej heroiny do jej krwiobiegu. To przypomniła sobie później... o wiele za późno.

– Czy to była ta kobieta? – Pokazała komputerowy wydruk sąsiadce stojącej wciąż przy szybie.

Ta przyjrzała się chwilę portretowi, po czym nagle lekko się uśmiechnęła.

– Tak, tylko teraz ma krótkie włosy. – Spojrzała na Monikę. – No i nie wiem, jakiego te są koloru.

– Chyba ciemne, o ile pamiętam. – Monika też się uśmiechnęła.

– Spotkała ją pani? – zapytała kobieta z ciekawością.

– Tak. – Monika pokiwała głową w zamyśleniu. – Mnie też próbowała kiedyś zabić.

– Teraz jest blondynką. – Sąsiadka znów patrzyła na krople spływające po szybie. – Blond chyba jest jej naturalnym kolorem – dodała po chwili.

– A jak pani to wszystko widziała? – Monika na moment zapomniała, z kim rozmawia, i zachowała się jak na policjantkę przystało, czyli podejrzliwie.

– Nie wierzy mi pani? – Kobieta wyczuła to momentalnie.

– Wierzę, ale jestem policjantką. – Monika, zamiast brnąć w kolejne kłamstwa, po prostu powiedziała prawdę i to uratowało jej nową kruchą znajomość.

– Przez wizjer – odpowiedziała po chwili sąsiadka. – A potem jeszcze przez lornetkę. Mam, czasem dzięki temu czuję się mniej sama, ludzie na ulicy są tacy duzi, czuję, jakby byli u mnie w mieszkaniu. – Pokiwała głową.

– Jak pani ma na imię? – zapytała Monika, sama trochę zaskoczona tym pytaniem.

– Ludwika. – Kobieta oderwała się od lustrowania kropel na szybie. – A ten facet to taki Iwan był – dodała.

– Iwan? – zdziwiła się Brzozowska.

– No, Iwan to ja mówię o tych wszystkich wielkoludach, co zamiast twarzy mają mięśnie – objaśniła, po czym spojrzała na Monikę bardzo czujnie. – A pani jak ma na imię?

– Monika.

– Dobrze, że ona pani nie zabiła – skostatowała sąsiadka, po czym uznała rozmowę za zakończoną i ruszyła w dół po schodach.

Monika patrzyła za nią jeszcze chwilę, zastanawiając się, czemu ta kobieta, która ledwie powłóczyła nogami, zadawała sobie trud schodzenia po schodach, zamiast po prostu wsiąść do windy.

– Oprócz schizofrenii mam też klaustrofobię – usłyszała jej głos z dołu, choć jej już nie widziała. – I niech pani uważa na siebie, pani komisarz.

Przez moment Monika nie wiedziała, o co chodzi, skąd ta kobieta może znać jej funkcję. Czyżby miała jakiś paranormalny kontakt z innym wymiarem rzeczywistości? Dopiero kiedy zerknęła na zdjęcie, które jej pokazywała, zrozumiała, że Ludwika nie była paranormalna, tylko po prostu bardzo spostrzegawcza. Pod zdjęciem prawdopodobnie Wójcik dopisał drobnym maczkiem: „Sporządzono na podstawie zeznań komisarz Brzozowskiej”.

Zwłoki Witolda Wasiaka, bo tak brzmiało nazwisko radomskiego kolegi Wacława Stelmaszyka, były w stanie rozkładu, ale nie na tyle jeszcze zaawansowanego, żeby nie było na nich widać śladów zabójstwa. *Modus operandi*, tak jak we wszystkich przypadkach morderstw sprzed kilku miesięcy i w przypadku Marcina vel Drewniaka sprzed szesnastu lat, i tutaj był ten sam. Piętnaście ran kłutych zadanych narzędziem o długim ostrzu. Tamtych Piotr, czy może raczej Borys, oraz niezidentyfikowana kobieta mordowali bagnetem, znalezionym później przez Monikę u niego

w mieszkaniu. Teraz narzędzie musiało być nowe, ale bagnetów na rynku było pod dostatkiem, więc możliwe, że ten nowy był identyczny ze starym. Jedynym różniącym się od wszystkich pozostałych było zabójstwo Wacka, ponieważ wiele wskazywało na to, że zanim go zabito, wcześniej dodatkowo go jeszcze torturowano.

Decyzją prokuratora prowadzącego sprawę zwłoki, nadwątlone już rozkładem, należało przewieźć specjalnie do tego celu sprowadzonym do Radomia samochodem chłodnią do zakładu medycyny na Oczki. Tam doktor Walińska miała zbadać ciało, porównać obrażenia zadane Stelmaszykowi i Wasiakowi i dodatkowo odnieść je dokładnie do morderstw z zeszłego roku oraz do zabójstwa sprzed piętnastu lat. Traf chciał, że prowadziła badania patomorfologiczne we wszystkich wymienionych przypadkach.

No i jak ty się masz? – Adam uśmiechnął się do Moniki, siedzącej po drugiej stronie stolika.

– Ujdzie. – Monika czuła się wprawdzie fatalnie, ale nie była osobą lubiącą opowiadać o swoich dolegliwościach, więc się uśmiechnęła, choć przyszło jej to nie bez trudu.

Siedzieli w chińskim barze w centrum Radomia, poleconym im przez kolegów z lokalnej komendy. Wygląd pozostawiał wprawdzie sporo do życzenia, ale jedzenie było wyśmienite.

– A, mam coś dla ciebie. – Adam coś sobie nagle przypomniał, przetarł usta serwetką i schylił się po neseser.

Monika uśmiechnęła się znowu, bo tak naprawdę Adam wcale sobie nie przypomniał. Myślał o tym od momentu, kiedy zobaczył ją przed drzwiami mieszkania Witolda, a ona to widziała. Nie wiedziała tylko, o czym Adam myślał, gdy ukradkowo spoglądał na nią co i rusz.

Kiedy Adam wygramolił się w końcu spod stołu, był cały czerwony na twarzy, a ona nie wiedziała, czy to dlatego, że tak długo przebywał w przodozgięciu, czy może dlatego, że był zawstydzony. On tymczasem rozejrzał się po sali, sprawdzając, czy nikt nie patrzy, po czym położył przed nią odznakę i pistolet w skórzanej kaburze.

– Pomyślałem, że mogą ci się przydać. – Jeszcze raz przetarł usta serwetką, a zaczerwienie nie zniknęło z jego twarzy, co świadczyło o tym, że jednak bardziej wynikało z zawstydzenia czy może zażenowania faktem, że przynosił insygnia policyjnej władzy swojej szefowej, starszej od niego stopniem, a przede wszystkim doświadczeniem.

– Dzięki. – Monika po prostu się uśmiechnęła, a rumieniec od razu zniknął z jego twarzy.

– Warecki szuka drugiego świadka. Nie licząc Wacka, było ich trzech. – Adam przyjął, że w zaistniałych okolicznościach to, co było, może uznać za niebyłe, i od razu przystąpił do szczegółowego referowania postępów dochodzenia. – Był już w Wildze, facet Józef Waluś wyjechał gdzieś do Niemiec i nie odbiera telefonu, być może on też już...

– Nie kończ – wcięła się Monika.

– Nie kończę. No, w każdym razie gdzieś jest jeszcze jeden i Czesiu go szuka. – Na moment przerwał i popił colą z butelki.

– Czesiu? – zdziwiła się Monika, lekko rozweselona.

– No, kapitan Czesław Warecki – odbił Wójcik, po czym dodał z uśmiechem: – Dostał awans na naszej krwawicy, no, na swojej też w sumie. W każdym razie tak... Ma też zająć się kontaktem z Niemcami, żeby wyszukać może tego z Wilgi po telefonie czy jakoś. Na razie skupiliśmy się na tym

ostatnim. On mieszka gdzieś w Płońsku, już tamtejsza powiatówka go namierza.

– A co z wizerunkiem tamtej kobiety? – zmieniła temat Monika.

– Rozesłaliśmy gdzie się dało, ale na razie nie ma żadnego odzewu. – Wójcik wzruszeniem ramion próbował wyrazić dezaprobatę wobec braku odzewu. – A zresztą do tej pory nie było specjalnego nacisku na to, żeby jej szukać. W ogóle nie było nacisku...

– Do tej pory – powtórzyła Monika ze smutkiem w głosie.

– Teraz też chcieli tuszować, żeby się nie rozeszło, ale nie dali rady – dokończył Adam.

– Wiem, widziałam nagłówki – zauważyła z uśmiechem Monika.

– Wracam do Warszawy. – Adam dopił colę i spojrzał na komisarz Brzozowską.

– Ja zostanę. – Monika pokiwała głową. – Poczekam, aż zbiorą dane z monitoringów. Może coś z tego wydłubiemy, chociaż nie sądzę. Mamy, zdaje się, do czynienia z ludźmi, którzy naprawdę się na tym znają.

– Może to ćwiczą od wielu lat? – zasugerował Wójcik.

Monika została tak naprawdę nie po to, żeby dowiedzieć się, co uda się zebrać z monitoringów, bo te dane mogli im przesłać do Warszawy elektronicznie. Została głównie dlatego, że miała nadzieję, iż tutaj, odpięta od swoich dostawców, nieznająca ścieżek, jakimi przemieszczał się lokalny handel substancjami zmieniającymi świadomość, zdoła przetrzymać chociaż pierwsze najtrudniejsze dwa dni bez ich używania. Udało jej się przez kilka godzin, które spędziła, tępo wpatrzona w obrazki migające na ekranie niewielkiego telewizora w pokoju hotelowym. Potem zrobiło się na tyle trudno, że postanowiła zejść do hotelowego baru i ulżyć sobie chociaż alkoholem. Wypiła parę szklanek metaxy, która przysłała jej do głowy w efekcie ekwilibrystyki wykonanej przez jej mózg, sugerującej, że jeśli napije się substancji nieznanej jej do tej pory, to w efekcie nie wpakuje się potem w dobrze znane kłopoty. Niestety, głowa nie wzięła pod uwagę, że tak naprawdę substancja okazywała się zawsze ta sama – i był nią alkohol. Natomiast to, czy wprowadzało się go do krwioobiegu za pośrednictwem metaxy, piwa czy samogonu, z grubsza nie miało najmniejszego znaczenia.

– Gdzie tu najbliżej jest jakiś klub nocny? – zapytała barmana po godzinie metaxowej męczarni.

– Ale jaki jakiś? – Barman był, zdaje się, na tyle kumaty, że nie dawało się go za łatwo zbyć i najpierw trzeba mu było dostarczyć trochę sadystycznej przyjemności.

– Jakiś, w którym są jakieś rzeczy – uśmiechnęła się Monika.

– A, taki? – On też się uśmiechnął, a w uśmiechu była mieszanka satysfakcji z tego, że nie musi już korzystać z tego typu jakichś lokali, w których nabywa się jakieś rzeczy, i złości wynikającej z faktu, że robić tego już nie może.

– Ambiwalencja? – zapytała Monika, która powyższą mieszankę odczytała w punkt.

– Nie wiem, o co pani chodzi. – On udał natomiast, że nie rozumiał.

– No to gdzie mam iść po cracka, do Kielc? – Uśmiechnęła się ironicznie.

– Klub Jamajka na Sienkiewicza koło parku Kościuszki. – Barman zabrał się do mycia szklanek. Teraz był usatysfakcjonowany. Wiedział doskonale, kim jest Monika i co tu robi, w hotelach zawsze wszyscy wszystko wiedzą. To, iż policjantka otwartym tekstem przyznała, że szuka kokainy, w zupełności mu wystarczało.

– Coś konkretniej? – dopytała.

– Nie trzeba konkretniej, nie da się nie zauważyć. – Popatrz na nią uważnie. – Niech pani spyta o Niuńka.

Lokalu rzeczywiście nie dało się nie zauważyć, bo przed wejściem stała długa na kilkadziesiąt metrów kolejka tych, którzy czekali na decyzję cerbera, czy wpuści ich, czy też nie, do tego radomskiego cmentarzyska dusz. Monika nie miała czasu ani siły czekać, natychmiastowe wejście do Jamajki stanowiło dla niej konieczność, ponieważ granice cmentarzyska dusz przekroczyła wiele lat temu i teraz pilnie musiała już tylko ponieść tego konsekwencje.

– Nie stałaś tu – zwrócił się do niej młodzieniec napakowany mięśniami jak pasztetowa pasztetem.

Monika nie zareagowała, bo nie miała pojęcia, jak miałyby wyjaśnić temu młodemu człowiekowi, że jest na tyle starsza od niego i na tyle nigdy nie mieli okazji zadzierzgnąć znajomości, że mówienie do niej na ty było absolutnie nieadekwatne.

– Mówię do ciebie. – Młodzieniec złapał ją za ramię.

Na to Monika wiedziała już, jak zareagować. Po sekundzie napchany klęczał, próbując złapać oddech, a ona stała przed większym jeszcze od niego bramkarzem, który decydował o losach młodzieży w Radomiu.

– Proszsz... – uśmiechnął się rozbawiony lekko sytuacją decydent i szarmancko odczepił sznurek prowadzący na czerwony dywan podświetlany ultrafioletowym światłem, czyniącym zęby i białka oczu jedynymi widocznymi elementami ludzkiego wyglądu.

Monika rozejrzała się po wnętrzu. Klub jak klub, trochę kiczowaty, na ścianach gipsowe płaskorzeźby przedstawiające jakieś ni to boginie, ni to amazonki. Część z nich nosiła znamiona długotrwałego używania, objawiające się odkruszonymi fragmentami a to palców u nóg, a to nosów. Ogólnie jednak we wnętrzu oprócz błyskających kolorowych świateł było na tyle ciemno, że wystrój mógł być w zasadzie jakikolwiek. Komisarz podeszła do kontuaru barowego. Tu było jaśniej i zdobienia rzucały się w oczy nieco bardziej. Monika zerknęła za plecy rośłego barmana, który zużył już na tatuaże całe swoje ciało, i odkryła, że nie chodziło o boginie ani o amazonki, ale raczej o jakieś podwodne królestwo. Być może właściciel lub jego żona rekrutowali się z młodego pokolenia, dla którego najbardziej kultową bohaterką była Arielka.

– Szukam Niuńka. – Monika ściągnęła wytatuowanego wzrokiem.

– Nie znam – uśmiechnął się barman, a tatuażowe rysunki na jego twarzy lekko się zanimowały.

Monika pokiwała głową, po czym zerknęła na swoją dłoń, w której obracała zrolowany banknot stużłotowy. Barman popatrz na rulonik, wyciągnął rękę. Ona cofnęła swoją.

– Podaj numer telefonu. – Popatrz na nią uważnie. – Dostaniesz SMS-a, potem albo się dogadacie, albo nie.

Monika zapisała numer na kartce, którą przed nią położył.

– Ale dzisiaj? – dopytała.

– A kiedy? – Wytatuowany znów spojrz na nią przeciągle. – Jest tylko dzisiaj.

– Nie, niestety jest też jutro. – Monika wytrzymała jego wzrok.

On znów wyciągnął rękę po banknot. Ona znów mu go nie podała.

– Dostaniesz, jak przyjdzie SMS.

On chwilę jeszcze jakby się wahał, ale w końcu pokiwał głową.

Może gdyby miała rodzinę, męża i dzieci... Tak, przede wszystkim, gdyby miała dzieci, pomyślała. Wtedy pewno byłoby inaczej, odpowiedzialność to ważny element ludzkiego losu. Można oczywiście być też odpowiedzialnym za siebie, kochać siebie, dbać, tyle że tego nikt jej nie nauczył. Nikt też zresztą nie nauczył jej odpowiedzialności za kogoś, za dzieci, ale wydawało jej się, że przed tym by nie uciekła, bo może w ogóle by wtedy przestała wreszcie uciekać.

Telefon zadrzął w kieszeni. „Za pół minuty przy damskiej na dole”. Monika położyła banknot na kontuarze, wytatuowany zebrał go momentalnie. Ciekawe, jak to jest znaleźć się w łóżku z taką wyrysowaną nagością, pomyślała, odchodząc. Czy ma się wrażenie, że taka osoba wciąż się nie rozebrała, pomimo że nie ma już nic na sobie?

Niuniek był kobietą. Dosyć atrakcyjną, acz nieprzesadnie wysublimowaną. Ona też miała trochę rysunków na ciele, ale twarz szczęśliwie była wolna od radosnej twórczości i dzięki temu zachowała jakieś widoczne zręby wyrazu.

– Pani mnie szukała? – zaczęła tamta, a głos miała niski i lekko skrzypiący, co czyniło ją nawet jeszcze atrakcyjniejszą, szczególnie w nocy, w miejscu takim jak to.

– Tak. – Monika pokiwała głową. – Torba białego i torba brązowego.

– Czego białego?

– Plastik.

– Ceny znasz? – zapytała dziewczyna o niskim głosie. Teraz była już znacznie bardziej bezpośrednia, a Monice przez myśl przemknęło, że to bardzo socjologicznie ciekawe, jak przejście na poziom zakupu narkotyków od razu jakby obniżyło rangę konwersacji i rangę osoby, która rozmawiała z Niunią.

– Znam w Warszawie – odpowiedziała. – Nie sądzę, żeby tu były znacząco wyższe.

Transakcja była udana, tym bardziej że ceny okazały się niższe, a jakość, o czym Monika przekonała się już po chwili, siedząc na sedesie w toalecie znajdującej się tuż obok miejsca, w którym dokonała zakupu, była nawet wyższa. Najpierw wzięła kilka buchoń cracka, po których wróciła na salę i zabrała się do tańca. Po półgodzinie wyszła na zewnątrz, tu znów wykonała jeszcze dwa strzały, zużywając do końca białą torbę. Towar był tak mocny, że zaczęło ją lekko telepać, wtedy sięgnęła po zakupionego na tę właśnie okoliczność browna. Zapalenie heroiny uspokoiło ją na tyle, że wróciła raz jeszcze do krainy Arielki i Trytona, gdzie bawiła się przez kolejne kilka godzin.

Następnego ranka spotkanie w komendzie wojewódzkiej z kolegami, którzy dostarczyli nagrania z monitoringów i wstępną analizę kryminalistyczną z miejsca zbrodni, było dla Moniki bardzo trudne. Mdliło ją potwornie, zawroty głowy były tak silne, że przez większą część zebrania, pomimo że siedziała, to i tak musiała czegoś się trzymać.

– Przejrzeliśmy większość z tych nagrań. – Sympatyczny aspirant, którego jej przydzielili, chyba widział, że nie jest z nią do końca w porządku, ale kulturalnie o nic nie pytał. – To są materiały ze wszystkich kamer monitoringu miejskiego w promieniu czterech kilometrów.

– Czemu czterech? – zaciekała się Monika.

– Nie wiem, to koledzy zdecydowali – zastanowił się aspirant. – Chyba dalej to już nie ma sensu, bo za dużo opcji się robi.

– Możliwe. – Monika pokiwała głową, która nie miała i tak przesadnej nadziei na to, że te materiały jakkolwiek posuną dochodzenie do przodu.

– Jest jedno auto, na skrzyżowaniu Mickiewicza i Walecznych. – Aspirant wyciągnął z teczki, którą miał przed sobą, wydruk jednej klatki z monitoringu. – Czarna limuzyna, chyba volvo, godzina się zgadza.

Monika przyjrzała się zdjęciu, w środku samochodu pomimo nocy opuszczone były osłony słoneczne.

– Na pewno się zgadza – powiedziała bez emocji. – Numery sprawdziliście i okazało się, że są z innego auta.

– Skąd pani wie? – zapytał zaskoczony młodzieniec.

W tym momencie do drzwi od pokoju przesłuchań, w którym siedzieli, ktoś zapukał.

– Proszę. – Aspirant obrócił się w stronę drzwi, w których stanął po chwili zwalisty funkcjonariusz w czarnym mundurze prewencji.

– Przepraszam, że przeszkadzam – odezwał się podekscytowany. – Ale przy wylotówce na Warszawę znaleźli wrak spalonego samochodu, to może być to volvo.

– No to wiemy z tego tyle, że z całą pewnością nie pojechali potem na Warszawę. – Monika uśmiechnęła się do aspiranta. – Obstawiam, że wrócili do Radomia i noc spędzili w jednym z hoteli.

– Po czym dodała: – Raczej nie w Gromadzie.

Wrak był spalony doszczętnie. Szukanie w nim jakichkolwiek śladów miało się z celem i byłoby stratą czasu. Tak ocenili to lokalni dochodzeniowcy i w tym akurat mieli rację. Monikę opuściły już tymczasem wprawdzie mdłości i zawroty głowy, ale w ich miejsce pojawił się potworny ból w środku czaszki.

– Przesiedli się do innego samochodu – zakończył swoje oględziny komisarz dowodzący grupą radomską. – I chuj.

Komisarz ruszył w stronę zaparkowanego nieopodal służbowego mondeo.

– No a te inne samochody mają opony – po raz pierwszy odezwała się Monika.

Komisarz stanął i popatrzył na nią z pobłażaniem.

– I co z tego, wszystkie samochody mają opony. Pani komisarz wyobraża sobie, że będziemy teraz pod kątem opon sprawdzać wszystkie samochody w Polsce?

– Nie. – Monika zerknęła na zegarek w telefonie. – Jest wpół do dziewiątej, doba hotelowa jest przeważnie do dziesiątej, nie sądzę, żeby się przesadnie spieszyli, po zamordowaniu człowieka i spaleniu fury trzeba dobrze odpocząć. Na początek sprawdzimy może tylko samochody zaparkowane pod ekskluzywnymi hotelami w Radomiu. – Uśmiechnęła się lodowato, po czym dodała: – Macie jakieś ekskluzywne hotele w Radomiu?

Komisarz nic nie odpowiedział, ale od tego momentu widać było, że dołoży wszelkich starań, żeby napsuć Monice krwi. Ona wiedziała o tym doskonale, ale zawartość buca w bucu była w nim tak ogromna, że po prostu nie mogła się powstrzymać.

Kryminaliści po mniej więcej pół godziny znaleźli w leśnym, błotnistym terenie ślady opon innych od tych, których pozostałości tliły się jeszcze pod spalonym volvo, a po kolejnym kwadransie było wiadomo, że zostawiły je opony o szerokości między 245 a 255 mm i że z dużym prawdopodobieństwem były to opony Pirelli P Zero.

Tymczasem okazało się, że w Radomiu był nie jeden, ale nawet trzy w miarę ekskluzywne hotele. Do jednego z nich Monika posłała aspiranta, który wcześniej pokazywał jej monitoringi i który lubił

jeszcze swoją robotę, do drugiego pojechał kryminalistyk, który najwyraźniej darzył ją większą sympatią niż swojego szefa, bucowatego komisarza, do trzeciego pojechała sama.

Na parkingu pod hotelem stało jedno BMW serii siedem, które miało opony szerokie, ale nie były to Pirelli, a kształt ich bieżnika różnił się wyraźnie od tego, który sfotografowała telefonem na miejscu Brzozowska.

– Dzień dobry, czy hotel ma jeszcze jakiś parking oprócz tego przed budynkiem? – Monika zerknęła na recepcjonistę, który wyglądał, jakby był bardzo zajęty swoją pracą.

– Może – odparł mężczyzna.

– Nie rozumiem. – Monika spróbowała zajrzeć w jego półprzymknięte oczy.

– Czego? – Recepcjonista otworzył oczy i okazało się, że ma niemiłe spojrzenie.

– Jest parking czy nie? – Na blacie recepcyjnym pojawiła się blacha Moniki.

– Jest. – Recepcjonista lekko się ożywił.

– Gdzie? – Monika zwiększyła tempo zdawania pytań.

– Na dole, ale jak pani nie jest gościem, to pani nie wjedzie. – Uśmiechnął się, jakby z satysfakcją.

– Jak nie wejść, to przyjedzie prokurator i przyklepie ci utrudnianie prowadzenia czynności. – Monice znudziła się już ta rozmowa. – Dostaniesz zawiąsy i będziesz mógł tu co najwyżej myć kible. – Odczekała chwilę, po czym dodała już nieco polubownym tonem: – Poza tym nie chcę wjeżdżać, tylko wejść.

Recepcjonista nic już nie powiedział, lekko obrażony sięgnął pod kontuar, chwilę tam grzebał, po czym wyjął kartę magnetyczną i jej podał.

– Minus dwa – burknął.

Na minus dwa stało osiem samochodów, dwa sportowe z szerokimi oponami, ale o bieżnikach tak gładkich, że Monika nawet nie podchodziła, i jeden duży czarny SUV marki Range Rover. Do tego Monika podeszła, obejrzała bieżnik, po czym szybkim krokiem ruszyła w kierunku szybu windowego, jednocześnie sięgając po telefon.

Kobieta dostrzegła Brzozowską, wysiadając z windy, i energicznym krokiem ruszyła w stronę recepcji. Teraz nie była już wprawdzie krótko ostrzyżoną blondynką, tylko znów szatynką z włosami do ramion, ale przecież wciąż była tą samą osobą, która prawie zabiła kiedyś Monikę i była co najmniej obecna przy wszystkich zabójstwach związanych z tą sprawą. Co najmniej obecna, bo tak naprawdę przy większości z nich zajmowała się częścią medyczną, czyli wstrzykiwaniem ofiarom ogromnych dawek farmaceutyków – słowem, była współwinna co najmniej sześciu zabójstw. Kobieta przeszła jeszcze kilka kroków w stronę windy, po czym zmieniła plan i ruszyła w kierunku wyjścia z hotelu, po drodze podeszła jeszcze do młodego mężczyzny, który siedział na skórzanym fotelu w hotelowym lobby. Mężczyzna wstał i razem opuścili hotel.

– Właścicielka range rovera zaparkowanego na dole mieszka w którym pokoju? – Monika teraz musiała już wyglądać na osobę, która zdecydowanie nie ma czasu na znoszenie czyichś fochów, bo recepcjonista bez słowa odparł stronę z rezerwacjami.

– To będzie sto dwanaście, taka przystojna szatynka, chyba widziałem, jak schodziła na śniadanie – zaczął nagle mówić wartko, tak jakby między wtedy a teraz wypił zgrzewkę energetyków. – Jest z nią taki trochę młodszy mężczyzna.

Monika już go nie słuchała. Wcześniej, wyjeżdżając windą z garażu, zdążyła zadzwonić po

wsparcie, ale nie miała już czasu czekać na pojawienie się radomskich kolegów, więc sięgnęła pod kurtkę, wyciągnęła glocka i przełożyła go do przedniej kieszeni. Na salę restauracyjną weszła pół minuty później, rozejrzała się wokoło, ale przy żadnym ze stolików nie siedziała już przystojna szatynka z młodym towarzyszem. W powietrzu, prawie nieuchwytny, unosił się zapach bardzo drogich perfum, w których dawało się wyczuć nutkę piżma i paczuli. Brzozowska знаła ten zapach, bo był charakterystyczny, a takim właśnie owiała ją kobieta, kiedy spotkały się na chwilę w warszawskiej restauracji pół roku temu.

Dzięki hotelowym monitoringom kobieta, której wizerunek posiadali do tej pory jedynie w formie wątpliwej jakości i akurataności komputerowych grafik, teraz stała się osobą z krwi i kości. Na oko pięćdziesięcioletnia pani X była szczupłą, ale nie chuda, miała twarz pociągłą, rysy dość ostre, oczy koloru brązowego, choć tu akurat pewności być nie mogło, bo szkła kontaktowe barwiące tęczęwały stały się ostatnio bardzo popularne i szeroko dostępne. Co do włosów, to przebywając w hotelu, była szatynką obciętą do ramion, ale tutaj też nie było pewności, czy nie miała na sobie przypadkiem peruki. Na to, by to ocenić z całą pewnością, trzeba by bowiem posiadać obraz lepszej jakości niż ten z przemysłowych kamer monitoringu działających w PAL-u bądź w czymś jeszcze nawet słabszym. Był jeszcze jeden szczegół, który powtarzał się zarówno na nagraniach z monitoringu oglądanych teraz przez Monikę, jak i na obrazach z jej pamięci, a także w zeznaniach dyżurnego z komendy w Pałacu Mostowskich, który panią X widział kilka miesięcy wcześniej, gdy – zakapturzona – przyniosła oddać telefon Moniki. Owym szczegółem był pieprzyk na prawym policzku, mniej więcej w połowie drogi od nosa do górnej wargi.

– Ładna – powiedział aspirant, który oglądał obrazki razem z Moniką, w pokoju należącym do ochrony hotelowej.

– Trochę chyba nie w twojej kategorii wiekowej – uśmiechnęła się Brzozowska.

– Nie mam kategorii wiekowych. – Młody chłopak, na oko dwudziestokilkuletni, zerknął na nią trochę dwuznacznie.

– Technicy już są? – Monika na wszelki wypadek zmieniła temat.

Aspirant pokiwał głową.

– Mamy trochę śladów DNA. – Aspirant sięgnął po papierosa. – I na razie żadnych odcisków palców.

– Tu się nie pali, to hotel jest. – Monika nie odrywała wzroku od ekranu, na którym wyświetlały się kolejne ujęcia puszczone z odtwarzacza przez towarzyszącego im pana z ochrony. – To DNA i odciski, jeśli znajdą, wyślesz do Warszawy.

– Myśli pani, że ona jest w bazie? – zapytał młody.

– Nie, myślę, że na razie nie, ale od teraz już będzie, a to słaba wiadomość dla niej. – Monika zamyśliła się na chwilę. – Bardziej liczę na to, że ten jej towarzysz może być w bazie. Rozmawiałeś z recepcjonistą?

– Ze wszystkimi, którzy mieli dyżur podczas ich obecności. – Aspirant o mały włos pękłby z dumy. – Zameldowali się wczoraj wieczorem, na nazwisko tego faceta... – Młody sięgnął po notes. – Poniński! Płacili gotówką, mam też spisane dane z dowodu, może się przydadzą.

– Raczej nie, pan Poniński ma dowodów bez liku, nazwisk zresztą też. Swoją drogą, akurat żeby Poniński? – Monika wstała z fotela. – W sensie chcieli uchodzić za arystokratów? Czy co?

– Nie mam pojęcia. A czemu arystokratów? – zdziwił się młody.

Kiedy Monika przeglądała monitoringi w radomskim hotelu Mercure, Warecki dojeżdżał właśnie do szpitala miejskiego w Płońsku. Dwie godziny wcześniej płońska policja zawiadomiła ich telefonicznie o znalezieniu zwłok na oko czterdziestoletniego mężczyzny w lesie przy drodze na Płock. Zaopatrzone w wydrukowane z internetu zdjęcia pozostałych dwóch świadków, znajomych Wacka z dawnych lat, kapitan miał cichą nadzieję, że osoba, której zwłoki za chwilę zobaczy w przyszpitalnym prosektorium, nie będzie tożsama z żadną z fotografii.

– Zwłoki znaleźliśmy w dole wypełnionym wodą, to znaczy znalazł je mężczyzna, który był na spacerze z psem, pies, w sensie, znalazł, potem on... to nie wygląda najlepiej, facet trafił pod opiekę psychologa. – Policjant w skórzanej i mocno schodzonej marynarce był wyraźnie zmęczony wieloletnią imprezą, która stała się jego udziałem, oczy miał podpuchnięte i czerwone, oddech mocno wczorajszy, skórę na policzkach szarą i jakby wacianą. Warecki popatrzył na niego i pomyślał, że to, co za chwilę zobaczy przed sobą na stole prosekcyjnym, może być jakoś podobne.

– Pan to podniesie – zwrócił się kapitan do laboranta w białym niegdyś kitlu i gumowym fartuchu.

Laborant pokiwał głową i sięgnął ręką w lateksowej rękawiczce, żeby odsłonić prześcieradło, pod którym leżały zwłoki. Policjant w skórzanej marynarce odwrócił się i podszedł do okna.

– Aż tak źle? – Warecki popatrzył najpierw na niego.

– Gorzej – odpowiedział tamten i zapalił papierosa.

Rzeczywiście nie wyglądało to najlepiej. Twarz denata była podpuchnięta znacznie bardziej niż twarz policjanta w skórzanej marynarce, owo podpuchnięcie spowodowało, że oczy prawie wyszły z oczodołów, ręce, brzuch i nogi też wyglądały, jakby ktoś napompował je pompką od roweru. Warecki wyciągnął zdjęcia z teczki. Mężczyzna nie przypominał facetów z fotografii, ponieważ najzupełniej nie przypominał też siebie sprzed kilku dni. Był jednak niestety pewien szczegół, blizna na żuchwie, która czyniła go z wielkim prawdopodobieństwem tożsamym z eleganckim, opalonym i zadbanym Zenonem Lisickim, który miał tysiąc dwustu znajomych na Facebooku i lubił jeździć konno.

– Przyczyna śmierci? – Warecki ciężko westchnął i sam zakrył ciało prześcieradłem.

– Nie wiemy jeszcze dokładnie, ale chyba rany kłute – odparł laborant w gumowym fartuchu.

– Piętnaście. – Kapitan pokiwał głową i ruszył w kierunku drzwi.

– Skąd pan wie? – zapytał policjant w skórzanej marynarce.

– Bo zawsze jest piętnaście. – Warecki spojrzął jeszcze na nich od drzwi. – Ciało musi trafić na Oczki, przyślemy chłodnię.

Monika wracała do Warszawy. W Radomiu nie było już czego szukać, monitoringi i ślady biologiczne pobrane z pokoju, w którym przebywali państwo Ponińscy, którzy oczywiście się tak nie nazywali, miały trafić, podobnie jak zwłoki znalezione na Sandomierskiej, do kryminalistyków warszawskich i do Walińskiej najpóźniej za dwa dni. Śladów nie było zresztą zbyt wiele, co ciekawe, w całym pokoju hotelowym, w którym para przebywała minimum piętnaście godzin, nie znaleziono ani jednego odcisku palca. Podobnie miała się sprawa z samochodem zostawionym na hotelowym

parkingu podziemnym. Monika zastanawiała się nawet, jak to możliwe: czyżby chodzili po pokoju i jeździli autem przez cały czas w rękawiczkach? Chodzić można, ale spać w rękawiczkach to już spore wyzwanie. Przez moment była też nadzieja na to, że uda się trafić gdziekolwiek, idąc tropem auta, ale okazało się, że również elegancki range rover, podobnie jak znalezione wcześniej w lesie spalone volvo, został wcześniej skradziony. Tyle że volvo zniknęło wieczorem poprzedniego dnia spod cmentarza żydowskiego na radomskim Gołębiowie, a range rover – dwa tygodnie wcześniej spod willi w Stuttgarcie.

Komisarz czuła się już znacznie lepiej, zatrucie niezbyt chyba jednak czystymi narkotykami od Niuńki z Jamajki powoli mijało. W jego miejsce pojawiał się głód kolejnej dawki, który jednak na razie, jeśliby pominąć nerwowość i nadmierną potliwość, nie doskwierał jej za bardzo. Zginęło trzech świadków, zginął jej przyjaciel Wacek, którego na dodatek przed śmiercią bardzo męczyli. Jediną osobą spośród tych, które mogły ich gdziekolwiek zaprowadzić, był przebywający gdzieś w Niemczech Józef Waluś. Brak kontaktu z nim jednak też nie wróżył za dobrze. Być może państwo Ponińscy albo ludzie, którzy działali w porozumieniu z nimi, wywieźli go z Niemiec, zamordowali w Polsce i tylko nieco lepiej ukryli ciało. Swoją drogą, najbardziej w tym wszystkim frapowała Monikę ostentacja, z jaką dokonano wszystkich zabójstw. Przecież zawodowcy tacy jak ta dwójka, o którą nieomal otarła się w hotelu w Radomiu, mogli bez trudu albo ukryć ciało tak dobrze, że upłynęłyby lata, zanim ktoś odkryłby je przypadkowo, albo wręcz bez przesadnego wysiłku te ciała zdeintegrować na zawsze: czy to rozpuścić je w kwasie, czy spalić, czy wreszcie wrzucić po prostu do dołu z wapnem. No i wyrzuty sumienia... Tak, to był największy teraz ból Moniki. Gdyby nie wycofała się ze sprawy, wiedzona dumą połączoną z dołem, jaki ją dopadł po śmierci Piotra i po wydarzeniach sprzed czterech już bez mała miesięcy, to do tej pory dawno zebrałaby zeznania od pozostałych ludzi, a wtedy być może tamci już by ich nie zabili, bo po co. Tamci? Kim są? Zbrojnym ramieniem szajki wpływowych pedofilów czy może kimś jeszcze zupełnie innym? Tylko kim? Piotr wiedział, mogła go o to zapytać, zamiast wtedy go zabijać, mogła doprowadzić do jego aresztowania i potem wyciągnąć od niego informacje, które całą tę sprawę uczyniłyby prostą. Mało prawdopodobne... Wiedziała o tym wtedy, ale teraz świat jej się poprzestawiał i przestała wiedzieć już cokolwiek. Gdyby nie zabiła Piotra, on w sytuacji, w jakiej się znalazł, ze świadomością, że nigdy nie uda mu się jej przekabacić, musiałby ją zabić i pewno by to zrobił, a wtedy to on zastanawiałby się teraz, czy było to absolutnie konieczne. Martwi nie cierpią. Chyba, pomyślała Monika.

W tym momencie zadzwonił telefon. Na wyświetlaczu pojawiło się „Marek z pekao”, Monika się zawahała. Myśli złe i trudne wciąż nad nią wisały.

– Halo – odebrała połączenie.

– A gdzie pani jest, pani Ewo, jak pani nie ma? – Jego miły, niski, ciepły głos spowodował, że poczuła przyjemny dreszcz gdzieś tam.

Monika milczała, bo chciała usłyszeć jeszcze raz jego głos, a swojego słyszeć nie chciała.

– Od dwóch dni przychodzę do klubu i nie wiem, co ze sobą zrobić. – Głos wrócił. – Halo, słyszysz mnie?

– Słyszę, i to całkiem... – uśmiechnęła się Monika, udając Ewę.

– Jak? – zapytał głosem jeszcze niższym i jeszcze cieplejszym.

Tym razem po raz pierwszy spotkali się u niego. Mieszkał na Okęciu przy Radarowej, ona jechała

z południa od strony Radomia, chodziło o to, żeby już i jak najszybciej, a Radarowa była znacznie bliżej niż jej żoliborskie mieszkanie. Jak na maklera Pekao mieszkał dość skromnie, wewnątrz było urządzone raczej bez polotu, a przede wszystkim bez jakichkolwiek cech zindywidualizowania. Na ścianach wisiały ikeowskie zdjęcia kamieni i gór, portret jakiejś kobiety, którą oglądały prawdopodobnie oprócz niego tysiące gości sieci niezbyt drogich hoteli. Kiedy weszła, nie zwracała na to uwagi, w każdym razie cały ten wystrój nie miał dla niej żadnego znaczenia. Teraz, kiedy leżeli już obok siebie i myśleli o czymś innym niż tylko o własnych ciałach, Monika zaczęła się rozglądać.

– Rozwodzę się z żoną, wynajmuję to mieszkanie tylko na dwa miesiące, potem coś kupię – wyprzedził jej pytanie. – Oprócz szczotki do zębów i kilku T-shirtów nie ma tu właściwie nic mojego.

– Widzę. – Monika wstała, on przyglądał się jej ponętnej figurze, a ona to czuła. – A kawę masz?

Usiedli w kuchni: on w szlafroku, ona w samej koszulce. Patrząc na siebie, wciąż myśleli o tym samym, i to pomimo że przed chwilą zrobili to już dwa razy.

– Czyli co ty właściwie robisz? – Monika wypila pierwszy łyk niezbyt dobrej kawy instant. – W sensie: na życie czy z życiem?

– Zawiaduję pieniędzmi innych ludzi – odpowiedział lapidarnie.

– Zawiadujesz ryzykownie czy stabilnie? – przypomniała sobie nazwy jakichś funduszy, na które ktoś kiedyś chciał ją namówić, tak jakby miała co w te fundusze zainwestować.

– Podwyższone ryzyko, przeważnie, dosyć nerwowa robota. – Uśmiechnął się.

– Dlatego dragi? – zapytała bez przesadnego krygowania się.

– Głównie pewno dlatego. Jak się wywalę z pieniędzmi tych ludzi, to będzie niezły przypał, więc robię wszystko, żeby się nie wywalić, a potem muszę odpocząć. – Pokiwał głową tak, jakby sam na to wpadł dopiero w tej chwili. – A ty dlaczego? Też przez robotę?

– Chyba tak, ale nie przez nerwowość, tylko raczej przez bezsens może. – Monika musiała znów wejść w głowę Ewy pracującej w reklamie. Ciężkie zadanie, bo tak naprawdę o reklamie nie miała zielonego pojęcia. – Kup nowe, bo jest lepsze od starego. Ile razy można się tym podekscytować?

– A co konkretnie robisz w reklamie? – Marek, ku jej przerażeniu, postanowił drążyć.

– Jak to co? – uciekła w odpowiedź pytaniem na pytanie.

– No co? Jesteś kreatywną, tworzysz reklamy, czy *client service*, media, produkcja? – Marek znał się na rzeczy znacznie lepiej od niej.

– Wszystko po trochu, to jest mała agencja, taki butik bardziej, ale nie mówmy o tym za wiele. – Monika wstała, żeby pójść do łazienki. – Nie lubię, jak mi to wchodzi w życie prywatne.

– Może po prostu nie lubisz swojej pracy? – skonstatował.

– Może. A ty lubisz? – znów zapytała, zamiast odpowiadać, po czym nie czekając na odpowiedź, wyszła do łazienki.

Rankiem kolejnego dnia, znów trochę zmęczona wydarzeniami z poprzedniej nocy, Monika po raz pierwszy od dwóch miesięcy szła do swojego gabinetu na pierwszym piętrze pałacu Mostowskich i rozglądając się na boki, myślała o tym, jak absurdalna potrafi być historia. Kiedyś podobno jakiś dziany arystokrata, potomek innych dzianych arystokratów, prowadził tu salon literacko-muzyczny.

Monika przysłała specjalnie przed dziewiątą w nadziei, że uda się jej przemknąć niezauważenie. Niestety, jak na złość okazało się, że później tego dnia w fabryce miał się pojawić komendant główny i wszyscy przyszli wcześniej, żeby się jakkolwiek do tej wizyty przygotować albo przynajmniej żeby zademonstrować swoją obecność przed szefem, czyli przed Mateckim. Idąc więc przez korytarze, Brzozowska musiała się skonfrontować z dziesiątkami twarzy kolegów, które wyrażały bezbrzeżne zdziwienie, mocno podsycone sarkazmem. Najgorsze jednak było spotkanie z komisarzem Sierackim, którego trzy miesiące wcześniej wzięła na chwilowego zakładnika, kiedy musiała koniecznie wydostać się z komendy, a komenda chciała jej to uniemożliwić.

– Cześć. – Brzozowska pierwsza przerwała milczenie, które zawisło między nimi, gdy stanęli naprzeciwko siebie.

– Cześć – odpowiedział Sieracki. – Wróciłaś?

– Na to wygląda. – Monika uśmiechnęła się trochę przeprasząco. – Nie chciałam...

– Ale ci kazali. – Jego uśmiech nie był miły.

– Nie. – Pokręciła głową. – Pozabijali świadków, których ja wyciągnęłam.

Przez moment stali w milczeniu.

– Chciałam cię przeprosić – zaczęła.

– Już wtedy mnie przeprosiłaś – uciął.

– Gdybym wtedy nie wydostała się z komendy, Stasiak albo ludzie, z którymi był powiązany, by mnie zabili – powiedziała prosto, bo z tego poziomu sprawa nie była skomplikowana.

– A teraz cię nie zabiją? – zapytał bardzo logicznie.

– Nie wiem. – Pokręciła głową.

– To uważaj na siebie. – Popatrzył na nią i uśmiechnął się znowu, ale tym razem już nie ironicznie, tylko jakby normalniej. – I jakby co, to daj nam znać. Może się przydamy.

– Wam? – zdziwiła się.

– No, nam. – Komisarz wskazał głową na coś za nią.

Monika odwróciła się i zobaczyła, że ich rozmowie przysłuchiwało się kilkunastu kolegów znajdujących się w pokoju operacyjnym za nimi.

– Okej – potwierdziła.

Z Wareckim i Wójcikiem spotkali się w pokoju konferencyjnym pół godziny później. Matecki, przyciśnięty okolicznościami, dał im właściwie wszystkie możliwe prerogatywy. O każdej nowej okoliczności pojawiającej się w sprawie należało mu natychmiast meldować, w zamian mieli do dyspozycji właściwie wszystkie siły i środki, jakimi dysponowała komenda stołeczna, a pewno też i główna. Media najwyraźniej zrobiły swoje.

– Skontaktowałem się z BFV – zaczął Warecki. – To odpowiednik ABW w Niemczech. Podałem im numer telefonu i dane personalne Józefa Walusia. Namierzili już jego kwity w urzędzie pracy i w urzędzie emigracyjnym, aplikował, zdaje się, o obywatelstwo. Myślę, że lada moment z czymś do nas wróca.

– A tutaj, to znaczy w tej Wildze czy skąd on tam jest, mamy rękę na pulsie? – zapytała Monika.

– Tak, uczuliłem sąsiadów, rodzice wiedzą, że grozi mu niebezpieczeństwo. Jak się pojawi, mają od razu dać znać do powiatowej w Garwolinie, oni przyjadą i zabezpieczą – objaśniał

z zaangażowaniem Warecki. – To wasza działka. Powołałem się, pokazałem legitymację, tam nie mają z nami aż takiego problemu jak policja warszawska – wyjaśnił, trochę jakby się usprawiedliwiając. – W Wildzie też jest posterunek, ale działa tylko kilka godzin dziennie.

– Czyli czekamy. – Wójcik włączył się do rozmowy. – Przyszły już odciski z tego pokoju hotelowego w Radomiu, wrzuciłem na bęben, ale nie sądzę, żebyśmy mieli tych ludzi w archiwach. Może jak przyjdzie to DNA, ale na to znowu będzie trzeba czasu.

– Hipotezy? – zapytała Monika, a oni popatrzyli na nią zaskoczeni.

– To ja się pytam – pierwszy odezwał się Wójcik.

– Jak dla mnie, to na razie ta najbardziej oczywista, czyli że wpływowi pedofile próbują oczyścić teren – zaczęła Monika. – Musimy wsiąść na Morawskiego, Boreckiego no i na księdza biskupa bez teki, Kurzebę.

– Może Stasiak się znajdzie przy okazji – zasugerował Warecki.

– Coś mi każe myśleć, że jeśli już, to ewentualnie w jeziorze z kamieniem u szyi – powiedział Wójcik szybciej, niż pomyślał. – To znaczy, z całym szacunkiem dla pana inspektora.

Monika popatrzyła na Adama, zamyślona. Gdyby sprawa dotyczyła jakiegokolwiek innego policjanta, pewno by go zjechała, ale tak naprawdę z wszystkich osób, z którymi mieli do tej pory do czynienia, może oprócz jej byłego męża Borysa-Piotra, Stasiak zawiódł ją najbardziej. Był jej szefem, ufała mu, myślała o nim jako o człowieku, który ma kręgosłup, nie poddaje się naciskom, nie powiewa na wietrze jak flaga, płynie raczej pod prąd niż z prądem. Tak, zdrada Stasiaka zabolęła ją najmocniej. Tak naprawdę, to do tej pory się z nią do końca nie pogodziła. Zresztą związana z nim część sprawy, o której szczęśliwie z punktu widzenia resortu nie wiedziały jeszcze media, była jednocześnie rzeczą najbardziej ukrywaną i zarazem stanowiła swoiste jądro całego dochodzenia. Innymi słowy: ścigali szajkę pedofilów, szukali zabójców, ale w gruncie rzeczy połowa polskiej policji zajmowała się głównie tropieniem swojego byłego inspektora, który okazał się utyłany po uszy w szlamie.

A co z tamtymi trzema? – Brzozowska wróciła do wątku Morawskiego, Biernackiego i Kurzeby.

– Nie wiemy za bardzo – przyznał się Warecki. – Z życia publicznego dwaj, czyli Morawski i Biernacki, zniknęli, a głębiej do tej pory nie mieliśmy jak zajrzeć, bo nasze dochodzenie było raczej chałupnicze. Kurzeba jest, zdaje się, w tym swoim sanktuarium w Nowym Sączu, ale też cicho o nim.

– Ale teraz chałupnicze już nie jest – skonstatowała Monika.

Po chwili sięgnęła po swoją komórkę, weszła w zdjęcia, poszukała chwilę, bo musiała się cofnąć o cztery miesiące. W końcu znalazła.

– Tu jest czterech gości, którzy też dla nich pracują. – Przesunęła palcem w prawo, pokazując Adamowi i Wareckiemu zrobione z fleszem w nocy portrety bandziorów. – Zrobiłam te zdjęcia wtedy, kiedy próbowali zabić mojego Roberta nad Wisłą.

– Twojego Roberta? – zdziwił się Warecki, który nie był wtajemniczony w meandry jej znajomości.

– Robert Czerkas, kolega pani komisarz z młodości, handlarz trawą i palacz trawy, bardzo sympatyczny – uzupełnił wiedzę Wójcik.

– Trochę kabel. – Monika uśmiechnęła się, ponieważ doskonale zdawała sobie sprawę, że to Robert poinformował ostatnio Adama o jej życiowych kłopotach.

– Wrzucamy ich na europejski nakaz? – zapytał Adam, wskazując na wciąż widoczne na ekranie telefonu zdjęcie jednego z bandziorów.

– Tak, z zarzutem usiłowania zabójstwa. – Monika pokiwała głową. – Niech mają trochę pod górę, poza tym nasi koledzy z podległych jednostek trochę bardziej się zepną może wtedy.

Raport od Niemców przyszedł rzeczywiście bardzo szybko, Monika pomyślała nawet, że gdyby tak to działało tutaj, to mieliby momentalnie trzykrotny spadek przestępczości. Niestety nic nie działało tutaj tak jak w Niemczech, więc nie było sensu się łudzić. Niemcy informowali, że poszukiwanego Józefa Walusia nie udało się zastać pod żadnym z wytypowanych adresów. Sprawdzenie monitoringów w pobliżu miejsc, w których powinien był się pojawiać, potwierdziło, że po raz ostatni był widziany w Kolonii cztery dni wcześniej. Do raportu z poszukiwań dołączono też raport z billingów rozmów wychodzących i przychodzących na jego numer. Ostatnią rozmową, jaką przeprowadził Waluś, okazało się połączenie przychodzące z numeru z Polski, później jego telefon został wyłączony i zniknął z logowań na tamtejszych słupach BTS. Warecki ustalił, że to ostatnie połączenie pochodziło od Zenona Lisieckiego, zamordowanego w Płońsku. Cała czwórka, Wacek i pozostali świadkowie, znali się jeszcze z Dworca Centralnego, gdzie trafili kiedyś jako młodzi chłopcy na gigancie. Wszystko to dawało cień nadziei na to, że Lisiecki zadzwonił do Walusia, kiedy wiedział już, że grozi mu niebezpieczeństwo. Może chciał go ostrzec, a może szukał u niego rady, jak się zachować w zaistniałej sytuacji. Jemu na nic się to już zdało, ale Waluś zniknął. Czy dopadli go tamci, czy też zdołał gdzieś przycupnąć? Tego nie wiedział nikt.

– Może pójdziemy na kawę? – wypalił nagle Warecki.

Siedzieli już z Moniką na komendzie trzecią godzinę, do tej pory było wyłącznie zawodowo, więc taki tekst dość mocno ją zaskoczył.

– Słucham? – popatrzyła na niego zdziwiona.

– Nic, no tak tylko pomyślałem. – Warecki lekko się spłonił, a może tylko jej się wydawało. – Żeby na moment się przewietrzyć, zapalić, czy ja wiem?

– Przecież pijemy kawę i palimy cały czas. – Zdziwienie Moniki przeobraziło się w delikatnie rozbawienie.

– No, wiem, wiem, chodziło mi bardziej o świeże powietrze i jakąś lepszą kawę – Warecki zaczął się wycofywać. – Ale nie ma konieczności.

Monika popatrzyła na niego chwilę i pomyślała, że właściwie coś w nim jest. Marek z Pekao był może przystojniejszy, miał więcej powierzchownego *charme'u* i ogłady, więc na takie chwilowe coś pewno bardziej się nadawał, ale w tym facecie o ciepłym uśmiechu było coś innego, prawdziwszego, a ona lubiła prawdę.

– Możemy zejść w sumie, tego rzeczywiście nie da się już pić. – Wskazała na kubek z ciemnym zaciekiem po przydziałowej kawie instant.

Zeszli. Najbliższa kawiarnia sieciowa była na placu Bankowym. Warecki zamówił i zapłacił, co niegdyś w relacjach męsko-damskich byłoby oczywiste, a dziś już tak oczywiste nie było i dlatego jej się to spodobało.

– Gdybyś nie został agentem bezpieczeństwa wewnętrznego, to jakie były opcje na stole? – zapytała Monika.

– Nie myślałem opcjami, skończyłem prawo, na aplikację nie było już ani czasu, ani sensu, i tak nigdzie bym później się nie dostał – uśmiechnął się Warecki. – Po prawie gdzieś bym się pewno przytułił, w jakiejś korporacji albo gdzie indziej.

– Czyli nie jesteś z tych, co mają życie zaplanowane od pierwszego do ostatniego oddechu? – Monika czuła się dobrze, było ciepło i jasno, na dworze zapadł już zmrok.

– Raczej nie – odpowiedział z uśmiechem.

Lubiła ludzi, którzy nie mieli zaplanowanego życia. Zbyt dobrze wiedziała z własnej przeszłości, że plany mogą się komplikować, a to, czy dzieje się tak z własnego powodu, czy – z woli czynników obiektywnych, właściwie nie miało większego znaczenia. Przecież samemu też w jakimś sensie było się czynnikiem obiektywnym, zależnym od milionów innych czynników. W kieszeni zadzwonił telefon, sygnał był inny niż zwykle, cichszy. Monika spojrzała na ekran. Okazało się, że dzwonił do niej ktoś w aplikacji WhatsApp, numer nie był jej znany, ale odebrała.

– Nikt nie może się dowiedzieć, że do pani dzwoniłem! – Mężczyzna zaczął rozmowę w sposób dosyć nieszablonowy. – Rozumie pani?

– Tak. – Monika spojrzała na Wareckiego, po czym przeprosiła go gestem i wstała od stolika. – Kto mówi?

– Józef, mówi Józef Waluś – wypalił mężczyzna, po czym zamilkł na chwilę. – Czy pani telefon nie jest na podsłuchu?

– Raczej nie – odpowiedziała Monika.

– Raczej to za mało – rzucił.

– Dobrze. – Monika myślała szybko. – Zrobimy na wszelki wypadek inaczej. Po skończonej rozmowie proszę mi wysłać też na WhatsAppie miejsce, w jakim pan się znajduje, albo gdzie możemy się spotkać i kiedy. Nawet jeśli podsłuchują telefon, to tych wiadomości nie odczytają, bo idą zaszyfrowane.

– Zaraz pani wyślę, ma pani przyjść sama i jeszcze raz mówię, nikt nie może wiedzieć, że dzwoniłem. – Teraz zauważyła, że Józef był jakby lekko zziębnięty. – Tak będzie?

– Tak będzie – zdążyła odpowiedzieć Monika, po czym w słuchawce usłyszała ciszę.

Kiedy wróciła do stolika, Warecki od razu zauważył, że rozmowa musiała wywrzeć na niej spore wrażenie. Nie miał jednak pojęcia, co działo się w życiu Moniki, więc dla niego równie dobrze mogła rozmawiać z niesfornym kochankiem albo z męczącą matką.

– Wszystko w porządku? – zapytał więc tylko.

– Tak, tak, takie tam prywatne sytuacje. – Pokiwała głową.

– Nie można planować za wiele – wrócił do ich porzuconej rozmowy.

– Raczej się nie powinno – uśmiechnęła się Monika.

Wiadomość tekstowa z innego tym razem numeru przysłała, kiedy Monika dotarła do domu. Zbliżał się wieczór, czyli jej czas na kolejną dawkę przyjemności, a tak naprawdę bardziej już w tej chwili – spokoju i ulgi. Już w trakcie spotkania z Wareckim nie czuła się za dobrze, rozmowa była interesująca, w nim odnalazła sporo spokoju, ale nie wymuszonego, tylko jakby wrodzonego, może

nabytego, ale jeśli nawet, to w ramach kształtowania się osobowości, a nie na kursie wiedzy zen. Mimo to jednak Monika w ciągu godziny musiała dwa razy wychodzić do łazienki: wysiadał pęcherz, wysiadały nerwy. W końcu za trzecim razem poszła i wciągnęła po prostu kreskę, co uspokoiło ją na chwilę, ale po kwadransie zaczęło się zejście, które jeszcze pogorszyło objawy. W końcu pożegnała się z kapitanem agentem ABW i taksówką wróciła do domu. Nie piła, wciągnięta kokaina przestała już działać, ale czuła się na tyle fatalnie, że nie mogła nawet wsiąść do samochodu stojącego nieopodal na parkingu przy pałacu Mostowskich. Od razu po wejściu do domu wyciągnęła torbę ze schowka w szufladzie biurka i zapaliła browna. Tak naprawdę lepiej dla systemu byłoby, gdyby wykonała całą sekwencję odwrotnie, czyli najpierw crack, a potem dopiero heroina, ale nie miała teraz na to czasu. Poza tym wiedziała, że musi to wszystko zostawić. O ile jednak cracka można było spróbować rzucić od razu, bo w konsekwencji mogły się pojawić psychozy, ale na to była przygotowana z góry z lekami uspokajającymi, o tyle jeśli chodzi o heroinę, to ponieważ brała ją już też od jakiegoś czasu, odstawienie było znacznie bardziej złożone i wymagało czasu – a tego komisarz Brzozowska miała jak na lekarstwo. Telefon zabrzączał chwilę po tym, jak wyszła z podróży w cudowną nicość. Dlatego kiedy wzięła telefon do ręki, przez chwilę nie widziała nawet literek. W końcu, na zmianę przybliżając i oddalając ekran od twarzy, wyostriżyła wzrok na tyle, że mogła przeczytać informację przesłaną jej przez Józefa: „22.30 przy kolumnie Zygmunta, bądź sama”.

Na to, żeby się ogarnąć, miała pół godziny, kolejne pół na to, żeby dojechać. Chciała dziś spotkać się z Markiem, ale zaistniała sytuacja czyniła to niemożliwym. Napisała SMS-a, oddzwonił po chwili, troskliwie dopytując, czy coś się nie stało. Odpowiedziała, że po prostu nie czuje się najlepiej, co zresztą było zgodne z prawdą, czuła się fatalnie. Inna rzecz, że dziwne i zupełnie jakby przypadkowe prywatne spotkanie z Wareckim coś w niej zmieniło. Nie potrafiła tego jeszcze zlokalizować ani nazwać, ale coś w środku zaczęło układać się jakby inaczej. Choćby to, że jutro musi znów udać się do pałacu Mostowskich i usiąść przynajmniej na jakiś czas za biurkiem w swoim zabałaganionym gabinecie, normalnie napawałoby ją niechęcią i powodowałoby ćmiącego doła, a teraz coś w tej sprawie się zmieniło. Może to, że w pałacu wcześniej czy później następnego dnia miał się pojawić także kapitan ABW Czesław Warecki.

Wzięła prysznic, wypila kawę, uczucie zmulenia i zawroty głowy po paleniu heroiny powoli puszczały, zjadła nawet kanapkę, ubrała się dość elegancko, tak żeby sprawiać w razie czego wrażenie kobiety, która czeka na mężczyznę mającego ją zabrać na wykwintną kolację do jednej z okolicznych restauracji. Na schodkach pod kolumną była dwadzieścia pięć po dziesiątej. Mogła być nawet wcześniej, ale chwilę odczekała w samochodzie zaparkowanym na ulicy Podwale. Zbyt długie stanie na schodkach pod Zygmuntem nawet w eleganckim stroju mogło w końcu zwrócić uwagę na przykład jakiegoś przygodnego faceta szukającego kogoś, kto poszedłby z nim na elegancką kolację albo jeszcze na coś innego. Monika uśmiechnęła się do swoich myśli.

– Cześć. – Józef wyglądał trochę tak, jakby nie spał od kilku dni, był blady, oczy miał przekrwione i podkrążone.

Monika poznała go jednak od razu. Mieli okazję rozmawiać już kilka razy wcześniej w czasie

pomiędzy zabiciem przez nią Piotra a zawieszeniem jej w czynnościach i odesłaniem na urlop. Wtedy próbowała trochę na własną rękę, a trochę z aprobatą zwierzchników prowadzić dalsze dochodzenie. Potem z jakiegoś powodu aprobata zniknęła.

– Cześć, jak się masz? – Pytanie nie było pozbawione sensu, Józef naprawdę nie wyglądał, jakby miał się dobrze.

– Tak sobie, słabo się czuję. – Waluś pokiwał głową, czym potwierdził jej wrażenie.

– Od dawna? – zapytała.

– Nie... – zaczął. – Właściwie od dzisiaj rano, może gripę mam.

– Muszę cię zabrać ze sobą. – Monika przeszła do rzeczy.

– Dokąd? – zapytał, przerażony.

– Na razie wezmę cię do mnie do domu, jutro, mam nadzieję, ABW wyznaczy ci jakieś bezpieczne lokum – objaśniła.

– Co z tamtymi? – Józef zadał pytanie, które musiało paść.

Monika przez moment mu się przyglądała. Jego fatalny wygląd był zbyt fatalny na to, by mógł wynikać wyłącznie z przemęczenia, choć pewno był przemęczony. Nie bardzo też przekonywała ją hipoteza o grypie.

– Jadłeś coś wczoraj albo dzisiaj rano, coś z nieznanego źródła? – zapytała, bo nie chciała mu odpowiadać w tej chwili na pytanie, które zadał, a poza tym to wydało jej się znacznie ważniejsze.

– Nie, kupuję na ulicy, za każdym razem w innym miejscu, nie sądzę... – Nagle jego głos się załamał, a on zachwiał się lekko na nogach i gdyby nie Monika, która wsparła go ramieniem, upadłby na schody.

Monika sięgnęła po telefon, wybrała numer.

– Wydzwoń mi pogotowie pod kolumnę Zygmunta i przyjedź tu jak najszybciej – powiedziała do słuchawki od razu po tym, jak usłyszała głos Adama.

– Ale co jest? Co się dzieje? – zapytał.

– Mam Walusia, ale on się bardzo źle czuje. Jak najszybciej! – krzyknęła, spoglądając na Józefa, który powoli odpływał.

Rozłączyła rozmowę, pomogła mu położyć się na plecach, zdjęła marynarkę, złożyła ją w kostkę i podłożyła pod głowę. On przywołał ją gestem, żeby pochyliła się nad nim.

– Pytlasiński – wyszeptał.

– Kto to jest? – zapytała, ale on już nie odpowiedział, bo w tym momencie stracił przytomność.

Pogotowie przyjechało szybko. Kiedy brali go na noszach do karetki, jego tętno cały czas słabło, lekarz, który zbadał go na szybko i odpytał Monikę o okoliczności zasłabnięcia, nie był w stanie wysnuć żadnej diagnozy. Podali mu atropinę, pomogła na tyle, że mogli ruszyć do szpitala. Kiedy zjawił się Adam, karetka właśnie odjeżdżała.

– Co jest? Co się stało? – Popatrzył na nią z przerażeniem.

– On umiera – odpowiedziała.

– Umiera? – Wpatrywał się w oddalającą się karetkę. – Ale jak umiera? Na co?

– Nie mam pojęcia, Adam, spotkałam się z nim, chciałam go zabrać do domu, zabezpieczyć. Źle wyglądał, nagle mi zemdlął i teraz umiera. – Roztrzęsiona Monika pokręciła głową.

Kilka minut później się rozstali. Brzozowska czuła się po tym wszystkim na tyle słaba, że pojechała do domu. Adam ruszył do szpitala, gdzie miał do niego dołączyć Warecki. Tak naprawdę Waluś powinien dostać oficjalną obstawę sali szpitalnej, albo z komendy stołecznej, albo z ABW, ale panowie zdecydowali, że skoro kompletnie nie było wiadomo, komu ufać, sami będą się zmieniali co kilka godzin przy drzwiach do sali OIOM-u w Szpitalu Praskim.

Telefon obudził Monikę około czwartej nad ranem: nie pospała zbyt wiele, bo nadmiar wrażeń w połączeniu z nadmiarem toksyn w krwiobiegu spowodował, że najpierw przez dwie godziny nie mogła zmrużyć oka.

– On nie żyje – odezwał się w słuchawce smutnym głosem Adam.

Przez chwilę milczeli. Ona nie mogła powiedzieć, że jest zaskoczona, bo już kilka godzin wcześniej sama powiedziała mu, że Józef umiera. Nie знаła przyczyny jego dolegliwości, ale od początku czuła, że dzieje się z nim coś nieodwracalnego.

– Na razie nie wiedzą, co było przyczyną śmierci – znów pierwszy przełamał milczenie Wójcik. – To znaczy stanęło mu serce, próbowali reanimować, nie ruszyło, ale nikt nie wie, dlaczego stanęło i co się w ogóle wydarzyło.

Adam znał Walusia, rozmawiał z nim parokrotnie wcześniej i jego też fakt śmierci czwartej znanej mu osoby na przestrzeni zaledwie kilkunastu dni mocno nadwątlili psychicznie.

– Toksykologię robią? – zapytała zasnana Monika.

– Tak, pobrali zaraz, jak go przywieźli, teraz po śmierci jeszcze raz. – Wójcik miał zmęczony głos.
– Pewno rano będą jakieś wstępne wyniki.

Kiedy skończyli rozmowę, ona wiedziała już, że na pewno nie uda jej się zasnąć. Do świtu było kilka godzin, ale czuła się okropnie, właściwie z chwili na chwilę czuła się coraz gorzej. Wieczorem zapaliła browna, ale nie zapaliła cracka, i teraz przyszło jej do głowy, że właśnie to stanowi przyczynę jej pogarszającego się samopoczucia. Przez moment się wahała, czy nie przypalić, ale uznała, że to byłoby już kompletnym absurdem: za pięć godzin musiała być we w miarę dobrej formie na komendzie. Gdyby teraz, po dwóch godzinach snu, zabrała się do palenia plastiku, na komendę przyszlaby w stanie totalnego wora, a na to nie mogła sobie teraz pozwolić. Dochodzenie tkwiło w martwym punkcie, zginęło już czterech ludzi, a oni nie mieli pojęcia, w którą stronę się ruszyć. Wyciągnęła telefon spod poduszki, wykręciła numer.

– Śpisz? – zapytała retorycznie.

– Nie, nie mogę – odpowiedział całkiem przytomnym głosem Adam.

– Pytłasiński – podała nazwisko, które nagle wyskoczyło jej z pamięci.

– Co Pytłasiński?

– Waluś podał mi takie nazwisko na chwilę przed tym, jak stracił świadomość – objaśniła. – Mówi ci coś?

– Nie – opowiedział Adam krótko, ale zaraz dodał: – Popatrzę w sieci, może pojawi się gdzieś w kontekście nazwisk, które już znamy.

Jednak zasnęła. Obudziło ją łomotanie do drzwi. Kiedy wstała z łóżka, świat zawirował tak, że omal

nie przewróciła się od razu na podłogę. Na szczęście bliżej niż podłoga była ściana, przytrzymała się i idąc cały czas wzdłuż jednej, a potem drugiej, dotarła do drzwi. Kiedy otworzyła, zobaczyła obrazek jak z koszmarnego snu. Przed jej drzwiami stało trzech ludzi, których płci nie dało się określić, ponieważ wszyscy ubrani byli w białe kombinezony, a na twarzach mieli maski z pochłaniaczami. Monika zatrzasnęła drzwi, wróciła do pokoju, wyciągnęła pistolet z kabury, podeszła z powrotem do wejścia i otworzyła, teraz już z glockiem w ręku.

– Co się dzieje? – zapytała, próbując jednocześnie wymyślić jakiś prosty sposób, który pozwoliłby przyporządkować sytuację do jawy bądź snu.

– Józef Waluś został otruty toksyczną substancją, musimy panią natychmiast przewieźć do szpitala – usłyszała męski głos stłumiony przez gumową maskę.

– Nigdzie nie jadę. – Monika wciąż nie była do końca pewna, czy rozmawia z realną postacią, czy ma przed sobą jakąś senną marę, ale ani we śnie, ani na jawie nie zamierzała poddać się woli faceta w białym kombinezonie, którego oczu nie widziała spod gumy szczelnie opasującej jego facjatę.

Facet patrzył na nią jeszcze chwilę, po czym wyciągnął rękę i sam zamknął drzwi. Przez chwilę nic się nie działo, Brzozowska powoli dochodziła do siebie, to znaczy do stanu przekonania, że raczej opuściła już krainę sennych koszmarów i jakkolwiek nierealne było to, co się działo, to jednak działo się naprawdę. Zadzwoił telefon. Chwilę zajęło jej znalezienie aparatu upchniętego gdzieś między poduszki kanapy, zanim odebrała.

– Jacyś goście z Marsa stoją u mnie za drzwiami, co jest grane? – zapytała, zanim Adam zdążył się odezwać.

– Zabrali mi telefon, nie mogłem wcześniej zadzwonić, mnie też już przepatrzyli, trochę tego miałem na sobie, ale uznali, że w tej ilości to nie jest groźne – mówił szybko Adam, próbując zreferować jak najwięcej, zanim Monika mu przerwie.

– Co? – Monika wskoczyła pomiędzy jego oddechy. – Co nie jest groźne?

– Nie wiem, oni też chyba jeszcze nie wiedzą za bardzo, ale znaleźli w nim i na nim do cholery jakiejś toksyny – objaśnił. – To ona go zabiła. Zamknęli pół Szpitala Praskiego, przyjechały wojska chemiczne, straż, jakieś laboratoria, wygląda to jak na filmie science fiction.

– Wiem, kręcą scenę do tego filmu u mnie za drzwiami – dodała Monika i rozłączyła rozmowę.

Następnie, wciąż z telefonem w ręku, podeszła do drzwi od mieszkania i otworzyła je ponownie. Przed drzwiami stali ci sami dziwni ludzie, co wcześniej. Zostawiła drzwi otwarte, a sama weszła z powrotem do mieszkania.

W Szpitalu Praskim rzeczywiście wyglądało trochę tak, jakby zaczęła się trzecia wojna światowa. Cały obiekt, wzdłuż alei Solidarności i dalej Sierakowskiego, Jasińskiego i Panieńskiej, był otoczony stalowym płotem, ustawionym w dwóch rzędach, wypożyczonym chyba od organizatorów miesięcznic smoleńskich. Między rzędami płotków chodzili dodatkowo policjanci w rynsztunku żywcem wyjętym z animacji o transformersach.

W karetce przewożącej Monikę wszyscy też ubrani byli w stroje kosmitów. Nawet kierowca prowadził w masce przeciwgazowej. Brzozowska zastanawiała się, czy w ogóle cokolwiek w niej widzi i czy po drodze nie spadną na przykład z mostu Śląsko-Dąbrowskiego wprost do Wisły. Z każdą minutą czuła się coraz gorzej. Teraz wiedziała już, że choć sprawa narkotyków też

prawdopodobnie nie pozostawała bez znaczenia dla jej ogólnego dobrostanu, to jednak głównym czynnikiem pogarszającym jej samopoczucie była, wciąż niezidentyfikowana do końca, toksyna. Ostatecznym potwierdzeniem takiej hipotezy było jednak to, że gdy tylko dojechali na szpitalny podjazd dla karettek, Monika straciła przytomność.

Nieprzytomną przewieziono od razu do izolatki na OIOM-ie, którą od reszty szpitala oddzielały specjalne śluzy i kurtyny powietrzne.

Gdy Monika odzyskała świadomość, był ranek, ale czy był to ranek następnego dnia, czy może upłynęło ich kilka, tego nie była w stanie ocenić. W sali było duszno, bo okna musiały być zamknięte, a wentylację zaklejono szczelnie foliami. Lekarz, który stanął nad nią chwilę później, był przebrany w biały kostium kosmity, podobny trochę do tego, który mieli na sobie ci, którzy zabrali ją z domu, i ci, którzy wieźli ją karetką, ale jakby w wersji nieco uproszczonej. Poza tym lekarz nie miał już maski przeciwgazowej, a tylko specjalną, szczelną maskę przeciwpyłową i okulary. Czyli chyba jest lepiej, pomyślała Monika.

– Długo mnie nie było? – zwróciła się do lekarza, który chciał coś powiedzieć, ale nie zdążył.

– Jakies – zerknął na zegar na ścianie – dwadzieścia godzin.

Monika oddychała ciężko.

– Za kilka godzin mają tu pani zrobić osobną klimatyzację, na razie musi być, jak jest. – Lekarz zaczął od sprawy drugorzędnej.

– Umrę? – Monika powróciła do sprawy pierwszorzędnej, bo fakt, że lekarz zaczął od drugorzędnej, lekko ją zaniepokoił.

– Nie sądzę. – Lekarz był zawodowcem nowej ery, co oznaczało, że choć po prostu mógł odpowiedzieć „nie”, to wolał się jednak zabezpieczyć, żeby potem nie było. – Ta toksyna działa bardzo szybko i bardzo silnie: jeśli do tej pory nie wyłączyło pani głównych organów, to prawdopodobnie dawka nie była wystarczająco duża, żeby zabić.

– Co to za toksyna? – Monika, uspokojona w kwestii zasadniczej, wróciła do prowadzenia czynności śledczych.

– Jeszcze nie wiemy, ale wiemy, jak ją płukać z organizmu, proszę się nie niepokoić. – Lekarz chyba się uśmiechnął.

– Nie niepokoję się, w każdym razie nie o to. – Monika spróbowała się podnieść, ale z miernym skutkiem, i od razu opadła z powrotem na łóżko. – Prowadzę sprawę i interesuje mnie, co się w ogóle stało. To znaczy: czy on się czymś zatruł, czy ktoś go czymś zatruł.

– Nie wiemy jeszcze ani jaka to dokładnie toksyna, ani jak ją wprowadzono do organizmu, ale... – Lekarz przez moment się zawahał, ponieważ był przede wszystkim nauczony nie przekazywać wiadomości, które nie były w stu procentach potwierdzone, lecz w końcu dodał: – A... ale prawie na pewno pan Waluś nie zatrul się sam, chyba że uczestniczył w jakiejś nielegalnej operacji, która...

– Nie, pan Waluś nie uczestniczył w żadnej nielegalnej operacji. – Monika weszła mu w słowo, bo nie mogła już słuchać tego dziwnego języka, którym lekarz zaraził się od prawników.

– Proszę odpoczywać. – Doktor uśmiechnął się i wskazał na medyczne instrumenty i kroplówki, podłączone do Moniki ze wszystkich stron.

– A jak będę chciała wyjść do toalety? – zapytała.

– Nie ma takiej potrzeby – wyjaśnił, po czym od razu uściślił: – Jest pani podłączona do cewnika, więc że tak powiem, zajmujemy się wszystkim.

– A jakbym chciała się przejść, powiedzmy? – Monika powoli zaczynała kombinować, miała świadomość, że najprawdopodobniej lada moment przyjdą objawy narkotycznego głodu, a wtedy wolałaby mieć możliwość ruszenia się z miejsca.

– Nie ustoi pani na nogach przez następnych kilka dni, na spacerzy przyjdzie czas. – Znow chybą się uśmiechnął, po czym dodał tonem nieco bardziej poufałym: – Pani wyniki krwi są trochę dziwne, to prawdopodobnie działanie toksyny, ale przy okazji zapytam. Czy pani używa jakichś leków, na przykład przeciwbólowych, opioidów...?

Monika chciała od razu zaprzeczyć, ale zawahała się przez moment.

– Postaramy się w takim razie trochę wyrównać ich poziom, być może nie mówiono pani, ale gwałtowne odstawienie takich leków może być dosyć nieprzyjemne. – Tym razem na pewno się uśmiechnął, a Monika pomyślała, że może i dużo przestawał z prawnikami, ale na pewno zostało w nim jeszcze coś z człowieka.

O mamie nie myślała ostatnio zbyt wiele. Choć z udostępnieniem grobu dla Piotra Barbara zachowała się fajnie, to później zaczęły się niesnaski, znow wróciły jakieś zadawnione żale. Mama zaczęła naciskać, żeby Monika odeszła z policji, bo to niebezpieczne i przynosi więcej szkód niż korzyści. Do tych pierwszych można na przykład zaliczyć to, że zabiła własnego męża. Gorzej, że mama w ramach swoich demencyjnych odjazdów zaczęła nagle dopominać się o wnuka. Robiła to już parokrotnie wcześniej, ale teraz akurat, w zaistniałych okolicznościach, takie żądania działały na Monikę jak płachta na byka. Słowem: pokłóciły się, co nie było niczym niezwykłym, i prawdopodobnie normalnie już po kilku dniach Monika wzięłaby wszystko na klatę, zrzuciłaby na karb choroby mamy albo – co najbardziej prawdopodobne – zrobiłaby obie te rzeczy. Nie było jednak normalnie, ponieważ Monika zaczęła znow brać, a branie, po pierwsze, kompletnie pozbawiło ją sił do tego, żeby mierzyć się z trudnością, jaką stanowiła mama z demencją, a po drugie, i to było bodaj ważniejsze, po prostu nie miała odwagi spojrzeć mamie w oczy.

– Córeczko, jak ty się czujesz? – Mama w stroju kosmitki w maseczce na twarzy wyglądała jeszcze osobliwiej niż wszystkie osoby, które Monika miała tu do tej pory okazję zobaczyć.

– Co ty tu robisz? – Brzozowska kompletnie zgłupiała. – I kto to jest?

Za mamą w bieli stały jeszcze dwie osoby: jedną był lekarz, którego nauczyła się już odróżniać po wzroście i sposobie chodzenia, a co do tego, kim jest druga, nie miała pojęcia.

– To? – Najpierw mama się zdziwiła, patrząc na stojącą za nią postać w bieli. – Nie mam pojęcia – Po chwili zaczęła się śmiać: – Tatiana, a kto? Moja nowa pomoc domowa, którą ty opłacasz. Myślisz, że dojechałabym tu sama?

– Ale jak...? – Monika wciąż nie mogła wyjść z szoku.

– Normalnie. No więc jak się czujesz? – Mama wydawała się w całkiem dobrej formie.

– Lepiej, już trochę lepiej – uśmiechnęła się Monika. – A ty?

– A ja? Doskonale. – Pokiwała głową mama. – Tylko trochę tu duszno.

– Mają włączyć mi klimę, ale lepiej już idźcie. – Monika spojrzała w kierunku Tatiany i trzeciej osoby w białym kitlu i masce, którą zidentyfikowała jako lekarza. – Odprowadzi pan mamę, panie

doktorze?

– Jak to: idźcie? – obruszyła się mama. – Przecież dopiero co przyszliśmy!

Zostały przez pół godziny i było ciężko. Mama na przemian mówiła i wysyłała Tatianę, żeby ta sprowadzała lekarza. Miała do niego cały czas mnóstwo pytań, spośród których najczęściej powtarzającym się było to, czy w zaistniałej sytuacji po tym wszystkim córka będzie jeszcze mogła mieć dzieci. Cóż za absurd! Monika była u kresu. Kiedy w końcu lekarz, działając już, zdaje się, w stanie podwyższonej konieczności ratowania jej życia, poprosił panie o zakończenie wizyty, serce Moniki należało już w pełni do niego. Najpierw ocalił ją przed heroinowym głodem, a teraz – przed własną matką. Z chwili na chwilę doktor stawał się jej absolutnym idolem.

– Trzymaj mi się tutaj tylko i zdrowiej, bo Tatiana nie chce mi kupować babki piaskowej – zaśmiała się mama na odchodnym.

– Dobrze, mamó. – Monika cały czas nie mogła się jeszcze otrząsnąć z szoku wywołanego ich wizytą.

Mama pokiwała głową i cała trójka ruszyła do wyjścia z sali. Po chwili jednak, kiedy już zniknęli za drzwiami, mama wróciła jeszcze na moment, pochyliła się nad łóżkiem i szepnęła:

– Uciekaj stąd!

– Czemu, mamó? – Monika uniosła się lekko na poduszce, żeby ułatwić mamie zadanie.

– Bo mi się tu nie podoba. – Mama wciąż pochylała się nad łóżkiem. – A rzadko się myślę, jak mi się coś nie podoba. To znaczy, że coś z tym jest nie tak. Rozumiesz mnie?

– Rozumiem, mamó.

– Uciekniesz?

– Jak dam radę. – Monika starała się nie być niemila, ale była u kresu.

– Pomóc ci? – Mama nie dawała za wygraną.

– Nie, nie, broń Boże, dam radę! – Monika opadła na poduszkę.

– Jak najszybciej? – zapytała już trochę głośniej mama i podniosła się lekko, po czym nie czekając na odpowiedź, dodała: – I babkę mi przynieś koniecznie.

Monika nic już nie odpowiedziała, ale znów pokiwała głową, a mama w końcu wyszła: definitywnie zatrzęsła za sobą drzwi.

Życie kapitana Czesława Wareckiego było lekko schizofreniczne. Z jednej strony – praca i kariera, która rozwijała się przynajmniej do tego momentu nader dynamicznie, bo kapitan w Agencji właściwie nie miał równych sobie. Był jednocześnie ambitny, bardzo pracowity i na tyle inteligentny, a chwilami wręcz błyskotliwy, że potrafił doskonale wpasowywać się w układy funkcjonujące w firmie. Wiedział, z kim spośród przełożonych wchodzić w alianse, czyje notowania rosły, a czyje kariery, często wbrew temu, co wydawało się ogółowi, miały się ku końcowi. Obrazu dopełniał fakt, że Warecki świetnie wywiązywał się z powierzanych mu zadań, zazwyczaj robił to przed czasem, a dodatkowo z reguły wypełniał je z nawiązką. Przełożeni dostawali od niego to, czego chcieli, plus przeważnie coś jeszcze, co pomagało im także powiększać zasługi wobec swojej góry. Słowem: kapitan w łańcuchu służbowych symbioz stanowił ogniwo silne i bardzo dobrze osadzone. Przy tym wszystkim jednak przynajmniej do tej pory udało mu się nie zyskać wśród kolegów deprecjonującego przydomka prymusa czy wazeliniarza. Wynikało to z tego prostego faktu,

że Warecki wobec kolegów równych sobie, a często też – niższych stopniem i rangą, był po prostu lojalny. Tak więc zawodowo Czesław był właściwym człowiekiem na właściwym miejscu, przy czym sytuacja była dynamiczna, jego rola cały czas ewoluowała i on sam, w miarę upływu czasu, spoglądał na świat z coraz wyższej perspektywy. Co za tym szło, zwiększały się też sukcesywnie jego apanaże, więc pół roku wcześniej, przy lekkim wsparciu rodziców, którzy na ten cel przeznaczyci część pieniędzy otrzymanych za pięciohektarową działkę sprzedaną pod centrum logistyczne pod Grójcem, Warecki nabył na kredyt mieszkanie na jednym z wilanowskich osiedli. Traf chciał, że trzy miesiące później zmarła mama, a po kolejnym pół roku do mieszkania prawie na stałe wprowadził się ojciec, który ciężko zachorował na raka i teraz większość czasu spędzał w Warszawie. Tu bowiem, w centrum onkologii na Ursynowie, był leczony. W ten sposób nieomal niezastąpiony kapitan wywiadu, któremu koledzy nieomal bez złośliwości nadali w Agencji przydomek „Zero Siedem”, po powrocie do domu przebierał się w dres, wkładał kaptcie i przystępował do zajmowania się schorowanym tatą. Relacje z ojcem były jeszcze o tyle ciekawe, że ewoluowały od stanu z dzieciństwa, kiedy pijący dość intensywnie tata, kierownik działu maszyn w lokalnym pegeerze, w domu był gościem raczej rzadkim, aż po sytuację obecną, gdy Czesław poszedł na swoje, a tata stał się w jego kawalerce gościem permanentnym. Ojciec nie był zresztą jedynym elementem komplikującym jego usiłowania przejścia do drugiego etapu życia, jakim miałyby być ewentualnie własna rodzina. Paradoksalnie ową kolejną przeszkodą była kobieta. Jeszcze na studiach kapitan miał przelotny romans z pewną mężatką, która zresztą potem mężatką być przestała, ale jak się miało rychło okazać, powodem tego, bardziej niż miłość do Czesława, była niechęć do męża – chama i brutala, skądinąd zresztą policjanta. Związek z byłą żoną policjanta rozpadł się wkrótce po tym, jak się zawiązał, bo owa znalazła sobie innego, bardziej majątnego przyjaciela. W efekcie całej tej relacyjnej złożoności Warecki w życiu osobistym był zawieszony między schorowanym ojcem a nieżyjącą matką. Kobiety, która wypełniłaby lukę po jej stracie, w jego życiu jak na razie nie było.

– Na którą dzisiaj? – zapytał Czesław tatę po kwadransie milczenia, w trakcie którego obaj zdążyli zjeść obiad.

– Na szóstą, ile razy muszę ci powtarzać? – odpowiedział tata, nie przerywając jedzenia kaszki Smakija, którą Czesław podał jako deser.

– Zostajesz w szpitalu czy mam czekać? – Syn nie chciał się wdawać w szczegóły ustalania, kto komu co i ile razy musiał już powtarzać.

– Zostaję. – Tata skończył jeść, popatrzył na syna chwilę, po czym dodał z figlarnym uśmiechem: – Wolna chata.

Warecki pokiwał głową. Wolna chata rzeczywiście mogła mu się przydać, ale nie do celu, o jakim zapewne pomyślał teraz figlarnie uśmiechnięty ojciec, ale do tego raczej, żeby we względnym skupieniu przejrzeć pliki w cyfrowych archiwach ABW w poszukiwaniu człowieka o nazwisku Pytlasiński.

Gdy już zostawił ojca, przyłączonego do kroplówek, na oddziale smutnego kombinatu szpitala onkologicznego na Roentgena, Warecki wsiadł do samochodu, odchylił zasłone przeciwsłoneczną, w której miał lusterko, popatrzył na siebie i chwilę się zastanawiał, co właściwie powinien począć ze swoim życiem. Nic sensownego nie przychodziło mu wprawdzie do głowy, ale myśl o własnym

życiu, ku jego zaskoczeniu, po chwili zastąpiła myśl o kobiecie, z którą kilka dni temu był na kawie. Wyciągnął telefon, bo zabrzczał mu w kieszeni SMS-em. Odczytał na ekranie: „Proszę ją stamtąd natychmiast zabrać”. Treść SMS-a była dziwna, a podpis pod nim – „matka moniki” – wcale nie pomagał rozjaśnić sprawy. O pani Barbarze, mamie Moniki, Czesław nie wiedział wprawdzie zbyt wiele, ale z tego, co wspominał Adam, a też chyba z jakiegoś zdania rzuconego kiedyś przez samą Brzozowską, ułożył mu się w głowie obraz osoby raczej nie w pełni sił umysłowych. SMS i wcześniejsza myśl o Monice spowodowały, że wybrał jej numer.

– Jak się pani czuje? – zapytał po tym, jak Monika odezwała się po drugiej stronie.

– Ujdzie. – Monika chwilę wcześniej złapała się na tym, że zamiast odebrać połączenie od razu, odczekała kilka dzwonek, denerwując się jednocześnie, że on się zniechęci, a przecież jej potem nie będzie wypadało oddzwonić. – Ma pan coś na tego Pytłasińskiego? – zapytała służbowo, żeby za wszelką cenę ukryć przed samą sobą swoje wcześniejsze niesłużbowe myśli, po czym dodała usprawiedliwiająco, w razie gdyby Warecki odebrał jej pytanie jako zbyt chłodne i służbowe: – Adam mówił, że ma pan szukać w naszym archeo.

– Jeszcze nie zaglądałem, właśnie będę wracał do domu, odwiozłem tatę do szpitala... – zaczął się usprawiedliwiać.

– Coś się stało? – zapytała Monika, wreszcie nie myśląc nic ani nic nie kombinując, bo po prostu szczerze się zaniepokoiła.

– Nic specjalnego, w sensie nic teraz, tata ma po prostu raka – odpowiedział.

Przez chwilę Monika nic nie mówiła, bo ludzie tacy jak ona zawsze mają kłopot z tym, co można by odpowiedzieć w sytuacji, w której każda właściwie odpowiedź jest fatalna. Warecki nie odzywał się tymczasem, bo przyszło mu do głowy, że postawił ją niepotrzebnie w takiej właśnie sytuacji.

– Przykro mi – powiedziała w końcu to, co czuła.

– Dziękuję – odpowiedział to, co pomyślał. – A wiadomo już, kiedy mają panią puścić do domu? Jest pani tam dobrze strzeżona?

Pytania były dwa, a jako że zostały wypowiedziane tak szybko jedno po drugim, to Monice przyszło do głowy, że wyrażały troskę, i trochę ją to poruszyło.

– Do domu... nie wiem, chociaż chyba już niedługo, tydzień leżę, już przestali przychodzić w tych kosmicznych kostiumach, chodzę po oddziale. A strzegą? Strzegą chyba okej. – Monika uniosła się lekko na łóżku i zerknęła w stronę drzwi. – Siedzi cały czas jakiś kolega z prewencji, czasem nawet dwóch.

– Wiadomo już, co to za substancja była? – zainteresował się kapitan.

– To ja się pytam – uśmiechnęła się Monika. – Wojsko chyba bada, policji nawet do tego nie dopuścili, wnoszę, że pan będzie wiedział szybciej niż ja.

– Pewno tak – potwierdził Warecki, po czym zamilkł, bo chciał coś jeszcze powiedzieć, ale do tego musiał się trochę zebrać w sobie. – Odwiedzę panią, jak przejrzę te pliki, może będę już coś miał – odezwał się po chwili, której potrzebował właśnie na to, by się zebrać w sobie.

– Jak pan nie będzie miał, też proszę wpaść. – Monika powiedziała to, co myśl przyniosła jej na język, po czym od razu się w niego ugryzła.

Marek przyszedł chwilę po tym, jak rozłączyła rozmowę z Wareckim. Po sekwencji zabarwionych

lekkie erotycznie powitań Monika przeszła od razu do rzeczy.

– Masz? – zapytała półszepem.

– Strasznie jesteś strzeżona. Przy drzwiach siedzi ten typ z bronią. O co właściwie chodzi? – zdziwił się na początek Marek.

– Nie wiem, o co właściwie chodzi. W pracy zatruliśmy się jakąś dziwną substancją, badają, pilnują, nie mam pojęcia. – Monika zareagowała szybko, po czym wróciła do tego, od czego zaczęła.

– Masz?

– Mam. – Uśmiechnął się szelmowsko. – Ale gdzie ty zamierzasz to...

– Dam sobie radę, dawaj i chodź, przejdziemy się na fajka. – Uśmiechnęła się.

– I może jeszcze na coś – zasugerował, wcale nie delikatnie.

Warecki spod szpitala na Roentgena dojechał najpierw do alei Sikorskiego, a nią do alei Wilanowskiej, następnie skręcił w prawo. Do zjazdu na osiedle zostało mu kilkaset metrów. Kiedy jadąc od strony Sikorskiego, zbliżał się już do Sobieskiego, zobaczył, jak na pasie w przeciwną stronę pojawiła się betoniarka. Coś go tknęło, choć tak naprawdę nie było ku temu żadnych przesłanek. Ciężarówka grucha skręciła powoli z Sobieskiego i zbliżała się w jego stronę. On jechał jakieś osiemdziesiąt na godzinę, miał taką słabość, że przeważnie jeździł przynajmniej trochę szybciej, niż pozwalały na to przepisy. Na wysokości szpitala psychiatrycznego, tuż przed wysokim białym wieżowcem po lewej, było lekkie zwężenie, zniknął w tym miejscu pas zieleni i asfalt obu nitek zlewał się w jedno. Grucha zaczęła się rozpędzać, on nie zaczął hamować, ale czuł jakiś dyskomfort, zbliżał się do pasów, więc zdjął nogę z gazu. W tym momencie betoniarka nagle, będąc jakieś dziesięć metrów przed nim, zjechała na jego pas ruchu. Warecki nawet nie zdążył dotknąć hamulca, odbił gwałtownie kierownicą, prawe koła złapały pas zieleni, lewy bok otarł się o nacierającą na niego ciężarówkę wypełnioną betonem. Potem był taniec pingwina na szkle, samochód obróciło dwukrotnie, tylna oś ryła pas zieleni, przednie koła paliły się w bocznym poślizgu na asfalcie. W końcu samochód stanął. Kapitan przez moment dochodził do siebie, następnie zerknął w lewo, betoniarka z dużą prędkością oddalała się w kierunku skrzyżowania z Sikorskiego. Warecki wbił jedynekę i ruszył w pogoń za ciężarówką, jednocześnie sięgnął do kieszeni, wyciągnął telefon, wykrecił numer do Adama, którego szczęśliwie miał na samej górze listy ostatnich połączeń. Mógł zadzwonić po prostu na sto dwanaście, ale wtedy najprawdopodobniej najpierw musiałby dyżurnemu opowiedzieć swój życiorys, a na to w tej chwili nie miał czasu.

– Ciężarówka próbowała mnie staranować na Wilanowskiej, jadę za nią w kierunku Sikorskiego. – Warecki dyszał, teraz dopiero adrenalina zaczynała puszczać, a jej brak po wcześniejszym nadmiarze powodował, że organizm słabł nagle gwałtownie, nogi drżały, ręce na kierownicy też. Na szczęście na kursie jazdy, który musiał przejść w czasie szkoleń w Agencji, do takich sytuacji też ich przyuczano.

– Nie rozłączaj się. – Adam wiedział, że nie ma po co o cokolwiek teraz pytać, więc nie pytał. W takich sytuacjach na szczęście odnajdował się bardzo dobrze. – Nadam sprawę z drugiego telefonu.

Przez chwilę w słuchawce było cicho, tymczasem Czesław dojechał do skrzyżowania z Sikorskiego, które chwilę wcześniej przejechała ciężarówka. Kłopot polegał na tym, że kiedy ona

przejeżdżała, było jeszcze zielone światło, a teraz zdążyło się już zmienić na czerwone.

Warecki spojrział w lewo, jechała na niego ściana samochodów, nacisnął klakson i wcisnął pedał w podłogę. Samochód, z obitym lewym bokiem, z listwą trącą o asfalt, z wgniecioną tylną felgą i wyrwanym tylnym światłem, przeleciał przez skrzyżowanie, cudem unikając kolejnego ciosu ze strony nadjeżdżającego autobusu. Betoniarka zbliżała się już tymczasem do skarpy i lekkiego łuku przy ulicy Dominikańskiej. Trzysta metrów przewagi nie stanowiło wielkiego wyzwania dla bmw Wareckiego. Kiedy zrównał się z ciężarówką na wysokości ulicy Rolnej, najpierw wcisnął klakson. Kierowca jednak nijak nie zareagował, wtedy Czesław wyprzedził go nieznacznie, zajechał mu drogę i zaczął hamować. Po chwili poczuł dość silne uderzenie w tył. Sprawa była już absolutnie jasna. Kapitan zjechał ponownie na lewy pas, wyciągnął spod kurtki pistolet, otworzył prawą szybę, dał się tamtemu wyprzedzić na tyle, żeby znaleźć się na wysokości jego lewego koła, odchylił się odrobinę od kierownicy i zaczął strzelać. Opona pękła już po drugim strzale, ciężarówka zatańczyła po jezdni, po chwili wpadła w boczny poślizg, przeleciała przed beemką Wareckiego i bokiem uderzyła w latarnię ustawioną na pasie zieleni między jezdniami. Warecki zahamował gwałtownie i wyskoczył z auta. Kiedy dobiegł do ciężarówki, zdążył już też z niej wyskoczyć wielki jak tur kierowca, zaopatrzony w łom długi na metr. Opcje były dwie. Pierwsza to użyć broni. Samo jej wyciągnięcie, by spróbować postraszyć nią tura w ataku furii, spełzyłoby na niczym. Użycie broni wiązało się jednak, po pierwsze, z ryzykiem postrzelenia osoby postronnej, a po drugie – z ryzykiem uśmiercenia tura, a tego Warecki nie chciał. W związku z tym, ku zaskoczeniu, a chwilę później rozbawieniu tura, kapitan wrzucił pistolet na przednie siedzenie auta i ruszył, tak jak stał, w stronę owłosionego dwumetrowca z metrowym łodem w łapie wielkości bochna wiejskiego chleba. Na początek piętnastokilowy kawał żelastwa dosłownie świsnął mu nad głową. Warecki zdążył jeszcze pomyśleć, że gdyby się nie uchylił, uderzenie prawdopodobnie urwałoby mu głowę u nasady. Pierwszym ruchem z jego strony było potężne kopnięcie tura pomiędzy szeroko rozstawione nogi. Coś plasnęło, gigant pobladł, ale receptory bólowe nie zdążyły jeszcze najwyraźniej pokonać długiej i zawiłej drogi prowadzącej z miejsca plaśnięcia do mózgu i stalowy łom przeleciał na głowę Wareckiego po raz drugi. Teraz kapitan zebrał się w sobie i wykorzystując wszystkie zgromadzone siły, wyprowadził podbródkowy. Tym razem chrupnęło i Warecki się zorientował, że wykorzystał już wszystkie swoje atuty, bo w dłoni poczuł przeszywający ból. Na szczęście wcześniejsze plaśnięcie połączone z obecnym chrupnięciem spowodowało, że tur obalił się na plecy i przynajmniej przez moment nie wiedział, ani gdzie jest, ani co się dzieje. Ten moment kapitan wykorzystał na to, żeby spiąć mu ręce, a kajdanki przewlec dodatkowo za stalowym biało-czerwonym słupkiem, zgiętym w pół przez ciężarówkę.

– Zajebię cię, chuju! – Tur powoli wracał do formy.

Warecki rozejrzał się i korzystając z tego, że nie zbrali się jeszcze wokół ludzie ciekawi świata ze swoimi na stałe włączonymi kamerami w telefonach, przykleknął przy tamtym, przygniatając mu przy okazji kolanem krtań do kręgosłupa.

– Kto płaci? – zapytał i czekał, aż dług tlenowy u tamtego zwiększy się do rozmiarów trudnych do zniesienia. Gdy tur zsiniał już lekko, odpuścił nacisk.

– Zajebię cię, chuju! – Kierowca zachowywał się tak, jakby zacięła się w nim automatyczna sekretarka.

Warecki znowu się rozejrzał. Od strony pasów nadciągała kobieta z dwójką dzieci. Wszyscy troje mieli już zawczasu w rękach komórki. Na domiar złego gdzieś w nieodległym dźwiękowym tle pojawiła się też syrena nadciągających posiłków. Czas uciekał. Czesław wcisnął kolano raz jeszcze, a dodatkowo wraził swój kciuk w oko leżącego. Puścił, gdy dzieci z telefonami były już zbyt blisko. Tur tym razem prawie stracił przytomność.

– Kto? – zapytał jeszcze raz Warecki, ale już bez większej nadziei. Miał świadomość, że podobnych ćwiczeń nie będzie już mógł powtórzyć później, gdyż później, jakkolwiek by to było zaskakujące, turowi, kierowcy betoniarki, będzie już najprawdopodobniej towarzyszył prawnik w eleganckim gajerku w prążki ze stawką pięć tysięcy za godzinę.

– Sram na ciebie i na twoją matkę! – Automatyczna sekretarka zmieniła program.

Wstając, kapitan Czesław Warecki zawadził o łom, który chwilę wcześniej postawił przy biało-czerwonym słupku. Kawał żelastwa spadł na twarz tura tak niefortunnie, że wybił mu górne jedynki.

– Moja matka nie żyje! – Warecki odłożył łom na bok.

– Czy temu panu nic się nie stało? – zapytał chłopiec w okularach i z telefonem w garści, gdy już doszedł do Wareckiego na odległość oddechu.

– Nie, na szczęście chyba nic poważnego – odpowiedział Warecki z uśmiechem, po czym wskazał matce malca na betoniarkę, z której silnika buchała para: – Ale lepiej, żebyście się odsunęli, ta ciężarówka może się zapalić w każdej chwili.

– A dlaczego on jest przypięty kajdankami do tego? – zapytała oburzona mama maluchów.

– Bo próbował mnie zabić. – Warecki popatrzył zimno przez moment na matkę, po czym podszedł do krawężnika, przy którym w tym momencie zatrzymały się dwa wozy policyjne.

Monika i Marek wyszli na szpitalne patio. Było wprawdzie dość zimno, ale ona nie leżała tu przecież z grypą, więc opatulona w szlafrok, na zewnątrz nie czuła nawet chłodu. Na wszelki wypadek jednak szarmancki Marek zdjął kurtkę z pleców i przełożył ją na ramiona kobiety.

– Tam jest taka przybudówka. – Monika wskazała w stronę budynekczku, który wyglądał trochę jak śmietnik, a trochę jak magazynek dozorczy.

– A ty jesteś pewna, że możesz, w tym stanie? – zapytał Marek z troską.

– Czy co mogę, mój drogi? – odpowiedziała pytaniem na pytanie i uśmiechnęła się nieco tajemniczo.

– A po co tam idziemy? – On też zareagował uśmiechem.

Kiedy doszli za budynek, popatrzyła na niego.

– Daj. – Wyciągnęła rękę.

– No, właśnie. – Pokiwał głową ironicznie, jakby nieco zawiedziony, i sięgnął do kieszeni.

– Jedno nie wyklucza drugiego. – Monika odebrała foliową torebkę, w której były biała substancja, szklana fajka i zapalniczka.

– Na jakiś czas wyklucza – odpowiedział.

– Ale czasu nam chyba nie brak, czy spieszysz się do swojego maklerowania? – Monika zaczęła rozpakowywać zawartość torebki.

– A co państwo tu robią? – Głos dobiegł, jak strzały, znikąd.

Monika w pierwszym odruchu szybko schowała torebkę za siebie, po czym spojrzała w stronę wąskiego przesmyku, przez który sami przed chwilą przeszli. W szparze między budynkiem szpitala

a baraczką o nieznanym przeznaczeniu stał wiekowy mężczyzna w stroju z logo firmy ochroniarskiej i przyglądał im się karcącym wzrokiem.

– A jak pan myśli? – odpowiedziała Monika buńczucznie pytaniem na pytanie.

– Nie ma znaczenia, co ja myślę, znaczenie ma to, że tu nie wolno – odpowiedział siwy ochroniarz i czekał.

– Jak nie wolno, to nie wolno. – Do rozmowy włączył się Marek. – Idziemy.

Przeszli z powrotem przez wąski przesmyk, który teraz zwęził się jeszcze bardziej, bo wciąż stał w nim ochroniarz.

– Następnym razem was zgłoszę! – Staruszek pogroził im jeszcze palcem na odchodne.

Monika chciała się odwrócić i dokończyć wymianę zdań, ale Marek ją powstrzymał.

– Zostawię ci, później sobie zapalisz. – Złapał ją za rękę.

– Nie chcę sama palić. – Monika oddała mu torebkę.

– Czyli jednak trochę się boisz. – Uśmiechnął się. – Odrobina rozsądku u szalonej pani Ewy.

– Nie wiem, co jest, ale nie chcę też tego mieć przy sobie. – Spojrzała na niego. – Nie chcę stracić roboty.

– Rozumiem. – Popatrzył na torebkę, którą mu oddawała. – Może zostawię ci chociaż trochę?

– Myślisz, że chociaż trochę uratuje mnie w razie czego?

Warecki przekazał zatrzymanego w ręce prewencji, spisał raport na miejscu, na koniec obejrzał jeszcze swój samochód i uznał, że uszkodzenia nie są na tyle duże, by nie mógł nim pojechać w odwiedzinach do Szpitala Praskiego.

Tymczasem chwilę po tym, jak Marek wyszedł od Moniki, pod szpital od strony, na którą nie wychodziły żadne kamery monitoringu, podjechał czarny mercedes CLS, z którego wysiedli kobieta z pieprzykiem nad wargą i jej znajomy z hotelu w Radomiu.

Para dostała się do szpitala, ale nie wejściem głównym, tylko bocznym wyjściem dla pacjentów, których pogotowie przewoziło do innych szpitali albo do domów. Po wejściu do środka kobieta, idąca przodem, od razu skierowała się do bocznej klatki schodowej, którą wspięli się na drugie piętro. To na tym właśnie piętrze w izolatce leżała Monika. Kiedy wyszli z klatki na piętro, oboje mieli już na sobie białe fizelinowe kostiumy z kapturami na głowach i maseczki na twarzach. Personel zajmujący się Moniką nie używał już takich od dwóch dni, dlatego kiedy zbliżyli się do drzwi izolatki, ochraniający pomieszczenie policjant po cywilnemu lekko się zdziwił. W tym momencie mężczyzna się uśmiechnął, a kobieta wbiła policjantowi w szyję długi szpikulec, który wyszedł po drugiej stronie, czyli z karku. Policjant wpadł w drgawki, które ustąpiły po chwili, i wtedy już nie żył. Mężczyzna usadził go na krześle obok drzwi do sali. Młody chłopak z prewencji wyglądał, jakby spał, i tylko powoli, z szyi na siedzisko krzesła i dalej – na podłogę, spływała wąska strużka jaskrawoczerwonej krwi. Kobieta rozejrzała się po korytarzu, po czym weszła do sali, mężczyzna został na zewnątrz i usiadł obok policjanta tak, żeby osoby spoglądające na sytuację od strony gabinetu pielęgniarek oddziałowych nie widziały wąskiej strużki i kałuży zbierającej się pod stopami.

Dokładnie w tym samym momencie Monika wyszła z toalety znajdującej się po drugiej stronie korytarza. Komisarz od razu zauważyła, że policjant jakby drzemie, co wydało jej się mało

prawdopodobne, w związku z tym natychmiast zaczęła szukać jakichś innych odstępstw od normy. Kolejnym, jakie zauważyła, był mężczyzna siedzący za policjantem. Tym jednak, co wyjaśniło sytuację do końca, była kałuża czegoś, czego koloru z tej odległości nie mogła dostrzec, ale się go domyśliła: zbierająca się pod krzesłem, na którym drzemał policjant. Monika natychmiast zrozumiała, że ma bardzo niewiele czasu. Jakikolwiek ruch w stronę sali, do której przed momentem weszła kobieta, albo w kierunku gabinetu pielęgniarek skończyłyby się niechybną śmiercią nie tylko jej, ale też pewno większości personelu obecnego na piętrze. Brzozowska otworzyła delikatnie drzwi do toalety tak, żeby osłonić nimi tę stronę korytarza, wzdłuż której zamierzała wycofać się w stronę klatki schodowej. Kiedy dotarła do drzwi prowadzących na schody, z jej sali wyszła kobieta, i w tym momencie dostrzegła Brzozowską. Monika, wchodząc na klatkę, wiedziała już, że została zauważona. Odruch bezwarunkowy nakazywał zacząć zbiegać w dół, spryt podpowiedział coś innego, policjantka zdjęła adidas, które miała na nogach, wzięła je w rękę i ruszyła do góry. Sekundę po tym, jak zniknęła za załomem schodów na półpiętrze, drzwi na klatkę otworzyły się z hukiem i tamta dwójka ruszyła biegiem w dół.

Kiedy Warecki podjechał swoim bmw z rozoranym bokiem i urwaną lampą na szpitalny parking, zobaczył jeszcze wyjeżdżającego z niego eleganckiego CLS-a. Przyszło mu nawet przy tej okazji do głowy, że prawdopodobnie pacjent, którego rodzina właśnie odjechała, nie ma w szpitalu źle. Po chwili wysiadł z auta, wyciągnął komórkę i wykręcił numer do Moniki. Po kilkunastu sygnałach włączyła się sekretarka. Zadzwoił raz jeszcze, ale teraz, lekko już zaniepokojony, ruszył w stronę wejścia do szpitala.

– Kapitanie! – Głos Moniki nie doszedł do niego z telefonu, ale gdzieś z boku, od strony zatopionych w mroku szuwarów.

– Tak? – Warecki stanął i spojrzał w tamtą stronę.

– Odjechali? – Monika wyglądała na wystraszoną, a Czesław pomyślał, że nigdy jeszcze nie widział jej w takim stanie. Z drugiej strony zbyt często jej dotąd nie widywał.

– Kto? – zdziwił się.

– Weszli chyba przez boczną klatkę. – Zamiast odpowiedzieć, komisarz zaczęła snuć hipotezę, ale zatrzymała się nagle i popatrzyła na Wareckiego. – Na górze jest trup tego chłopaka...

– Jakiego chłopaka? – Kapitan wciąż nie wiedział, o co chodzi, ale jej zdenerwowanie i napływające informacje były coraz bardziej niepokojące.

– Tego młodego, którego przydzielili mi do ochrony, chyba z prewencji, on miał ze dwadzieścia lat. – Monika była naprawdę roztrzęsiona.

Warecki myślał szybko. W pierwszym odruchu chciał najpierw wejść na oddział i zweryfikować to, co mówiła Brzozowska. W jej przekazie i wyglądzie był taki chaos, że nie bardzo chciało mu się wierzyć w jej słowa. Jednak przypomniał sobie wypadki z ostatnich kilku godzin i dziwnego SMS-a od mamy Moniki.

– Przyszli po ciebie – skostatował.

– Na to wygląda – odpowiedziała, już trochę spokojniejsza.

– Czyli idą serią – powiedział, po czym szybko sięgnął po telefon, wybrał numer, a widząc dezorientację w oczach Moniki, wyjaśnił: – Mnie też próbowali zabić, jakąś godzinę temu.

Adam odebrał dopiero za trzecim razem.

– Gdzie jesteś? – odezwał się, jakby zdziwiony. – Od godziny przesłuchujemy tego twojego kierowcę.

– Nic nie wyciągnę. – Warecki pokręcił głową. – Jestem w szpitalu u... – przez moment zawahał się, bo nie był pewny, jak może nazwać Monikę w jej obecności – ...komisarz Brzozowskiej.

Monika uśmiechnęła się delikatnie.

– Czemu? – zapytał Adam.

– Bo... nieważne. – Warecki wyraźnie trochę się tłumaczył. – Ją też próbowali zabić, zabieram ją stąd. A ty...? – Przez moment namyślał się nad opcją. – Może zanocuj dziś na komendzie. Wszyscy musimy się chyba zaraz schować, bo nas wytrzepią jak muchy.

– Kto? – trochę niefrasobliwie zapytał Adam.

– Nie mam pojęcia kto: Borecki, Morawski, Stasiak albo jeszcze ktoś inny. Na oddziale w Szpitalu Praskim leżą zwłoki aspiranta, który pilnował Moniki, przyślij ludzi, no i powiadom Mateckiego. – W szybszym mówieniu strona tytułarno-formalna jednak mu umknęła, ale Monika nawet nie zwróciła na to uwagi. – Śpij w firmie, rano przyjedziemy i zastanowimy się, co dalej w ogóle robić.

Czesław rozłączył rozmowę i popatrzył na Monikę.

– Kurwa, przecież to jest niewiarygodne, żeby policjanci musieli się chować przed bandytami, co tu się w ogóle dzieje? – wyraził swoje oburzenie.

Chwilę stali oboje, przynajmniej w głowach próbując odpowiedzieć na pytanie, które zadał.

– Gdzie panią zawieźć? – Warecki wrócił do trybu oficjalnego.

– Nie wiem. – Popatrzyła na niego spokojniej. – Ale czuję się bezpieczniej, jak mówisz o mnie Monika, a nie komisarz Brzozowska.

Przez chwilę jeszcze stali, w końcu ona wyciągnęła rękę do niego.

– No więc... Monika.

– Czesław, to znaczy, jeśli można, Czesiek. – Warecki był naprawdę kulturalnym człowiekiem.

Po drodze ustalili, że przede wszystkim Monika nie może wrócić do swojego mieszkania w alei Wojska Polskiego na Żoliborzu. Pierwsza pojawiła się zatem opcja spędzenia nocy w mieszkaniu mamy, ale dość szybko została wyeliminowana przez logikę i emocje. Po pierwsze, tamci z całą pewnością znali też i ten adres, a po drugie – perspektywa choćby jednej nocy spędzonej z mamą w jej małej kawalerce zdecydowanie Monikę przerastała. Gdzieś w powietrzu wisiała jeszcze jedna opcja: spędzenia przez nią nocy u Wareckiego, ale takiego wariantu przynajmniej na razie żadne z nich nie miało odwagi zaproponować. Stało na tym, że z wszystkich możliwych miejsc najbezpieczniejsze będzie mieszkanie Marka. Kapitan zgodził się, że to rzeczywiście najlepsza opcja, choć tak naprawdę wcale mu się ona nie podobała. Tymczasem jej trochę nie podobało się to, że tego nie wyraził. W całej złożoności sytuacji była jeszcze jedna drobna komplikacja. Otóż Monika wsiadła do samochodu Wareckiego tak, jak stała, a konkretnie tak, jak udało jej się uciec z oddziału szpitalnego, czyli w koszuli nocnej i narzuconym na nią szlafroku.

Jak cię odwiezę, mogę podjechać do ciebie do domu i zabrać stamtąd jakieś rzeczy – zaproponował Czesław.

- Nie możesz – odpowiedziała bez namysłu.
- Czemu?
- Bo cię zabiją. – Zerknęła na jego twarz, podświetlaną teraz tylko instrumentami na desce rozdzielczej. – Oni tam są.
- To co robimy? – zapytał.
- Przy Łopuszańskiej, niedaleko od alei Krakowskiej, jest centrum handlowe... – zaczęła.
- Wiem, znam. I co, wejdiesz do centrum handlowego ze stempelkami Szpitala Praskiego na szlafroku? – Uśmiechnął się.
- Nie wejdę. – Ciągle patrzyła na niego, miał ciepłe oczy, to zauważyła już dawno, teraz do tego spostrzeżenia doszło jeszcze inne: kapitan Czesław Warecki był po prostu przystojnym facetem. – Ty wejdiesz.
- Jak? W życiu nie kupowałem damskich rzeczy, w ogóle mało co kupuję – zdenerwował się.
- Wiem – powiedziała, po czym zdała sobie sprawę z lekkiej niestosowności tej konstatacji, więc szybko przeszła do dalszej części wywodu: – Podam ci rozmiar, który potem szybko zapomnisz, a najpierw kupisz mi dżinsy i jakąś bluzkę, no, może jeszcze bieliznę. Uda się?
- Raz się żyje. – Pokiwał głową z uśmiechem.

Kiedy poszedł, ona została w samochodzie, niepokojąc się lekko o to, czy nie będzie musiała za chwilę przemykać ze wstydem pod ścianami. Nawet dżinsy i podkoszulek mogły być, jak wiadomo, ładne albo brzydkie. Czesław wrócił po dwudziestu minutach, przyniósł spodnie, bluzkę i bieliznę. Wszystko było okej i pasowało do siebie. Monika pomyślała, że naraził ją właśnie na spory wydatek, ale było to tego warte, bo rzeczy wyglądały naprawdę dobrze.

- Ile jestem ci winna? – zapytała po tym, jak przebrała się w samochodzie, z którego go najpierw znów wyprosiła.
- Nic. – Nie patrzył na nią, bo był naprawdę kulturalnym człowiekiem.
- Nie ma takiej opcji – lekko się zdenerwowała – kwity pokaz.
- Wyrzuciłem. – Nadal nie patrzył, ale się uśmiechnął.
- A gdyby nie pasowało? – zapytała zaskoczona.
- A nie pasuje? – Teraz w końcu spojrzał na nią, a w jego spojrzeniu zawierała się odpowiedź.

Kiedy podjechali pod dom Marka przy Radarowej, obojgu było to już nie na rękę, ale żadne nie umiało tego jeszcze wyrazić. Tymczasem słowo się rzekło, bo już pół godziny wcześniej Monika bez przesadnego wnikania w szczegóły zapowiedziała, że przyjedzie, a poza tym przynajmniej na razie i tak nie było innego wyjścia. Warecki uparł się tylko, że dla bezpieczeństwa musi ją odprowadzić na górę. Idąc do mieszkania Marka, próbował sam siebie przekonywać, że chodzi wyłącznie o to, ale nie chodziło wyłącznie o to. Kapitan chciał też zobaczyć człowieka, z którym Monikę łączyła więź. Pewno po prostu chciał też zobaczyć człowieka, któremu zazdrościł. W tym momencie nie wiedział jeszcze o tym, że tak naprawdę Moniki z Markiem oprócz ciała i czasem wspólnych narkotyków nie łączyło zbyt wiele. Gospodarz był wyraźnie zaskoczony jego obecnością, ale zaprosił ich oboje do środka. Czesław przedstawił się jako kolega z pracy. Było to po części prawdą, Marek nie miał jedynie pojęcia co do tego, jaka mianowicie była to praca. Kiedy Warecki upewnił się, że Monika jest

bezpieczna, wyszedł. Na dole wsiadł do samochodu i chwilę siedział, bo nie bardzo wiedział, co ma dalej ze sobą począć.

Oni usiedli przy stole. Marek zrobił kawę.

– Chcesz zapalić? – zapytał, kiedy opowiedziała mu już, co się wydarzyło.

– Po tym zatruciu? – zawahała się.

– Może się trochę zdetoksykujesz. – Popatrzył na nią. – Sam nie wiem. Jakby co, to w każdym razie jest.

Ona namyśliła się chwilę.

– Daj. – Pokiwała głową.

Marek wyszedł do przedpokoju, coś tam gmerał. Monika usłyszała, jak przekręca zamek w drzwiach, po chwili wrócił i położył przed nią plastikową torbę.

– Zapal. – Popatrzył na nią trochę filuternie. – Ja się wykąpię, potem może coś...

– Zobaczymy. – Uśmiechnęła się mało szczerze, a swoje lekkie zażenowanie spróbowała pokryć uśmiechem. – Potwornie mnie zestresowało to, co się stało.

– Nie musisz się tłumaczyć – powiedział trochę jakby oschle, a może tylko jej się wydawało, ale zaraz to zmiękczył: – Myślę, że cię rozumiem. Pal, pal, zaraz przyjdę się podłączyć.

Marek wyszedł do łazienki, a ona pomyślała, że jeżeli zapalić była skłonna, co więcej – miała nawet na to ochotę, to już na owo „może coś” niekoniecznie. Rzeczywiście, była koszmarnie zmęczona, wyczerpana zatruciem i stresem, jaki stał się jej udziałem przez ostatnie kilka godzin, ale przede wszystkim Marek trochę przestał jej się podobać. Może stało się tak dlatego, że spodobał jej się już ktoś inny. Naszykowała szklaną fajkę, podgrzała ją od dołu i kiedy już miała ściągnąć unoszące się opary, nagle usłyszała ciche skrzypnięcie drzwi. Trochę ją to zaskoczyło, z łazienki słychać było odgłos leżącej się wody, Marek przed chwilą przekręcił przecież zasuwkę. A może przekręcił ją...

Kobieta, która stanęła w wejściu do kuchni, była właściwie dokładnie taka sama jak wtedy, gdy Piotr przyprowadził ją do restauracji na Burakowskiej, niewiele też zmieniła się od czasu, gdy próbowała zamordować Monikę w barakowozie w nadmorskiej Wisielce. Nad wargą miała nawet wciąż ten sam pieprzyk. W porównaniu ze zdjęciami, jakie mieli z monitoringu, tylko jedna rzecz zmieniła się zasadniczo. Kobieta miała teraz krótkie rude włosy. Zanim się odezwała, Monice zdążyło przemknąć przez myśl, że w tych włosach wyglądała chyba najlepiej spośród wszystkich wariantów, w jakich ją do tej pory widziała.

– Przed nami nie da się uciec – powiedziała kobieta trochę dziwnym akcentem, jakby sepleniła, po czym uśmiechnęła się właściwie dosyć ciepło.

Sekundę później za jej plecami pojawił się ten sam człowiek, który był z nią też w Radomiu.

Monika nie drgnęła, nic też nie odpowiedziała. Zastanawiała się, czy wołać Marka, czy raczej tego nie robić i dzięki temu być może stworzyć mu chociaż cień szansy na przeżycie. Czas płynął wolno, a może szybko. Nie było żadnego punktu odniesienia.

– On ci nie pomoże. – Kobieta dopowiedziała jej myśl, jakby siedziała w środku jej głowy. – Zbieraj się, nie będziemy tu siedzieli do rana – wskazała na leżącą na stoliku fajkę, z której wciąż jeszcze ulatywał lekko niebieskawy dym – i kopcili z tobą tego gówna.

– Kim wy jesteście w ogóle? – zapytała Monika ze spokojem, którym zaskoczyła nawet samą siebie.

Kobieta zaczęła się śmiać, a jej śmiech nie był normalny, zresztą właściwie nic nie było w niej normalne. Monice przemknęło nagle przez myśl, że może kobieta z pieprzykiem była kiedyś facetem albo była bardzo chora na jakąś psychiczną dolegliwość.

– Nie mogę ci powiedzieć, bobyśmy musiała cię zabić. – Kobieta przestała się śmiać, zarechotał za to stojący za nią facet z Radomia.

Przez chwilę nikt nic nie mówił. W końcu kobieta wyciągnęła zza poły skórzanej kurtki czarną berettę kaliber 92. Monika wstała, żeby dłużej nie komplikować sprawy. Przechodząc między facetem a kobietą w kierunku drzwi, zastanawiała się, jak właściwie za nią tu trafili. To znaczy bardziej zmuszała własną głowę do zastanawiania się nad tym, bo myśl, która zjawiała się pierwsza, była myślą o nadchodzącej śmierci. Kiedy byli już blisko wyjścia, nagle otworzyły się drzwi do łazienki i stanął w nich Marek. Brzozowska najpierw się przeraziła, że oto pociągnie za sobą jeszcze jedną niewinną ofiarę. Po chwili jednak zdziwiło ją trochę to, że Marek, który choć od dziesięciu minut był w łazience i brał prysznic, o czym świadczyły odgłosy leżącej wody, to teraz nagle stanął w drzwiach od łazienki ubrany tak, jak kiedy wychodził z kuchni.

– A ja co mam zrobić? – zadał pytanie Marek, ale nie było ono skierowane do Moniki, tylko do rudej z pieprzykiem.

– Podpal i znikaj – odpowiedziała kobieta, a z jej tonu wynikało, że do Marka miała stosunek raczej indyferentny. Taki mniej więcej, jaki współczesny pracodawca w korporacji ma do pracownika, którego dzieli od niego bardzo wiele szczebli w zakładowej hierarchii.

Monika pomyślała, że oto właśnie okazało się, że jej pierwotny instynkt, który zakwalifikował Marka, czy jakkolwiek ten mały człowieczek się nazywał, do osób niegodnych zaufania, miał rację. Zastanawiała ją tylko, jak ten gość znalazł się w takim razie wśród pracowników państwowego bądź co bądź banku. Może oprócz tego, że był bandytą, był też maklerem. Te rzeczy się nie wykluczały.

– Cieszysz się, że miałaś rację. – Kobieta odezwała się znów, tak jakby siedziała w jej głowie, a Monice wydało się, że w sposobie jej mówienia jest jakiś bardzo schowany i odległy, ale jednak obcy element.

– A skąd ty jesteś właściwie? – zamiast odpowiadać, zapytała, bo była ciekawa.

Kobieta pokręciła głową i westchnęła tak, jakby prowadziła ze sobą trochę niesforne dziecko do przedszkola, a nie policjantkę na śmierć.

– Ciekawość zabiła kota – odpowiedziała po chwili.

– A tego nie znałam – zdziwiła się trochę Monika.

– No, właśnie.

Wyszli na klatkę, a tak zwany Marek zamknął cicho drzwi za nimi. Tak jakby byli świadkami Jehowy albo księdzem po kolędzie, skojarzyło się Brzozowskiej. Przodem szedł facet, który do tej pory jeszcze się nie odezwał. Może nie umiał mówić, bo po co właściwie, pomyślała. Z tyłu za nią, z berettą cały czas wrażoną lekko w jej plecy, szła kobieta, która od szesnastu lat próbowała ją zabić. Możliwość ruchu była niewielka, Monika mogła wprawdzie zacząć krzyczeć, ale wtedy, chcąc nie

chcąc, odwaliliby ją prawdopodobnie po prostu od razu na klatce, a tak... A tak przynajmniej mogła pożyć jeszcze choć trochę dłużej. Raz już kiedyś umarła, ale wtedy nie była chyba nawet świadoma, że to się dzieje, a nawet jeśli mogła się tego domyślać, to narkotyk, który wstrzyknęła jej kobieta idąca teraz za nią z berettą w dłoni, działał stopniowo i malowidła ciemniały powolnie w miłym właściwie klimacie heroinowego snu. Teraz nie było żadnego snu, jeśli już, to były raczej objawy narkotykowego odstawienia i narastający lęk.

– Gdzie mnie stukniecie? – zapytała bardziej, żeby usłyszeć czyjś głos i wyrwać się z czarnej dziury koszarnej samotności, niż żeby czegoś się dowiedzieć.

– A co za różnica? – Po raz pierwszy odezwał się Poniński z Radomia.

Czyli jednak umie mówić, pomyślała Monika.

– No, w sumie racja – odpowiedziała po chwili.

Minęli skrzynki pocztowe i doszli do wyjścia z klatki. Facet nacisnął guzik odblokowujący drzwi i z zewnątrz tchnął na nich chłód nocy. Mercedes, ten sam, którym odjechali kilka godzin wcześniej spod szpitala, stał dwadzieścia metrów od wejścia. Dwadzieścia metrów na to, by cokolwiek zrobić, dwadzieścia metrów życia, pomyślała Monika, która od razu zorientowała się, że idą do tego właśnie auta, jedyne kompletnie nieprzystające do wszystkich pozostałych. Chwilę po tym, jak pomyślała o ostatnich metrach życia, poczuła, jak beretta wbija jej się w plecy jeszcze nieco mocniej.

– Przepraszam państwa? – usłyszała nagle bełkotliwie pijany głos, który z tembru wydał jej się jakby znajomy.

– Czego? – Małomówny Poniński z Radomia odwrócił się w stronę głosu jako pierwszy i wtedy huknął strzał.

Zrobił się chaos. Małomówny złapał się za nogę, Monika upadła na ziemię, kobieta z pieprzykiem złapała swojego partnera za szyję i używając go jako tarczy, zaczęła strzelać w stronę faceta z pijano-bełkotliwym głosem, który nagle zniknął gdzieś między samochodami. Monika oceniła sytuację i kiedy kobieta skierowała broń w jej stronę, momentalnie wtoczyła się pod stojący przy krawężniku samochód dostawczy. Widziała stamtąd nogi kobiety, która ciągnęła swojego partnera przed sobą w kierunku mercedesa. Następnie widziała, jak wsiadła do samochodu, w końcu usłyszała jeszcze strzał, a chwilę później dostrzegła ciało Ponińskiego, opadające bezwładnie na ziemię. Mercedes ruszył z piskiem opon i odjechał, rozbijając jeszcze po drodze kilka zaparkowanych samochodów. Kiedy Warecki z bijącym sercem zajrzał pod auto, pod którym chwilę wcześniej zniknęła Monika, zobaczył ją w sytuacji, w jakiej nie widział jej jeszcze żaden mężczyzna w życiu. Monika leżała wciśnięta między asfalt a rurę wydechową i łkała z twarzą ukrytą w dłoniach.

Do mieszkania Marka, który nie był Markiem, Czesław wpadł minutę później. Na dole, na parking, wokół rozstrzelanego przez swoją szefową małomównego faceta o nieznanym imieniu, gromadzili się już sąsiedzi z telefonami komórkowymi w rękach. Marka ani jego rzeczy już w mieszkaniu nie było. W salonie panował chłód, bo było otwarte okno, przez które prawdopodobnie chwilę wcześniej, widząc, co dzieje się na ulicy pod domem, czmychnął makler z Pekao. Wszędzie wkoło czuć było benzynę, którą Marek rozlał, ale której w popłochu nie zdążył zapalić.

– Wszystko mam gdzieś – odezwała się nagle Monika zza pleców Wareckiego – ale tego śmiecia dorwę i uduszę go jego własnymi genitaliami.

– To jego czy twoje? – Czesław stał nad stołem w kuchni, na którym wciąż jeszcze leżał sprzęt do palenia cracku.

– Wspólne. – Monika mogła właściwie skłamać i w zasadzie prawdopodobnie tak właśnie by zrobiła, gdyby zapytał ją o to ktokolwiek inny.

Warecki pokiwał głową, wyglądał na niespecjalnie zaskoczonego, ale tak naprawdę był zaskoczony, tyle że nie chciał jej tego w tym momencie okazać. Po chwili spakował rzeczy do foliowej torebki, którą schował do kieszeni kurtki. Monika patrzyła na niego zdziwiona.

– Ciebie będą sprawdzać pod kątem jego DNA, mnie sprawdzać nie będą. – Uśmiechnął się. – Swoją drogą, umyj ręce, bo pewnie na dłoniach też to masz.

W ciągu pół godziny na miejscu zaroilo się od służb. Najpierw zjechała się policja w liczbie mniej więcej trzydziestu funkcjonariuszy różnych wydziałów i komend, potem dołączyło jeszcze kilku wyższych od Wareckiego stopniem i rangą oficerów ABW. Ciało partnera tajemniczkiej kobiety, leżące w kałuży krwi, zostało osłonięte policyjnym płótkiem. Przy zwłokach pracę rozpoczęli kryminaliści. Policjanci z prewencji oddzielili kawał terenu taśmą i ciekawscy sąsiedzi z wolna zaczęli się rozchodzić do domów. Matecki pojawił się po kolejnym kwadransie. Najpierw rozeznał się w sytuacji, następnie, wraz z jednym z oficerów ABW, zaprosił Monikę, Wareckiego i Wójcika do zaparkowanego nieopodal wozu dowodzenia. Kierowcy kazał zamknąć drzwi i się zmyć, po czym popatrzył na tamtych troje.

– Co tu się, kurwa, dzieje? – zapytał.

– Przywiozłem panią komisarz do jej partnera, ponieważ po wydarzeniach ze szpitala i wcześniejszych uznaliśmy, że nie może wrócić do domu... – zaczął Warecki.

– Nie pytam o to, nie interesują mnie te pierdoły, pytam w ogóle! – Matecki był wściekły, a tak naprawdę zdaje się trochę przerażony. Zresztą Monika już dawno zauważyła, że najbardziej wściekają się ci, którzy najbardziej się boją.

Nikt nic nie odpowiedział, bo w ogóle to tak naprawdę kompletnie nie było wiadomo, co się dzieje.

– W ciągu kilku dni mamy sześć trupów, w tym jedno zatrucie jakimś toksycznym gównem nie wiadomo skąd! – Matecki nakręcał się coraz bardziej. – I jednego policjanta!

– Ale za to jeden jest też od nich. – Warecki wskazał w stronę płotka rozstawionego na ulicy za oknem wozu dowodzenia.

W tym momencie boczne drzwi się odsunęły i do wozu wsiadł mężczyzna w garniturze. Czesław i Matecki skinęli mu na przywitanie. Monika nie miała pojęcia, kto zacz, więc mu nie skinęła.

– Co z tego, że od nich? – Matecki kontynuował, rozeźlony coraz bardziej. – Ja mam media na głowie, komendę główną, ministerstwo, panów... – Tu inspektor wskazał na siedzącego już obok Czesława mężczyznę w garniturze. – Co to, kurwa, jest w ogóle?! Wojna jakaś?

– Hybrydowa. – Adam szybciej powiedział, niż pomyślał.

Matecki przez moment był bliski totalnej erupcji, w końcu zmiarkował.

– Kogo z kim? – zapytał, przeskakując wzrokiem z Adama na Wareckiego i w końcu na Monikę.

– Nas... – odpowiedziała Monika – ...z kimś.

Matecki patrzył już tylko na nią: najwyraźniej ta odpowiedź go nie usatysfakcjonowała.

– Z szajką pedofilów? – bardziej zapytała samą siebie, niż stwierdziła.

– Rozumiem, że dochodzenie będą prowadzić tych dwoje pańskich ludzi i kapitan Warecki ode mnie? – Do rozmowy włączył się w końcu elegancki w garniturze. Z kontekstu jego wypowiedzi Monika wysnuła wniosek, że jest jakąś szyczą z ABW.

– Nie wiem, na razie tak, powiedzmy. – Matecki odreagowywał sytuację tak, że przy okazji sprawiał wrażenie lekko obrażonego.

– W zaistniałych okolicznościach przekazuję do państwa dyspozycji nasz tajny lokal agencyjny przy Żurawiej. – Elegancki popatrzył na tamtą trójkę, po czym dodał jakby z dumą w głosie: – To jest mieszkanie, którego teoretycznie w ogóle nie ma.

– I co mamy z nim zrobić? – Monika lubiła zadawać bezpośrednie pytania.

– Myślę, że powinniście tam po prostu zamieszkać. – Tamten popatrzył na nią z delikatnym uśmiechem, który nie bardzo wiadomo, co miał oznaczać. – Wygląda na to, że dlatego, że prowadzicie to dochodzenie, ktoś próbuje was zabić, więc... tam będzie bezpieczniej. Mieszkanie oprócz tego, że go nie ma, jest też jednym z lepiej strzeżonych lokali w Warszawie.

– Dziupła wam się zdekonspiruje – zauważyła Monika.

– Trudno. – Elegancki przestał się uśmiechać, po czym wypalił nagle formułkę trochę jakby z innej bajki: – Najważniejsze jest ludzkie życie.

– Ja nie będę mógł tam zamieszkać, panie majorze. – Warecki przerwał chwilowe milczenie.

– Nie rozumiem – zdziwił się major, który był też przy okazji jego bezpośrednim przełożonym. – Panie kapitanie, ja pana nie proszę, to jest rozkaz.

– Rozumiem, ale nie mogę go wypełnić – zaczął Warecki, patrząc tamtemu w oczy.

Przez chwilę zapanowała konsternacja.

– Opiekuję się ojcem chorym na raka. – Warecki opuścił wzrok. – Nie mogę zniknąć, nie mogę go zostawić samego. Proszę na moje miejsce powołać w tej sytuacji kogoś innego.

– Ale co to zmieni? – Do rozmowy wtrąciła się Monika. – I tak cię zabiją, skoro już się za to wzięli.

Adam pokiwał głową, Matecki i major ABW nie wiedzieli najwyraźniej, co powiedzieć w tej sytuacji.

– Nie zamieszkaż w lokalu, a pan major przydzieli ci chłopaków do ochrony, będziesz się opiekował ojcem i pomagał nam w śledztwie, czyli zostanie, jak było. – Monika uwielbiała wymyślać łatwe rozwiązania spraw, które często facetom zapętlonym w meandrach schematów myślowych wydawały się nieprawdopodobnie zawiłe.

Przez moment zwierzchnicy analizowali propozycję tak, jakby wymagała rzeczywiście jakichś szczególnie zawiłych analiz, w końcu major popatrzył na Mateckiego i sekundę później pokiwał głową.

– Musicie też uważać na to, co i gdzie jecie, co pijecie. Substancja, której użyto do otrucia świadka Walusia, to bezwonna i bezbarwna toksyna, która może zostać wprowadzona właściwie do wszystkiego. Akurat w jego przypadku odkryliśmy, że samochód, którym się przemieszczał, był zasypany... – major nagle przestał mówić, bo przypomniał sobie, że nazwa toksyny, którą prawie już podał, była absolutnie tajna i nie mogło jej poznać nawet grono najściślejszych współpracowników –

...toksyną w środku i dostała się tam przez...

– Nawiewy – dokończyła Monika.

– Skąd pani wie? – zdziwił się major.

– Stąd, że w ten sam sposób ci sami ludzie wprowadzali kiedyś do mojego samochodu substancje odurzające. Myślę, że to ich patent: prosty i skuteczny – wyjaśniła.

– Zastanawiamy się jeszcze, czy zatrucie toksyną miało też dotknąć pani, to znaczy czy celowo zatruto go tuż przed spotkaniem z panią, czy nie. – Mówiąc to, major, przyglądał się Monice tak, jakby trochę go dziwiło, że ona w ogóle jeszcze żyje.

– Sądzę, że celowe. – Monika wyczuła tę delikatną nutę ironii w jego głosie i odwzajemniła mu się identyczną. – Jeśli już używa się takich środków do zabicia kogoś, a istnieją przecież znacznie prostsze, czystsze i skuteczniejsze, to oznacza, po pierwsze, że chce się coś komuś pokazać, a po drugie, że ma się pełną kontrolę nad sytuacją.

– A jednak pani żyje. – Major już nie był ironiczny, teraz uśmiechnął się raczej przekornie.

– Widocznie jednak miałam żyć. – Ona znów zachowała się trochę jak lustro, jej uśmiech był nie mniej przekorny.

– Zaraz, zaraz, co za niedorzeczność to wszystko jest?! – oburzył się nagle Matecki. – To znaczy, że co? Że oni grają nami jak pionkami na szachownicy?

– Na razie chyba tak, ale powoli trochę przestaje im wychodzić. – Adam też postanowił w końcu przypomnieć o swoim istnieniu, odezwał się i wskazał ręką za przyciemnianą szybę wozu dowodzenia, gdzie na ulicy, ukryte za policyjnym płotkiem, leżały zwłoki niezidentyfikowanego mężczyzny, pierwszej ofiary poniesionej przez tamtą stronę.

– Bezwzględni są – skomentował Warecki. – Ta kobieta wykończyła go sama, kiedy uznała, że nie uda się go stąd wywieźć, po prostu na moich oczach strzeliła mu w łeb.

– Kim są ci ludzie? – Matecki nie pierwszy raz w czasie tej rozmowy rzucił to pytanie. Tym razem jednak najwyraźniej nie spodziewał się już odpowiedzi, bo wstał z fotela i zaczął się gramolić w kierunku wyjścia z wozu. Spotkanie niniejszym dobiegło końca.

W mieszkaniu Marka pracowała kilkusobowa grupa kryminalistów. Każdy kąt, każdy mebel, a nawet wykładzinę przetrząsano w poszukiwaniu śladów linii papilarnych albo DNA właściciela, a właściwie podnajemcy, albo kogokolwiek oprócz Moniki, która w końcu też spędziła tu kilka nocy.

– No i? Co macie? – Monika, która weszła do mieszkania chwilę wcześniej w specjalnych ochraniaczach na buty i w gumowych rękawiczkach, stała w wejściu do kuchni i przyglądała się Mirkowi opracowującemu akurat w tym momencie szklany stolik kuchenny.

– W cholerę różnych śmieci, odcisków też co niemiara, ale z tego co widzę po wielkości, to głównie jeden facet, mam też kilka kobiecych, w łazience i w sypialni... – referował Mirek.

– To są moje, ta babka z tym typkiem, który leży pod blokiem, niczego tu nie dotykali... raczej. – Monika coś sobie nagle przypomniała, rozejrzała się w poszukiwaniu Wareckiego, który chwilę wcześniej wszedł z nią razem do mieszkania, a teraz gdzieś zniknął.

Odnalazła go w salonie, przeglądającego w skupieniu książki ustawione w segmentach meblościanki.

– Żadna nie jest jego – odebrała mu nadzieję. – To takie mieszkanie gotowiec: wchodzisz i masz zdjęcia na ścianie z Ikei i książki kupione razem z meblem.

– Nie dziwiło cię to, jak tu przychodziłaś? – zapytał, a jej wydało się, że w pytaniu krył się bardzo zawołowany zarzut, ale czy dotyczył tego, że jej nie dziwiło, czy tego, że tu w ogóle przychodziła, innymi słowy: czy był to zarzut policjanta, kolegi z pracy, czy może mężczyzny, który kupował jej wcześniej bieliznę, tego nie była pewna.

– Masz tę torebkę? – zapytała jednak szeptem o co innego, bo nie chciała go stawiać w kłopotliwej sytuacji, pytając o tamto.

Popatrzył na nią, zdziwiony.

– Tę foliową, w której były... – chciała wyjaśnić.

– Narkotyki? – Nie ściszył głosu, a ona rozejrzała się, czy ktoś go przypadkiem nie usłyszał.

– Masz?! – Poczowała się odrobinę zawstydzona tym, że ona mówiła cicho, a on nie zamierzał, więc sama też przestała szeptać.

– Może, a po co ci? – zapytał, patrząc jej w oczy.

– Odcisk palca – zaczęła objaśniać. – Jediną rzeczą, którą ta baba wzięła do ręki, była ta torebka.

Popatrzył na nią z lekkim niedowierzaniem.

– Posłuchaj, Czesław – rozeźliło ją to trochę – jakbym chciała sobie to zorganizować, to naprawdę wiem gdzie, ale teraz potrzebuję tej torebki dla kryminalistyków.

– Wiesz, gdzie się organizuje narkotyki i nie zgłosiłaś tego organom? – Nadal próbował się z nią jeszcze droczyć, ale szybko zorientował się, że nie tędy droga, sięgnął do kieszeni skórzanej kurtki i podał jej torebkę.

– Zaniosę ją do Mirka, ale nie zgłoszę oficjalnie jako dowodu w sprawie, jeśli jest odcisk, to później się zastanowimy, skąd go mamy – wyjaśniła rzeczowo.

– Jasne. – Pokiwał głową i popatrzył na nią przeciągle, a jej zrobiło się głupio, bo wiedziała, że ma rację.

Owszem, torebkę zanieś jutro Mirkowi do laboratorium, ale jej zawartości ani tam nie zanieś, ani nie wyrzuci.

– Okej, okej, wiem, ogarnę to – powiedziała, nie patrząc mu już w oczy.

Lepiej wcześniej niż za późno, pomyślał, ale już tego nie powiedział, bo ona i tak sama to doskonale wiedziała.

Tymczasowo, przed przygotowaniem mieszkania na Żurawiej, umieszczono całą trójkę w hotelu policyjnym w Piasecznie. Tutaj, nawet gdyby ktoś ich namierzył, to żeby zrobić im krzywdę, musiałyby najpierw uśmiercić kilkuset policjantów przewencji zamieszkujących te największe warszawskie koszary policji.

Czy jest coś bardziej perwersyjnego od palenia cracka w toalecie hotelu policyjnego w Piasecznie? Monika rozmyślała nad tym, siedząc na muszli i wdychając toksyczne opary ze szklanej lulki. Nie paliła mniej więcej od pięciu dni i teraz, po zaciągnięciu potężnego bucha, przez moment zastanawiała się, czy wróci w ogóle z podróży, w którą zabrał ją narkotyk. Wróciła. Niby ta sama średnio elegancka łazienka, to samo jarzeniowe światło, ale wszystko jakby inne, bardziej kanciaste. Ile minęło czasu? Wydawało jej się, że cała kosmiczna wieczność, ale kiedy zerknęła na wyświetlacz w telefonie, okazało się, że od macha do teraz upłynęło zaledwie siedem minut. Gdzie była przez tę krótką wieczność? W objęciach mężczyzny, którego zabiła, kiedy przypomniała sobie, kim był naprawdę. W prozie codzienności pamięć o Piotrze była dla niej ciężarem. Może nie tyle nawet

pamięć o nim, ile bardziej fakt, że go zabiła, oraz trudny do określenia smutek i tęsknota. Czy go kochała? To pytanie powracało najczęściej, ale zamiast znajdować na nie odpowiedź prostą i jednoznaczną, głowa i serce Moniki mnożyły kolejne wątpliwości. Na przykład pytanie o to, kogo mianowicie miała kochać bądź nie kochać. Czy mężczyznę, który podawał się za szefa agencji reklamowej i wydawał się niewinny i niezaznajomiony z życiem jak szesnastolatek? Czy płatnego zabójcę umotanego w mroczną sieć powiązań i wyrzutów sumienia jeszcze znacznie bardziej niż ona sama? Czy Piotra, który chciał jej dać godziwe i bezpieczne życie, czy jego alter ego, czyli Borysa, który takiego życia nie był w stanie jej zapewnić i doskonale o tym wiedział? Czy człowieka, który naraził ją na śmierć, czy może tego, który zrobił wszystko, żeby ją ocalić? Strasznie to było zawile i być może to właśnie owa zawilość tak bardzo przywiązywała ją do pamięci o nim. Kim tak naprawdę był ten człowiek i dlaczego zrobił to wszystko? Dlaczego zabijał ludzi i dlaczego próbował ją ratować, tak bardzo jednocześnie ją narażając? Bez odpowiedzi na te pytania Piotr był dla niej ciężarem na jawie. Za to kiedy paliła, przychodził do niej za każdym razem i zabierał ją w miejsce, w którym było jej najlepiej na świecie. Może to dawało jakąś namiastkę odpowiedzi na gnębiące ją pytania, może podświadomość uruchamiana w narkotycznych podróżach wiedziała coś, czego w mozole trzeźwości nie potrafiła na razie dostrzec i zrozumieć jej nudna powłoka, czyli świadomość. W każdym razie przede wszystkim dlatego właśnie paliła to gównno i choć wiedziała z doświadczenia, że z każdym dniem będzie coraz gorzej i coraz trudniej żyć, to wciąż nie potrafiła zostawić tego za sobą.

Tylko jest taka sprawa, że na razie mi nie ewidencjonuj tego jako dowodu. – Monika podała Mirkowi schowaną do torebki foliówkę, z której usunęła wszystkie narkotyczne akcesoria.

– Torebka w torebce – zainteresował się Mirek. – Nielegalne pozyskanie dowodu?

– Formalnie trudne do wyjaśnienia, powiedzmy. – Pokiwała głową.

– A co było w tej torebce? – Mirek lubił wiedzieć wszystko.

Monika nie lubiła kłamać, o ile nie było to absolutnie niezbędne, dlatego na to pytanie nic nie odpowiedziała. Mirek obejrzał torebkę, w której na dole pod światło już nawet gołym okiem widać było odrobinę białego proszku.

– Okej. – Pokiwał głową z uśmiechem.

– Myślę, że tu będą odciski faceta, tego, co mamy już z mieszkania – zaczęła wyjaśniać coś innego. – Moje, bo wzięłam to do ręki, zanim mi przyszło do głowy, że to może być dowodowe, i jeszcze tej kobiety, która próbowała mnie zabić. A jej odcisku wciąż nie mamy, jak rozumiem.

– A kto walił koks? – Mirek był niemożliwy.

– Kurwa, Mirek, proszę cię. – Popatrzyła na niego z wyrzutem. – A kto mógł walić, ja?

– Ten twój podstawiony amant? – Mirek dokończył asocjowanie.

– Bingo – uśmiechnęła się Brzozowska. – Jak znajdziecie odcisk inny niż mój albo tego typu, to zeskanujcie i przerzućcie do mnie albo do Adama.

Kiedy wychodziła z laboratorium, przyszło jej do głowy, że jeśli Mirek będzie się nudził, to znajdzie też jej odciski wewnątrz torebki, a to pewno da mu pole do kolejnych dociekań. Przez moment się zdenerwowała, ale po chwili pomyślała, że właściwie ma to gdzieś. Dość miała innych problemów. Mąż, którego zabiła ona, kochanek, który chciał zabić ją, licząc z tamtymi sprzed kilku miesięcy i z nim było już w sumie jedenaście trupów, no i kapitan Warecki... A może to on jest drogą do wyjścia z tego całego bagna, w którym się znalazła, pomyślała i od razu się skarciła. Jeśli potraktuje Wareckiego instrumentalnie, to od razu totalnie przestanie ją interesować, a tego z jakiegoś powodu wcale nie chciała.

Nazwisko Araszkiwicz, które podał Monice trefny Marek i pod którym figurował jako pracownik domu maklerskiego Pekao, nie pojawiało się w połączeniu z jego imieniem w Krajowym Systemie Informacji Policji ani razu. Żadnych danych dotyczących takiej osoby nie znalazł też Warecki w archiwach cyfrowych Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Co ciekawe jednak, Marek Araszkiwicz o numerze PESEL, który wpisano w umowę o pracę w Pekao, widniał najnormalniej w świecie w bazie PESEL.

– Nie wierzę, żeby to było takie proste – pokręciła głową Monika, patrząc na dane adresowe Marka Araszkiwicza zamieszkałego na Goćławiu.

– Czasem sprawy są prostsze, niżbyś się spodziewała. – Wójcik jak prawie zawsze próbował być przekorny, ale tak naprawdę on też miał przecucie graniczące z pewnością, że facet o podrobionej osobowości raczej nie będzie po prostu mieszkał na Goćławiu na niepodrobionych danych.

– W każdym razie warto sprawdzić tego Araszkiwicza z Goćławia. – Do rozmowy włączył się Warecki. – Do szefowej twojego pana Marka z domu maklerskiego Pekao jesteśmy umówieni na

szesnastą, wcześniej była zbyt zajęta. Do tego czasu możemy się też rozeznać, co tam na Gołławiu.

W bloku na Bukowskiego, w pobliżu oczka wodnego nazywanego przez mieszkańców Balatonem, byli po półgodzinie. Matecki, kiedy się dowiedział, gdzie i po co jadą, nakazał im zabrać ze sobą pluton antyterrorystów. Na nic zdało się przekonywanie go, że z prawdopodobieństwem graniczącym z pewnością nie zastaną tam ani faceta, który wystawił Monikę, ani tym bardziej ludzi, którym ją wystawił. Antyterrorysty musieli jechać z nimi.

Ich przyjazd w otoczeniu czerechy facetów w czarnych maskach na twarzach i takichż hełmach na głowach wzbudził wśród mieszkańców ogólne poruszenie. Po kilku minutach pod blokiem wybudowanym w latach dziewięćdziesiątych, w którym klatki schodowe zwieńczono trójkątnymi frontonami, co miało, zdaje się, nawiązywać do czegoś, ale nie bardzo było wiadomo do czego, zgromadził się już całkiem pokaźny tłumek gapiów. Jako że większość z obecnych transmitowała wydarzenia w świat za pomocą smartfonów, Matecki, który przede wszystkim dbał o to, żeby zachować tajność operacji przez nich prowadzonych, paradoksalnie ściągnął sam na siebie kolejną porcję medialnego zainteresowania.

Kiedy trzy minuty później Adam i Monika weszli do mieszkania, które bardziej przypominało piwniczną melinę niż mieszkanie w bloku z lat dziewięćdziesiątych, jego właściciel Marek Araszkiewicz leżał już na podłodze w gaciach i koszulce bez rękawów, którą po raz ostatni uprano mniej więcej wtedy, gdy powstawał budynek. Jego ręce były wykręcone i skute kajdankami na plecach, a wokół panował trudny do zniesienia fetor fekaliów, brudu i nigdy niewietrzonego wnętrza. Monika popatrzyła na leżącego, po czym milcząco zwróciła się do Adama, a jej wyraz twarzy mówił wiele.

– No to co? Mieliśmy olać trop? – próbował się bronić Adam.

– Posadzicie go? – Monika zwróciła się do dowódcy plutonu antyterrorystów, komisarza Rabieja.

Ten popatrzył najpierw na leżącego, potem na nią, w końcu na jednego ze swoich podkomendnych, który chciał uciec wzrokiem, ale nie zdążył. Chwilę ów razem z drugim, który nie zdążył umknąć, podnieśli leżącego. Ten już w trakcie podnoszenia próbował wyrażać jakieś myśli, albo może raczej emocje, ale na razie efektem jego wysiłków był wyłącznie nieartykułowany bełkot.

– Marek Araszkiewicz? – Monika stanęła naprzeciw Araszkiewiczowi i na przemian spoglądała to na jego dowód osobisty, znaleziony chwilę wcześniej, to na jego twarz. Pytanie nie było zupełnie nieuzasadnione, ponieważ twarz na zdjęciu sprzed kilkunastu lat nie miała właściwie nic wspólnego z opuchniętą jak piłka i siną jak śliwka facjatą mężczyzny.

– Tak, a co, kurwa? – Prawdziwy Marek powiedział w końcu coś, co składało się z głosek i przejawiało kawałek składni.

Monika sięgnęła do kieszeni, z której wyciągnęła zdjęcie tego Marka Araszkiewicza, z którym miała krótkotrwały i – jak się okazało – brzemienny w skutki romans, i położyła je przed siedzącym.

– Zna pan tego człowieka? – zapytała.

– Nie – odpowiedział buńczucznie.

– To jedzie pan na dołek – powiedziała od razu, tak jakby w ogóle nie spodziewała się innej odpowiedzi. – Potem sankcja na trzy miesiące, napije się pan znowu najwcześniej za pół roku, a jak wklepią panu współudział, to jeszcze później.

Mężczyzna znów zabełkotał jakieś nieartykułowane dźwięki, ale widać było po nim od razu, że

perspektywa braku alkoholu przez pół roku nie mogła być w ogóle brana pod uwagę.

– Zaczepił mnie pod blokiem – wysapał w końcu ciężko.

– Kiedy? – Monika zainteresowała się na razie raczej niezobowiązująco.

– Jak były Szwedy. – Marek w swoim własnym odbiorze wykazał się chyba porcją rasowego poczucia humoru, bo nagle zaczął się śmiać.

Przez chwilę nikt nic nie mówił, Monika czekała na kontynuację, a on był najwyraźniej przekonany, że tą wrzutką zamknął dyskusję.

– No, dobra, to zwijamy pana – odezwała się w końcu Brzozowska do dowódcy plutonu. – Kolska, potem dołek, potem na Białą.

Dowódca wskazał siedzącego dwóm swoim podkomendnym, ci ruszyli w stronę faceta.

– Zaraz, zaraz, nie pali się chyba! – Marek przywarł twarzą do stołu, kiedy policjanci złapali go pod ramiona.

– Pali się, panie Araszkiwicz, pali się jak cholera, no więc kiedy pana zaczepił? – Monika pokazała tamtym, żeby odpuścili jeszcze na moment.

– Jakies dwa miesiące temu może, śnieg jeszcze leżał, nie wiem dokładnie. Zapłacił mi za to, żebym przez pół roku nikogo nie wpuszczał do domu i nie reagował na monity z poczty. – Prawdziwy Araszkiwicz przełknął ślinę. – Ja i tak nikogo nie wpuszczam i nie reaguję na te gówna, co do skrzynki przychodzą, więc co mi za różnica.

– Coś jeszcze? – Monika zbliżyła twarz do jego twarzy leżącej bokiem na zaplamionym blacie stołu i poczuła straszny odór denaturatu ledwie tkniętego przez soki trawienne.

– Już nic – odpowiedział Marek, ale jakby ciszej.

– Coś jeszcze? – Tym razem zapytała wolniej i dobitniej.

– Jeszcze jakby się ktoś zaczął kręcić i wypytywać, to miałem zostawić krzyżyk kredą na drzwiach od transformatora – dodał i sapnął ciężko: – To teraz mnie zajebie.

– Bo? – zainteresował się Adam, który do tej pory kręcił się po mieszkaniu, a teraz stanął obok Moniki i przysłuchiwał się rozmowie.

– Bo tak mi, kurwa, powiedział, a nie wyglądał na kogoś, kto pierdoli od rzeczy – spuentował Araszkiwicz.

– Tak z dowodu patrząc – stwierdził Wójcik, zerkając na dowód Araszkiwicza, trzymany wciąż przez Monikę – to nawet jakby jesteście trochę podobni. Musiał ci się dobrze przyjrzeć wcześniej, co?

Cała trójka spojrzała w tym samym momencie na Araszkiwicza, siedzącego wciąż przy stole, z rękami spiętymi za plecami stałą.

– Znał go pan wcześniej? – Monika zapytała o to, o czym wszyscy pomyśleli.

Facet nie odpowiedział od razu, widać było, że waha się pomiędzy perspektywą śmierci psychicznej, która groziła mu, jeśli zabiorą go teraz na dołek, a śmierci fizycznej, jeśli zbyt wiele im powie. W końcu wybrał to drugie.

– Mieszkał kiedyś w bloku naprzeciwko – wskazał za okno – nie wiem, gdzie dokładnie, chyba nie za długo, może też coś wynajmował.

Monika popatrzyła na komisarza Rabieja.

– Rozkujcie go. – Pokiwała głową.

– Ale zabieramy go, czy jak? – zapytał tamten.

– Dla niego lepiej by było, gdybyśmy go zabrali. – Zerknęła chłodno na Marka, który spoglądał na nią błagalnym wzrokiem. – Ale on nie chce lepiej, bo woli gorzej. Prawda, Marku?

Na twarzy, opuchniętej jak balon, pojawił się wyraz bezgranicznej ulgi i wdzięczności.

– Nie mamy podstaw do zatrzymania: to, że nie odbierał poczty, to trochę za mało – dokończyła Monika. – Idziemy.

Siedziba oddziału domu maklerskiego Pekao mieściła się w prostej linii dwieście metrów od komendy stołecznej w pałacu Mostowskich. Tylko to przekonało Mateckiego do puszczenia Moniki i Adama tym razem bez asysty pododdziału prewencji lub – jeszcze lepiej – plutonu antyterrorystów. Jego nagła troskliwość była wprawdzie spowodowana głównie lękiem o to, że jeśli zginie jeszcze choćby jeden funkcjonariusz policji, to jego stanowisko będzie miało wakat, ale i tak była miłsza od wcześniejszego braku zainteresowania czymkolwiek i kimkolwiek z podwładnych.

Monice, przez ów krótki okres, gdy spotykała się z Markiem, nie przyszło do głowy, że pracował tak blisko jej macierzystej siedziby. Teraz, gdy szli przez skrzyżowanie na placu Bankowym, rozumiała, że owa bliskość też wcale prawdopodobnie nie była przypadkowa. Z niewielką przesadą można by przyjąć, że przez kilka miesięcy fikcyjny Marek mógł ją obserwować, nieomal nie wstając zza biurka.

– Zatrudniłam pana Araszkiwicza na podstawie rozmowy kwalifikacyjnej, w której wykazał się doskonałą znajomością zagadnień, oraz na podstawie CV i rekomendacji z poprzednich miejsc pracy.

– Przystojna, krótko ostrzyżona brunetka w spódnicy, która była tak obcisła, że nieomal uniemożliwiała jej zakładanie nogi na nogę, uśmiechała się do nich, a aksamitny głos zdawał się wypływać gdzieś z wnętrza ust bez jej specjalnego udziału.

– A czy zweryfikowała pani rekomendacje albo CV, albo jedno i drugie, przed przyjęciem pana Marka do pracy? – Monika mówiła wolno i bez uśmiechu, uśmiechał się za to siedzący obok niej Adam.

Oboje wiedzieli już z Adamem, że rekomendacje, o których dowiedzieli się od pani Studziak, przystojnej brunetki i byłej szefowej Marka, rozmawiając z nią wcześniej przez telefon, były kompletnie fikcyjne. W Banku Handlowym ani w PKO BP nikt o nazwisku Araszkiwicz nawet nie słyszał. Podobnie sprawa wyglądała z jego *curriculum vitae*. W Szkole Głównej Handlowej, którą Marek podobno ukończył i się w niej nawet doktoryzował, też nikt nie znał jego nazwiska.

– Nie weryfikowałam. – Brunetka straciła trochę na pewności siebie, z jaką ich przywitała. – Zweryfikowała go rozmowa, świetnie znał się na rzeczy.

– O ile wiem, przepisy banku, który pani reprezentuje, zobowiązują panią do dokonania takiej weryfikacji. – Tym razem do rozmowy włączył się Adam. – To nie jest sprawa uznaniowa.

Przez moment przystojna pani kierownik oddziału domu maklerskiego Marzena Studziak milczała. W pokoju nie było zegara z kukułką, ale cisza, która zapanowała, była na tyle głęboka, że i tak słyhać było upływające sekundy. Brunetka ważyła, zdaje się, bilans ewentualnych zysków i strat.

– Tak, wiem, że powinnam była sprawdzić, ale on miał też inną rekomendację. – Spuściła wzrok, a Monice wydało się, że lekko się nawet spłoniła.

– Inną? – Adam postanowił pomóc.

– Dzwonił do mnie w jego sprawie wiceprezes Tomczyk – dokończyła.

– Wiceprezes Tomczyk jest wiceprezesem czego? – Adam, choć mógł już to akurat sam sobie sprawdzić w wyszukiwarce, postanowił lekko jeszcze docisnąć panią kierownik. Wynikało to z tego, że osobiście strasznie nie lubił kumoterstwa. Wyniósł to jeszcze z domu, w którym tata wszczepił mu ideały często trudne do utrzymania później, w konfrontacji z wymaganiami codzienności. Nie było jednak wyjścia i Adam, chcąc nie chcąc, nie tolerował nieuczciwości ani u siebie, ani u innych.

– Wiceprezesem Banku Pekao SA.

Pani kierownik powiedziała to ostatnie zdanie trochę tak, jakby po nim pozostawało jej już tylko rzucić się z mostu.

W tym czasie, gdy oni próbowali się czegoś dowiedzieć od pani Studziak, Warecki z dwójką policjantów z prewencji chodził od drzwi do drzwi w bloku naprzeciwko miejsca zamieszkania faktycznego Araszkiwicza i próbował dojść, w którym z mieszkań przebywał jakiś czas temu fikcyjny Marek Araszkiwicz. W owym czasie nie był on jeszcze, rzecz jasna, ani Markiem, ani Araszkiwiczem, bo tę tożsamość uzyskał właśnie dopiero od sąsiada lumpa wypatrzonego w bloku *vis-à-vis*. Niestety żaden z wytypowanych mieszkańców nie był do tej pory w stanie im pomóc. Wszyscy utrzymywali, że mieszkają tu od lat i nie przypominają sobie mężczyzny, którego Warecki pokazywał im na zdjęciach. Kiedy już opuszczali blok po sprawdzeniu wszystkich mieszkań z okami wychodzącymi na blok zamieszkiwany przez właściwego Araszkiwicza, podszedł do nich starszy mężczyzna z jamnikiem, który zarówno wiekiem, jak i wyglądem przypominał toczka w toczkę swojego właściciela.

– Przepraszam, że się narzucam być może, ale podobno panowie kogoś szukacie? – zagadał.

– Owszem. – Warecki podszedł i wyciągnął z kieszeni zdjęcie pseudo-Araszkiwicza – Widział pan kiedyś tego mężczyznę?

Staruszek sięgnął po okulary do marynarki, której wielkość i kształt świadczyły o tym, że musiał być niegdyś zupełnie innej postury. Założył je na nos i po chwili się uśmiechnął.

– Pan Roman. – Pokiwał głową. – Bardzo sympatyczny, chociaż od zawsze wydawał mi się trochę podejrzany. Jest z wywiadu?

– Pan Roman? – Warecki też zerknął na zdjęcie i przyszło mu do głowy, że imię Roman dużo bardziej pasowało do faceta ze zdjęcia niż Marek, a zaraz potem zastanowiło go, jak to w ogóle było możliwe, że Monika weszła w tak bliską relację z człowiekiem, do którego pasowało imię Roman. – A coś więcej, może nazwisko?

– Nie, nazwiska nie znam – pokręcił głową. – Ale mieszkał tu chyba z miesiąc, zresztą pani Walicka potem mi się nawet skarżyła, że miała z nim umowę na dwa lata, a on po miesiącu zniknął. No, ale w sumie stratna nie była, zatrzymała kaucję i tyle.

– A gdzie mieszka pani Walicka? – zapytał Czesław, choć już w tym momencie coś mu mówiło, że pan Roman nie był też tak naprawdę panem Romanem, a trop z panią Walicką będzie tak samo ślepy jak trop z lumpem Araszkiwiczem. Dotrą do kolejnego ogniwa, za którym nie będzie już prawdopodobnie nic.

– W tamtym wysokim na ósmym piętrze. – Staruszek wskazał na blok stojący nieco dalej, ale za to wyższy od wszystkich okolicznych, więc z niego Roman mógł też rzeczywiście mieć podgląd na

mieszkanie Araszkiwicza i na całą zresztą okolicę. – Nie wiem, pod którym numerem, ale okna chyba na tę stronę.

– Na pewno na tę. Dziękujemy, bardzo nam pan pomógł. – Warecki uśmiechnął się jeszcze do staruszka, skłonił się lekko na pożegnanie i już miał ruszyć, kiedy coś sobie przypomniał: – A dlaczego właściwie powiedział pan, że agent?

– Wyglądał trochę tak jak pan. – Staruszek zdawał się mówić całkiem serio, ale widać było, że gdzieś z tyłu czaił się delikatnie ironiczny uśmiech. – A poza tym odwiedzali go czasem jacyś obcokrajowcy.

– Obcokrajowcy? – dopytał mocno zaciekawiony Czesław.

– Nie wiem dokładnie, z jakiego kraju, nigdy nie byłem przesadnie dobry z geografii, ale powiedzmy z jednego z państw WNP. – Teraz staruszek już nie ironizował, przez chwilę popatrzył jeszcze kapitanowi prosto w oczy, uchylił kapelusza i ruszył dalej w kierunku nieodległego parczku.

Prezes Tomczyk, z racji pełnionej funkcji, był oczywiście człowiekiem niezwykle zajęтым, ale dar przekonywania, który Adam niewątpliwie posiadał, sprawił, że udało im się wejść do jego biura właściwie z marszu.

– Dzień dobry państwu. – Prezes uśmiechnął się trochę plastikowo od razu po tym, jak przekroczyli próg jego marmurowego gabinetu. – A może właściwie *Dzień dobry TVN*. – Mrugnął okiem do Moniki, a ona umknęła wzrokiem ku zdobięcym ścianom stiukom. – Z *Dzień dobry* państwo są, dobrze mi sekretarka przekazała?

– Nie do końca – zaczął Adam, szukając trochę ratunku u Moniki, która za nic nie chciała mu tego ratunku udzielić i nadal przyglądała się wystrojowi wnętrza. – Właściwie to jesteśmy z policji. – Teraz Adam musiał wypić piwo, którego sam nawarzył.

– Jak to z policji? – Prezes przestał się uśmiechać. – Co to znaczy?

– Pana sekretarce powiedzieliśmy, że jesteśmy z telewizji, bo przeczuwaliśmy, przeczuwałem – sprostował Adam, bo Monika wciąż nie wchodziła z nim w kontakt wzrokowy – że w innym wypadku by nas nie przepuściła, a sprawa jest nagląca... – Adam na moment przerwał, ale widząc, że prezes szykuje się do kontry, szybko dokończył: – Jestem przekonany, że kiedy pan usłyszysz, o co chodzi, doceni pan to, że uciekłem się do takiego fortelu.

Adam był inteligentny, a Monika się uśmiechnęła, spojrzała na prezesa i pokiwała głową, co oznaczało z grubsza, że po raz pierwszy w czasie tej wizyty wsparła swojego asystenta.

– O co chodzi? – Prezes, wyraźnie wnerwiony, nie miał już jednak za bardzo pola do manewru. – Lepiej, żeby miał pan rację, bo inaczej będziecie mieli spory problem. – Udało mu się jednak rzutem na taśmę przygotować grunt pod ewentualną późniejszą retorsję.

Teraz wszystko zależało od tego, jak Adam dalej poprowadzi tę rozgrywkę. Niestety właśnie w tym momencie skończyła mu się najwyraźniej inwencja, bo milczał. Monika, chcąc nie chcąc, musiała go wyręczyć.

– Ścigamy seryjnego zabójcę, być może kilkoro seryjnych zabójców działających w zorganizowanej grupie przestępczej – zaczęła. – Bardzo zależy nam na czasie, bo jeśli nie uda nam się uprzedzić ich kolejnego ruchu, prawdopodobnie znów ktoś zginie. Sam pan rozumie, dlaczego uciekamy się do takich niestandardowych zachowań?

Monika uśmiechnęła się niewinnie, tak jakby mentalnie miała osiem lat i jakby wszystko, co

mówiła, było pozbawione drugiego dna. Tak oczywiście nie było i wiedzieli to zarówno ona, jak i prezes, ale on w tej sytuacji za nic nie chciał tego pokazać.

– Rozumiem.– Pokiwał głową. – Ale co ja mam z tym wspólnego?

– Nic oczywiście nie ma pan wspólnego z zabójstwami, ale być może mógłby nam pan pomóc namierzyć człowieka, który akurat może mieć z tym coś wspólnego. – Monika przybrała jeszcze bardziej poważny wyraz twarzy.

– Słucham. – Prezes, choć nie miał na to kompletnie ochoty, musiał wziąć udział w tej maskaradzie. Wyglądał zresztą na człowieka, który w maskaradach odnajdował się nie najgorzej.

– Marek Araszkiwicz. – Do rozmowy wrócił Adam. – Mówi panu coś to nazwisko?

Prezes zastanawiał się chwilę, próbując sobie przypomnieć, a oni udawali, że bardzo mu w tym kibicują.

– Nie wydaje mi się, a powinno? – Zarówno dialog, jak mimika prezesa stały się bardzo mało przekonujące.

– Nie wiemy, czy powinno – kontynuował Adam. – Ale pani dyrektor Studziak z domu maklerskiego...

– Wiem, kim jest pani Studziak. – Prezes, który zorientował się, że właśnie sam niejako obsadził się wśród bohaterów *Ukrytej prawdy*, przerwał mu, bo był zły.

– No, właśnie. – Adam w ogóle się nie zniechęcił. – Otóż pani dyrektor powiedziała nam, że przyjęła pana Araszkiwicza, który zresztą wcale się tak nie nazywa, do domu maklerskiego, kierując się jego doskonałym CV... – Adam jednak trochę ulitował się nad przystojną dyrektor Studziak. – Oraz pańską rekomendacją.

– Araszkiwicz... Araszkiwicz? Makler? – Prezes Tomczyk pytał o coś, co wiedział, a oni to widzieli.

– Makler. – Monika pokiwała głową. – To znaczy tak naprawdę nie makler, ale za takiego się podawał.

– Nie makler? Chyba jednak makler. – Prezes najwyraźniej sobie przypominał, bo do wypowiedzi dołączył uśmiech. – Przypomniałem sobie – potwierdził to, co wcześniej zagał – poznałem go na jakiejś premierze filmu, nie pamiętam w tej chwili jakiego, byłem zaproszony, facet podszedł do mnie, był miły, nawet ujmująco miły, dużo o mnie wiedział i bardzo dużo wiedział o giełdzie, chwilę rozmawialiśmy, dałem mu wizytówkę, powiedziałem, że jakby chciał u nas pracować, to żeby dał znać. Potem zadzwoniła dyrektor Studziak, czy to prawda, że znam tego człowieka, potwierdziłem i na tym się skończyło.

Oni pokiwali głowami, przez moment nikt nic nie mówił.

– A co on zrobił? – zapytał nagle lekko zdenerwowany prezes.

– On akurat nie zrobił nic szczególnego. – Monika nie chciała mówić zbyt wiele, tym bardziej że miała przeczucie graniczące z pewnością, że prezes i tak wiedział więcej od nich. – Ma pan jakiś może zamiar na niego albo wie pan, kto może mieć?

Tomczyk znów się zamyślił, a dla nich oczywiste było, że nie zastanawia się nad tym, jak ich doprowadzić do Marka, tylko raczej nad tym, jak ewentualnie zmylić tropy.

– Nie mam pojęcia, może trzeba sprawdzić, kto go tam wtedy zaprosił, może było imienne zaproszenie, to chyba była premiera *Zimnej wojny*, teraz tak myślę, jak próbuję sobie przypomnieć. –

Tomczyk ucieszył się, że jednak może być im pomocny, a oni z kolei wiedzieli, że akurat ten trop w tej sytuacji na pewno gdzieś ich doprowadzi.

Kiedy wyszli przed szklano-czerwonawy biurowiec centrali Pekao przy Żwirki i Wigury, mogli właściwie ze sobą nie rozmawiać: oboje doskonale wiedzieli, co myśli to drugie.

– Masz papierosy? – Robiło się późno i Monika, dla której zbliżała się godzina codziennej narkotykowej rutyny, zaczynała się powoli robić trochę nerwowa.

Adam niechętnie sięgnął do kurtki i wyciągnął paczkę. Wiedział, że jeśli teraz opalała go z pierwszego, to z dużym prawdopodobieństwem za dwie godziny będzie musiał kupić nową paczkę. Zapalili. Ona popatrzyła na niego wymownie.

– Wiem, ale co mamy zrobić, przecież nakazu na niego nam nie dadzą – Adam zaczął temat, żeby nie myśleć już o paczce, która miała starczyć do jutra.

– To musimy bez nakazu. – Monika wciągnęła tak głębokiego macha, że zniknęło od razu mniej więcej pół papierosa.

W tym tempie to za godzinę, pomyślał Wójcik i przysiadł na murku.

– Zajebią nas – powiedział.

– A jak zaraz znowu trupa zwiozą do Walińskiej na Oczki, to będzie luks? – zripostowała z żelazną logiką. – A co u niej, swoją drogą?

– Które pytanie najpierw? – Adam przysiadł na masce jej saaba.

– Nie wiem, możesz losowo. – Monika usiadła obok niego.

– Walińska dobrze, z mężem ma jakieś problemy, chyba coś z sercem czy z czymś, ale poza tym raczej w porządku, pyta o ciebie, kiedy tylko mnie widzi. To nie jest specjalnie motywujące. – Adam się zaśmiał, po czym zamilkł.

Znów palili chwilę. Było już ciemno, przed nimi co chwila przetaczała się fala samochodów jadących od świateł na skrzyżowaniu z Racławicką w kierunku lotniska. Monika pomyślała, że Adam zapomniał już o jej drugim pytaniu albo może nie zapomniał, ale nie chciał się już do tego odnosić.

– Wiesz, że jak odkryją, że przywaliliśmy pluskwę wiceszefowi największego państwowego banku, to zajebią nas do spodu. – Wójcik wrócił jednak w końcu do poprzedniego pytania.

– Ale dzięki temu na Oczki nie znajdzie się kolejne fioletowe, zimne ciało z dziurami od bagnetu w środku. – Monika wróciła do swojego argumentu, po czym postanowiła go jeszcze trochę dodatkowo wzmocnić. – To ważne czy nie? – Spojrzała na Adama krótko, jakby nie chciała wymuszać na nim odpowiedzi.

– Nie wkurwiał mnie – odpowiedź jednak nadeszła, a po chwili została jeszcze nawet rozbudowana: – Odjedziemy kawałek, mam lornetkę.

– Służbową? – zdziwiła się Monika.

W ostatnim mieszkaniu, którego jeszcze nie sprawdził Warecki, drzwi otworzyły się wąską szparą. Z mrocznej czeluści o zapachu starego oleju wyjrzała na niego para oczu, które były zawieszona gdzieś mniej więcej na wysokości jego mostka.

– Dzień dobry. – Po raz enty tego dnia kapitan się uśmiechnął na powitanie, po czym opowiedział o sobie w kilku słowach, które potwierdził legitymacją ABW rozłożoną na wierzchu dłoni.

– Den dą – rozmówca bądź rozmówczynie, bo na razie trudno było jasno określić płeć, odpowiedział dwiema sylabami, które zabrzmiały trochę jak tybetański gong.

Warecki pomyślał, że cała sekwencja z przedstawianiem i pokazywaniem legitymacji właściwie nie miała sensu, bo „den dą” prawdopodobnie i tak nic nie zrozumiał bądź nie zrozumiała.

– Czy pa... – Kapitan zatrzymał się też w pół słowa, co przez moment zabrzmiało dość komicznie. Rozmowa sylab, pomyślał, ale tak naprawdę w jego wypadku zawieszenie wynikało z tego, że nie znał płci, a nie chciał urazić rozmówcy. – Wynajmujecie to mieszkanie? – Z dwojga przejście na ty było mniej dotkliwie.

– Ta – odpowiedział głos, po czym jego właściciel przymknął drzwi jeszcze odrobinę bardziej, prawdopodobnie z powodu, oględnie rzecz ujmując, obawy o przetrwanie.

– Nie mam nic do was. – Warecki doskonale wiedział, że chińscy handlarze podrobioną odzieżą nie mają nic wspólnego z tym czy raczej z tymi, których szukał. Nie ta skala problemu, nie ten kaliber. – Potrzebuję telefonu do właściciela.

Towarzyszący Wareckiemu policjant z przewencji delikatnie popchnął drzwi i teraz wreszcie zobaczyli, że osoba, z którą rozmawiali, była jednak najprawdopodobniej kobietą, i że tuż za nią kłębiły się inne osoby płci różnych.

– Nie ma – znów zabrzmiał gong.

– Masz. – Warecki tykał panią już nie dlatego, że nie znał jej płci, ale dlatego, że musiał przejść do tonu nieco ostrzejszej perswazji. – Jak mi nie dasz za dwie minuty, to panowie – tu wskazał na dwóch dryblasów w ciemnym moro – wyprowadzą was wszystkich z mieszkania i więcej tu nie wrócicie. Rozumiesz?

– Ta – głos odezwał się po chwili, po czym kobieta odeszła od drzwi i sekundy później wewnątrz rozgorzała ożywiona dyskusja na wiele gongów.

Chińczycy, a może Wietnamczycy bądź Koreańczycy, ale to już mniej prawdopodobne, na kartce papieru wyrwanej z zeszytu w kratkę przekazali w końcu telefon do właścicielki mieszkania. Warecki pogroził im jeszcze, że jeśli telefon okaże się nieprawdziwy, to wysocy panowie w czarnym moro jeszcze tu wrócą, ale wnioskując z ich reakcji, groźba – jako nie do końca zrozumiała – nie zrobiła już i tak większego wrażenia. Od razu po wyjściu z bloku Czesław przesłał numer do dyżurnego komendy w pałacu Mostowskich z myślą o ustaleniu właściciela oraz miejsca jego obecnego pobytu. Mógł oczywiście po prostu zadzwonić i nawet przez chwilę się zastanawiał, czy tak nie zrobić, ale doszedł do wniosku, że jeśli właścicielka jest w jakikolwiek sposób podejrzana czy powiązana ze sprawą, to taki telefon jedynie ją spłoszy i potem znaleźć ją będzie już znacznie trudniej.

Prosto spod bloku pojechał na Roentgena odebrać tatę, który dobijał się do niego telefonicznie od dwóch godzin w odstępach mniej więcej dwuminutowych.

– Ja widzę, że w ogóle nie mogę na ciebie liczyć, odkąd umarła matka... – rozpoczął swoją litanie tata.

– Mama – przerwał mu Czesław. – Odkąd umarła mama.

Temat był drażliwy, bo tak naprawdę przynajmniej w odczuciu Czesława mama umarła głównie w związku z permanentnym stresem, jaki w jej życie wnosił przez lata nie kto inny jak właśnie

ojciec. Ojciec miał zapewne zupełnie inne zdanie na ten temat, ale i tak nazywanie mamy matką nie mieściło się w granicach tego, na co Czesław mógł przystać.

– Odkąd umarła, ja jestem kompletnie sam – ojciec ciągnął dalej. – Niby mam ciebie, mam Grażynę, ale nic z tego nie wynika.

– Tato – nerwy Wareckiego wisały na włosku – a gdzie teraz jesteś, powiedz mi, dokąd jedziemy, kto cię wiezie?

– Będziesz mi wymawiał? – Ojciec nigdy się nie mylił, nigdy nie ustępował pola i nigdy nie przeproszał, tak miał i było to trudne.

Czesław chciał coś jeszcze powiedzieć, a powiedzieć mógł wiele, ale nie miał na to siły, więc pokiwał tylko głową. Do domu, pod którym stały zaparkowane dwa cywilne radiowozy, zajechali po półgodzinie. Trzydzieści pięć minut później Czesław był już w drodze do centrum.

Mieszkanie przydzielone im przez ABW mieściło się na Żurawiej na szóstym piętrze oficjalnie pięciopiętrowej kamienicy. Po wejściu do windy należało nacisnąć piąte piętro i przyłożyć breloczek z plastikową maleńką futbolówką w odpowiednim miejscu panelu sterującego windą. Na niższych piętrach kamienicy mieściły się biura, które także w mniejszym bądź większym stopniu były związane z działalnością Agencji, więc do wnętrza lobby wyłożonego piaskowcem wstęp mieli i tak tylko sami swoi. W budynku był też garaż i to właśnie z niego i tylko z niego mieli do budynku dostawać się Adam, Monika i Warecki. Pierwsza dwójka zamieszkała tutaj na stałe zgodnie z zaleceniem Agencji i Mateckiego, Warecki musiał zostać z ojcem, na miejsce miał przyjeżdżać tylko na narady i spotkania. Pół godziny wcześniej właśnie zaczęło się pierwsze z nich.

Tomczykowi założyliśmy lokalizator GPS. – Adam w końcu powiedział to, co krążyło w powietrzu między nim a Moniką od początku tego spotkania.

– No i dobrze. – Warecki pokiwał głową, zaskakując tym zarówno Wójcika, jak i Brzozowską.

– Dobrze? – zdziwił się Adam.

– Kto monitoruje tego GPS-a? – zamiast odpowiedzieć, dopytał Czesław.

– Komputer, to znaczy ja mam w komputerze program, który pozwala to monitorować – wyjaśnił aspirant.

– Zapamiętuje trasę, kiedy nie obserwujesz? – dociekał Warecki.

– Zapamiętuje. – Adam pokiwał głową, po czym dodał: – Chyba.

– To sprawdzmy to. – Warecki wszedł trochę w tryb nadzorującego, a kiedy Monika i Adam popatrzyli na siebie zdziwieni, zmytygował się i dodał: – Dobrze, ja sprawdzę. Udało mi się ustalić, że kobieta, która wynajmuje Chińczykom, wcześniej rzeczywiście wynajmowała też miłemu panu, który jednak nie nazywał się Marek Araszkiwicz, tylko Roman Kasiak. – Zatrzymał się w tym miejscu, po czym dodał po chwili: – Myślę, że Romana Kasiaka nie mamy już co szukać.

– Strasznie to wszystko dobrze przygotowane – odezwała się po chwili Monika. – Zawodowcy. Pewno idąc za Kasiakiem vel Araszkiwiczem, rzeczywiście nigdzie nie dojdziemy.

– Sąsiad pana Marka, gdy ten był jeszcze panem Romanem, mówił mi, że odwiedzali go jacyś dziwni ludzie jakby ze wschodu. – Warecki przypomniał sobie rozmowę z mężczyzną na podwórku, tamci spojrzeli na niego zaskoczeni, a on szybko dodał: – W sumie to nic szczególnego, bandyci mają różne dziwne kontakty.

– A co z tym Pytłasińskim, którego podałeś mi Waluś, zanim...? – Monika zerknęła na Adama, po czym przerwała nagle. Nie miała ochoty zagłębiać się w tamto wspomnienie, lecz ono, raz przywołane, nie chciało jej już tak łatwo opuścić. – No i co z tą substancją, w sensie z tym czymś, czym nas wtedy otruli?

– Pytłasińskiego sprawdziłem w KSIP-ie i takie nazwisko się nie pojawia, zakładam, że w rejestrze PESEL jest Pytłasińskich od groma, ale nie będziemy ich chyba wszystkich sprawdzać. – Adam popatrzył na nich pytająco.

– Sprawdzimy jednego, chociaż to też chyba nie jest nasz trop – odpowiedział Warecki, który oddalił się na moment, żeby w kuchni zrobić sobie kawę. – W cyfrowych archiwach Agencji znalazłem faceta, który nazywa się Adam Pytłasiński, mam gdzieś jego PESEL, był sprawdzany operacyjnie przy okazji dochodzenia w sprawie dewelopera, firmy Ramnius, którą podejrzewali o jakieś rosyjskie powiązania. Ze sprawy ani z udziału w niej Pytłasińskiego nic potem nie wynikło. On tam był jakąś płotką, akta podręczne kończą się adnotacją „zweryfikowane, brak potwierdzonych podejrzeń”. No, ale to zawsze jakiś Pytłasiński – dokończył kapitan.

Noce. Odkąd sięgała pamięcią, zawsze były dla niej problematyczne. Może oprócz tych krótkich momentów w młodości, kiedy była przyćpana tak mocno, że noc zwała się na nią bez względu właściwie na porę dnia. Ale nawet wtedy często w nocy przychodziło gwałtowne przebudzenie, które zwiastowało narkotykowy głód i absolutną niemożność ponownego uśnięcia. Później, kiedy w końcu udało jej się narkotyki zostawić za sobą, noce też nie były łatwe. Najpierw zawsze bardzo długo musiała czekać na nadejście snu, później budziła się często po kilka razy, a każde przebudzenie powodowało, że proceder mozolnego usypiania musiał się powtarzać. A zanim udało się zasnąć, wokoło tańczyły demony, z których najgorsze były demon lęku i demon wyrzutów sumienia. Być może zresztą ten pierwszy przychodził, wywołany tym drugim. Najpierw bolało ją, że coś zrobiła albo że czegoś nie zrobiła, że skrzywdziła, że nie dopilnowała, że zginął człowiek, a może gdyby intensywniej szukała, zabójcy nie udałoby się umknąć. Potem zaczynał się lęk, że taka jest, że nic się nie zmieni, że oszukuje świat co do swoich kwalifikacji, zdolności i wkrótce cała misterna mistyfikacja wyjdzie na jaw, a wtedy... Wtedy zostanie zdyskwalifikowana i dożywotnio nie będzie mogła już brać udziału. W czym? W życiu społeczeństwa oczywiście. Niemożność życia w społeczeństwie oznaczała z kolei banicję i totalną, kompletną i nieodwoalną samotność. Najgorsze jednak było to, że choć jak do tej pory na banicję nikt jej jeszcze nie skazał, to i tak cały czas czuła się potwornie sama.

Była pierwsza trzydzieści nad ranem. Warecki poszedł już przed godziną, kwadrans później położył się Adam i natychmiast zasnął: chrapał głośno i mozolnie w pokoju za ścianą kuchenną. Ona położyła się też wkrótce po nim i od tej pory, czyli mniej więcej od trzydziestu minut, leżała, a jej umysł nie uspokajał się ani odrobinę. Nie można zasnąć w poczuciu zagrożenia, zwłaszcza gdy nie wie się nawet, co zagraża ani skąd ma nadejść niebezpieczeństwo. Wstała, na palcach, choć kompletnie nie było takiej potrzeby, bo Wójcik spał jak zabity, zakradła się do swojej kurtki. Z wewnętrznej kieszeni wyciągnęła sprzęt i brązowe grudki, których tak bardzo nie chciała już używać. Następnie z tym wszystkim weszła do łazienki. Gdy była już w środku, naładowała fajkę, stanęła na muszli przy wywietrzniku i zapaliła. Kiedy wzięła pierwszego macha, doskonale

wiedziała, że ma zaledwie kilka sekund na to, żeby zejść i przysiąść na klapie, bo w przeciwnym wypadku za chwilę spadnie z niej z hukiem: może tylko stłukłaby umywalkę, a może rozbiłaby też sobie o nią głowę. Usiadła. Stan zbliżony do snu nadszedł wprawdzie natychmiast, ale wybudziła się już chwilę później. Wyszła na korytarz, schowała zabawki i wróciła do sypialni na materac, który nie należał do niej, więc był zbyt miękki i zbyt niewygodny. To wszystko nie miało już jednak w tym momencie żadnego znaczenia: sen, a właściwie letarg, przyszedł szybko i zabrał ją w krótką noc.

Na podstawie odcisków palców zebranych od mężczyzny zastrzelonego przez tajemniczą kobietę z pieprzykiem, która była jego partnerką, a może przełożoną w jakiejś dziwnej bandyckiej strukturze, Wójcikowi udało się kolejnego ranka zidentyfikować personalia denata. Damian Polczyk był wielokrotnie notowanym współpracownikiem dawnej mafii pruszkowskiej, który wraz ze swoimi szefami w połowie pierwszej dekady nowego milenium trafił za kratki, zza których wyszedł przed rokiem. Od tej pory słuch po nim zaginął. Ktoś mógłby pomyśleć, że Damian został zresocjalizowany i wyszedł z mroków kryminalnego półświatka ku nowemu życiu w blasku prawdy i praworządności. Niestety – wypadki ostatnich dni zweryfikowały tę tezę, a śmierć definitywnie i bezpowrotnie odebrała mu szanse na powrót do normalności. Trop Polczyka nie rokował za dobrze. Można było wprawdzie spróbować odszukać jego bliskich i dowiedzieć się czegoś od nich, ale nie wiadano, czy w ogóle ich miał, a poza tym było mało prawdopodobne, żeby oni wiedzieli cokolwiek na temat tego, czym parął się Damian. Wreszcie – rzadko się zdarzało, aby bliscy, którzy nawet coś wiedzieli, mieli ochotę dzielić się ową wiedzą z organami ścigania. Otoczenie ludzi takich jak on najczęściej było w całości wcielone do drużyny przeciwnej wymiarowi sprawiedliwości. Damiana wyróżniała jednak jeszcze jedna cecha, ponad wszelką wątpliwość łącząca go ze sprawą, z którą zmagali się tak naprawdę od wielu miesięcy. Polczyk był jednym z czterech mężczyzn, którzy przed blisko pół rokiem próbowali nad Wisłą zabić kolegę Moniki, niejakiego Roberta. Damian był na jednym ze zdjęć, które Monika wtedy zrobiła i przekazała Adamowi, a on przekształcił je w list gończy.

– Jak to jest możliwe, że facet związany z Pruszkowem żadnemu z policjantów na wszystkich komendach w kraju nie wydał się znajomy z twarzy? – Monika zadała pytanie, które frapowało ją, odkąd w zabitym pod blokiem na Radarowej rozpoznała jednego z tamtych gości.

Adam i Warecki milczeli, bo żaden z nich nie potrafił odpowiedzieć na jej pytanie.

– Jak my to mamy rozwiązać, jak jesteśmy z tym właściwie sami? – Kolejne pytanie Moniki było nie mniej trafne i jeszcze trudniejsze.

– Musimy to rozwiązać sami – odezwał się w końcu Adam, który był młody i pełen zapału.

Monika uśmiechnęła się, pokręciła głową i westchnęła. Adam miał rację i może na szczęście nie miał pojęcia, jak bardzo niemożliwe jest to, co zaproponował.

– Pytłasiński? – Monika spojrzała na Wareckiego, opierającego się pośladkami o jej biurko.

– Na razie nie mamy innego tropu. – Pokiwał głową kapitan.

– Mamy. – Do rozmowy włączył się Adam. – Ja przejadę przez te miejsca, które regularnie odwiedza samochód Tomczyka.

Adam Pytłasiński, który trafił na chwilę na czujne radary ABW w czasach, gdy Agencja zajmowała się jeszcze ewentualnymi próbami infiltracji Polski przez służby wywiadowcze Federacji Rosyjskiej, mieszkał w dwupiętrowym bliźniaku na Sadybie. Dom sam w sobie nie świadczył ani o jego

zamożności, ani o jej braku. Nie wiadomo było, czy go kupił, czy może odziedziczył, a nawet jeśli kupił, to nie dokonał w nim żadnego remontu, co znów mogło stanowić sposób na to, by zamożność nieco zakamuflować. Przed domem znajdował się niewielki ogródek, zaniedbany na tyle, aby można było w każdym razie w miarę spokojnie przyjąć założenie, że panu Adamowi z takiego bądź innego powodu w życiu nie towarzyszyła żadna kobieta.

– Dzień dobry panu, komisarz Monika Brzozowska z komendy stołecznej, a to mój asystent, aspirant Warecki. – Monika wskazała na stojącego obok niej Czesława, który chciał coś powiedzieć od siebie, ale na dźwięk słów Moniki tylko się uśmiechnął. – Dzwoniłam do pana...

Monika zamilkła w oczekiwaniu na jakąś reakcję ze strony stojącego przed nią na oko siedemdziesięcioletniego mężczyzny o twarzy zdziwionego dziecka. Reakcja jednak wciąż nie następowała, a on cały czas spoglądał to na nią, to na Wareckiego.

– Przypomina pan sobie? – Monika patrzyła na mężczyznę i zastanawiała się, czy on może mieć alzheimera.

– Oczywiście – odezwał się Pytłasiński, jakby nagle ktoś włączył go z powrotem do prądu. – Zapraszam państwa, czym chata bogata, jak to mówią.

Monika i Warecki wymienili się zdziwionymi spojrzeniami, po czym weszli w ślad za starszym panem, który zdążył już zniknąć gdzieś w mrokach wąskiego hallu zanurzonego w brązach.

W salonie wystrój był nie mniej dziwny niż w wąskim brązowym hallu z szafkami na buty i dywanem z tworzywa, i nie mniej dziwny od właściciela domu.

– Odrobinę koniaczku? – Odkąd usiedli do stołu, Pytłasiński zadał to samo pytanie po raz trzeci i po raz trzeci ujął w dłoń butelkę z gruzińską brandy.

– Nie, nie naprawdę nie możemy. – Warecki odmówił po raz pierwszy, ponieważ poprzednie dwa razy odmawiała Monika. – Służba nie drużba, jak to mówią.

Monika spojrzała na niego, a on wzruszył ramionami. Może rzeczywiście przejście w tryb starych powiedzonek pomoże jakoś popchnąć sytuację do przodu, pomyślała.

– Czyli mówi pan, że tamta znajomość z prezesem firmy Ramnius była raczej przypadkowa? – Monika wróciła do porzuconego wątku rozmowy.

– Nie było żadnej znajomości, ktoś mnie wtedy namówił, żebym włożył część oszczędności w tamtą inwestycję... – Starszy pan zawiesił się znów na chwilę, jakby próbując sobie coś przypomnieć. – Oszczędności – powtórzył po chwili, tak jakby sam zdziwił się tym, co powiedział. – Ano tak. Oszczędności miałem jeszcze z pracy w USA, kilkanaście lat tam byłem, takie proste prace, potem założyłem firmę budowlaną, taką dla Polonii, bo proszę sobie wyobrazić, że ja właściwie nawet nie mówię po angielsku... No... – zakończył zadowolony.

– Tak – Warecki podjął rozmowę, po tym jak się zorientował, że Monika powoli się poddaje. – Ale co z tym Ramniusem? – Popatrzył na Pytłasińskiego i po chwili doprecyzował: – To znaczy z tą firmą, której powierzył pan część oszczędności ze Stanów?

– Co z Ramniusem?! Jak to co? Hochsztaplerzy, cholerni złodzieje, wszystko gdzieś przepadło. Dobrze, że nie wszystko włożyłem, za resztę kupiłem chociaż ten dom. – Pytłasiński powiódł wzrokiem po ścianach jadalni, na których nie wiedzieć czemu wisiały łowieckie trofea w postaci większych i mniejszych poroży osadzonych w bieli czaszek.

- Poluje pan? – zapytała Monika, żeby rozluźnić nieco atmosferę.
- Czy ja poluję? Skąd taki pomysł w ogóle? – zdziwił się Pytlasiński.

Monika wskazała na wiszące poroża.

– A, o to pani chodzi. – Staruszek prawie się roześmiał. – Nie, to odziedziczyłem po poprzednich właścicielach. Oni chyba zmarli czy coś, a ja nie lubię zmieniać.

Monika pokiwała głową, co miało oznaczać, że rozumie, choć tak naprawdę rozumiała niewiele.

– A tam to policja wkroczyła na szczęście, nie wiem, czy już mówiłem – pan Adam wrócił do porzuconego tematu. – No i mnie też tam coś odpytywali, ale *summa summarum* dobrze, że się wtrącili, bo pogonili tamtych.

– Zna pan może Józefa Walusia? – Monika uderzyła z pytaniem tak nagle i niespodziewanie, że Warecki aż lekko się wzdrygnął.

– Nie, a kto to jest? – Pytlasiński nie wzdrygnął się wcale.

– Kto to był raczej. – Monika przyglądała mu się odrobinę zbyt natarczywie, ale jemu kompletnie zdawało się to nie przeszkadzać. – Gej, kiedyś chłopiec do wynajęcia, widział pewne rzeczy, więc ktoś go zabił nieznaną toksyną, która dusi i paraliżuje. Człowiek jest do końca świadomy, ale nic nie może zrobić. Trochę jak z pavulonem. – Monika postanowiła uderzyć z pełną siłą.

Starszy pan pokiwał głową, jakby zafrasowany, ale poza tym na jego twarzy nie pojawiło się nic.

– Nie wiem, co to jest pavulon, i nie znam żadnego Malusia – odpowiedział spokojnie.

– Walusia, panie Adamie, Walusia. – Monika wciąż nie spuszczała z niego oka. – To dziwne, bo on twierdził, że się znaliście. I to twierdził tak, kiedy już się dusił na moich oczach, więc raczej nie miał powodu, żeby kłamać.

– Nie wiem, kto co twierdzi, nie mogę za to odpowiadać, ja w każdym razie go nie znam. – Pytlasiński popatrzył w końcu też na Brzozowską, jego oczy były spokojne, a spojrzenie szczere. – Koniaczkę?

Kiedy chwilę później wsiedli do samochodu, Warecki odpalił silnik i popatrzył na Monikę.

– Pogięło cię? – zapytał. – Jakiegoś Bogu ducha winnego starego ramola ciśniesz opowieściami o pavulonie.

– Nie. – Monika pokręciła głową.

– Co: nie? – Warecki wypadł najwyraźniej trochę z jej toku myślenia. – Nie ciśniesz?

– Nie Bogu ducha winnego – Monika sięgnęła po papierosa.

– Skąd wiesz? Przecież on był totalnie spokojny, bo kompletnie nie miał pojęcia o czym mówisz. – Czesław wrzucił kierunkowskaz i powoli stoczył się z krawężnika.

– Był spokojny, bo doskonale wiedział, o czym mówię, i doskonale wiedział, że go o to wcześniej czy później zapytam, ale nawet gdyby nie wiedział, że go zapytam, to też byłby spokojny, szkolili go do tego, a ciebie nie? – Monika zapaliła i dym z pierwszego macha wydmuchnęła prosto w twarz przyglądającego jej się kapitana Wareckiego. – Patrz na drogę, bo zaraz będzie fura do wyklepania.

– Ty się minęłaś z powołaniem, powinnaś pracować u nas w dziale tropienia nielegalistów, tam same świry pracują, własne matki podejrzewają o to, że są śpiochami – pokręcił głową z niedowierzaniem Warecki.

– No może. A skoro już o tym mówimy, to podjedziesz ze mną do matki? – Monika się

uśmiechnęła. – Ona będzie bardzo szczęśliwa, jak przyjadę w końcu z jakimś facetem.

Czesław spojrział na nią i już nic nie powiedział.

Mama przez całą ich wizytę właściwie w ogóle nie interesowała się Moniką, bo pomimo swoich prawie osiemdziesięciu lat i rozhuśtanej miażdżycy, a może – wręcz alzheimera, wciąż była po prostu kobietą.

– Tak się cieszę, że znów jesteście razem. – Mama dołała kawy z dzbanka do filiżanki Wareckiego, po czym zerknęła w stronę ostatniego już kawałka ciasta. – Może zjesz jeszcze?

– Bardzo dziękuję – pokręcił głową Czesław, co mama przyjęła z niespecjalnie ukrywaną radością i pół sekundy później sama porwała ostatni kawałek swojej ulubionej babki piaskowej.

– Ładne mieszkanie. – Czesław rozejrzał się wokoło i powiedział coś, żeby powiedzieć cokolwiek. Monika przyglądała się sytuacji z pewnym rozbawieniem, a najbardziej śmieszyło ją to, że w ogóle nie czuła na sobie obowiązku w niej uczestniczenia.

– Oj tam, ładne. – Mama połknęła ostatni kęs ciasta. – Gdyby pan widział nasz dom kiedyś. Z mężem mieszkaliśmy na Płatniczej. To tu niedaleko, czasem chodzę na spacer w przeszłość. – Mama uśmiechnęła się z rozrzewnieniem. – A tutaj? Taki kącik, ciasny, ale własny. Monika mi znalazła. – Mama bodaj po raz pierwszy, odkąd przyszli, spojrzała na córkę. – Kochane dziecko.

Monika zmarszczyła brwi. To, że mama ją kochała, chociaż na swój dziwny i pokrętny sposób, wiedziała, ale takiego oświadczenia nie usłyszała od niej chyba od trzydziestu lat, a wtedy gdy była mała i słyszała od niej takie słowa, mama przeważnie była w stanie lekkiej bądź cięższej nieważkości alkoholowej. Już miała w związku z tym zapytać, czy przypadkiem mama nie wróciła po trochu do swojego zgubnego niegdyś nałogu, ale w ostatniej chwili zrezygnowała.

– No, dobrze, a jak mały? Przeprowadźcie go w końcu do babci czy nie? – Mama odleciała najwyraźniej nieco dalej.

– Mamo, kurde. – Teraz racjonalizacje już nie pomogły i Monika zareagowała szybciej, niż pomyślała. – Co ty opowiadasz w ogóle? To jest mój kolega z pracy, a nie żaden mąż, i nie ma małego, nigdy nie było i nie będzie.

Ostatnie słowa były już odrobinę niepotrzebne, ale to przyszło Monice do głowy dopiero sekundę po tym, jak je wypowiedziała.

Mama zmarkotniała, uśmiech zniknął z jej twarzy, przez chwilę cisza ciężka jak ołów wisiła nad sytuacją.

– Nigdy nie mów nigdy. – Warecki był wychowany tak, żeby za wszelką cenę ratować sytuację.

Monika popatrzyła na niego tak, że nie pierwszy już zresztą raz w życiu wychowanie odbiło mu się lekką czkawką.

– Pójdziemy już, mamo. – Monika wstała i zaczęła zbierać naczynia.

– Zostaw to. – Mama nie była już w ogóle miła. – Poradzę sobie. Jak musicie, to idźcie. A panu bardzo dziękuję.

– Proszę bardzo. – Warecki nauczony był też, żeby zawsze być wdzięcznym za wdzięczność, ale jednocześnie miał w sobie także gen dociekliwości. – Ale za co?

– Za to, że stara się pan zawsze ratować sytuację. – Mama uśmiechnęła się delikatnie i trochę tajemniczo.

Jadąc z Bielan na plac Bankowy, milczeli przez większość drogi. Warecki odezwał się dopiero w okolicach Anielewicza:

– Moja mama w zeszłym roku też umarła na raka.

Monika zerknęła na niego, ale nic nie powiedziała, bo co właściwie mądrego można powiedzieć po takiej informacji.

– Była bardzo ważną osobą w moim życiu – kontynuował Warecki. – Chyba to, jaki jestem, to głównie po niej.

– Przykro mi – odezwała się Monika. Wprawdzie zdanie, które wypowiadała, dotyczyło bardziej pierwszej informacji niż tej ostatniej, ale i tak wypadło trochę głupio. Warecki się uśmiechnął.

– Kilka miesięcy po jej śmierci zachorował tata – wrócił do tematu. – Prawie na to samo. No i chociaż nigdy nam w życiu nie było po drodze, to teraz mieszka u mnie. Ma tylko mnie...

– A ty jesteś jak mama, która opiekowała się nim wcześniej, chociaż nie powinna. To też od niej przejąłeś. – Monika zanalizowała go z miejsca i od razu tego pożałowała – Przepraszam.

– Nie szkodzi. Pewno masz rację. – Czesław pokiwał głową, zaskoczony, jakby Monika tym jednym zdaniem rozwiązała jakąś nurtującą go zagadkę.

Wjechali na parking przy komendzie, Warecki wyłączył silnik, ale żadne z nich nie złapało za klamkę i siedzieli dalej tak, jakby wciąż jechali.

– Mój ojciec zmarł na wylew, ale to od wódki – zaczęła Monika. – A z mamą? Kontakt nigdy nie był oczywisty, ale jakiś tam chyba jest, tylko ona wciąż z tym mężem i z dziećmi wyjeżdża.

– Babcia – uśmiechnął się Czesław. – A męża już akurat miałaś – rzucił trochę bezwiednie i niestety bezmyślnie. – Teraz ja przepraszam – dodał po chwili refleksji.

– Ale za co? – Uśmiechnęła się. – Ani mnie za niego nie wydałeś, ani mi go nie zabrałeś. Obie te rzeczy zrobiłam sama. W ogóle zawsze wszystko robię sama.

– Sama czy samotnie? – Spojrzał na nią przenikliwie, ale też ciepło.

– Sama, i pewno przez to samotnie. – Teraz ona pokiwała głową.

– I przez to te narkotyki? – Nie przestawał na nią patrzeć.

– Może.

– Trzeba będzie to jakoś zgubić. – Uśmiechnął się bardziej.

– Trzeba będzie, już raz to zrobiłam, może jeszcze raz się uda.

Kryminalistyk Mirek pojawił się w jej gabinecie kilka minut po ich powrocie. Wyglądał na mocno podekscytowanego.

– Gdzie ty byłaś? – zapytał z delikatną nutą pretensji w głosie.

– Byłam, gdzie byłam, a co cię to...?! – odpowiedziała z głośniejszą nutą, bo zawsze tak robiła.

– No, tak to nie będziemy rozmawiali. – Mirek prawie się obraził.

– Dobra, przestań, co jest? – Monika, żeby nigdy nie musieć nikogo przepraszać ani z niczego się nie wycofywać, miała taką metodę, że zwiększała tempo przebiegu wydarzeń i dzięki temu większość osób w tym pędzie zapominała o swojej urazie.

– Co: przestań? – Mirek był trudniejszy niż większość.

– Dobrze. – Monika się poddała. – Byłam w kilku miejscach, w celu przeprowadzenia działań operacyjnych.

- W tej sprawie? – dopytał.
- A w jakiej? – Popatrzyła na niego, a w jej spojrzeniu była informacja o tym, że czas wyjaśnień dobiegł końca.
- Mam odcisk. – Mirek w końcu z dumą rysującą się na twarzy przeszedł do rzeczy.
- Kto nie ma – zgasiła go lekko Monika, po czym dodała polubownie: – No, dawaj.
- Na tej plastikowej torebce było tego sporo, jakieś stare zakryte nowymi, ale to już nie dojdę... – Zawiesił głos dla lepszego efektu.
- Super, że wyeliminowałeś stare, a spośród nowych...? – Monika za wszelką cenę starała się utrzymać nerwy na wodzy.
- Najpierw wyeliminowałem twoje... – Mirek uśmiechnął się jakby porozumiewawczo.
- A skąd miałaś moje? – Monika nie weszła w porozumiewawczość.
- Z czasów gdy ścigaliśmy cię w sprawie tamtych morderstw. – Zatrzymał się znów, ale teraz z innego powodu, po chwili dodał: – Z czasów gdy kazali nam cię ścigać.
- Dziękuję. – Monika uśmiechnęła się, doceniając jego empatię, która zresztą lekko ją zaskoczyła.
- No i co dalej?
- Dalej wyeliminowałem odciski tego twojego gacha, jak on się nazywał naprawdę? – Spojrzał na nią pytająco.
- Naprawdę to nikt nie wie, ale jak był moim gachem, to był Markiem – odpowiedziała.
- No więc odciski tego Marka miałem zebrane z mieszkania, poza tym ten gość ma łapy jak bochny, łatwo odróżnić. – Mirek zatrzymał się, żeby odczekać chwilę przed wrzuceniem puenty, a Monika poczuła wielkie jak bochny dłonie Marka na swoich pośladkach i wzdrygnęła się na samo wspomnienie.
- Mirek spojrzał na nią, trochę zdziwiony.
- No i? – powiedziała z lekkim zniecierpliwieniem, bo chciała jak najszybciej zgubić wspomnienie o bochnach na pośladkach, a spojrzenie Mirka wciąż je przywoływało.
- No i został jeden, mały, więc damski raczej, ale nie twój, czyli... – Mirek uśmiechnął się tryumfalnie.
- Wielkie dzięki, supersprawa. – Monika na szczęście pamiętała tym razem, żeby najpierw docenić i wyrazić wdzięczność, a dopiero potem sformułować kolejną prośbę. – Przekażesz Wójcikowi, żeby od razu rzucił to na wyszukiwanie?
- Maszynka już pracuje, u Wójcika byłem najpierw – dodał z dumą. – Mówiłaś, że sprawa pilna jest.

Adam pojawił się wkrótce po Mirku, rzeczywiście wrzucił znaleziony odcisk na maszynkę i po godzinie mozolnego analizowania komputer odpowiedział, że takiego odcisku palca w bazie nie posiada.

- Słowem, niewinna – uśmiechnęła się Monika.
- Może to nie jej odcisk – zasugerował Wójcik.
- Jej, chyba że jak ten bohater z filmu *Siedem* usuwa sobie opuszki raz w tygodniu, ale moim zdaniem jest na to zdecydowanie zbyt elegancka. – Monika zamyśliła się na moment.
- Jesteś pewna, że złapała tę torebkę? – Podał w wątpliwość jej spostrzegawczość, a tego Monika

nie lubiła wyjątkowo.

– Nie, wydawało mi się, omamy miałam – odpowiedziała niezbyt przyjemnie.

– A ta torebka to czyja właściwie była? – Adam patrzył jej w oczy, w pytaniu zawierała się nieszczególnie zawołowana aluzja odnosząca się do omamów.

Monika popatrzyła na niego. Zastanawiała się przez moment, czy ma czas i siłę walczyć, ale szybko doszła do wniosku, że nie ma za bardzo ani czasu, ani siły, a być może też po prostu pogodziła się z tym, że Wójcik ma rację. Człowiek, który w miarę chronicznie używa silnych środków zmieniających świadomość, nie jest szczególnie pewnym źródłem informacji, choć z reguły wydaje mu się, że jest wręcz przeciwnie. Tyle przynajmniej Monika miała zapamiętane z odwyku sprzed lat. Nałogowcy wszelkiej zresztą maści i wszelkiego autoramentu, od heroinistów po kompulsywnych zakupowiczów, przeważnie uważają, że wszystko funkcjonuje w jak najlepszym porządku i że właściwie dopiero w swoich ciągach stają się ludźmi w pełni godnymi zaufania.

– Może rzuć to też za granicę – odezwała się po chwili, nie komentując już poprzedniej wymiany zdań.

– Już to zrobiłem, ale wolno miałą młyn Interpolu. – Uśmiechnął się, zadowolony z faktu, że Monika miała jednak świadomość tego, że nie jest z nią za dobrze. W innym wypadku nigdy nie opuściłaby tamtego tematu. – To co, może na razie pojeżdżę trochę za Tomczykiem?

– Ty nie pojeździsz na pewno – pokręciła głową Monika.

– Bo? – Adam postanowił się podroczyć.

– Bo byłeś u niego ze mną, więc wie, że pracujesz w policji. – Monika popatrzyła na niego poważnie. – Jak wykmini, że za nim jeździsz, to mamy przesrane. Jego prawnik obstawi go wtedy tak, że nie będziemy go mogli ruszyć już nigdy.

Chwilę wcześniej do pokoju Moniki wszedł Warecki. Na razie nic nie mówił, z pewnym rozbawieniem przysłuchiwał się za to ich przekomarzance. Kiedy zamilkli, popatrzył najpierw na nią, potem na niego.

– Ale mnie nie zna, pomyśli najwyżej, że jakieś bandziorki się na niego skradają – powiedział z uśmiechem.

Monika zlustrowała go przez chwilę: gładko ogolony, dobrze zbudowany, ubrany poprawnie, raczej bez ekstrawagancji, w oczach czysta prawda.

– Schlebiasz sobie – skwitowała, a w myślach, które nie zawsze daje się kontrolować, przemknęło, że może gdyby trochę nad nim popracowała... W sumie był naprawdę przystojny i chyba też męski. Tyle tylko, że tę męskość z jakiegoś powodu jakby cały czas skrzętnie próbował ukryć.

– To pomyśli, że paparazzi – wybrnął Warecki. – Mogę w razie czego wziąć nawet trochę aparatów. Jak się połapie, wyskoczę z tym wszystkim i będzie po sprawie.

– Tylko po co właściwie za prezesem banku mieliby ganiać paparazzi? – zapytał logicznie Adam.

– A za Strauss-Kahnem po co ganił? – Warecki odpowiedział pytaniem na pytanie.

– To za granicą było, u nas prezesi banków są nudni jak flaki z olejem – bronił swojej tezy Adam.

– Są nudni, bo nie zajrzeli im do alkowy paparazzi – uśmiechnął się Warecki. – Jak zajrzeć do alkowy albo za kołnierz, to nikt nie jest już nudny. – Kapitan skończył i nie wiedząc czemu z ledwie widocznym uśmiechem zerknął na Monikę.

Czy chodziło mu o to, że gdyby paparazzi zajrzeli do jej alkowy, a jeszcze lepiej do kibla,

w którym ściągała buchy bronna, to przestałaby być nudna? Czy może w ten sposób odpowiedział na jej wcześniejsze myśli o nim samym? Monika nie miała pojęcia, ale denerwowało ją trochę, że ten facet zajmował coraz więcej miejsca w jej myślach.

– No to jedź za nim, specu od alków. – Pokiwała głową.

– Czy ty mi przypadkiem nie rozkazujesz? – Uśmiech nie zniknął z jego twarzy, ale zrobił się nagle jakby mniej filuterny.

– Nie, ale skoro pytasz, to ci odpowiadam. – Popatrzyła na niego buńczucznie.

– A swoją drogą, kto jest w ogóle szefem tej grupy? – Adam wyciągnął z kieszeni lekko zmiętą torebkę z orzeszkami arachidowymi. Chciało mu się palić, ale na razie nie miał jak. Zawsze w takich sytuacjach wyciągał z kieszeni torebki z czymś.

– Swoją drogą na pewno nie ty.

Monika podeszła do okna i uchyliła je nieco zbyt gwałtownie: prawie pełny kubek kawy i teczka z aktami podręcznymi jakiejś wcześniejszej sprawy wymieszały się ze sobą na brudnej wykładzinie pod oknem.

– Daj fajka. – Spojrzała pod nogi i zamknęła oczy.

Warecki miał ułatwione zadanie. Obok niego, na siedzeniu pasażera, leżał otwarty laptop z włączoną aplikacją, która przez cały czas pokazywała mu aktualną pozycję samochodu prezesa Tomczyka. Dzięki temu, jeżdżąc za nim, nie musiał trzymać jego auta w polu widzenia, co miało tę niewątpliwą zaletę, że również kierowca prezesa, jeśli nawet był czujny, nie widział jego samochodu w lusterku wstecznym. Prezes, gdy już wyjechali z siedziby banku przy Żwirki i Wigury, kazał się najpierw zawieźć do pralni przy Raclawickiej, z której kierowca odebrał kilka garniturów, kolejnym przystankiem okazało się bistro Zorza przy Żurawiej. Tutaj spotkał się z jakimś mężczyzną, który jednak nie mógł być nijak podejrzany, bo z podejrzаныmi mężczyznami nikt przy zdrowych zmysłach nie spotyka się przy Żurawiej, gdzie roi się od dziennikarzy z prasy brukowej, którym zresztą towarzyszą prawie zawsze właśnie paparazzi. Warecki zrobił nawet z ukrycia zdjęcia dwójce mężczyzn, którzy zamówili porcję tataru, ale miał pełną świadomość, że akurat to spotkanie najprawdopodobniej miało rangę oficjalną. Prezes miał dom w Łomiankach, dlatego po spotkaniu z ulicy Żurawiej zjechali na Wisłostradę, a następnie ruszyli na północ. Ostatnim przystankiem była Galeria Łomianki. Warecki uznał, że prezes dostał prawdopodobnie zlecenie od żony, żeby kupić coś jeszcze po drodze do domu, i już chciał przerwać obserwację, kiedy zauważył, że po opuszczeniu samochodu Tomczyk zamachał do kogoś, kto siedział i czekał najwyraźniej na jego przybycie w beemce zaparkowanej kilka rzędów dalej. Czesław stanął po drugiej stronie parkingu. Kiedy prezes wszedł do centrum, odczekał chwilę, żeby się upewnić, czy to samo zrobi mężczyzna, którego chwilę wcześniej pozdrowił gestem. Kiedy tak się stało, sam wysiadł ze swojego auta i ruszył do wejścia.

– No i co? – Monika przerwała Wareckiemu trochę przydługą opowieść.

Była jedenasta wieczorem, więc pora jej kolejnej dawki leczniczej zbliżała się wielkimi krokami, a ona zawsze w takich momentach stawała się już mocno zniecierpliwiona. Prawdopodobnie mózg wołał o swoje, a może też powoli zaczynał się denerwować, że swoje może go ominąć.

– No i to nie był twój Marek – pokręcił głową Warecki.

Tajemnica, którą zdążył już nabudować, kierowała oczekiwania w stronę osoby pseudo-Araszkiewicza. To jego tak naprawdę spodziewali się namierzyć w kontakcie z Tomczykiem. To znaczy nie tyle się tego spodziewali, ile to on przychodził im wszystkim na myśl pierwszy.

– Czyli strata czasu – skwitowała w związku z tym Monika, która z jednej strony chciała, żeby Warecki już sobie poszedł, by móc wreszcie iść do łazienki w ich tajnym mieszkaniu i zapalić jedno, a może nawet jedno i drugie. Z drugiej strony jednak, gdzieś z tyłu głowy, pojawiła się myśl, żeby Warecki zrobił coś zupełnie innego, ale tę akurat zachciankę odganiała od siebie jak natrętną muchę.

– Nie do końca. – Warecki wyciągnął aparat z długim białym obiektywem, po czym chwilę w nim gmerał w poszukiwaniu konkretnego zdjęcia.

– Jak patrzę na ten sprzęt, to wygląda, jakbyś naprawdę był paparazzim – zauważył z uśmiechem Adam.

– Pożyczyłem. – Czesław znalazł w końcu to, czego szukał. Powiększył zdjęcie na podglądzie LCD, pokazał je Monice i dokończył myśl: – Mam kolegów w tym środowisku.

– A w jakimś nie masz? – Adam się uśmiechnął, a Monika odniosła przez moment wrażenie, że w uśmiechu było odrobinę za dużo kokieterii.

– Możesz go nie podrywać. – Monika spojrzała na Adama z nie do końca udawaną pretensją. – Przynajmniej w pracy.

– A co? Zajęty jest? – Adam odwzajemnił jej znaczące spojrzenie.

Monika zaśmiała się krótko, co miało oznaczać, że pytanie było tak nietrafione, że nawet nie warto było na nie odpowiadać, po czym pochyliła się z powrotem nad wyświetlaczem Canona. Przyglądała się zdjęciu przez chwilę z rosnącym zainteresowaniem, powiększyła je po chwili jeszcze bardziej, po czym spojrzała na Wareckiego z uśmiechem.

– Bogu ducha winny ramol? – Przekazała aparat Adamowi. – Adasiu, poznaj swojego imiennika: pan Adam Pytłasiński, o którym przed śmiercią powiedział mi Józef Waluś.

– Czyli co? – zdziwił się Adam. – Przecież byliście u niego?

– Byliśmy, ale wtedy okazało się, że to Bogu ducha winny ramol. – Monika przekornie nie spojrzała na Wareckiego.

Przez chwilę milczeli, a ona przyglądała się zdjęciu, wciąż jednak trochę zadziwiona.

– Czyli zaczyna nam się formować powoli, zdaje się, jakiś krąg – odezwał się w końcu Warecki. – Prezes Tomczyk kłamie, czyli pewno zna się też z twoim Markiem, jakkolwiek on się nazywa tak naprawdę, a jeśli tak, to zna się też prawdopodobnie z koleżanką Marka, która zabiła już bardzo wiele osób.

– A mnie nie zabiła tylko przez przypadek – dodała Monika.

– Czy to był tak do końca przypadek, tu akurat bym się spierał. – Warecki może i ubierał się niezbyt interesująco, ale w jego oczach działały się chwilami ciekawe rzeczy.

– Nie, to nie był przypadek. – Monika przypomniawszy sobie, że kilka dni temu uratował jej życie, i spojrzała w te właśnie oczy.

– To co robimy? – Adam przerwał narastającą burzę hormonów. – Którego ciśniemy?

– Zaczniemy chyba od Bogu ducha winnego – skwitowała Monika, wciąż patrząc na Czesława.

– Jest jeszcze jedna sprawa. – Adam popatrzył na nich oboje tak, jakby się wahał, czy w ogóle

o tym mówić.

– Ale postanowiłeś zachować ją dla siebie. – Monika, która wstała już, żeby pojechać do Pytlasińskiego, zatrzymała się przy drzwiach.

Adam uśmiechnął się przez chwilę.

– Wrócił wynik tego odcisku – zaczął. – Z Interpolu wrócił, w sensie. I oni tam mają adnotację, że coś jest, ale w archiwach MI6, więc żeby dostęp był...

– To trzeba będzie pocisnąć od nas. – Warecki też był już przy drzwiach. – Mam na Anglików jakieś przełożenie, ktoś mi jest nawet coś dłużny, przysługa za przysługę, może wykorzystam.

– A nie wolisz przytrzymać na czarną godzinę? – zażartowała Monika. – Ci z MI6 podobno najlepiej potrafią człowieka schować, jak już nie ma innego wyjścia.

– Zaryzykuję. – Warecki puścił ją przodem, a ona odniosła wrażenie, że zrobił to w sposób odrobinę zbyt szarmancki.

– A ja? – Adam został, jak stał.

– Ty się przyglądaj, co dalej będzie porabiał nasz lewy prezes z Pekao – usłyszał jeszcze zza drzwi głos Moniki. – Ale tylko zdalnie.

Czyli jednak to chyba ona dowodzi, pomyślał Wójcik i odpalił komputer.

Kiedy jechali w stronę dziwnego domu na Sadybie, do Czesława zadzwonił telefon. Z kontekstu rozmowy dotyczącego zabójczej, trującej substancji, która uśmierciła Walusia, Monika wysnuła, że dzwonił ktoś ze służb wojskowych. Tylko wojsko zajmowało się obecnie badaniem tej trucizny.

Po skończeniu rozmowy Warecki nie odezwał się od razu. Sprawa dotyczyła czegoś, co było ważne dla nich obojga, dla niej może nawet ważniejsze, bo przecież w końcu to coś omal nie wysłało jej na tamten świat, więc milczenie Czesława było cokolwiek dziwne. Monika nie pytała jednak, a to, że nie pytała, wcale nie ułatwiło mu życia.

– Nie mogę tego nikomu mówić – zaczął. – To jest informacja tajna i trzeba mieć certyfikat.

– Kurde, co ty nie powiesz! – Monika uśmiechnęła się ledwie widocznie, po czym zapaliła papierosa.

– Nie pal tu. – Warecki był wściekły, tak naprawdę wściekły głównie na sytuację, ale dzięki temu, że Monika zapaliła, mógł być też zły na nią.

Do końca drogi, czyli przez kolejne dwadzieścia minut, nie odezwali się do siebie ani słowem. Kiedy wysiedli, Czesław rzucił swój telefon na siedzenie w aucie, pokazał Monice, żeby zrobiła to samo. Kiedy ona udała, że nie rozumie, wyciągnął sam telefon z wewnętrznej kieszeni jej kurtki dżinsowej, następnie zamknął samochód, złapał ją delikatnie pod ramię i odprowadził kawałek dalej w stronę niewielkiego placu zabaw. Na środku ogródka jordanowskiego pluskała fontanna, a wokoło szczebiotały dzieci. Kiedy stanęli przy fontannie, pokazał jej, żeby siadła na jej obrzeżu. On zrobił to samo, po czym schylił się jeszcze w stronę szumiącej i bulgocącej wody.

– Nie wiedzą, co to jest, w sensie: czym was otruli – zaczął.

– No to niezły sekret, trzeba to trzymać w totalnej tajemnicy – skwitowała z uśmiechem.

– Tak, jest sekret, bo to, że nie wiedzą i nie potrafią dojść, oznacza z grubsza tyle, że to jest jakaś substancja przygotowana przez niezłych speców w jakimś niezłym kraju – rozwinął wątek, po czym zamilkł i popatrzył na dzieci bawiące się po drugiej stronie fontanny.

– Te samochody wtedy pod tym pseudoklasycystycznym pałacykiem... – zaczęła po chwili

namysłu.

– Jakie samochody, pod jakim pałacem? – zdziwił się Warecki.

– Pod pałacykiem Boreckiego, tego od parabanku czy od tych kas „STOP” czy „SOP”. – Monika próbowała przypomnieć jednocześnie sobie i Czesławowi.

– Tego Boreckiego, który gdzieś uciekł, jak wydali na niego nakaz aresztowania w związku z tymi kasami? – Warecki wiedział już, o kim mówi Monika, ale wciąż nie wiedział, o jakie samochody chodzi.

– Tak, tego. Chodzi mi o te auta na białoruskich numerach, które tam widziałam, gdy obserwowałam ten dom. – Monika zaczęła nerwowo przeglądać coś w czarnym moleskinie, który wyciągnęła z kieszeni.

– Piszesz wiersze? – uśmiechnął się Czesław.

– Wieczorami. – Monika przerzucała kolejne strony. – A w ciągu dnia notuję białoruskie numery.

Warecki pokiwał głową. Powoli wiedział już, do czego zmierzała Monika, ale nie był na razie do końca przekonany, czy te dwie rzeczy mogą być jakkolwiek połączone.

– Ruscy, tak? – wypaliła w końcu Monika. – Jak substancja nie wiadomo skąd, to Rosjanie, to chciałeś mi powiedzieć przed chwilą czy coś innego?

– Chciałem ci powiedzieć, że sprawa jest poważna, bo takich rzeczy nie robią byle ciecie, ale nie powiedziałem, że Ruscy. – Czesław zaczął się trochę plątać. – To znaczy: owszem, może u nich została zrobiona, chociaż pewno na Zachodzie też robią gdzieś takie gówna, ale nawet jak u nich, to mogło to trafić w różne miejsca.

– Mogło. – Monika trochę już go nie słuchała, poszukiwania w notesie były znacznie bardziej absorbujące. – Mam. – Podała mu telefon. – To są te numery. Były trzy auta, każde na moje mało wprawne oko za milion złotych albo euro. Umiesz to sprawdzić czy mam poszukać u kogoś innego?

Czesław chwilę jeszcze jej się przyglądał, po czym wstał i ruszył w stronę nieodległej willi z lat siedemdziesiątych.

Rarytas. – Chwilę później Monika stała już kilka metrów od fasady pokrytej różnokolorowymi tłuczonymi talerzykami.

– Co? – Warecki zadzwonił do drzwi chwilę wcześniej i teraz przypatrywał się szkiełku w judaszu. Jeśli choćby na moment zamigocze w nim światło, będzie to oznaczało, że Pytłasiński jest w mieszkaniu.

– Zawsze się zastanawiałam, czy żeby zrobić taki dekor, ktoś musiał najpierw kupić zastawę we Włocławku i ją potłuc, czy kupowali od razu taką tłuczonkę. – Monika przekreślała głowę, przypatrując się fragmencikom kujawskich róż i chryzantem, a potłuczone talerzyki mieniły się różnymi kolorami. Przez chwilę czuła się, jakby już sobie zapaliła, a przecież dziś jeszcze tego nie zrobiła. Dzienny przydział czekał na nią schowany za rezerwuarem w łazience ich tajnej dziupli na Żurawiej.

– Co pani robi? – Nagle skądś dobiegł znajomy głos Bogu ducha winnego ramola.

– Oglądam talerzyki – odpowiedziała Monika, a jednocześnie zaczęła się czujnie rozglądać za źródłem głosu, który przed momentem usłyszała.

– Tu jestem – głos odezwał się ponownie.

Monika zlokalizowała źródło. Pytłasiński mówił do niej przez szparę wąsko uchylonego okna na półpiętrze.

– Otworzy pan? – Do rozmowy włączył się Warecki. Stał pod daszkiem rozpostartym nad drzwiami wejściowymi, więc nie miał pojęcia, skąd dochodzi głos. Dlatego jedynie podniósł głowę i mówił w stronę fasady pokrytej talerzykami.

– Po co, przecież już byliście? – dopytał staruszek z okna.

– Jeszcze się pojawiła jedna drobna kwestia. – Teraz Warecki lekko się wycofał i też namierzył okno, z którego mówił do nich pan Adam.

Od dobrej minuty Adam Pytłasiński pochylał się i oglądał zdjęcie, które – teraz już wydrukowane, i to w całkiem sporym formacie – Warecki położył na stoliku kawowym z lekko odchodzącym gdzieniegdzie fornirem.

– No, wiem, to jest w tej galerii tam pod Warszawą – odezwał się w końcu staruszek. – Jak to się nazywa?

– Łomianki. Galeria Łomianki – trochę od niechcienia objaśnił Czesław.

– No i co? – starszy pan nagle ożywił się buńczucznie.

– No i to, panie Pytłasiński, że nie jakiś deweloper i stracone pieniądze przed laty, tylko jest pan umoczony w bardzo brzydko pachnącą rzecz dziś – zaczęła Monika, która stawała się coraz bardziej zmęczona i rozdrażniona. – Jak nam pan nie pomoże, to będzie źle, bardzo źle. Tomczyk się jakoś wyślizga, ma kupę szmalu, prawników, w najgorszym razie spierdoli gdzieś za morze...

– W moim domu nie będzie pani używała takiego słownictwa – nagle oburzył się Pytłasiński, po czym zgasł równie szybko, jak zapłonął.

– Ale pan nigdzie nie... – Monika zawahała się przez moment – nigdzie pan nie wyjedzie, nikt pana nie wybroni, więzienie w pana wieku, z pedofilią za kołnierzem, daje panu tydzień życia pod celą, i to przy dobrych wiatrach.

Czuła się coraz gorzej, więc opowiadanie staruszkowi jego dalszych, słabo rokujących losów sprawiło jej nagle jakąś dziwną perwersyjną przyjemność, działało trochę jak eliksir na jej nerwy napięte do granic. Nie było jej jednak zbyt dobrze z tą przyjemnością. Nagle przyszło jej do głowy, że nie może już dłużej robić sobie tak dużych przerw między kolejnymi dawkami. Wprawdzie chroniło ją to na razie z grubsza przed tymi najpoważniejszymi, osiowymi objawami odstawienia, ale psychika, zwłaszcza popołudniem i potem – wieczorem, była już narażona na bardzo nieprzyjemne fluktuacje. Najgorsze jednak było to, że owo popołudnie nadchodziło z dnia na dzień coraz wcześniej.

– Dlaczego pani mnie straszy czymś takim? – Pytanie Pytłasińskiego wyrażało w pewnym sensie jej własne odczucia, był w nim jakiś rodzaj żalu, który przed momentem sama odczuła. Jego odczucia odbiły jej stan.

– Nie straszę pana, tylko przedstawiam sytuację. – Monika nagle zaczęła się jakby bronić. Przed jej oczami, nie wiadomo dlaczego, stanęło nagle wspomnienie tłuczonych talerzyków na fasadzie. Chciała jeszcze coś dodać, ale nagle totalnie straciła concept.

– Panie Pytłasiński... – do rozmowy włączył się Czesław, który do tej pory lustrował grzbiety książek stojących na półkach i zdjęcia wiszące na ścianach wokoło – skoro już wiemy, że nas pan

okłamał, to będziemy szukali na pana kwitów, a ponieważ mamy świadków – blefował kapitan – to długo nam się nie zezdziej. Potem niestety prawdopodobnie będzie tak, jak wspomniała koleżanka, może tylko wyraziła się zbyt dosadnie.

– Czyli co? – nagle zapytał Pytłasiński.

– Musi nam pan pomóc. – Do rozmowy wróciła Monika, fala niechęci do siebie i do świata odeszła na chwilę, ale ona wiedziała, że wróci wkrótce i nieodwołalnie, tak jak podobno wracają skurcze porodowe, których nigdy nie przeżyła.

– Jak? – Pytłasiński wydawał się bezradny.

– Jaka jest w tym wszystkim rola prezesa Tomczyka? – Czesław, który znów kręcił się po salonie i oglądał zdjęcia, zapytał, nie odwracając się nawet.

– Rola w czym wszystkim? – Pytłasiński wciąż jeszcze próbował udawać, że nie wie, o co chodzi, ale było to coraz mniej przekonujące.

– Mam panu przeczytać prawa? – Monika sięgnęła za pasek, wyciągnęła kajdanki, które położyła nagle na stole między nimi. Starszy pan spojrzał na nią lekko zaskoczony. Tak naprawdę nie mieli na razie żadnych podstaw do zatrzymania, więc blef opierał się na niczym, ale Pytłasiński się wystraszył, a przynajmniej na to wyglądało.

– Włodek to raczej nie brał udziału w niczym, może z raz był na takim naszym spotkanku, ale nic aktywnie. – Staruszek zaczął się łamać, ale tylko trochę i zbyt powoli.

– Na jakim waszym spotkanku? – pocisnęła Monika.

– No... przecież pani wie na jakim. – Pytłasiński uśmiechnął się lekko, a Monice zdało się, że w tym uśmiechu był jakiś rodzaj obłej próby zblatowania na bazie wspólnych doświadczeń.

– Nie wkurwiał mnie, dziadek – Monika zareagowała szybciej, niż pomyślała. Owszem, przez kilka lat mieszkała na dworcu, owszem, wiedziała, o jakich spotkaniach starych zgredów z młodymi chłopcami mówił stary, ale wiedziała też, że przez takich jak on zginęło już zbyt wielu ludzi, a wśród nich, przed laty, jej dworcowy podopieczny, młodziutki Marcin. – Gdzie te spotkania, kto na nie przychodził, kto i dlaczego zabija ludzi? Szybko i po kolei, albo od razu jedziemy do pałacu.

– Do pałacu? – Pytłasiński wciąż, zdaje się, ślepo wierzył, że wiek usprawiedliwi jego demencyjną głupkowatość, co w konsekwencji spowoduje, że się od niego odwałą.

– Wstawaj! – Monika sama podniosła się z wytartego skórzanego fotela i wzięła do ręki kajdanki.

– Dobrze, zaraz, coś sobie spróbuję przypomnieć, ja mam wirus, mózg mi zjada jakiś grzyb, dajcie mi chwilę! – zaczął dyszeć.

– Wirus i grzyb w mózgu to najniższy wymiar kary, jaki cię mógł spotkać za to, co nawywijałeś tym dzieciakom, zboku. – Monika wciąż stała i wpatrywała się w Pytłasińskiego, który ręce położył na głowie, tak jakby próbował się osłonić przed nią, a może przed grzybem, którego miał w głowie. – Masz trzydzieści sekund na to, żeby coś wydłubać z tego grzyba. Jak nie, to włączę ci karę dodatkową i jeszcze dzisiaj wylądujesz z tym wszystkim na Białogórze.

– Nie wiem, kto zabija, Włodek też nie wie. – Staruszek przez moment milczał, jakby na szybko próbował opracować jakąś strategię, ale nie szło mu za dobrze, bo może jednak rzeczywiście w głowie miał kandydozę albo jakieś inne świństwo. – Są ludzie, którzy wiedzą o nas dużo, znacznie więcej od was, często nawet więcej, niż my sami o sobie wiemy. My ich nie znamy, to znaczy znałem kiedyś kilka osób... – Teraz Pytłasiński popatrzył na nią, jakby był dzieckiem proszącym

o litość. Tyle że nim nie był, wręcz przeciwnie, był raczej dziadem, który dzieci krzywdził przez większą część swojego dorosłego życia, więc błagalne spojrzenie na nic się zdało, a jedynie wnerwiło ją jeszcze bardziej.

– Co za ludzie? – Do rozmowy znów włączył się Warecki, który zauważył, że Monice zaczynają się trząść ręce i za chwilę staruszkowi może się stać coś złego. Nie żeby jakoś szczególnie zależało mu na dobrostanie Pytłasińskiego, ale jeśli coś mu się stanie, to już nic nie powie, a jeśli powie, to zgłosi ich co najwyżej do przełożonych i szlag trafi wszystko.

– Chyba ludzie, bo maszyny jeszcze takie dobre nie są, ale nie wiem. Nikt ich nie spotyka osobiście, oni zbierają kwity, potem mówią, co robić, żeby kwity nie wyszły. I tyle, to wszystko. – Staruszek posmutniał nagle, może uświadomił sobie, że spieprzył życie.

– Tomczykowi też mówią? – ciągnął Warecki.

Pytłasiński milczał chwilę, w końcu pokiwał lekko głową.

– A tobie co mówili? – Monice przestały się trząść ręce.

– Mnie to niewiele. Żebym wsadził kasę w ten Ramnius, żeby go polecał znajomym, mam sporo przyjaciół w Kościele, to znaczy w kurii, wypytywałem tam trochę, rozglądałem się, przesyłałem raporty – nagle staruszek trochę się rozgadał. – Co biskup robi, kiedy, z kim się spotyka, gdzie ma narzeczoną albo narzeczonego, jeśli miał, bo nie wszyscy mają.

– Co ty nie powiesz? A jak przekazywałaś te raporty? – Monika patrzyła mu prosto w oczy.

– Zostawiałem zawinięte w gazetę w parku. – Pytłasiński wytrzymał spojrzenie, a ona zobaczyła, że jego oczy są potwornie zmęczone i właściwie już bez życia.

– Po co spotykasz się z Tomczykiem? – zapytała, ale już bez pośpiechu i z mniejszą już złością.

– Znamy się od lat – powiedział nagle z większym entuzjazmem, ale zaraz przygasł. – Jego cisną... chciał pogadać.

– O co cisną? – Znów przejął pałeczkę Warecki.

– Nie wiem dokładnie, ale on jest szycha, prezes banku, dużo może, zresztą sami wiecie. – Staruszek wymownie zawiesił głos. – Zapytajcie go.

– Marek Araszkiwicz? – zapytała szybko Monika i od razu spojrzała na pomarszczone dłonie starogo. Zorientowała się już chwilę wcześniej, że o ile nad mimiką panował doskonale i kiedy chciał pokazać przejęcie, pokazywał emocje, a kiedy obojętność, to na twarzy nie działo się nic, o tyle dłonie, w zależności od stopnia stresu, zachowywały się różnie. Kiedy zagroziła mu wcześniej, że jeszcze dziś trafi pod celę, splótł palce na tyle mocno, że knykcie lekko zbieleły. Teraz stało się to samo.

– Nie znam. – Staruszek uśmiechnął się przepaszająco.

– Kłamiesz. – Ruch głowy Moniki jednoznacznie świadczył o ocenie rozmówcy. – Józef Waluś?

Teraz knykcie nie zbieleły, staruszek ułożył dłonie jedną na drugiej.

– Znam, on też bywał na tych naszych spotkankach. – Pokiwał głową.

– Tylko w innej roli. – Monika znów zaczynała się robić zła. Po pierwsze, przypomniawszy sobie o Marcynie, Walusiu, Mietku i wszystkich innych, których tamci przez lata wykorzystywali i którzy teraz już nie żyli. Po drugie, Pytłasiński kłamał, bo doskonale wiedział, że Waluś nie żyje, a nazwisko Araszkiwicza, jakkolwiek fikcyjne, też nie było mu obce. – Znałeś. On nie żyje, a ty doskonale o tym wiesz. Teraz pójdziemy, ale wrócimy. Wakacje od odpowiedzialności za cokolwiek

właśnie się w twoim życiu skończyły. I tak długo trwały, o wiele za długo, jak na moje wycucie.

Monika wstała i ruszyła do drzwi. Warecki jeszcze przez chwilę przyglądał się staremu, po czym też wstał z krzesła, pod którym chwilę wcześniej podkleił pluskwę. Dwie były jeszcze w łazience, którą odwiedził wcześniej, i w przedpokoju przy lustrze, w którym przeglądała się Monika.

– Do widzenia – rzucił od drzwi kapitan w kierunku Pytłasińskiego, który odetchnął z ulgą, bo rzeczywiście przez moment zaczął się obawiać, że ta trochę dziwna i nieokrzesała policjantka była gotowa ściągnąć go na dołek w pałacu Mostowskich.

Sankcji, czyli aresztu tymczasowego na trzy miesiące, akurat nie obawiał się wcale, bo zbyt silne było lobby ludzi, których miał za swoimi plecami. Monikę jednak trochę oszukał, bo choć rzeczywiście nie wiedział za wiele na temat działania tego dziwnego organizmu, który dawał mu właśnie owo poczucie pewności siebie, to przez lata zajmował się swoistym archiwum, w którym spisywał wszystkie nazwiska i kontakty do kolejnych ludzi, których tamci łapali w siatkę szantażu i zależności. Dlatego doskonale zdawał sobie sprawę, że dwójka, która była tu przed chwilą, nie zagrażała mu w najmniejszym stopniu. Gdyby z jakiegoś irracjonalnego powodu podjął z nimi pełną współpracę i powiedział cokolwiek, czego wcześniej nie uzgodnił z tajemniczym emisariuszem, który odwiedzał go od lat, a po raz ostatni był tutaj kilka godzin wcześniej, wtedy jego losy mogłyby się mocno skomplikować. Ponieważ jednak tego nie zrobił, teraz uśmiechnął się do własnego odbicia, podszedł do barku i z kryształowej karafki nalał sobie bursztynowego płynu, który tak bardzo lubił.

Miejsce idealne do obserwacji budynku i do słuchania tego, co się w nim dzieje, znajdowało się jakieś sto pięćdziesiąt metrów dalej, za kępą krzaków wyrastających zza parkanu. Warecki wykręcił samochodem w miejscu niewidocznym już z okien domu Pytłasińskiego, po czym zatrzymał auto i wyłączył silnik. Monika chwilę wcześniej założyła słuchawki podłączone do radia przekazującego to, co nagrywało się na mikrofony wewnątrz domu, i teraz pokiwała głową. Na razie nie działo się wiele, słychać było jedynie brzęk kryształowej szklanki odstawianej na szklany blat, kroki, otwieranie i zamykanie drzwi, a także odgłos spuszczonej wody.

– I co, nadal uważasz, że Bogu ducha winny ramol?

Monika zerknęła na Wareckiego, który wyciągnął paczkę papierosów, podsunął jej i jednocześnie otworzył okno.

– Mówiłeś, że tu się nie pali – zareagowała.

– I tak już tu najarałaś, więc bez różnicy – odpowiedział.

Palili przez chwilę.

– Nie uważam, że Bogu ducha winny, ale też nie sądzę, żeby on dużo wiedział – wrócił do tematu, po czym zerknął na nią. – Coś tam się dzieje? Dzwoni gdzieś?

Monika pokręciła głową, ale sekundę później przyłożyła palec do ust, bo coś w dźwięku ją zaintrygowało. Przez moment wydawało jej się, że odgłosów skrzywienia podłogi zrobiło się nagle więcej, po chwili coś jakby świsnęło.

– Jedź! – prawie krzyknęła Monika.

Warecki odpalił silnik, wrzucił bieg, koła strzeliły zwirem. Trochę nie do końca wiedział, co się stało, ale wśród wielu cech przydatnych do wykonywania zawodu, którym się parał, miał też i tę, że kiedy okoliczności go do tego zmuszały, najpierw robił, a potem pytał.

W tym momencie w słuchawkach Moniki coś najpierw zaskrzeczało, po czym nagle odezwał się męski głos.

– Zostawcie to albo upierdolimy wam łby. – W głosie było coś, co naprawdę porządnie ją zmroziło. Normalnie chętnie by odpowiedziała, ale teraz nie miała jak, bo łączność była jednokierunkowa.

Warecki, który też usłyszał głos, popatrzył na nią. Ona pokręciła głową, po czym zerwała słuchawki z uszu. Samochód zatrzymał się z piskiem opon przed wejściem do domu Pytłasińskiego. Czesław wyskoczył pierwszy, po kilku krokach zza paska wyciągnął pistolet. Monika była tuż za nim. Kapitan wskazał na siebie i na drzwi do domu, a następnie pokazał jej, żeby obeszła dom dookoła. Teraz to on przejął dowodzenie, a jej przesadnie to nie przeszkadzało. Wiele wskazywało na to, że w takich akurat okolicznościach ta zamiana na nigdy do tej pory niewyznaczonej pozycji dowodzącego powinna przynieść korzyści im obojgu. Warecki dobiegł do drzwi w trzech krokach, stanął z boku przy framudze, po czym delikatnie nacisnął klamkę. Monika tymczasem przeskoczyła niski parkan oddzielający posesję od chodnika i cztery sekundy później z bronią gotową do strzału była już za domem. Przed nią rozpościerały się chaszczki, które do tej pory wydawały się odzwierciedlać abnegację i wynikający z wieku brak sił starego Pytłasińskiego, a teraz przyszło jej do głowy, że w tym bałaganie była jednak jakaś metoda.

Klamka ustąpiła i Warecki wszedł do wnętrza domu. Przez chwilę wstrzymał oddech i nasłuchiwał, ale do jego uszu nie dochodził żaden dźwięk. To znaczy: słyszał dziecięce szczebioty dochodzące z dworu, słyszał też samochody przejeżdżające nieodległą ulicą Powsińską, ale z wnętrza domu nie dobiegało nic. Po chwili, cały czas przywarty do ściany, ruszył dalej. Najpierw był dziwny brązowy korytarz, potem kuchnia, gdzie na włączonym palniku stał czajnik z gotującą się wodą. W końcu doszedł do salonu z małymi czaszkami sarnich kozłów, w którym siedzieli z Moniką przed paroma minutami. Wszystko wyglądało z grubsza tak samo, ale coś jednak było jakby inaczej. Ale co? Tego na razie nie wiedział.

Monika przedostała się przez krzaki zdziczałych róż i doszła pod taras w tylnej części domu. Wszystkie okna wyglądały na zamknięte, i to raczej od jakiegoś czasu. Framugi na styku z ramami były tak przykurzone, że ewidentnie nikt od bardzo dawna ich nie otwierał. To samo dotyczyło okien na piętrze. Nikt nie opuścił domu przez tylne drzwi – ani przez przednie, bo drzwi frontowe widzieli przecież przez cały czas. Nagle dotarło do niej, że w tej sytuacji posiadacz bardzo nieprzyjemnego głosu mógł wciąż być gdzieś we wnętrzu domu. Warecki? Monika zaczęła walić w okno, które wydawało jej się przynależeć do salonu. Po chwili w zakurzonej szybie zobaczyła twarz Czesława i odetchnęła z ulgą. Kapitan nie bez trudu otworzył przeszkłone drzwi prowadzące na werandę.

– Czyli co? – zapytała Monika.

On pokręcił głową, co miało oznaczać, że nie ma pojęcia, po czym przyłożył palec do ust i sam zniknął ponownie we wnętrzu domu. Monika ruszyła za nim.

Weszli najpierw ostrożnie po schodach na górę. W sypialni, której używał, zdaje się, Pytłasiński, bo panował tu bałagan trudny do opisanego, stała komoda z wybebeszonymi szufladami. Od wejścia do domu towarzyszył im też dziwny chemiczny zapach, którego nie było, kiedy siedzieli ze staruszką przy stole zaledwie kilka minut wcześniej. Warecki podszedł do okna, aby je sprawdzić:

ono też wyglądało na nieotwierane od dawna.

– Może dlatego tak tu wali – skomentowała zamknięte na głucho okno Monika.

Czesław przekręcił klamkę i otworzył je na oścież. Zapach czegoś dziwnego, zamiast zniknąć, jeszcze się wzmógł.

Kapitan podszedł do obszernej szafy z jasnego orzecha, która nijak nie pasowała do brązowych ścian i zielonego sufitu. Już chciał ją otworzyć, kiedy Monika zauważyła, że przy jej dolnym, odstającym nieco, rogu zwisała żyłka. Żyłka w szafie z jasnego orzecha?

– Nie otwieraj! – zatrzymała go w momencie, kiedy dotykał już porcelanowej kulki służącej za gałkę, po czym wskazała mu głową na zwisającą żyłkę.

– Trzeba chyba saperów ściągnąć. – Czesław rozejrzał się wokoło, starając się jednocześnie za bardzo nie poruszać.

Opuszczenie domu zajęło im jakieś trzydzieści sekund. Wybiegli, jednocześnie przez cały czas starając się powtórzyć dokładnie tę samą trasę, którą przeszli w drodze na górę. Pierwszy ładunek zapalający zdetonował w salonie jakieś piętnaście sekund po tym, gdy wydostali się na porośniętą bluszczem werandę z tyłu budynku. Eksplozja nie była silna, ale gdyby akurat znajdowali się na piętrze albo, co jeszcze gorsze, w samym salonie, na opuszczenie budynku nie mieliby za bardzo szans. Pożar rozprzestrzenił się po wszystkich pomieszczeniach w zastraszającym tempie.

Kilkanaście godzin później, w trakcie oględzin pogorzeliiska, specjalista przysłany z komendy głównej straży pożarnej od razu zauważył, że paliwo zbliżone w składzie do napalmu zostało wprowadzone za pomocą cienkich gumowych przewodów w ściany budynku. Gdyby Czesław otworzył szafę, najprawdopodobniej od razu stanąłby w płomieniach, bo w meblu też zgromadzono kilkadziesiąt litrów płynnej łatwopalnej substancji.

– Ale jak to możliwe, przecież byliśmy tam kilka minut wcześniej, nikt nie zdążyłby tego wszystkiego rozprowadzić! – Monika nie mogła uwierzyć w to, co usłyszała od strażaka.

– Najprawdopodobniej w piwnicy były zbiornik i pompa, która w ciągu tych paru minut wtłoczyła kilkaset litrów tego szuwaksu w ściany i w tę szafę na piętrze.

– Tylko co się stało z tym typem, który zagadał w nasz mikrofon? I przede wszystkim, gdzie jest ten staruch? – Czesław spoglądał na przemian na Monikę i na strażaka. Niestety żadne z nich, przynajmniej na razie, nie umiało mu odpowiedzieć na te pytania.

Wyjaśnienie przyszło dwa dni później, kiedy strażakom udało się wreszcie dogasić tłące się zgliszczą i technicy kryminalistyczni mogli spenetrować wypalone wnętrze. Wcześniej ogień był tak intensywny, że strop zawalił się już po półgodzinie pożaru, po kolejnych trzydziestu minutach do salonu wpadł z góry właściwie cały dom. Odgruzowanie tego wszystkiego zajęło kilkanaście godzin, po których technicy mogli w końcu zejść do piwnicy, stanowiącej jedyne pomieszczenie niezwydzone przez Monikę i Wareckiego, zanim zaczął się armagedon. W podziemiu nie znaleźli szczątków ludzkich, za to natrafili na zawalone spalonymi dechami małe wejście. Od niego prowadził wąski na sześćdziesiąt centymetrów i niski na metr kilkunastometrowy tunel, który kończył się wyjściem do komory udającej szambo. Z niej po metalowych schodkach w górę wychodziło się na samym końcu działki. Tajemnica zniknięcia Pytlasińskiego i faceta, który

obiecował urwać im głowy, została rozwiązana. Jednocześnie zagadka dotycząca tego, co właściwie działo się wokół nich i – przede wszystkim – kim byli ludzie, których ścigali, zagmatwała się jeszcze bardziej.

– Znajdziecie tam w ogóle cokolwiek? – Monika siedziała w pokoju kryminalistyki i piła żółtawą herbatę z torebki, której ktoś chyba musiał użyć wcześniej już ze dwa razy. Jednocześnie myślała o tym, że może herbata zaparzona z całej stugramowej paczki czarnego yunnanu pozwoliłaby jej na chwilę poczuć się tak, jak się chciała poczuć.

– Nie ma szans, wypaliło do imentu, żadnych dokumentów, żadnych śladów biologicznych, nic. – Mirek z kryminalistyki podał jej plasterek cytryny, a ona pokręciła głową. Jeśli do ledwie zażółconej herbaty dorzuciłaby jeszcze cokolwiek, to ciecz, którą Mirek nazywał herbatą, zamieniłaby się w zwyczajną wodę, może jedynie lekko kwaskowatą.

– Czyli skoro to zjarali, to musiało tam tego być sporo – głośno pomyślała Monika.

– Możliwe.

Mirek nie lubił wnikać w to, w co nie musiał. Z jednej strony było to dość denerwujące, bo próba wymiany myśli z kimś takim bywała mozolna, z drugiej jednak strony Monika już dawno uznała, że na tym właśnie polegał profesjonalizm. Wiedza o wszystkim i gadanie na każdy temat z pozycji kogoś, kto pożarł wszystkie rozumy, były strasznie czasochłonne, a przeważnie nie wносиły nic do rozwoju śledztwa.

– Czyli to było jakieś ważne dla nich miejsce, rodzaj dziupli najprawdopodobniej – mówiła dalej Monika, nie zrażając się zupełnie brakiem zainteresowania ze strony interlokutora. – A czemu ty właściwie nie pijesz kawy? – zapytała nagle z innej beczki.

– Bo kawa rozchrzania łeb, zaczynasz się spieszyć, chociaż nie wiesz nawet dokąd i po co. Ja tu nie mam czasu na taki debilny pośpiech – odparł Mirek.

– Racja. – Monika zerknęła raz jeszcze na kolor swojego napoju, jakby miała wciąż cień nadziei, że ciecz zbliży się barwą do tego, co zwykła uważać za herbatę.

– Mocna herbata robi to samo. – Mirek pozbawił ją złudzeń. – Najpierw parzę dwa razy i odlewam, dopiero trzecie parzenie się nadaje. – Po tych słowach uśmiechnął się z zadowoleniem kogoś, kto wynalazł receptę na całe zło świata.

Usiedli i przez chwilę w milczeniu rozsmakowywali się w żółtawej herbacie. Monice przychodziło to z niejakim trudem, ale w końcu zdecydowała odpuścić swoje smakowe przesady i wypić dwa głębsze łyki. Jedyne, co jej już w tej chwili przeszkadzało, to delikatne, acz rytmiczne siorbnięcia towarzyszące picciu herbaty przez Mirka.

– Jeden ze strażaków się zatruł – wypalił nagle Mirek.

– Czadem? – Moniki za bardzo nie interesowały losy strażaka podtrutego w czasie akcji gaszenia domu Pytlasińskiego, ale dobre maniere wymagały od niej przejawów choćby zdawkowego zainteresowania. Mirek pewnie nie czułby się tak zobligowany, ale Mirek był Mirkiem, a ona – nią.

– Tak myśleli, ale w szpitalu się okazało, że nie – kontynuował po kolejnych dwóch siorbnięciach Mirek. – Kazali nam używać masek.

– Czyli co? – zainteresowała się Monika.

– Czyli znaleźliśmy śladowe ilości tego gówna, którym otruli Walusia i ciebie – dodał Mirek tak,

jakby mówił wciąż o przewadze zdrowotnej herbaty słabej nad mocną.

– I teraz mi to mówisz? – Monika prawie przewróciła szklanke.

– A kiedy miałem ci mówić? – zdziwił się Mirek. – Jak cię tu nie było?

– Ty, Mirek, minutę temu mówiłeś, że nic tam nie było... – Monika chciała przez chwilę coś Mirkowi udowodnić, ale w porę odpuściła. – Coś jeszcze? – postanowiła, że nie dopije już herbaty: marazm powoli ustępował.

– Owszem, namierzyliśmy ślady substancji, sporo tego zostawili, trzeba było chemików wojskowych wezwać. Jak wyczyścili, to znaleźliśmy tam jeszcze koperty ze spalonymi fotografiami w środku. – Mirek uśmiechnął się znad swojej szklanki. – Prawie spalonymi.

Monika pomyślała, że z Mirkiem było trochę inaczej niż z Adamem, który lubował się w budowaniu dramaturgii, napięć i zawiesznień głosu. Mirek nic nie budował, on miał po prostu na wszystko totalnie wywalone.

– Co na tych fotografiach? – Brzozowska sięgnęła ręką przez stół i delikatnym, acz stanowczym ruchem odsunęła przed siedzącego Mirka szklanke, nad którą ten już znowu się pochylał.

– Nie wiem na razie, spalone są, widać, że część jest starych, jeszcze z analogu, część nowszych, jakieś fragmenty czegoś... – Mirek chciał zacząć wymieniać fragmenty czego, ale nie zdążył.

– Gdzie je masz?! – Monika lekko podniosła głos po czym się uśmiechnęła, ale nie był to uśmiech radosny, a raczej prawie psychopatyczny uśmiech osoby, która jeśli wypadki nie zaczną toczyć się za chwilę w większym tempie, po prostu oszaleje.

– Tam. – Mirek, lekko wystraszony, wskazał stalową szafę z szufladami, półkami i drzwiczkami do pomniejszych szafek.

Monika wstała, podeszła do szafy i nie odwracając się nawet, zapytała głosem osoby, która nie ma już kompletnie czasu na rozwodnioną herbatę:

– W której?

– Trzecia od góry. – Mirek przysunął sobie tymczasem szklanke z powrotem i sięgnął po cukiernicę, żeby dosłodzić jeszcze, choć słodził już dwa razy. – Napisane masz „seria”.

Monika otworzyła szufladę. Wewnątrz, na samym wierzchu, leżała teczka opisana jako „Dowody ze spalonego domu na Okrężnej”. Wyciągnęła ją, otworzyła. W środku, w osobnych foliowych koszulkach, próżniowo zassanych, jeden na drugim leżało kilkadziesiąt fragmentów nadpalonych fotografii.

– Tylko uważaj, żeby się nie otworzyły. – Mirek patrzył na nią nieco ospale. – Niby je odkazili z tego syfu, ale strzeżonego Pan Bóg... No i nie machaj tym za bardzo, bo to się rozleci jeszcze bardziej i nic już na tym nie zobaczysz.

Monika i tak już nie słuchała Mirka. Jedną po drugiej wyciągała foliowe koszulki i oglądała niewielkie fragmenty ocalałych fotografii.

– Zastanawiam się tylko, czy oni o tym zapomnieli, czy myśleli, że się zjara do imentu, czy może chcieli nas zwabić do tego, żebyśmy się jeszcze bardziej wszyscy potruili tym gównem. – Mirek trochę się ożywił, prawdopodobnie za sprawą ogromnej ilości glukozy, którą wprowadził do organizmu za pośrednictwem herbatki zdrowej, bo przeparzonej, żółtej jak mocz tenora.

Monika nie reagowała jednak wciąż na jego pytania i rebusy, znacznie bardziej interesowało ją to, co widziała na zdjęciach.

– Masz lupę? – zapytała retorycznie.

– Nie, kurwa, jestem kryminalistyką i nie mam lupy. – Mirek zaśmiał się zjadliwie. – Leży na blacie po twojej lewej, masz do dyspozycji trzy rodzaje powiększające od dwudziestu do pięćdziesięciu razy, potem masz jeszcze podświetlaną na wysięgniku, a jak ci będzie mało, to mikroskop. – Mirek był w szczycie formy.

Monika sięgnęła po pierwszą z brzegu lupę i zerknęła na jedyny spośród ocalałych fragment, na którym oprócz golizny męskiego ciała widoczna była też i twarz jej właściciela.

– Morawski... – Monika pokiwała głową, mówiąc sama do siebie.

– A co to w ogóle jest za substancja? – Mirek drążył własne tematy.

– Substancja? – Monika popatrzyła na niego trochę jakby z innego świata.

– No, to gówno, którym cię prawie wysłali na tamten świat? – dopytał i po chwili na wszelki wypadek jeszcze uściślił: – To, czym się zatrzał strażak. Hello, jesteś tu?

– Nie wiem, co za substancja, jakieś coś, o czym wojsko nie chce nawet gadać, wszyscy zachowują się, jakby odkryli Świętego Graala, a na nim pornograficzne obrazki. I niby super, ale trochę nie do końca. – Monika wróciła do oglądania zdjęć.

Na kolejnych były jeszcze jakieś twarze, ale te nie były już robione w jednoznacznie kompromitujących sytuacjach, tylko gdzieś w plenerze. Znała to miejsce, z maleńkich nadpalonych pasków wyzierało coś, co kojarzyło jej się z czymś, tylko z czym? Znow wzięła lupę do ręki, popatrzyła na zdjęcie. Na dalekim, piątym planie dostrzegła znajomy napis nad wejściem do sklepu.

– Baltona! – prawie krzyknęła, kierowana radością z poczynionego odkrycia.

– W Baltonie to ja dzinsy i wódkę kupowałem – uśmiechnął się Mirek. Może miał sentyment do tamtych wspomnień.

– Baltona w podziemiach na Centralnym. – Monika pokiwała głową. – Zatem mamy sesje rozbierane, zdjęcia z gejowskiej centrali, czyli z Dworca, no i mamy Morawskiego.

– A to kto? – zainteresował się Mirek, ale bardziej *pro forma* niż dlatego, że rzeczywiście go to jakkolwiek interesowało.

– To jeszcze pięć lat temu twój szef, czyli wiceminister spraw wewnętrznych. – Monika wciąż wpatrywała się w zdjęcia, a Mirek wciąż siorbał swoją bezbarwną i bezwoną wodę z cukrem.

Monika wyszła z kryminalistyki prosto w podziemne kazamaty pałacu Mostowskich. Zdjęcia, a w zasadzie ich maleńkie fragmenty poruszyły w niej nutę, której brzmienia nie lubiła nigdy, a teraz nie znosiła jej wyjątkowo. Dworzec, czyli najgorszy czas w jej życiu. Najpierw przez długi czas po tym, jak przestała brać, wciąż wracały do niej miłe wspomnienia z tamtego okresu. Jakby mózg, spragniony tego, co utracił, próbował jej pokazać same najpiękniejsze momenty z minionego czasu. Jak na złość w tym początkowym okresie za nic nie mogła sobie przypomnieć cierpień, które szły w ślad za kolorowymi obrazami z jarmarku jej młodości. Teraz było inaczej, a właściwie zupełnie na odwrót. Kolory wyblakły i głowa oswoiła się wreszcie z faktem, że tamten czas był raczej szarą, pustą jamą, a nie kolorowym jarmarkiem – i za nic nie mogła przytoczyć żadnego radosnego wspomnienia. Jeśli jakieś obrazy wracały, tak jak teraz, to były przesiąknięte lękiem i rozpaczą. W zasadzie nie byłoby w tym nic złego, układ nerwowy wypracował sobie ten mechanizm po prostu po to, by nigdy więcej nie wpaść w podobne tarapaty. Problem polegał na tym, że tarapaty już

trwały, a wspomnienie tamtych dni uświadomiło to Monice z taką siłą, że prawie ścięło ją z nóg na korytarzu w podziemiach komendy stołecznej policji. Zabiła kogoś, kogo kochała, a żeby było jeszcze dziwniej i trudniej, kochała go jako dwóch różnych ludzi, w dwóch odmiennych stanach świadomości i na różnych etapach w jej życiu. Uciekając od myślenia o tym, co się stało, zapadała się teraz coraz głębiej w odmęty tamtego życia zostawionego przed laty, cofała się na osi własnego rozwoju, kuliła się coraz bardziej, jakby przepoczwarzała się z powrotem w kokon, z którego kiedyś z tak ogromnym trudem wyszła. Wszystko, co działo się wokół: ginący ludzie, spalone domy, próby prowadzenia dochodzenia, które jak na razie nie dawało żadnych rezultatów, a sprawa, zamiast się wyjaśniać, z każdą chwilą coraz bardziej się komplikowała – wszystko to wydało jej się teraz nagle odbiciem chaosu, który zalewał ją coraz wyższymi falami. Jeszcze chwila i utonę, pomyślała.

– Muszę jechać do matki – powiedziała nagle sama do siebie, stojąc podparta o ścianę, na której ktoś kolejną warstwą olejnej lamperii zamalował odpryski warstwy poprzedniej.

– Co? – Inspektor Matecki wyszedł właśnie z toalety mieszczącej się na końcu korytarza i teraz przyglądał się Monice z ciekawością.

– Mówię, że muszę odwiedzić mamę. – Monika nie dała się zbić z pantafyku.

– Do kogo? – Matecki nie odpuszczał.

Monika rozejrzała się po pustym korytarzu wyłożonym brązową wykładziną, zwijającą się gdzieniegdzie.

– Do pana? – odpowiedziała.

Matecki popatrzył na nią chwilę i chyba postanowił nie drażnić.

– Słyszałem, że się dom spalił na Mokotowie. – Uśmiechnął się lekko cynicznie.

– Spalił się. – Pokiwała głową.

– A w nim pewno wszystkie dowody i ewentualne ślady? – Uśmiech nie zniknął z jego twarzy.

– Prawie wszystkie – odpowiedziała i popatrzyła na niego czujnie, teraz to ona delikatnie się uśmiechnęła.

Uśmiech znikł za to z twarzy inspektora.

– Co się pani tak cieszy? – zapytał po chwili.

– Pan się uśmiechał, to i ja się uśmiechnęłam, taka wymiana ciepłych uśmiechów.

– Co macie? – zapytał, a w pytaniu nie było złości, tylko raczej wzmożona trochę ciekawość.

– Niewiele, między innymi ślady substancji, której nikt w Polsce nie umie nawet nazwać – trochę stwierdziła, a trochę zapytała, bo przyszło jej do głowy, że kto jak kto, ale akurat szef stołecznej policji mógł wiedzieć trochę więcej niż ona.

Matecki patrzył na nią, już się nie uśmiechał, a nawet wręcz przeciwnie, na jego twarzy zagościła totalna powaga.

– No to też jest w sumie jakaś odpowiedź – usłyszała.

– A poza tym mamy fragmenty spalonych zdjęć, w tle widzę, że to Dworzec Centralny, i to lata słusznie minione dziewięćdziesiąte, czyli jakby wszystko się zgadza.

– Wszystko? – Popatrzył na nią ze zdziwieniem.

– Przynajmniej na razie ścigamy szajkę pedofilów, więc miejsce i czas zdjęć się zgadzają – odparła. – Wtedy na dworcu, oprócz narkomanów, było pełno podstarzałych facetów w eleganckich marynarkach.

– Pedofile zabijający sześć osób – skrzywił się Matecki. – Dziwna substancja, której nikt tutaj nie mógłby nawet wyprodukować...

– Jedenaście, bo wcześniej zabili jeszcze cztery, a piątą dołożyłam ja sama. – Monika patrzyła na Mateckiego bardziej nawet uporczywie niż przed chwilą. – A nie jestem pedofilem.

– Nie liczę jej na pani rachunek. – Matecki zrobił dziwną minę, a Monika zastanawiała się, czy zażartował, a nie było z czego, czy raczej coś jej zasugerował. – Doskonale pani wie, że zabiła go, bo inaczej on zabiłby panią, więc jest pani ofiarą tej samej sytuacji – dodał po chwili, trochę się tłumacząc. – A po co ktoś miałby właściwie robić zdjęcia pedofilom na Dworcu Centralnym? – Matecki zadał w końcu pytanie, na które czekała Monika.

– Nie wiem, ale dlatego właśnie powiedziałam, że szajkę pedofilów ścigamy jedynie na razie. – Uśmiechnęła się.

– Hipotezy? – Popatrzył na nią trochę z nadzieją, a trochę z obawą.

– Jeszcze nie. – Pokręciła głową.

W związku z ujawnionym już zagrożeniem jej życia Matecki i jego koledzy z ABW, którzy przez cały czas nadzorowali sprawę, i to wcale nie wyłącznie za pośrednictwem Wareckiego, nakazali Monice zachowanie najwyższej ostrożności. Teoretycznie miała przynajmniej na razie krążyć jedynie między komendą a mieszkaniem dziuplą, które zasiedlała z Wójcikiem. Adama dotyczyły te same wskazania. Różnica polegała na tym, że on się do nich stosował, a ona już niekoniecznie.

Teraz w ramach wyłamywania się z narzuconych reguł Monika jechała, wprawdzie nie swoim samochodem, ale taksówką zamówioną pod kamienicę na Żurawiej, na Bielany, do mamy, której nie widziała od ładnych kilkunastu dni.

– No i co tam córeczko? Jak w zakładzie pracy? – Mama uśmiechała się promiennie, a cerę miała zdrową jak skóra brzoskwini.

Monika zastanowiła się nawet, że gdyby nie jej demencja, to mama była właściwie wciąż jeszcze w jakimś sensie atrakcyjną kobietą. Konstatację tę dodatkowo wzmacniało lustro, w którym widziała fragment własnej twarzy o kolorze wapna zmieszanego z popiołem.

– Dobrze, mamó, ścigam morderców. – Monika też się uśmiechnęła, ale przyszło jej to z wyraźnie większym trudem niż mamie.

– A gdzie ten przystojny mężczyzna, z którym byłaś ostatnio? – Mama wydawała się dziś w wyjątkowo dobrej formie.

– W zakładzie pracy – odpowiedziała Monika nieco ironicznie, ale szybko zauważyła, że mamie nie za bardzo się to spodobało. Dziwnie miała z tą swoją rodzicielką. Z jednej strony „zakład pracy”, wciąż nowi mężowie i ogólna demencja, z drugiej, kiedy pomna tego, pozwalała sobie na taki delikatny żart, mama od razu sprawiała wrażenie obrażonej, tak jakby rozumiała wszystko, a może nawet nieco więcej niż wszystko. – Na komendzie, pracujemy razem, jak ja jestem tu, on musi być tam.

– Nad czym pracujecie tak intensywnie, słoneczko? – zapytała, po czym nie czekając na odpowiedź, od razu dodała: – Żebyś ty mi się nie przemęczyła...

– Dam radę, mamó, pracujemy nad serią morderstw popełnionych głównie w Warszawie,

wolałabym ci oszczędzić szczegółów. – Monika uśmiechnęła się teraz już bez ironii.

– To się wiąże z tamtą sprawą? – Mama była dziś jakby inna niż zwykle.

Monika zaczęła się zastanawiać, czy to efekt przyjmowania nowych leków, które przepisał jej ostatnio znajomy geriatra, czy może biomet był lepszy niż zwykle. Tę drugą opcję jednak odrzuciła od razu, bo sama czuła się raczej fatalnie. Po głowie chodziło jej nawet, żeby wyskoczyć do klubu, w którym nie była, odkąd zalecili im mieszkanie i przebywanie wyłącznie na Żurawiej.

– Ze sprawą...? – dopytała czujnie, żeby zorientować się, czy mama wie w ogóle, o co pyta.

– Ze sprawą... – mama zawahała się przez chwilę – tego Borysa i tamtych twoich znajomych.

– Prawdopodobnie tak. – Monika czuła się już powoli zagubiona – To ten nowy lek, mamo?

Mama pokręciła głową, ale nie chciała rozwijać akurat tego tematu, zdecydowanie bardziej interesowało ją pytanie niż odpowiadanie.

– Musisz uważać, bo wchodzisz na bardzo grząski grunt, córeczko. – Zamyśliła się. – I nie mam pojęcia, kto cię potem z tego wyciągnie.

– Skąd wiesz? – Monika przysunęła się do mamy i patrzyła jej teraz prosto w oczy.

Mama uśmiechnęła się lekko, jakby za chwilę miała ujawnić coś bardzo zaskakującego.

– Czytałam twój horoskop. – Pokiwała głową, dobijając puentę. – W „Vivie!”... Bardzo dobre mają, u mnie zawsze trafia.

– Aha. – Monika z jednej strony przyjęła puentę mamy z ulgą, z drugiej była odrobinę zawiedziona. Nie spodziewała się, że mama pomoże jej rozwiązać tajemniczą sprawę seryjnych zabójstw, chodziło raczej o to, że przez moment miała nadzieję, że mamie po prostu zaczęło się polepszać.

– Byłaś na grobie? – Mama znów jakby wróciła do formy.

Monika przez moment nie wiedziała nawet, o co mama ją pyta.

– No u tego swojego byłego, co u nas leży, byłaś? – Mama przywróciła ją do rzeczywistości.

– Tak, jakiś czas temu. – Monika pokiwała głową mało przekonująco, bo zdała sobie sprawę, że na grobie u Piotra-Borysa nie była już od dość dawna.

– Musisz chodzić, wiosna za pasem, trzeba tam posprzątać, jak nie u Borysa, to chociaż u taty – uśmiechnęła się mama. – Poza tym tylko tam możesz się z nim w końcu pożegnać i rozstać. – Po czym dodała po chwili, aby rozbić niewygodną ciszę: – A powinnaś się już z nim rozstać i iść dalej, córeczko.

Monika patrzyła na mamę i zastanawiała się, jak to musi być, kiedy chwilami uczestniczysz w normalnym myśleniu, funkcjonujesz w rzeczywistości, a zaraz potem odlatujesz w dziwne meandry gdzieś poza realnym obiegiem. Jak ten jeden stan ma się do drugiego, jak trzeźwy umysł postrzega tamten i *vice versa*? A może one w ogóle się nie kontaktują, może to działa jak przestawienie szyn, pociąg raz jedzie tam, a raz gdzie indziej i jeden kierunek nie obchodzi kompletnie drugiego?

– A słodkie masz coś? – Mamie znów coś przestawiło zwrotnicę.

Warecki, mimo że nie mieszkał z nimi, bo musiał zajmować się ojcem, który miał do niego wieczne pretensje o to, że syn się nim nie zajmuje, to w apartamencie na Żurawiej, na piętrze, którego oficjalnie w ogóle nie było, zjawiał się regularnie. Dzień całej trójki obecnie wyglądał tak, że rano

spotykali się w pracy na komendzie, gdzie Adam zbierał dane elektroniczne dotyczące chociażby tego, dokąd w ciągu dnia jeździł samochód z prezesem Tomczykiem z Pekao – ale nie wyłącznie tego. Z pomocą operatorów komórkowych, którzy już kilka dni temu, zaraz po pożarze u Pytłasińskiego, dostali nakaz od prokuratora Wiśniaka, starał się ustalić wszystkie logowania telefonów w okolicach domu przed pożarem i tuż po nim. Kiedy Wójcik operował z zacisza gabinetu w pałacu Mostowskich, Monika najczęściej w parze z Czesławem jeździli i sprawdzali kolejne tropy. Następnie pod koniec dnia rozjeżdżali się w dwie różne strony. Monika z Adamem pod eskortą ludzi z CBS jechali na Żurawią, a Warecki też w eskorcie jechał albo do domu, albo do szpitala, żeby odebrać ojca po kolejnych wlewach chemii. Wieczorem spotykali się jeszcze raz. Warecki przyjeżdżał do nich, żeby podsumować to, co mają, a właściwie do tej pory – częściej to, czego nie mają. Czy Czesław przyjeżdżał tylko z tego jednego powodu, pozostawało pytaniem bez odpowiedzi. Zasadniczo rozmowy mogli prowadzić przez telefon, a jeśli już bardzo chcieli coś sobie pokazać, to za pośrednictwem FaceTime'a czy Skype'a. On jednak wolał być na miejscu. Adamowi nie przeszkadzało to najzupełniej, a nawet był kontent, bo wbrew temu, co się Monice wydawało, kolega aspirant Wójcik doskonale wiedział, co działo się w łazience po tym, kiedy gasił światło w swoim pokoju. Wiedział i czuł się z tym bardzo źle, głównie ponieważ się bał, że za którymś razem Monice po prostu coś się stanie, a wtedy będzie z nią sam. Na ile więc było to możliwe, korzystał z tego, że towarzyszył im Warecki. Dopóki Czesław siedział u nich i omawiał z nimi sprawy, Monika nie mogła iść do łazienki i zrobić tam tego, co – obiektywnie rzecz biorąc – zagrażało jej życiu. Panowie nigdy do tej pory o tym nie rozmawiali, ale obaj wiedzieli, co się dzieje, i każdy z nich wiedział, że drugi również zdaje sobie z tego sprawę. Zawarli między sobą jakieś niewypowiedziane porozumienie, pakt współodpowiedzialności. To był kolejny powód, dla którego Czesław nie dzwonił przez Skype'a, ale nie ostatni i nawet nie najważniejszy, bo tak naprawdę chodziło mu po prostu o to, żeby jak najczęściej widywać się z Moniką. Czy wiedziała o tym sama zainteresowana? Trochę tak, bo domyślała się, że panowie przesiadują do nocy, żeby oddalić, a może w końcu w ogóle uniemożliwić jej walenie po kablach. Gdzieś też z tyłu głowy albo serca czuła, że kapitan Warecki przychodził tu po coś jeszcze, ale nie była tego pewna, a w czasie gdy u nich siedział, nie mogła się nad tym zastanawiać, bo za bardzo chciała już iść do łazienki i tak naprawdę każdego wieczora od pewnego momentu myślała wyłącznie o tym, żeby wszyscy oni poszli albo do domu, albo chociaż, jak Adam, spać.

– Numery białoruskie są bardzo trudne do ustalenia – zaczął Warecki, po tym jak cała trójce rozlał po pół szklanki bourbona przyniesionego w piersiówce.

– Czemu? – zainteresował się Wójcik.

– Najprawdopodobniej dlatego, że są służbowe. – Czesław wypił mały łyk bursztynowej ciecicy i wypuścił powietrze nosem, szukając w zapachu dębowych beczek i kolb kukurydzy, żółtych jak słońce.

– Służbowe, w sensie firmowe? – zapytał Adam, który był młody.

– Nie, służbowe, w sensie należące do państwowego aparatu Łukaszenki – wyprowadziła go z błędu Monika, która była starsza.

– Tak, służbowe, państwowe, czyli mafijne, innymi słowy – uściślił Warecki. – U nas też tak będzie już za chwilę, będziemy urzędnikami pracującymi dla partii, a nie dla państwa.

– Ale jaki departament, która gałąź państwowego molocha? – Monika spojrzała na Czesława pytająco.

– Tego nie wiem, ale może powinniśmy założyć najgorszy wariant, czyli białoruskie KGB – zafrasował się Warecki.

– KGB nie istnieje, to się teraz inaczej nazywa – błysnął wiedzą Wójcik.

– W Rosji owszem, nazywa się teraz FSB, ale Białorusini zatrzymali sobie starą nazwę – sprostował kapitan.

– Świętsi od papieża – uśmiechnęła się Monika.

– Raczej szczeri od Putina, przynajmniej nie ściemniają, że się coś zmieniło – dodał Warecki.

– Czyli co z tego dla nas wynika? – Teraz Wójcik był już mocno zaniepokojony.

– Może nic, bo to są rejestracje samochodów, które Monika widziała pół roku temu pod domem Boreckiego, a może... – Warecki spojrzał na Monikę – a może ja już nic nie rozumiem.

– Na fragmentach zdjęć z piwnicy u Pytłasińskiego za wiele nie widać, ale na jednym z nich jest moim zdaniem Morawski, tyle że sprzed dwudziestu lat. – Monika popatrzyła na obu rozmówców pytająco. – Mamy coś o nim?

– Zapadł się pod ziemię. O ile wiemy, że Borecki odleciał gdzieś do Ameryki Południowej, o tyle o Morawskim nie wiemy nic – referował Wójcik. – Może wyjechał, może jest gdzieś w Polsce...

– Może jest sześć stóp pod ziemią – dokończyła Monika.

Na chwilę wszyscy zamilkli, bo ta rozmowa zdawała się prowadzić donikąd.

– A biskup? – Monika uśmiechnęła się znacząco.

– Biskup jest. – Wójcik pokiwał głową. – Ale myślę, że tak bardzo po sobie posprzątał, że nic u niego nie znajdziemy. A kwitów na to, żeby wejść na drogę prawną, nie mamy żadnych. Zresztą jak zadrzemy z Kościołem, to w obecnej sytuacji wszyscy możemy już szukać pracy na ochronie w Lidlu.

– Nie zadrzemy, ale może warto przynajmniej tam zajrzeć? – Warecki podchwycił w końcu to, o czym Monika myślała od momentu, kiedy wprowadziła do rozmowy wątek biskupa.

– Ale jak zajrzeć? – wzburzył się Adam. – Zajrzeć, że co? Że chcemy się pomodlić w sanktuarium?

– Nie boisz się tropić prezesa Pekao, a robisz w portki na myśl o biskupie? Aż tak źle już jest? – Monika patrzyła na Adama zniecierpliwiona. Strasznie chciało jej się już odpocząć, czyli wziąć, dlatego gwałtownie zaczął w niej narastać gniew.

– Dobra, nie ma co dywagować. – Warecki zorientował się, że rozmowa zmierza w złą stronę. – Pojadę tam, wymyślę jakiś wybieg, spróbuję go podejść.

– Nie pojedziesz, tylko pojedziemy. – Perspektywa wyjścia choć na chwilę z klaustrofobicznej sytuacji, w jakiej się znalazła, w jakiej znaleźli się zresztą całą trójką, bardzo Monikę podekscytowała.

– A to świetnie. Pojedziecie do biskupa we dwoje jako kto? Małżeństwo? – Adam uśmiechnął się sarkastycznie. Zasadniczo nie przeszkadzało mu, że Monika znacznie więcej czasu spędzała teraz z Czesławem niż z nim, zazdrosny nie był w sensie męsko-damskim, gdyż sam należał do grupy męsko-męskiej, ale zaczęło się u niego pojawiać delikatne na razie poczucie opuszczenia, odcięcia, może osamotnienia.

– Coś się wymyśli. – Warecki uznał, że pora skończyć tę dyskusję. – Jemu też wyjazd z Moniką wydał się dość atrakcyjnym pomysłem, choć sam przed sobą nie potrafił się jeszcze na razie

przyznać dlaczego.

– A ja ruszam w takim razie za Tomczykiem – stwierdził nagle stanowczo Adam.

– Jak za Tomczykiem? Nie ma mowy. Już to przerabialiśmy. On cię zna. Poza tym w pojedynkę to zbyt ryzykowne. Obserwuj go dalej elektronicznie, jak coś wypatrzysz, jakąś powtarzalność albo coś innego podejrzanego, to przekaż chłopakom, ktoś za nim pojeździ. – Monika uznała dyskusję za zakończoną i wstała, żeby iść do łazienki, w nadziei, że może to spowoduje, że część towarzysko-służbowa wieczoru wreszcie dobiegnie końca, a ona będzie mogła zrobić to, o czym jej głowa myślała natrętnie od kilku godzin.

– Nie mam już czego obserwować – odezwał się jednak od razu Adam, czym oddalił koniec dyskusji. – Od wczoraj nie mamy go już na radarach, ktoś usunął chipa.

– Czyli co? – zainteresowała się Monika. Gdyby była w lepszej formie i gdyby nie czekała już tylko na to, żeby wszyscy sobie poszli, nie zadałaby tego pytania, bo odpowiedź nie była trudna i leżała w zasięgu jej intelektualnych możliwości.

– Czyli Tomczyk już wie. – Warecki wyręczył jej chwilową niedyspozycję. – Ale jako że sam jest utapłany w tym gównie po uszy, to tego nie zgłosił. Za to będzie teraz znacznie czujniejszy. Myślę, że jego akurat możemy odpuścić. Prawdopodobnie kazali mu wejść w totalne uśpienie. Będzie tylko jeździł do roboty, potem robił zakupy, zajmował się dziećmi i pukaniem żony na koniec dnia. Nawet bankowe szwindle pewno odwiesi chwilowo na kolek.

Ostatnie zdanie wypowiedziane przez Czesława rzeczywiście w końcu zamykało dyskusję. Przynajmniej tak uznała już tym razem Monika, dlatego wstała, pomachała im i ruszyła w stronę łazienki.

Nie ma takiej możliwości. – Matecki rozparł się w swoim fotelu i patrzył na stojących przed nim Monikę i Wareckiego. – To znaczy wobec pana to ja nie mam żadnego służbowego przełożenia, pan sobie może robić, co się panu żywnie podoba, ale pani... nie ma mowy. Wystarczy mi już tych trupów, mediów i całego tego gówna.

Na czole inspektora pojawiły się kropelki potu. Nie było gorąco, więc chyba naprawdę miał dosyć.

– Poproszę o urlop w takim razie. – Monika była trudną osobą.

– Chuja, nie urlop, pani dam. – Matecki znany był z tego, że używał wielu ozdobników językowych, zresztą kto w tym fachu i w tym kraju ich nie używał?

– To ja wypierdalam z tego bałaganu. – Była naprawdę trudną osobą.

Przez chwilę milczeli, mierząc się wzrokiem na przemian we trójkę. Możliwych kombinacji nie było zbyt wiele, więc po trzydziestu sekundach opcje się wyczerpały. Inspektor miał nadzieję, że Monika z tym dziwnym kapitanem z innej bajki wyjdą, ale oni nawet nie drgnęli.

– Siadajcie. – Kiwnął nagle głową, sięgając jednocześnie do szuflady, z której wyjął chusteczkę, piersiówkę i trzy małe aluminiowe kieliszki.

Przetarł czoło, odkręcił butelkę, polał. Monika chciała coś powiedzieć.

– Nie interesuje mnie to. – Matecki przeciął w locie myśl, którą zamierzała wypowiedzieć, po czym podsunął im dwa kieliszki.

Wypili, choć była dziewiąta rano i nikt, oprócz może pomysłodawcy, nie miał na to ochoty.

– Może niech pan sam jedzie – wrócił do negocjacji inspektor. – Zna się pan na tym, był pan

szkolony. – Na początek spróbował wziąć Wareckiego pod włos.

– Mogę jechać sam. – Czesław nie dał się sprowokować. Coś mu mówiło, że ta niezgoda Mateckiego na wyjazd Moniki tak naprawdę nie wynika z przekory czy służbowej chęci postawienia na swoim, ale z troski, a troska o nią w jakimś sensie była dla niego zrozumiała, on też ją odczuwał. Tyle że troska Mateckiego była bardziej ojcowska, a jego była bardziej...

– Nie. – Monika wciągnęła powietrze nosem, próbując przewentylować kanały oddechowe po przepaleniu ich tym czymś, czego inspektor nalał im do kieliszków.

– A pani co się tak upiera? Życie się pani znudziło? – Inspektor niestety polał jeszcze raz, po czym dla podkreślenia nieodzowności trunku w zaistniałych okolicznościach przetarł znów chusteczką czoło, sterane kłopotami.

– Nic podobnego, ale w związku ze sprawą, którą w pewnym sensie rozpętałam, zginęło już wielu niewinnych ludzi, więc nie będę siedzieć na debilnym poddaszu w hotelu robotniczym kontrwywiadu, kiedy sprawy wymagają działania. – Monika jako pierwsza wypła świeżo nalany kieliszek, czym przypieczętowała sprawę i zamknęła dalszą dyskusję.

Za oknami przetaczał się krajobraz. Na razie był nizinny, ale powoli zaczynał falować, co dawało nadzieję, że już za chwilę świat przestanie być tak natarczywie jednoznaczny i mozolnie monotony. Zmierzchało. Po porannym spotkaniu u Mateckiego musieli odczekać kilka godzin. Po pierwsze, wódka w Czesławie wymagała czasu, by się utlenić i wyparować, po drugie, inspektor zgodził się finalnie na ich wyjazd, bo nie bardzo miał wyjście, ale postawił kilka warunków, których spełnienia wymagała już choćby zwyczajna kindersztuba. Najpierw wymieniono im telefony. Dostali nowe karty i nowe aparaty, żeby nikt, ktokolwiek stał w tej rozgrywce po drugiej stronie barykady, nie mógł wyśledzić ani ich numerów telefonów, ani numerów IMEI przyporządkowanych do samych aparatów. Następnie chłopcy z CBŚP wywieźli ich w furgonetce bez szyb do dziupli, którą mieli pod Warszawą, tam dali im służbowego opla, który podobno na wszelki wypadek nie był nawet zarejestrowany jako samochód należący do policji.

– Czyli jak się legendujemy? – Warecki, prowadzący samochód, zaczął w końcu rozmowę o konkretach.

Do Nowego Sącza, nieopodal którego mieściły się sanktuarium maryjne i oficjalna baza emerytowanego biskupa Zbigniewa Kurzeby, zostało wedle pani z Google Maps niewiele ponad pół godziny drogi, więc był czas, żeby się przygotować. Przez ostatnie cztery godziny rozmawiali mało, trochę o kinie, trochę o książkach, badali się oboje najwyraźniej, ale działo się to w sposób nieinwazyjny, właściwie przyjemny, jakby mimochodem i przy okazji. Może dlatego, że w zasadzie przy każdej poruszanej sprawie, mimo różnic, spotykali się w końcu w jakimś miejscu. Czyli badanie wypadło chyba pozytywnie, pomyślała Monika. Ciekawe, jak to jest, czy ludzie rzeczywiście okazują się podobni albo nawet jeśli są różni, a znajdują wspólny język, to czy dzieje się tak, bo takie jest zrządzenie losu? Czy może z jakiejś atawistycznej przyczyny delikatnie i krok po kroku zbliżają się i dostosowują do siebie nawzajem? Tak czy owak wychodzi właściwie na to samo, jest porozumienie, a wspólne, nawet bardzo długie milczenie kompletnie nie przeszkadza żadnej ze stron. Tak, to chyba jest kluczowe, przyszło jej do głowy. Jeśli można razem milczeć i jechać przez różne krajobrazy, nie czując się w obligu, żeby coś gadać, to już coś znaczy. Tylko co?

– Masz jakiś pomysł na to, kim jesteśmy przed biskupem? – powtórzył pytanie, w formie lekko zmodyfikowanej.

– Oni tam jakieś rekolekcje prowadzą, takie z pobytem, może w to pójdziemy? – odpowiedziała, tkwiąc wciąż bardziej we wcześniejszych rozważaniach niż w tym, o co pytał.

– Dobra, spróbujemy, tak albo jakoś inaczej. – Pokiwał głową, a ona już nie wnikała, bo przyjemnie jej się jechało z nim w milczeniu.

Piękny budynek sanktuarium, odremontowany i świecący bielą wśród zmęczonej szarugi, od kilku kilometrów a to wynurzał się, a to znikał wśród zakrętów i pagórków, wśród których wiała się droga dojazdowa, wyłożona asfaltem. Kiedy w końcu Warecki zatrzymał samochód na parkingu przed wejściem na teren obiektu, zmierzchało.

– Może jakiś hotel najpierw? Jutro wrócimy? – zaproponowała Monika, która bardzo chciała, z przyczyn czysto osobistych, na jakiś czas się jednak odseparować.

– Że podjechaliśmy, już wiedzą. – Warecki wskazał kątem oka na kamerę zawieszoną nad parkingiem. – Może dokończymy przynajmniej ten wątek, a potem zobaczymy.

– Myślisz, że tu jest aż tak? – uśmiechnęła się Monika.

– Nie wiem, jak jest, ale lepiej założyć wersję maks. – Warecki zamknął drzwi i kliknął pilotem.

– No to chodźmy. – Monika zgodziła się od razu i ruszyła za nim.

Sanktuarium składało się z kościoła, dwóch kaplic i części mieszkalno-szkoleniowej, w której mieściły się biura, administracja i prawdopodobnie pokoje dla duchownych i ich znajomych. Dla wiernych, pielgrzymów i gości, oprócz oczywiście tych najbliższych biskupowi, kawałek dalej zbudowano osobny gmach, który pewno celowo z pozostałymi zabudowaniami nie miał żadnego połączenia, a – co więcej – był oddzielony od nich wysokim płotem, zakończonym na górze bolcami jak z włóczni świętego Jerzego.

– Szatan łatwo tu nie wejdzie. – Monika wskazała na płot widoczny przez okno z korytarza, na którym stali, oczekując na przyjęcie przez wikarego.

– Raczej łatwo stąd nie wyjdzie – skomentował Czesław, po czym uśmiechnął się w kierunku duchownego, który szedł w ich kierunku.

– Szczęść Boże. – Ksiądz wydawał się miły, przy czym określenie „wydawał się” było tu kluczowe.

– Niech będzie pochwalony. – Warecki skłonił się lekko, a Monika ledwie zdołała ukryć zaskoczenie.

– Na wieki wieków. – Ksiądz zrobił się jeszcze miłszy. – Co państwa do nas sprowadza?

– Chcielibyśmy wziąć ślub w sanktuarium z wyświęceniem jego ekscelencji biskupa Kurzeby. – Warecki wiedział, że teraz za nic w świecie nie może wejść w kontakt wzrokowy z Moniką.

– Och, ale to nie będzie proste, jego ekscelencja ma terminy zarezerwowane na dwa lata naprzód.

– Na twarzy duchownego w miejsce uśmiechu pojawiło się coś na kształt żalu połączonego ze znakiem zapytania.

– Tak, tak, mamy oczywiście świadomość realiów. – Warecki skupił się na znaku zapytania. – Mój szwagier pół roku temu brał ślub u jego ekscelencji, tam też terminy były naglące i jakoś, nie bez trudu oczywiście, ale w końcu się udało.

– Szwagier? – Wikary po tym, jak znak zapytania w wyrazie jego twarzy został odpowiednio zinterpretowany, przeszedł do fazy weryfikacji danych.

Monika po chwilowym szoku wywołanym przez deklarację Wareckiego, której wcześniej z nią nie skonsultował, powoli oswajała się już nieco z realiami przedstawienia i teraz z ogromnym zainteresowaniem przyglądała się w milczeniu rozmowie, w której słowa miały absolutnie drugorzędne znaczenie.

– Artur Bialik i Agata Warecka, szesnasty marca tego roku. – Warecki działał jak automat, czyli tak samo jak wikary, a temu ostatniemu bardzo to się podobało, bo nie znosił sytuacji, gdy wierni byli mało lotni umysłowo i musiał coś tłumaczyć bardziej szczegółowo.

– Muszę porozmawiać z jego ekscelencją, jeśli się zgodzi, to najpierw na pewno będzie też chciał porozmawiać z młodożęncami, czyli z państwem. – Wikary znów uśmiechał się równie przekonująco jak na początku. – Potrzebuję dnia. Czy zechcecie poczekać na miejscu, czy pojedziecie, a my damy znać co do terminu spotkania?

Warecki chciał już odpowiedzieć, ale nie zdążył.

– Zatem jeśli chcecie poczekać, to zapraszamy do naszego hotelu tu zaraz obok. – Wikary wskazał na stalowe pręty za oknem. – Zaraz tam zadzwonię, będzie zniżka na pokoje. Rozumiem, że dwie jedyńki jakoś obok siebie? – Teraz uśmiech na twarzy duchownego nieco się zmienił i stał się jakby bardziej porozumiewawczy.

– Dwie jedyńki, oczywiście. – Warecki pokiwał głową i uśmiechnął się również porozumiewawczo.

Wójcik miał już też powoli dość klaustrofobicznej sytuacji, za sprawą której, oprócz pobytu na komendzie za dnia i spania w dziupli ABW nocą, od miesiąca właściwie nie wyściubił nosa na zewnątrz. Na początku tego okresu przynajmniej jeździł jeszcze z Moniką, wspólnie inwigilowali Tomczyka, ale od tamtego czasu nie pozwolono mu już zrobić właściwie nic. Od trzech tygodni nie widział się ze swoim chłopakiem Witkiem, nie był w domu, nawet zakupy robili za niego jacyś szeregowi z prewencji. Teraz, kiedy Monika pojechała z Wareckim do Nowego Sącza, pojawiła się w końcu pierwsza okazja, żeby wreszcie wyjść w teren. To znaczy okazja się nie pojawiła, to Wójcik sam ją sobie sprokurował. Już samo opuszczenie budynku komendy stołecznej było wyzwaniem, bo na dyżurce na dole wszyscy koledzy pełniący służbę wiedzieli oficjalnie albo z międzywydziałowej szeptanki, że Wójcik, Brzozowska i ten nowy, który nie był od nich, funkcjonowali w dziwnym rytmie między komendą a jakimś tajnym miejscem odosobnienia. Nikt nie rozumiał do końca, o co chodzi, ale wszyscy wiedzieli, że ta trójka jest w każdym razie lekko „trędowata”. Adam nie miał zakazu wychodzenia z komendy, nikt w końcu nie mógł go w oficjalny sposób pozbawić wolności, ale gdyby przedefilował przed oczami dyżurnego, ten przekazałby informację o jego samowolnym oddaleniu dalej i prawdopodobnie dwie minuty później ktoś by go namierzył i zaprosił do wspólnego powrotu na komendę. Świadom tego, Adam wyszedł przez tylne wyjście, przy którym palili koledzy nieznaną sprawę aż tak dokładnie, następnie przeszedł przez parking i dalej – na ulicę Nowolipki.

Jego samochód, który i tak nie był mu potrzebny do niczego przez ostatni miesiąc, znajdował się w warsztacie, Adam zszedł więc schodami do metra, oddalonymi od wejścia do pałacu Mostowskich

o sto metrów.

Monika nareszcie była sama. Przyzwyczajona przez lata do tego, że oprócz krótkich przerw na czas spędzany z Piotrem właściwie ciągle była sama, ostatnio miała naprawdę trudno. To, że nie opuszczała prawie w ogóle pracy, bo w dzień była w pałacu, z którego jedynie wyjątkowo, wbrew zresztą zaleceniom Mateckiego, wyjeżdżali z Wareckim na krótkie wizyty śledcze, a noce spędzała z Adamem przez ścianę w służbowej dziupli ABW, było jeszcze do zniesienia. W gruncie rzeczy wcześniej, zanim zrobiło się tak dziwnie, praca i tak była wszystkim w jej życiu. Może przed śmiercią Piotra – prawie wszystkim, ale w każdym razie na pewno od czternastu lat była absolutnym priorytetem. Myślała nawet o tym parokrotnie, że skoro, jak na mityngach mawiali koledzy bardziej od niej doświadczeni w porzucaniu nałogów, jeden nałóg prawie zawsze zastępuje się innym, to w jej przypadku heroina przepoczwarzyła się w pewnym sensie w pracę w policji. Niestety teraz robiło się coraz dziwniej i coraz mniej przejrzyste, bo heroina wracała, a praca wciąż jeszcze była. Pojawiało się pytanie, czy ona była równie oddana pracy, jak jeszcze pół roku temu, zanim Piotr zginął, a mówiąc wprost – zanim go zabiła? Monika zastanawiała się nad tym wszystkim, siedząc na elegancko zasłanym łóżku w hotelu przy sanktuarium maryjnym biskupa Kurzeby i zaciskając na swoim prawym ramieniu gumową stazę. Kiedy popatrzyła na swoje świeże jeszcze, bo przez lata nieużywane żyły, pomyślała przez ułamek sekundy, że być może w strzykawce jest odrobinę za dużo płynu, że kiedyś przed laty było go chyba mniej. Tak to jest, kiedy wszystko robi się z pamięci. Uśmiechnęła się, po czym wbiła strzykawkę w ciemnoniebieską, wybrzuszoną nieco w stawie łokciowym ścieżkę pod skórą. Sekundy potem wiedziała na pewno, że płynu było zbyt dużo, ale wtedy było już za późno.

Adam dotarł do domu, w którym czekał już na niego powiadomiony zawczasu narzeczony, piękny prawie jak narzeczony nieżyjącego Wacka, starszy od Wójcika o kilkanaście lat Witek. Nie widzieli się od ponad miesiąca, więc pchani siłami natury najpierw spotkali się tak blisko, że już bliżej się nie dało. Zaraz po tym jednak Adam, zamiast dopełnić sytuację bliskości i spędzić z Witkiem resztę popołudnia, poprosił go o kluczyki i ruszył jego samochodem tam, gdzie najczęściej o tej porze widywał na wirtualnej mapie prezesa Tomczyka, zanim ten zdjął bądź może zgubił czip lokalizujący, przyczepiony do podwozia samochodu. Tym miejscem był klub brydżowy mieszczący się na warszawskich Kabatach.

– Monika, kurwa, Monika, obudź się! – Głos Czesława dobiegał do niej gdzieś z wielkiego oddalenia. Słyszała go, ale to, gdzie się obecnie znajdowała, wydawało jej się znacznie przyjemniejszym miejscem od tego, z którego dobiegało wołanie.

Czesław zamachnął się po raz kolejny i uderzył Monikę złożonymi razem pięściami w okolice mostka. Nie był wcale pewien, czy tak właśnie należy postępować w przypadku, gdy ktoś zasunie w żyłę zbyt dużą ilość heroiny, ale innego pomysłu na razie nie miał. To znaczy: miał – odkąd kilkanaście sekund wcześniej otworzył drzwi od jej pokoju i zobaczył ją leżącą na środku eleganckiej wykładziny w nienaturalnej pozycji z nogami podkulonymi pod tułów, najpierw krzyczał do niej, potem uderzył ją parokrotnie z otwartej dłoni w policzki, w końcu wylał na nią szklanekę wody.

Żaden z tych środków cucących nie zmienił stanu rzeczy, więc w końcu, nie na żarty już wystraszony, sięgnął po środek ostateczny. Gdyby walenie w klatę nie zadziało, nie byłoby już innego wyjścia i musiałby zadzwonić po pogotowie, a to z dużym prawdopodobieństwem oznaczałoby koniec jej kariery w policji. Na szczęście w tym momencie Monika otworzyła oczy i popatrzyła na niego totalnie zdziwionym wzrokiem.

– Co robisz? – zapytała z pretensją w głosie.

– Ratuje ci życie, cholerna kretynko! – Czesław był wściekły, ale przede wszystkim czuł ogromną ulgę. Gdyby nie to drugie, Brzozowskiej dostałoby się teraz naprawdę fest.

– Gdzie jestem? – Monika oddychała ciężko, chwilami jeszcze mroczna siła próbowała ją zabrać z powrotem tam, skąd przed chwilą wyciągnął ją Warecki. Widziała niewyraźny zarys jakiejś postaci na tle białego sufitu zdobionego na obrzeżach rantem stiuków, na przemian z niczym niezdobioną ciemnością.

– W sanktuarium maryjnym. – Czesław uśmiechnął się i pokręcił głową.

– No co ty? – Monika wiedziała już, kim jest zarys postaci, co zasadniczo ją z nim łączy, ale nie mogła sobie jeszcze przypomnieć, po co są tu, gdzie są i co to właściwie za miejsce.

– Możesz usiąść? – Czesław uniósł ją lekko i spróbował oprzeć o tył łóżka.

– Kręci mi się w głowie. – Popatrzyła na niego uważnie i wreszcie przypomniała sobie, gdzie i po co są, a także co zrobiła i jak bardzo źle się stało.

Jedynym wyjściem z sytuacji było teraz wziąć go trochę na żal i współczucie. Jeśli to nie zadziała, to jej wina okazała się tak duża i tak bezdyskusyjna, że miał prawo zrobić właściwie wszystko. O tym, że z przyczyn absolutnie osobistych kapitan Warecki wbrew niej nie byłby w stanie zrobić właściwie nic, Monika jeszcze w tym momencie nie wiedziała.

– Chce mi się spać – dodała po chwili, a oczy znów zaczęły uciekać w mrok.

– Ale nie możesz spać! – Warecki silnie nią potrząsnął.

Tak naprawdę nie miał pojęcia, co robić w takich przypadkach. Przechodził kiedyś kurs pierwszej pomocy, wymagany do otrzymania jakiegoś dyplomu czy uprawnień, ale nie było w nim nic o tym, jak ratować człowieka z heroinowej zapaści. Z tyłu głowy błąkało mu się tylko przeświadczenie, że w takiej sytuacji, jeśli kogoś uda się już wybudzić ze śpiączki, to za nic nie wolno pozwolić, by znów w nią zapadł.

– Kawa! – Przypomniał sobie nagle, że na stoliku pod telewizorem stoi zestaw do przygotowania, raczej rano niż o tej porze dnia, herbaty lub kawy. Oparł Monikę o łóżko i wciąż na nią popatrując, podszedł do stolika.

– Z obu szaszetek zrób. – Monika wreszcie uświadomiła sobie, że żyje, a w ślad za tym pojawiła się też najbardziej atawistyczna ludzka potrzeba, by żyć nadal.

Adam ustawił się maleńkim citroënem pożyczonym od Witka kilka aut za mercedesem prezesa Tomczyka i od godziny wpatrywał się na przemian w ekran swojej komórki i w drzwi wejściowe do towarzystwa brydżowego mieszczącego się w klubie osiedlowym. Wiele wskazywało na to, że prezes jednak raczej zgubił czip przyczepiony do auta, niż go zdjął. Gdyby stało się inaczej, to w konsekwencji powinien był też zmienić swoje codzienne zwyczaje i marszruty – a tego nie zrobił. Jednak być może akurat przebywanie w klubie brydżowym nie należało do zajęć, które chciał przed

kimkolwiek ukryć – więc akurat tej marszruty zmieniać nie musiał. Myśli kotłowały się w głowie aspiranta Wójcika, a adrenalina przyspieszała pulsowanie krwi. Wreszcie, po miesiącu gapienia się w ekrany komputerów i wydzwaniania do sieci komórkowych, z których to zajęć żadne nie przynosiło oczekiwanych rezultatów, Wójcik znów był w terenie, działał śledczo, tropił sprawców. Co ciekawe, zanim mu tego zabroniono, nigdy nie czuł przesadnej potrzeby wychodzenia z budynku komendy, natomiast teraz, gdy nie powinien w ogóle jej opuszczać, zaczęło mu to sprawiać ogromną przyjemność. Klasyczny zakazany owoc, pomyślał. W tym momencie szklane drzwi wyklejone matową folią się otworzyły i stanął w nich ten, w sprawie którego Wójcik tu przyjechał, czyli obecny wiceprezes Pekao SA i wiceminister gospodarki za czasów, gdy obecnie panujący dorwali się do władzy przed laty po raz pierwszy – Włodzimierz Tomczyk. Prezes narzucił płaszcz, zapalił papierosa, po czym rozejrzał się czujnie i ruszył w stronę zaparkowanego pod wejściem służbowego mercedesa S klasy. Adam czujnie rozglądał się jeszcze za kierowcą i ochroniarzem prezesa, ale ten, ku jego zaskoczeniu, się nie pojawił, a prezes wsiadł po chwili za kierownicę i odjechał. Oczywiście zdarzało się, że szefowie firm mieli samochody służbowe, którymi jeździli sami, ale po pierwsze, nie byli to prezesi największych państwowych banków, a po drugie, nie były to jednak tego typu samochody. Do prowadzenia S klasy trzeba było mieć chyba prawo jazdy na ciężarówce. Kiedy mercedes dojechał do wyjazdu z drogi parkingowej na aleję KEN, Adam odpalił swój, a właściwie narzuczonego samochód i po chwili wytoczył się w tę samą stronę. Teraz zaczynała się najbardziej emocjonująca część programu. Po pierwsze, nie mógł dać się zauważyć, bo wtedy prezes najprawdopodobniej zwyczajnie wezwałby policję, a jako że Wójcik nie miał żadnego papieru zezwalającego mu na inwigilację tak ważnej osoby, to prawdopodobnie, szczególnie w sytuacji politycznej, w jakiej znajdował się obecnie kraj, taka okoliczność zakończyłaby jego współpracę z organami ścigania na długo, jeśli nie na zawsze. Po drugie, jeśli prezes by go dostrzegł i nie wezwałby policji, to właściwie cała ta zabawa mogła się skończyć jeszcze gorzej.

Po dwudziestu minutach jazdy mercedes Tomczyka skręcił w praską ulicę Małą i się zatrzymał. Ulica, jak sama nazwa wskazywała, nie była duża, więc kiedy Tomczyk wysiadał z wielkiego mercedesa na jednym jej końcu, Adam zatrzymał samochodzik Witka na drugim. Po chwili w uliczkę wjechały dwa duże i bardzo drogie samochody terenowe. Jeden z nich stanął tuż przy aucie Adama, drugi przejechał jeszcze sto metrów i zaparkował na tej samej wysokości, co mercedes Tomczyka, tyle że po drugiej stronie ulicy. Po chwili prezes wysiadł ze swojego i z papierosem w ustach wsiadł do terenówki. Wójcik już miał odpalić i ruszyć za tamtymi, ale w tym momencie się zorientował, że kierowca zaparkowanego kilka aut przed nim drugiego SUV-a poprawia boczne lusterko i ewidentnie go obserwuje. Aspirant szybko się połapał, że czasu ma mało. Precisnął się na siedzenie pasażera, uchylił boczne drzwi, wyszedł z auta na czworakach i nie podnosząc się nawet, nogą zatrzasnął drzwi za sobą. Do bramy było parę kroków, ale na czworakach nawet tak krótki dystans pokonuje się dość długo, a w takich okolicznościach zamienia się to w wieczność.

Dwie kawy wsypane do stu mililitrów białego wrzątku wprawdzie spowodowały, że Monice przestała zagrażać ciemność, ale nie dodały jej na tyle energii, by o własnych siłach mogła podnieść się z podłogi, i dopiero z wydatną pomocą Wareckiego udało jej się przenieść na łóżko. Kiedy już leżała, Czesław rozpoczął metodyczne przeszukiwanie pokoju w celu wyeliminowania czegokolwiek,

co mogło jeszcze zagrozić jej życiu. Paradoks polegał na tym, że największym zagrożeniem dla Brzozowskiej była ona sama. Czy tak stało się ostatecznie, czy właściwie było tak od zawsze, w tej chwili stanowiło szczególnie mniej ważny. Na razie chodziło o to, żeby ugasić pożar, który wzniesiła i który omal jej nie spopielił.

– Masz jeszcze coś? – Czesław stał naprzeciw niej, a jego wzrok wskazywał na naręcze strzykawek, ampułek i torebeczek z brązową substancją, które trzymał przed sobą.

Monika pokręciła głową.

– Na pewno? – dopytał.

– Jeszcze białe w kurtce w wewnętrznej kieszeni i lufkę – powiedziała i od razu tego pożałowała.

Jeśli teraz pozbędzie się tego wszystkiego, to zanim dojadą do Warszawy i urwie się choćby na chwilę spod dozoru służb i samego Wareckiego, upłynie tyle czasu, że przekształci się w galarete z nówek. Trudno, pomyślała, zresztą w tej chwili była tak wyczerpana i zawałona heroinowym śmieciem, że perspektywa galarety wydała jej się wielce odległa.

Czesław zniknął jeszcze na chwilę we wnętrzu hotelowej szafy, po czym wychynął z niej z naręczem powiększonym o torebkę z białą substancją i o szklaną fajkę, pokrytą brzydkim nagarem.

– Pomożesz mi się rozebrać? – zapytała nagle Monika, a w jej prośbie było coś tak dziecięco prostego, że Warecki w ogóle nie wziął pod uwagę faktu, że widok nagiego ciała kobiety, której pragnął, mógł wywołać lawinę wypadków niemożliwą do powstrzymania.

W związku z tym odłożył naręcze torebek, strzykawek i szklanych fajek i podszedł do niej, żeby spełnić prośbę. Sweter, potem bluzka, spodnie. Kiedy nogawki minęły kostki, spojrzeli na siebie i nagle niewinność jej prośby zniknęła bezpowrotnie. Ona też pragnęła go w głębi duszy od dawna, ale teraz krążące jeszcze w krwiobiegu resztki opiatów, a także lęk przed pojawiającą się już nerwowością towarzyszącą odstawieniu przekształciły się w pożądanie tak silne, że niemożliwe do zahamowania. Można pożądać w sposób niemożliwy do zahamowania, ale cała sztuka polega na tym, żeby pomimo to nie puścić do końca lejców.

Dlatego teraz Monika powoli i delikatnie zdjęła biustonosz, który zresztą nie krył już przesadnie wiele. Podała mu go, a on przyjął. Nieaktualna już zupełnie w tym momencie gra w rozbieranie chorego dziecka trwała nadal, ale już tylko w swojej warstwie najbardziej powierzchniowej. Majtki. Monika zawahała się, ale tylko przez moment i wcale nie w sprawie tego, co miało się wydarzyć dalej, bo to było już postanowione. Zawahała się, czy to ona ma je zdjąć, czy powierzyć to już jemu. Warecki czekał cierpliwie na to, co postanowi. Patrzyli na siebie. W końcu Monika odchyliła się trochę i ściągnęła bieliznę. On rozchylił jej nogi, pocałował stopę, a potem łydkę aż do kolana, udo i powoli a metodycznie dotarł w końcu najwyżej, jak to w ogóle możliwe.

Wójcik, po tym jak doczołgał się do bramy, przebiegł podwórko i wskoczył na mur. Na szczęście ten zbudowano ze zmurszałych już nieco cegieł i można go było pokonać prawie jak drabinę. W momencie kiedy przeskakiwał zwieńczenie muru, usłyszał strzał i zobaczył cegłę rozpryskującą się jakieś pięć centymetrów od swojej głowy. Pół sekundy później zeskoczył po drugiej stronie, a po kolejnych dwudziestu sekundach szaleńczego biegu był już na Konopackiej. Potem biegł jeszcze długo, nie obracając się nawet za siebie. Wiedział, że jeśli się odwróci i zobaczy za sobą któregoś z tamtych, to jedyną rzeczą, która zmieni się w jego sytuacji, będzie przedwczesna świadomość

nieuchronnego końca. W swojej policyjnej karierze miał już kilka zdarzeń konfrontacyjnych, strzelał i strzelano do niego, zdarzyło się nawet, że w trudnej sytuacji znalazł się sam na sam z trzema zbirami. Nigdy jednak nie był do tej pory tak bardzo przekonany, że ludzie, których twarze widział jedynie przez moment, zabiją go ponad wszelką wątpliwość, bez skrupułów i bez zastanawiania się nad czymkolwiek. Aspirant Wójcik, biegnąc teraz w oszalałym pędzie w stronę Galerii Wileńskiej, uświadomił sobie, że przed momentem skrzyżował wzrok ze złem w jego najczystszej postaci. Po kilkuset metrach nieprzerwanego biegu znalazł się w okolicach cerkwi prawosławnej, stojącej przy Solidarności. Tu dopiero obejrzał się za siebie i gdy już zdał sobie sprawę, że albo nikt go nie gonił, albo gonił, ale zgubił się gdzieś po drodze, wszedł do jednego z cerkiewnych przedsionków, wyciągnął telefon i połączył się z dyżurnym, który tego dnia miał szychbę na dyżurce komendy stołecznej w pałacu Mostowskich.

– Cześć Mietek – zaczął. – Mam sprawę.

– To nie możesz tu zejść, tylko przez telefon? – zdziwił się młody aspirant.

– Nie, nie mogę do ciebie zejść, bo wyszedłem z komendy. – Wójcik nie miał czasu na tłumaczenie.

– Jak wyszedłeś? Przecież tu siedzę, tobym cię widział. – Mietek nie krył zaskoczenia.

– Ale nie widziałeś, Mietek, to nie ma znaczenia, teraz słuchaj uważnie. Citroën cactus, zielony, numer rejestracyjny WX 76490, zanotuj kradzież z ulicy Narbutta 7, spod domu, ale teraz najważniejsza sprawa, uważaj i mi tego nie spierdol...

– Ty, przestań, a co ty taki zdyszany jesteś w ogóle? – teraz dopiero skonstatował dyżurny.

– Jestem zdyszany, bo prawie mnie odjebali. Rozumiesz? Też byś był zdyszany i nie żadne przestań, tylko, kurwa, się skup, bo jak się nie skupisz, to odwalą mnie do końca. – Adam, mimo że już był na totalnej bombie adrenalinowej, wciąż nakręcał się jeszcze bardziej. – Skupisz się!?

– Wal... – Mietek w końcu lekko się przejął.

– To zgłoszenie wrzucić na bęben wstecznie, czyli że weszło do systemu powiedzmy piętnaście godzin temu – spuentował Adam.

– Ale jak weszło piętnaście godzin temu, to czemu go nie ma w systemie? – logicznie zdziwił się Mietek.

– Bo je dostałeś, ale nie wbiłeś, zapomniałeś, poszedłeś lać czy zapalić i karteczka została, a teraz ją znalazłeś. – Adam ukłonił się lekko w stronę staruszki, która weszła do cerkwi i teraz ze zdziwieniem przyglądała się spoconemu młodzieńcowi, który stał w przedsionku i gadał coś do telefonu, przeszkadzając Bogu w ciszy.

– Ty, ale ja za to naganę dostanę – zdenerwował się Mietek.

– Nic nie dostaniesz, ale za to jak mi tego nie zrobisz, to mnie stukną do wieczora, rozumiesz skalę problemu, ogarniasz?! – Adam prawie krzyczał do słuchawki, a staruszka patrzyła na niego, coraz bardziej zdziwiona.

– Dobrze, wbiję ci to na czwartą rano, raz kozie śmierć. – Aspirant nawet się przesadnie nie zdenerwował.

Adam pomyślał o Mietku, że ci młodzi teraz żyją w kompletnym odpięciu od rzeczywistości. Staruszka pomyślała o Adamie, że ci młodzi nie szanują już teraz żadnej świętości.

Monika obudziła się raptownie z potwornym bólem głowy. Wokoło było totalnie ciemno i przez moment nie mogła sobie przypomnieć, gdzie jest. Obok spokojnym snem spał przystojny mężczyzna. Kim był dla niej, nie wiedziała jeszcze do końca, ale wspomnienie tego, co razem przeżyli przed kilkoma godzinami, wskazywało, że musiało ich łączyć coś więcej niż tylko potęga namiętności. Oprócz cielesnych rozkoszy, które trudno byłoby zapomnieć, z tyłu głowy Moniki krążyło coś jeszcze, czego nie mogła na razie zlokalizować ani nazwać. Może zresztą przy odrobinie wysiłku dałaby radę, ale nie pozwalał jej na to strach. Brzozowska położyła głowę z powrotem na poduszce, teraz jednak twarzą do oddychającego spokojnie faceta z gęstym, dwudniowym zarostem na policzkach. Ból głowy odchodził powoli, zastępował go błogi spokój. Mogła zasnąć od razu, ale chwilę walczyła jeszcze ze snem, bo było jej w końcu naprawdę dobrze.

Adam dotarł do mieszkania Witka na Narbutta pół godziny później. Narzeczony wyglądał na lekko obrażonego. Miał po temu powody, ale nie wiedział jeszcze nawet, jak poważne.

– Hej, przepraszam, że musiałem wyskoczyć – zaczął Adam i za bardzo nie wiedział, jak pociągnąć dalej.

– Jestem w łazience, wychodzę, żeby zrobić nam żarcie, a ciebie nie ma... – Odpowiedź Witka nie zachęcała Adama do dalszych zwierzeń. Kłopot polegał na tym, że w zaistniałej sytuacji nie było innego wyjścia.

– Ścigamy cholernie poważnych przestępców – zaczął. – Musiałem wyjść na chwilę, mój samochód jest w warsztacie...

– Wiem, sam go tam zawiozłem. – Witek zaczynał przeczuwać, że najgorsze dopiero przed nim.

– No i wziąłem twój na chwilę i teraz jest, kurwa, taka sprawa... – przejście do sedna było dla Adama nie lada wyzwaniem – że go zajmowali...

– Co?

– To znaczy właściwie nie zajmowali i on się pewno zaraz znajdzie, ale ja musiałem udać, że go ukradli, i musimy teraz pojechać do pałacu, to znaczy do mnie do pracy, i ty, jako właściciel, musisz podpisać kwity, że dziś rano, w sensie... że obudziłeś się nad ranem i nie było. – Adam przebrnął w końcu przez najgorsze, tak mu się przynajmniej wydawało.

– Adam... – Witek odezwał się po chwili, która trwała wieczność. – Co ty w ogóle mówisz?

Wikary z poselstwem od biskupa Kurzeby zjawił się na szczęście dopiero koło południa. Dzięki temu Warecki, do którego przyszedł, bo w patriarchalnym systemie w ważnych sprawach przychodzi się do mężczyzn, a nie – do kobiet, był już od dawna w swoim pokoju.

– Jak przeszła państwu noc? – Ksiądz uśmiechnął się do Czesława, a temu od razu przez głowę przemknęła myśl, że w pokojach są kamery. Na szczęście, choć wydarzyło się niemało, to akurat tematu sprawy, w której przyjechali tu z Moniką tak naprawdę, w nocy nie poruszali.

– Dziękuję, doskonale, bardzo wygodne łóżka, świeże powietrze za oknem, organizm może się naprawdę zregenerować. – Warecki uznał, że jeśli nawet tamci coś widzieli, to i tak przynajmniej na razie nie mogą się tym posłużyć, więc nie podejmie żadnej gry w porozumiewawcze uśmiechy.

– No i duch – zapalił się młody wikary – w końcu to sanktuarium maryjne, mieliśmy tu wiele przypadków cudownych uzdrowień.

Warecki pokiwał głową, bo nic lepszego nie przychodziło mu do głowy. Wprawdzie kobieta, która była w pokoju za ścianą, tak naprawdę potrzebowała uzdrowienia, ale w jego systemie myślowym cudowne uzdrowienia raczej nie miały racji bytu. Przez moment panowie milczeli, kontemplując różne rzeczy. Wikary – metafizykę miejsca, Warecki – złożoność sytuacji.

– Biskup Kurzeba zgodził się państwa przyjąć – nagle wypalił ksiądz. – Nie ukrywam, że osoba pana siostry i przede wszystkim szwagra nie jest w tej sprawie bez znaczenia.

– Doskonale. – Czesław dosyć przekonująco udał radość.

Tak naprawdę sama myśl o szwagrze, który był jednym z tych absolutnie koniunkturalnych i oportunistycznych urzędników obecnej władzy, powodowała, że lekko go mdliło. W związku z tym akurat w tej konkretnej sprawie Warecki zupełnie nie miał problemu z zastosowaniem starej i zasadniczo nagannej formuły mówiącej o tym, że cel uświęca środki. Ewentualne konsekwencje, które miałyby w efekcie kiedyś spaść na szwagra, w ogóle go nie zniechęcały, a wręcz przeciwnie, cieszyła go sama myśl o tym, zwłaszcza że siostra, która ze szwagrem była w związku zaledwie od roku, już miała tego małżeństwa powyżej uszu.

– Proszę czekać. – Wikary zrobił się teraz nagle lekko tajemniczy. – To znaczy: nie musicie państwo siedzieć przez cały czas w pokojach, ale gdzieś w pobliżu. Mamy tu park w sam raz na spacer dla zakochanej pary. Telefon do pana mam, będę dzwonił.

Czesław posłusznie i z pokorą pokiwał głową.

– Nie znasz dnia ani godziny. – Wikary uśmiechnął się jeszcze dziwnie, po czym jak duch zniknął za drzwiami pokoju.

Adam wyjaśnił w końcu Witkowi co i jak, ale nie zmieniło to przesadnie wiele, bo i tak musiał ukryć pewne szczegóły kluczowe dla historii. Nie powiedział przykładowo o tym, że ludzie, przed którymi robili cały ten teatrzyk z kradzieżą samochodu, zabili już w sumie prawdopodobnie jedenaście osób, oraz o tym, że wśród współpracujących z nimi funkcjonariuszy publicznych byli choćby jego były szef, czyli minister spraw wewnętrznych, znany biznesmen, pewien niezwykle popularny biskup i Bóg jeden wie kto jeszcze. Kolejnego ranka, kiedy z drogówki zadzwonili do Witka z wiadomością, że jego samochód został wprawdzie odnaleziony na ulicy Małej, ale że najprawdopodobniej słaby będzie już miał z niego pożytek, bo ktoś go tam spalił, niedawno poznany narzeczony Adama poprosił go o to, żeby się rozstali przynajmniej na jakiś czas. Swoją prośbę uzasadnił tym, że to, co wydarzyło się w ciągu ostatnich kilku dni, zdestabilizowało go psychicznie, a on bardzo nie lubił być psychicznie niestabilny.

– Czyli kim byli ci ludzie? – Monika od kilku minut stała na środku parku ogołoczonego z zieleni o tej porze roku, przy altance ujmującej swą urodą, i próbowała dowiedzieć się od Wójcika czegoś więcej niż tylko tego, że przez sprawę i cały ten bałagan on nigdy nie ułoży sobie życia.

– Nie wiem kim. Cyborgami? Jakimiś wydzieranymi specnazowcami, w całości porośniętymi włosami? Ten, który się na mnie gapił, miał chyba włosy na żrenicach. – Wójcik przez moment szukał jeszcze trafniejszego określenia. W końcu je znalazł, bo aż zakasłał. – Zwierzakami, oni byli po prostu zwierzakami, okej?

– Nie wiem, ale chyba raczej nie do końca okej, skoro szef naszego największego banku

państwowego spotyka się z facetami z włosami na żrenicach – zamyśliła się Monika.

– Drugiego po największym – doprecyzował Wójcik.

– Co? – Monika myślnie była już zupełnie gdzie indziej.

– Największy jest PKO BP.

– I co z tego? – zdziwiła się Monika, po czym dostrzegła zmierzającego w ich stronę wikarego w rozwianej sutannie. – Muszę kończyć, wikary idzie.

– Kurwa, jaki wikary? Ja tu przed ruską mafią uciekam przez mury, jak w powstaniu warszawskim, a ty mi o jakimś wikarym? – Adam chciał mówić dalej, ale się zorientował, że nie ma już do kogo. Monika rozłączyła rozmowę.

– No to zapraszam serdecznie. – Duchowny znów się uśmiechał tym uśmiechem, który nie niósł w sobie żadnej radości. – Biskup oczekuje państwa u siebie.

– Czyli gdzie mamy się udać? – z zaciekawieniem zapytał Warecki.

– Ze mną oczywiście. – Ksiądz spojrział na niego, zdziwiony nieco pytaniem. – Zapraszam.

Budynek plebanii wydawał się z zewnątrz normalnym trzypiętrowym, niezbyt urodziwym blokiem, jakich pełno przy co większych parafiach w całym kraju. W środku już jednak taki normalny nie był. Korytarze, piętra w dół i w górę, winda znów w dół, i to o jakieś trzy piętra, czyli chyba do podziemi. Wszystko pomyślane przede wszystkim po to, żeby bez zawiązywania oczu zmylić prowadzonych tak, by nie mieli zielonego pojęcia, w którą stronę poszli ani gdzie i na którym poziomie tak naprawdę się znaleźli.

– Skomplikowana ta trasa. – Monika nie potrafiła nie komentować, choć często było to bardzo niewskazane.

– Tak, trochę nam tu architekt utrudnił życie – odpowiedział jakby gotowcem wikary, może już wcześniej znaleźli się tu ludzie równie asertywni jak komisarz Brzozowska, a może po prostu on był asertywny i nigdy nie tracił rezonu.

Fakt, że doszło do rozstania z Witkiem, Wójcik przeżywał bardzo mocno, nieświadom zupełnie, że tylko dzięki temu obaj nadal żyli. Ludzie z wielkich SUV-ów ustalili bowiem bardzo szybko w policyjnych rejestrach, do kogo należał Citroën, a także że tamtego ranka na kilkanaście godzin przez tym, gdy zobaczyli go na Małej, samochód został skradziony. Mimo to Witek na kilka dni trafił na listę obserwowanych i gdyby nie fakt ich rozstania, prawdopodobnie wcześniej czy później, inwigilując jego, natrafiliby też na Wójcika. Gdyby tak się stało, Adam, mówiąc wprost, dostałby czapę, a wraz z nim, dla porządku, do piachu, czy pewno raczej do rzeki, poszedłby jego Bogu ducha winny były narzeczony. Na szczęście tamci nie zabijali bez sensu, bo zabójstwo to jednak pewien logistyczny kłopot: trzeba je popełnić w odpowiednich warunkach, następnie zutylizować ciało, a na koniec jakiś nadgorliwy policjant, który nie wie jeszcze, jak się rzeczy mają, może jeszcze coś zwęszyć i wtedy rodzi to kolejny problem. Taki właśnie problem, i to wcale nie łatwy, mieli w tej chwili z pewną bardzo niesforną policjantką i jej dziwnym partnerem, ideowcem z wywiadu, więc kolejne utrudnienia zupełnie nie były im już na rękę. Generalnie sytuacja wymknęła się i tak spod kontroli. Jedenaście logistycznych problemów już było na tamtym świecie. Zaczęło się mniej więcej rok wcześniej od pewnego biznesmena, który był na tyle bogaty, że uznał, iż nic nie może mu już

zagrozić, zaczął węszyć w sprawie sprzed lat i w końcu znalazł kogoś, kto powiedział mu o tej sprawie zdecydowanie za wiele. Potem mocodawcy zgodzili się, idąc za namowami związanego z nimi cyngla, niejakiego Borysa, żeby w sprawę ubrać pewną policjantkę. Niestety policjantka ubrać się nie dała, zabiła cyngla i teraz to właśnie ona była ich największym problemem. Owa policjantka nazywała się Monika Brzozowska.

– Czyli, umiłowani w Bogu, chcecie wziąć ślub w naszym sanktuarium? – Biskup był ubrany dostojnie, ale wewnątrz, w którym ich przyjął, udekorowano raczej skromne i bez wygód.

– Tak, szwagier szczerze nas zachęcał... – zaczął Warecki.

– Nie – wcięła się Monika, która uznała, że dotarli wystarczająco daleko i że ten teatrzyk już dalej i tak donikąd ich nie zaprowadzi. – Chcemy się dowiedzieć, co łączy jego eminencję z ministrem Morawskim, z biznesmenem Boreckim oraz z siatką przestępczą działającą kiedyś na Dworcu Centralnym.

Czesław zdrętwiał. Przez moment zrobiło się tak cicho, jakby w kontemplacyjnym wnętrzu, w którym się znajdowali, nagle zapanowała jakaś kosmiczna próżnia.

– Borecki i Morawski to ludzie, którzy przybyli tu, podobnie jak państwo, kiedyś w sprawach sakramentalnych, powiedzmy. Pierwszy brał u nas ślub, drugi chrzczył swoją córkę – uśmiechnął się biskup, nie był to z całą pewnością uśmiech spokojnego zadowolenia, ale też nie widać było po nim szczególnego zdziwienia. – O organizacji nic nie wiem.

Monika przyglądała mu się chwilę. Nie oburzył się, nie kazał im wyjść, nie protestował, nawet tak naprawdę za bardzo się nie zdziwił. Albo był tak totalnie zaskoczony, że na razie przegrupowywał jedynie siły i za moment frontalnie zaatakuję, albo...

– Wie jego ekscelencja, i co więcej, coś chciałby nam powiedzieć, inaczej nie siedzielibyśmy tu – uśmiechnęła się Monika, ale po chwili uśmiech zniknął z jej twarzy.

Chwilę trwało milczenie trudne do wytrzymania, znów było nieomal słyhać, jak osiadają ściany budynku.

– Nie mamy podsłuchu ani kamer, ani nic, to jest tylko między nami... – kontynuowała Monika.

– Wiem, że nie macie, wiem, że pani jest narkomanką, że pan się w pani kocha, i to chyba nawet z wzajemnością, że uratował pani wczoraj życie, że przyjechaliście specjalnie zmienionym autem, nawet telefony macie zmienione, wiem, gdzie mieszka pani mama i że pana ojciec ma raka... – Biskup zamilkł, ale teraz widać już było wyraźnie, że jest jednak trochę zdenerwowany. – Wiem wszystko.

– To czemu żyjemy? – Do wymiany zdań włączył się dopiero w tym momencie Warecki, który w końcu ochłonął z totalnego szoku. W życiu nie wyobrażał sobie, że tak potoczy się ta rozmowa, ale skoro już tak się potoczyła, to trzeba było ciągnąć z niej, ile wlezie.

– Bo my nie zabijamy ludzi – z dziecinną nieomal szczerością odpowiedział biskup. – Zbyt kochamy życie i wszystkie przyjemności, które ze sobą niesie.

– To kto zabija? – zapytała z odrazą Monika. Przyjemności, o których mówił biskup, były w Polsce karane bardzo surowymi wyrokami. Nie tak surowymi jednak jak zabójstwo.

– Nie wiem. – Biskup umknął wzrokiem.

Monika wpatrywała się jednak w niego na tyle natarczywie, że musiał w końcu coś z tym zrobić. Za dużo było już tych „nie wiem”. Niestety wyglądało na to, że ci, z którymi do tej pory udało im się

rozmawiać i którzy w jakimś stopniu byli umoczeni w sprawę, woleli trafić do więzienia, a w każdym razie mieć kłopoty z paragrafu o utrudnianie śledztwa albo nawet o pedofilię, niż powiedzieć cokolwiek więcej.

– Jest grupa ludzi, która nas używa, siedzi na nas, szantażując. Myślę, że to oni zabijają, ale kim są, nie mam pojęcia. Dostawałem zdjęcia z kompromitujących mnie sytuacji... – Biskup chciał coś jeszcze dodać, ale nagle zdał sobie sprawę z tego, że nie tylko on wiedział wszystko, ponieważ o nim też ktoś wiedział wszystko, więc zamilkł.

– A co chcą w zamian za ich nieujawnianie? Pieniądze? – Warecki szukał motywacji.

– Do tej pory nic nie chcieli, trzymają mnie może w odwodzie, na zapas, nie mam pojęcia – zamyślił się biskup.

– Obstawiam, że jednak już czegoś chcieli, a jakby nam jego świątobliwość powiedział, czego konkretnie, to doszlibyśmy do nich, a oni ujawniliby zdjęcia – postawiła hipotezę Monika.

Jego ekscelencja nic już jednak nie odpowiedział, uśmiechnął się tylko smutno.

– Rzecz w tym, że przyjemności, jakie lubicie, łatwo potem wykorzystać: taka cena – podsumował Warecki.

Kiedy wychodzili z budynku, Monika czuła się coraz gorzej. Świadomość, że w zanadrzu miała jeszcze listek klonazepamu, trzymała ją wprawdzie przy życiu, ale z drugiej strony doskonale wiedziała, że benzodiazepiny mogły wprawdzie zelżyć nieco skutki odstawienia heroiny, ale na pewno nie mogły ich zniwelować. Do tego dochodził psychiczny zjazd spowodowany tym, że od kilku dni nie paliła już cracku. Kilkogodzinna podróż do Warszawy nie zapowiadała się dobrze. Dlatego kiedy w damskiej toalecie na stacji w Częstochowie podszedł do niej nieogolony mężczyzna w wymiętym garniturze, pomyślała przez moment, że traci kontakt z rzeczywistością.

– Nie poznaje mnie pani? – zapytał retorycznie, bo to, że go nie poznaje, było widoczne w jej wyrazie twarzy.

Monika pokręciła głową, mężczyzna uśmiechnął się delikatnie.

– No to nie jest z panią zbyt dobrze – kontynuował.

– Może. – Monika ledwo poruszyła ustami.

– Radziłbym uważać, bo jeśli ja mogę was tak łatwo namierzyć, to im też nie będzie trudno.

– Pan, oni... Czyli kto? – Brzozowska słabła z chwili na chwilę. Prowadzenie wnikliwego dochodzenia w stanie, w jakim się znajdowała, było raczej niemożliwe.

– Nazywam się Witold Morawski – zaczął tamten. – Szukacie mnie państwo, o ile wiem. Byłem kiedyś szefem pani resortu, a pani nawet nie wie, jak wyglądam? – zdziwił się nieco teatralnie, bo doskonale wiedział, że w tym stanie nie poznałaby go prawdopodobnie nawet własna matka.

– Jedzie pan za nami pewno od Kurzeby, a oni być może nie wiedzą, że byliśmy u biskupa. – Monika jednak zachowała częściową przynajmniej zdolność asocjowania faktów.

– Oni rzadko czegoś nie wiedzą. – Morawski pokiwał głową, jakby potwierdzał coś, o czym wielokrotnie myślał i co gnębiło go od dawna. – Ale czasem rzeczywiście się udaje.

Monika przemyślała twarz zimną wodą. Było jej na zmianę duszno i zimno, ale uczucie permanentnego spocenia nie opuszczało jej już od kilku godzin. Znała to doskonale: najpierw mrowiło ją prawie w całym ciele, potem zaczynało się pocenie. Pociła się naprawdę, ale wrażenie

mokrej twarzy było akurat nierzeczywiste, przychodziło wraz z ogromną ilością różnych natręctw. Brzozowska niewiele robiła sobie z obecności byłego ministra spraw wewnętrznych obok niej przy umywalkach w damskiej toalecie: sięgnęła do kieszeni kurtki i wyjęła z niej blister z maleńkimi tabletkami.

– Podzieliłabym się z panem, ale nie mogę, do Warszawy musi mi starczyć – powiedziała tylko.

– Nie ukrywam się przed wami. – Morawski też zupełnie nie przejął się tym, co robiła komisarz. Najwyraźniej oboje byli w na tyle fatalnym stanie psychicznym, że takie drobne niestandardowe zachowania nie zajmowały ani jego, ani jej.

– Wiem. – Brzozowska popiła tabletki wodą z kranu. Od wyjazdu z Nowego Sącza zdążyła ich już zjeść sześć. Norma dobową zapisywaną przez lekarza wynosiła najczęściej dwie. – Ukrywa się pan przed nimi.

Morawski przytaknął.

– Tylko kim, do diabła, oni są?! – podniosła głos. Tabletki nie pomagały zniwelować narastającej wściekłości pomieszanej z lękiem. Obecność tego nieogolonego faceta w damskim ustępie też nie działała zbyt kojąco na nerwy.

– Nie wiem dokładnie, nie przedstawiali mi się nigdy, ale przypuszczam, że to może być wywiad obcego państwa. – Morawski uśmiechnął się teraz do kobiety, która weszła do łazienki i od razu na jego widok z niej wyszła.

– Po co pan tu przyszedł? – Monika chciała już tylko dojechać do Warszawy i trafić do klubu na Kolejową, reszta interesowała ją w tej chwili jak mało wciągający film, na którym była, bo ktoś ją na niego zaciągnął.

– Oni nie szantażują tylko pedofilią. – Morawski najwyraźniej chciał jak najszybciej powiedzieć jej jak najwięcej. Tak jakby się obawiał, że za chwilę już nie da rady. Spieszył się. – Ja nie jestem pedofilem – zwierzył się, a w jego spojrzeniu było błaganie o pomoc.

– A na czym pana przypalili? – Monika zaciękała się na moment trochę bardziej, być może klonazepam wprowadzony do pustego układu trawiennego przyjął się szybciej niż zwykle, więc na moment trochę się uspokoiła.

– Na hazardzie, na dziewczynach, nagie zdjęcia z burdelu w Wilanowie. – Minister był szczerzy do bólu, może nawet szczerzy, niż było potrzeba. – Innych trzymają czymś innym, na każdego w życiu coś jest, jakaś głupia rozmowa telefoniczna albo podsłuch, kogoś się dezawuuje, coś się mówi bez sensu albo pojawia się jakieś dziwne zachowanie. Ilu zna pani facetów, którzy nie byli w burdelu? – zapytał nagle z przejściem.

– Nie mam pojęcia, mam w dupie, ile razy faceci byli w burdelu. – Popatrzyła na niego chłodno. – Po co pan tu przyszedł? – ponowiła pytanie.

– Pani ma w dupie, ale tak zwana opinia publiczna, wszyscy ci faceci, którzy sami chleją i łążą po burdelach na potęgę, te kobiety, które zdradzają na lewo i prawo, wszyscy mają coś za uszami, ale jak zobaczą, że ktoś, komu lepiej się wiedzie w życiu, zrobił coś na boku, to szaleją z radości, że cały świat mu się zawali – wyrecytował nagle długą tyradę, po czym spuentował krótko: – Wszystko chuj. Dlaczego tu jestem? Bo chcę, żeby pani wiedziała, że nie jestem pedofilem, bo chcę, żeby pani w ogóle wiedziała, o co w tym wszystkim chodzi... Bo nie wiem, gdzie się podziać – skończył nagle i zamilkł.

– Nie pomogę panu. – Monika sama była w zbyt głębokiej psychozie na to, żeby zdobyć się na empatię. Zresztą rzeczywiście nie bardzo miała jak pomóc temu facetowi. Jeśli jest tak, jak on mówi, to status świadka koronnego i tak nic by mu nie dał. Wydłubią go nawet spod ziemi. W końcu coś jednak się w niej przełamało:

– Jest pan samochodem?

– Tak. – Pokiwał głową.

– To go pan tu zostawi – powiedziała głosem nieznoszącym sprzeciwu.

– Dobrze – nie sprzeciwił się.

Kiedy wsiedli do samochodu, ona z przodu, Morawski z tyłu, Czesław spojrzał najpierw w lusterko, a potem na Monikę.

– Bierzemy ludzi na stopa? – zapytał.

– Poznaj pana ministra Morawskiego, jakiś czas temu był twoim zwierzchnikiem – Monika obejrzała się do tyłu – moim zresztą też.

– A skąd pana... że tak powiem? – Warecki się zaciekał.

– Z damskiej toalety. – Monika spojrzała na zegarek na desce rozdzielczej.

Wszystko było tak naprawdę kwestią czasu. Za godzinę zacznie jej być niedobrze, za dwie pojawi się ból stawów, który potem przekształci się w ból wszystkiego. W Warszawie będą za dwie i pół. Dotarcie do klubu na Kolejową zajmie jej kolejne pół. Wtedy będzie już bardzo słabo.

– Jedźmy – powiedziała.

Z braku innego pomysłu konsylium złożone z Wójcika, Moniki i Wareckiego ustaliło, że na razie Morawski, żeby jeszcze trochę pożyć, zostanie dokwaterowany do nich, czyli do dziupli na Żurawiej. Miejsce było w miarę strzeżone z zewnątrz i od wewnątrz, w sumie ich ochroną zajmowało się w tej chwili kilkanaście osób. Poza tym dość trudno było się tu dostać, bo nawet jeśli ktoś już wiedział, że przebywają w budynku, to nie wiedział, że jest tu piętro, którego nie ma.

– A co potem? – zapytał Morawski, kiedy obwieścili mu decyzję o tymczasowym umieszczeniu go w mieszkaniu.

– Potem się okaże. Albo dostanie pan status koronnego i gdzieś pana schowają, albo tamci pójdą po prostu siedzieć i będzie spokój – zawyrokował Adam.

– Jacy tamci? – Morawski popatrzył na niego z lekkim pobłażaniem. – Pan chyba nie wie, z kim się mierzycie.

– Z kimkolwiek byśmy się mierzyli, to jak się zamknie część... – podjął dyskusję Adam, ale nie zdążył dokończyć zdania.

– ...to reszta się zemści. – Morawski był szybszy, chwilę mierzyli się wzrokiem, w końcu minister postanowił przejść do spraw bardziej przyziemnych. – A gdzie mogę się umyć?

Czesław pod eskortą tych z dołu, innym samochodem, a właściwie w kolumnie kilku, które po przejechaniu pięciu przecznic rozjechały się w trzy różne strony, udał się do Centrum Onkologii na Ursynowie. Ojciec od kilku dni z niego nie wychodził, chemia na tyle wypatroszyła go z wszelkiej energii życiowej, że nie było już możliwości, by opuścił gmach szpitala na Roentgena o własnych

siłach.

Tymczasem Monika czekała, a czekać było jej coraz trudniej. Najpierw w jedynym niezasiedlonym jeszcze pomieszczeniu, jakie stanowił salon, położył się Morawski. Po półgodzinie światło zgasło u Adama. Komisarz odczekała jeszcze pięć minut, po czym bardzo cicho opuściła mieszkanie i stanęła na klatce schodowej. Specyfiką tego miejsca było to, że wydostać się z piętra, które nie istniało, można było jedynie windą. Do ich mieszkania nie prowadziły żadne schody. Wejście do windy wiązało się jednak z tym, że pracownicy CBS, a może ABW nie wypuszczą Moniki z budynku. A ona musiała wyjść. W prawo od windy znajdowały się stalowe drzwi. Nacisnęła klamkę, o dziwo nie były zamknięte. Ciemny korytarz prowadził do schodków po prawej, te wiodły do maszynowni dźwigu. Monika musiała włączyć latarkę w telefonie. Po chwili wydawało jej się, że w tym miejscu jej droga się skończy. Najpierw ciemny korytarz, potem schody, w końcu ślepy zaułek, *cul-de-sac*. Zupełnie jak w moim życiu, pomyślała. Na lewej ścianie betonowego szybu dostrzegła wąskie blaszki ustawione równoległe do siebie, podeszła bliżej i zakryła światło w latarce. Przez szpary między blaszkami wpadało światło. Dotarła do wywietrznika. Stawy bolały coraz mocniej, a mimo że w pomieszczeniu było góra dziesięć stopni, oczy zalewał pot. Zatrzaski. Pokrywa wywietrznika nie była mocowana na stałe ani nawet na śruby, przyblokowano ją jedynie czterema stalowymi zatrzaskami. Przyszło jej do głowy, że jeśli je zdejmie, jeśli wyjdzie przez tę dziurę, to zostawi ją za sobą otwartą. Tymczasem kawałek dalej, po przejściu ciemnego korytarza, były drzwi, a za nimi spali jej asystent i chyba jednak, do cholery, przyjaciel oraz minister, któremu obiecała bezpieczeństwo. Dupa. Zejdzie, wyjdzie, pojedzie, gdzie ma pojechać, kupi, co ma kupić, wróci tu i zatrzaśnie z powrotem te cholerne zatrzaski. Człowiek na głodzie nie myśli racjonalnie, nie jest ani odpowiedzialny, ani logiczny. Człowiek na głodzie jest marną pozostałością po samym sobie. Bardzo marną. Monika spojrzała na czarną dziurę wywietrznika za sobą. Przed nią był dach i jakieś schodki techniczne wiodące dokądś. Dokąd? Za chwilę się okaże.

Warecki pogadał z ojcem, który był już tak słaby, że nawet nie próbował niszczyć go swoją złośliwością. Gdyby był tak słaby całe życie, byłby znacznie fajniejszym człowiekiem, pomyślał Czesław, patrząc na szare, pomarszczone powieki, które zamknęły się przed chwilą. Tata zasnął. Ile jeszcze razy się obudzi, które zaśnięcie będzie ostatnie? Kapitan wstał i rozejrzał się po sali. Oprócz taty leżało tu jeszcze czterech mężczyzn, którzy wiedzieli, że już niczego w życiu nie dokonają. Kiedy chwilę później stanął przed wejściem do szpitala, najpierw kilka razy zaciągnął się głęboko świeżym powietrzem dostępnym tylko dla wybrańców, którzy jeszcze nie umierali, po czym sięgnął do kieszeni i wyciągnął z niej telefon. Już kiedy to robił, towarzyszyły mu nie najlepsze przecucia, a gdy po wykręceniu numeru do Moniki od razu zgłosiła się sekretarka, przecucia zmieniły się w realność. Czesław wszedł do czekającej na niego pod wejściem czarnej skody superb z przyciemnionymi szybami i kazał się zawieźć tam, skąd dwie godziny wcześniej wyruszył, czyli do mieszkania na Żurawiej.

– Nie wiem, kiedy wyszła, skąd mam wiedzieć? Spałem, do cholery! – Adam stał w samych gaciach na środku salonu obok kanapy, na której siedział zdeorientowany minister, i patrzył Wareckiemu

prosto w oczy. – Co, mam nie usypiać, tylko całą noc nasłuchiwać, czy nasza szanowna koleżanka nie postanowi popełnić seppuku?

Z klatki schodowej dochodziły dźwięki wiercenia. Czesław, kiedy tylko ustalili, którędy wydostała się z budynku Brzozowska, kazał tym z dołu sprowadzić dyżurnych techników. O trzeciej w nocy załoga trzech oficerów budowlanców z ABW z mozołem zamykała otwór wentylacyjny, którym wydostała się Monika i którym w każdej chwili do środka mogli dostać się źli ludzie.

– Gdzie mogła pójść? – Warecki usiadł obok zaspanego ministra.

– W miasto – odpowiedział Adam. – Skąd mam wiedzieć gdzie? Tu wszędzie można kupić to gówno.

Monika, przeskakując z dachu na dach, w końcu dotarła do otwartej klapy i po stalowej drabince zeszła na klatkę schodową. Kiedy wydostała się już na ulicę, zatrzymała przejeżdżającą taksówkę i pojechała prosto tam, gdzie zamyśliła sobie pojechać już wiele godzin wcześniej.

Ciekawą i bardzo uwodzącą cechą miejsc takich jak klub na Kolejowej było to, że właściwie nigdy się nie zmieniały. Dzięki temu człowiek, który trafiał tam nawet po wielu miesiącach, od razu czuł się jak u siebie i – co więcej – czuł, jakby czas w tych miejscach stanął.

– Kto by nie chciał, żeby czas stanął? – Chudzielec o brązowych od heroiny zębach odpalił nastrój refleksyjny.

– Ja. – Monika włożyła brązową, kleistą nieco substancję do cybucha, którego wymiennie używała do palenia browna i do smażenia cracku. – Ten facet, z którym kiedyś stąd wyszłam, znasz go? – zapytała bez przesadnej nadziei w głosie.

– Nie. – Chudzielec pokręcił głową. – Garniturki przyłożą tu tylko okazjonalnie.

– Wiem. – Monika przyłożyła zapalniczkę do dna szklanej fajki. – Tym bardziej nie czaję, jak mogłam go nie wyczuć.

– Nie lubisz być sama. Wbrew temu, co ci się wydaje. – Chudy lekko się uśmiechnął, po czym dodał: – Uważaj, w chuj mocne jest.

Monika pokiwała głową, po czym odpaliła faję i pociągnęła ogromnego bucha. Już to robiąc, zorientowała się, że określenie tego, co zapaliła, mianem mocnego było raczej eufemizmem.

– To znaczy, w sumie zależy, w którym momencie czas by stanął – zreflektowała się, bo w jej głowie pojawiło się pierwsze mrowienie niemożliwe do precyzyjnego zlokalizowania i już za chwilę miał nadejść moment, przy którym ona też chciałaby, żeby czas stanął.

– Psy mi tu ściągniesz na głowę – zaczął kojarzyć fakty chudy.

– Już ci ściągnęłam, sama jestem psem. – Monika uśmiechnęła się błogo, teraz rzeczy w rodzaju „kto kogo ściągnie i co z tego wyniknie” właściwie nie miały znaczenia, bo nic teraz nie miało znaczenia.

Komisarz przysiadła na konarze drzewa, na którym wielu już przysiadalo wcześniej: jedni podpierali się, żeby zwymiotować, inni uprawiali tu przygodny seks, a może też nawet ktoś tu załadował działkę, która wyhuśtała go na tamten świat.

– Ważny konar – zachwyciła się po chwili.

– Chuja ważny. – Chudy z natury był sceptykiem. Nie przepadał za wieloma swoimi cechami, ale tej nienawidził najbardziej. – Musisz się ogarnąć.

Monika nie miała już siły mówić, tylko przytaknęła ruchem głowy, bo czuła, że robi to już z jakiegoś ogromnego oddalenia. Rzeczywistość odpływała, a może się rozplywała. Co dokładnie się z nią działo, nie miało w tej chwili kompletnie znaczenia.

Tak to jest. Do pewnego momentu nałóg, branie, przyjmowanie czy robienie czegośkolwiek, co akurat jest przedmiotem uzależnienia, daje się kontrolować. Zabawa jest ekscytująca, dostarcza sporej dawki adrenaliny, tak jak kroczenie między budynkami na cienkiej stalowej linie. Wieczorem – ustalona dawka, która z czasem nieznacznie się powiększa, ale wciąż jest kontrolowalna, no i wciąż jest tylko o jednej godzinie, czyli czynnik czasu zostaje pod kontrolą. Potem bywa różnie. Wszystko zależy od okoliczności. Jeśli wciąż jest w miarę spokojnie i przewidywalnie, to zwiększa się częstotliwość. Najpierw trzeba dołożyć jeszcze coś z rana, choćby jakieś benzodiazepiny na uspokojenie, potem coś kolejnego bliżej środka dnia. W końcu i tak wszystko się zawali, ale może to potrwać nawet dosyć długo. Jeśli rzeczywistość zaczyna rzucać kłody pod nogi, wtedy sprawy gwałtownie nabierają tempa, bo nagle wszystko wymyka się spod kontroli. Nie ma już pórnajbardziej, środków uspokajających, kombinowania. Tyczka do balansowania na cienkiej stalowej linie nad przepaścią, którą jeszcze przed momentem trzymało się w rękach, nagle z nich wypada, chwilę jeszcze oniemiałym stoi się na linie, która napręża się i kurczy, a potem...

Monika obudziła się gwałtownie: kompletnie się nie orientowała, gdzie jest. Do tego jeszcze nie widziała zbyt wyraźnie, oczy zaszyły mgłą, może zaropiały. Ile czasu minęło? Odwieczne pytanie, po którym przychodzi mdląca fala przerażenia. Co dalej? Gdzie jestem? Co zrobiłam od wtedy, czyli od kiedy, do teraz, czyli...? Jej nozdrza wypełniła nagle fala potwornego smrodu, jednocześnie zorientowała się, że leży na jakimś starym dywanie, który ktoś rozciągnął wprost na betonie. Delikatnie, tak żeby nie pękły obolałe kręgi szyjne i żeby kapitel ciała się nie urwał i nie potoczył w głąb betonowej otchłani, Monika uniosła głowę. Z boku trzej faceci ubrani w kurtki brudne jak dywan, na którym leżała, stali i kłócili się o coś w języku, który wydawał jej się znajomy, ale nic nie rozumiała. Usiadła. W pierwszym odruchu dotknęła kurtki pod pachą i z przerażeniem skonstatowała, że nie ma pistoletu. Ktoś ukradł jej broń służbową i za chwilę zastrzeli z niej kogoś innego albo ją samą. Sekundę później przypomniała sobie, że w jakimś ostatnim odruchu racjonalności zostawiła broń razem z kaburą i pasem pod poduszką w sypialni swojego domowego aresztu na Żurawiej. Kiedy usiadła, faceci kłócący się o coś w języku przypominającym jej własny, zamilkli.

– O, obudziła się szefowa – powiedział, a raczej wyrzucił ze swoich bezzębnych ust, jeden z nich.

Monika zrozumiała, że powodem, dla którego nie rozumiała wcześniej słów, był brak uzębienia u całej trójki patrzących teraz na nią lumpów.

– Gdzie jestem? – zapytała, próbując się jednocześnie podnieść, co nie było łatwe, gdyż nie czuła nóg.

– W kotłowni na Złotej, złociutka. – Traf chciał, że najbardziej bezzębny był jednocześnie najbardziej komunikatywny.

– Dlaczego? – Pytanie było głupie i Monika doskonale o tym wiedziała, ale żadne mądrzejsze nie przychodziło jej akurat do głowy. Mogła może wprawdzie zapytać na przykład: „A kim wy

jesteście?” albo: „Co panowie tu robią?” bądź: „Dlaczego jesteśmy w kotłowni?”, ale ze wszystkich tych wariantów najbardziej lapidarny wydawał jej się jednocześnie najbezpieczniejszy.

– Bo się zważyłaś na trotuar pod Złotymi Tarasami, przechodziliśmy obok, poprosiłaś, żeby cię zabrać, bo jak przyjadą psy, to będzie koniec. No to cię zabraliśmy – rozgądał się kloszard.

– Kiedy? – Monika trzymała się lapidarności.

– Kiedy co? – zapytał tamten, którego jej lapidarność nieco przerosła.

– Kiedy mnie zebraliście spod Złotych? – doprecyzowała.

– Dwa dni temu... chyba. – Spojrzał na kolegów, którzy potwierdzili skinieniem głowy. Wyglądało jednak na to, że zrobili to tylko dlatego, że tego od nich oczekiwał. – W każdym razie potem zasnąłaś tak na grubo, może nawet straciłaś przytomność, budziłaś się kilka razy, ale jeszcze bez gadania, no i dopiero teraz.

Monika pokiwała głową. Dwa dni bez świadomości, wcześniej nocka na Kolejowej, z której też nie pamiętała zbyt wiele. Ile upłynęło w sumie, odkąd wyszła z mieszkania na Żurawiej? Dwa, może trzy dni? Nagle przypomniała sobie z przerażeniem o klapie wywietrznika, którą zostawiła otwartą. Lęk i przerażenie, te dwie rzeczy znała tak naprawdę w życiu najlepiej, a największej dawki tych emocji zawsze dostarczała jej świadomość, że coś zaważyła, że komuś mogła zaszkodzić. Po chwili ochłonęła odrobinę, zaczęła jej wracać racjonalność myślenia. W policji już pewno nie pracowała, ale to nie zajmowało jej w tej chwili najbardziej. Zaczęła grzebać w kieszeniach kurtki wyglądającej podobnie do tych, które mieli na sobie trzej wpatrujący się w nią faceci. Tyle że oni brudzili swoje pewno od lat, a w każdym razie od miesiący, a ona swoją zdołała doprowadzić do takiego stanu zaledwie w trzy dni. Tak to już jest z heroiną; to, co wódce zajmowało lata, opiaty mogły załatwić w moment. A może upłynęło znacznie dłużej?

– Który dzisiaj jest? – Namacała w kieszeni buteleczkę. Nie chciała jej wyciągać przy nich, dlatego roboczo próbowała dojść, czy coś w niej jeszcze jest, czy już nie, mierząc jedynie jej wagę w dłoni.

– A cholera wie – odpowiedział refleksyjnie ten wygadany.

– Może być, że siódmy, bo dwa dni temu odbierałem rentę – wtrącił nagle w miarę przytomnie drugi ze stojących, sprawiający na niej wcześniej wrażenie człowieka, który zatracił już zdolność do werbalizowania swoich myśli.

– Siódmy marca? – dopytała Monika, zdradzając w ten sposób, że rzeczywiście jest z nią raczej słabo.

– A czego? Sierpnia? – zaśmiał się ten pierwszy.

Kiedy po przejściu przez kilka piwnic i dwa kanały burzowe wyszła w końcu na światło dzienne, było już na szczęście ciemno. Wcześniej rozstała się z trójką swoich nowych znajomych, którzy przekazali jej dokładne wskazówki, jak ma się wydostać z kolektora ciepłego. Po drodze Monika odnalazła jeszcze w wewnętrznej kieszeni kurtki używaną strzykawkę. Przez moment namyślała się, czy aby na pewno używała jej tylko ona, ale nawet jeśli nie, to i tak nie miało to teraz znaczenia, bo żeby dojść do apteki i kupić nową, tak czy owak najpierw musiała wprowadzić coś do krwiobiegu. Z buteleczki, która na całe szczęście nie okazała się pusta, zaciągnęła nieco jasnobrązowej cieczy, ściągnęła pasek na przedramieniu i najszybciej jak się dało weszła w żyłę. Cieczki było mało. Znała się na tym i doskonale wiedziała, ile towaru potrzeba do tego, żeby kompletnie odlecieć, a ile do

tego, żeby w ogóle zacząć w miarę normalnie myśleć. Nie mogła pojechać do domu, a tym bardziej nie mogła pojawić się na Żurawiej. Zresztą i tak nikt by jej tam już nie wpuścił, a co gorsza, nawet mogła zostać zatrzymana. Areszt w tym stanie totalnie nie wchodził w rachubę. Za dziesięć godzin powiesiłaby się tam na własnym języku. Mama przyszła jej do głowy właściwie od razu, ale najpierw przez pół godziny szwendania się po ulicach próbowała wymyślić cokolwiek, czym to rozwiązanie mogłaby zastąpić. Nie udało się.

– Jak ty wyglądasz? – zapytała mama, dopiero gdy po wnikliwym sprawdzeniu, czy nikt oprócz Moniki nie pojawił się na klatce schodowej, zamknęła drzwi.

Monika nie odpowiedziała, bo co właściwie mogła odpowiedzieć? Wyglądała fatalnie. Tak jak jeszcze kilka dni temu, miała nadzieję nigdy się już w życiu mamie nie pokazać.

– Co teraz? – Barbara zostawiła wygląd i przeszła do kolejnego etapu.

– Nie wiem, mam, muszę chwilę u ciebie pobyc. – Monika chciała już tylko rozebrać się i położyć do łóżka.

Przez ostatnie dni niby spała dużo, ale nie był to tak naprawdę odpoczynek, tylko ucieczka organizmu w mysią dziurę, próba przeczekania najgorszego w trybie zminimalizowanych czynności życiowych. Teraz przyszła pora na sen prawdziwy. Czasu nie było wiele, bo prawdopodobnie za kilkanaście godzin system zacznie się domagać kolejnej dawki. Co zrobi wtedy? Monika nie miała ani siły, ani ochoty w tej chwili się nad tym zastanawiać.

Kiedy zobaczyła nad sobą twarz Czesława, wydawało się jej, że nie zdążyła jeszcze nawet zasnąć. Pierwsze, co ją uderzyło, to wrażenie, że Warecki był padnięty.

– Jesteś zmęczony? – zapytała, jakby po raz ostatni rozmawiali ze sobą nie dalej niż kilka godzin wcześniej, jakby pomiędzy wtedy a teraz nie wydarzyło się nic i tylko nie wiedzieć czemu Warecki czymś się zmęczył.

– No co ty, kurwa, nie przesadzaj, trzy dni bez snu w poszukiwaniu jebniętej policjantki, na którą czyha zgraja morderców. Czym niby miałbym być zmęczony? – Czesław się nie uśmiechał. – Wstawaj, jedziemy.

– Dokąd? – zapytała, wciąż nie zdając sobie jeszcze sprawy z powagi swojego położenia.

– Do Tworek, kurwa, a dokąd?! – podniósł głos.

– Niech pan nie krzyczy na moją córkę! – Głos matki dotarł do jej uszu gdzieś z oddali. Treść tego, co mówiła, była na tyle odmienna od jej normalnego stosunku do córki, że Monika w moment zrozumiała, że musi być źle. Bardzo źle.

Usiadła na łóżku. Za oknem był zmierzch albo świt. Boże, jak potwornie nie znosiła tego uczucia, kiedy po przebudzeniu nie wiedziała, ile upłynęło czasu i czy przed nią noc, którą będzie musiała przecierpieć w samotności, czy – dzień, kiedy oprócz cierpienia będzie musiała jeszcze znosić natarczywość innych. Inni nie byli pomocni w takich momentach, wyrzuty sumienia potęgowało spojrzenie, a nawet obecność kogokolwiek. W samotności można było w stu procentach skupić się tylko na tym, żeby przeżyć. Cel jasny i bardzo konkretny. Mogło się udać bądź nie, ale bez towarzystwa innych ludzi można było przynajmniej zająć się wyłącznie tym. Mama, Czesław, Adam,

Matecki, ktokolwiek to był, stanowił wyzwanie dodatkowe. Ciężko jest strasznie, spadając w dół z dwudziestego piętra, zajmować się jeszcze jakąkolwiek formą socjalizowania. W takim stanie jej fobia społeczna, wrodzona bądź nabyta kiedyś, na tyle dawno, że nie warto było nawet próbować sobie przypomnieć kiedy, powiększała się do formy ciężkiej do udźwignięcia.

– Chciałabym być sama. – W końcu myśli nabrały kształtu słów.

– Ale na razie nie będziesz sama. – Czesław pokręcił głową. – Na razie musisz być z kimś, bo jak pójdziesz w miasto jeszcze raz, to umrzesz.

– Ale ulga by była – wystękała Monika, ale po chwili ugryzła się w język, bo chociaż powiedziała prawdę, to czasem ten rodzaj malkontenctwa wyrażany w stronę bliskich był po prostu nieprzyzwoity.

Wiedziała to doskonale, bo wychowała się u boku matki, która choć otoczona miłością Moniki i męża, potrafiła w najmniej oczekiwanych momentach wywalić właśnie tego rodzaju komentarz. Co otoczenie miało właściwie zrobić z takim *dictum*? Monika spojrzała na mamę stojącą za plecami Czesława, która uśmiechnęła się bardzo delikatnie, po czym wskazała Wareckiego i pokręciła głową. Tak właśnie było, matka rozumiała, bo miała przynajmniej na tyle przyzwoitości, żeby teraz, po latach, przyjmować od córki to, co sama fundowała jej niegdyś, ale Czesław był Bogu ducha winny i nie miała prawa bombardować go w ten sposób.

– Przepraszam – dodała po chwili, ale nie spojrzała na niego.

No właśnie, gdyby była sama, to nie popełniałaby gaf wobec innych i przynajmniej przez te pierwsze najgorsze kilkanaście godzin nie musiałyby zastanawiać się, co oni czują. Cholerna empatia: że też istnieją ludzie jej pozbawieni, pomyślała.

– Zaraz wezwę karetkę.

Czesław szczęśliwie był zadaniowcem i nie bardzo go teraz obchodziło, co mówiła Monika. On też miał empatię, więc interesowało go, co czuła, ale w to wolał się nie zagłębiać. Instynkt podpowiadał mu tylko, że nie chciałby być w jej obecnym położeniu.

– Wywalił mnie? – Monika powoli coraz głębiej osiadała w rzeczywistości, a ta malowała się w coraz mroczniejszych barwach.

– Kto? – Warecki wykręcił numer do kolegi, z którym znali się od lat i który dziś akurat szczęśliwie miał dyżur w pogotowiu na Hożej.

Wieżć Monikę w jej pogarszającym się z każdą chwilą stanie samochodem raczej nie wchodziło w grę. Prawdopodobnie na pierwszych światłach wyskoczyłaby z auta i tyle by ją widzieli. Wezwanie karetki kanałem oficjalnym też nie było możliwe, bo wtedy sprawa doszłaby z całą pewnością do przełożonych i byłoby po wszystkim.

– Matecki wywalił mnie już z roboty? – Monika słabła.

– Nie. – Czesław pokręcił głową, choć tak naprawdę nie był wcale pewien, czy inspektor Matecki nie przedsięwziął już kroków formalnych.

– A co z Morawskim? – Monika przypomniwała sobie nagle, że prowadzi przecież dochodzenie w sprawie wielokrotnego zabójstwa.

– Jest, gdzie był, mają mu nadać status i gdzieś go schować, ale to jeszcze... – Po drugiej stronie zgłosił się w końcu kolega sanitariusz Robert i Warecki oddalił się z telefonem.

Mieszkanie było tak małe, że aby zyskać choć trochę prywatności, musiał się schować

w niewielkiej kuchence za ścianą pokoju, w którym na łóżku siedziała Monika, a naprzeciw niej – mama. Panie zostały same, co dla Moniki stanowiło jeszcze dodatkowe pogorszenie sytuacji. Stawy zaczynały boleć, a na całe ciało, jak jakieś nicienie, wychodziły na zmianę zimne dreszcze i gorące poty.

– Będzie dobrze. – Mama zaskoczyła Monikę, która spodziewała się raczej litanii pretensji, wymówek i apeli do rozsądku. Po chwili przyszło jej jednak do głowy, że jeśli mama odzywa się w ten sposób, to musi być nawet jeszcze gorzej, niż myślała, i oblała ją kolejna fala potu.

– Duszno – powiedziała tylko i sekundę później zemdląca.

Warecki, po konsultacji z kolegą Robertem z pogotowia, z Adamem i z mamą Barbarą, zmienił jednak zamiar i zamiast zawieźć Monikę do szpitala w Tworkach, postanowił podjąć próbę jej odtrucenia w warunkach domowych czy bardziej może semiszpitalnych. O ósmej wieczorem pogotowie przewiozło wciąż półprzytomną Brzozowską do mieszkania doktor Lucyny Walińskiej. Walińska nie od razu zgodziła się przyjąć ją do siebie. Dopiero seria telefonów zarówno od nieznanego jej Wareckiego, jak i od znajomego ją doskonale Wójcika, a także w końcu od mamy Moniki, z którą kontaktowała się od wielu lat, zmiękczyła ją na tyle, że lekarka zgodziła się podjąć próbę wyciągnięcia Moniki z niebytu.

– Jak długo waliła? – Walińska spojrzała na Wareckiego i na Adama pytającym wzrokiem.

Panowie popatrzyli na siebie. Tak naprawdę żaden z nich do końca nie wiedział, od kiedy zaczęło się powolne staczanie się koleżanki.

– Myślę, że najpierw ze trzy, może cztery miesiące wieczorami, potem to się zaczęło wymykać i ostatnie kilka dni to już tak bez trzymanki – zaczął Czesław.

– A pan kim jest w ogóle dla niej, bo zapomniałam zapytać? – Lucyna popatrzyła na kapitana czujnym wzrokiem.

– Właściwie to... czy ja wiem, kolegą, może... – Warecki wyraźnie się zawstydził.

– Spaliście ze sobą. – Doktor Walińska była za stara na ceregiele, wiedza o tym, kto przywiózł jej do domu zaprzyjaźnioną z nią policjantkę, którą wcześniej parokrotnie ktoś próbował zabić, była dla niej bardzo ważna.

– Tak – odpowiedział Czesław szybciej, niż pomyślał, a Adam lekkim zakasaniem pokrył delikatny chichot, który wydobył się z niego w reakcji na tę informację.

– I chciałby pan znowu? – Walińska teraz nie dość, że zadała kolejne pytanie natury zdecydowanie osobistej, to do tego jeszcze popatrzyła Wareckiemu prosto w oczy.

– Tak. – Czesław wytrzymał spojrzenie.

– To dobrze. – Walińska podciągnęła rękawy fartucha. – To przebieramy ją, póki jest nieprzytomna, przygotowałam kilka pasków męża. – Wskazała głową na krzesło za plecami. – Ale jeszcze pański też wezmę, bo mało jest. Trzeba będzie jej przypiąć ręce i nogi. Jak się teraz obudzi, to już będzie mocno niewesoło. Boję się, że trzeba będzie jej też zakleić usta.

Doktor popatrzyła na nich. Obaj sprawiali wrażenie mocno przerażonych.

– Na pierwsze kilkanaście godzin: ona i tak nie będzie tego pamiętała. Jak jej nie zepniemy, to nam wyfrunie przez okno, a jak nie zawiążemy ust, to sąsiedzi wezwą policję, bo będą myśleli, że zarzynam tu warchlaki, i skończy się tym, czego mamy uniknąć, jak rozumiem – wyjaśniła zdawkowo.

Warecki ściągnął pasek i poczuł, jak spodnie zsuwają mu się nieomal od razu do połowy pośladków.

– Schudł pan chyba ostatnio? – skomentowała Walińska.

– Nie, zawsze byłem szczupły – odpowiedział Czesław, przypinając swoim paskiem prawą wyciągniętą w górę rękę Moniki do słupka od łóżka.

– Ona sobie da radę – zawyrokowała Lucyna. – Już raz to przechodziła, i to z gorszego zatrucia. Nie mogę tylko pojąć, po cholere znów sobie to zrobiła.

– Ukarala się za Piotra – zasugerował Adam, który odezwał się po raz pierwszy od momentu, gdy weszli do mieszkania.

– To głupie – skwitowała Walińska. – Gdyby nie ona jego, to on musiałby ją. Czasem miłość potrafi wyprowadzić człowieka na niezłe manowce. Chociaż nie, on pewnie by jej wtedy nie zabił, ale musiałby ją chyba za to więzić do końca życia. Marna perspektywa. To w ogóle jest jakaś strasznie pokręcona historia – zakończyła doktor i sprawdziła, czy Adam i Czesław spętali należycie ręce i nogi Moniki.

Noce są trudne. Serce wali jak młot, boli wszystko: mięśnie, a właściwie pojedyncze włókna mięśniowe, bolą kości, stawy, boli skóra, a przede wszystkim potwornie boli dusza. Tak jakby suma przyjemności, które uzyskało się wcześniej z pomocą środków zmieniających świadomość, została spotęgowana i jakby jakaś siła tajemna zmieniła jej znak z plusa na minus. Tamte loty nad sobą i nad rzeczywistością teraz kończą się wielokrotnym lądowaniem bez skrzydeł, podwozia i amortyzacji. Ból przychodzi falami dokładnie tak, jakby spadało się dziesiątki razy z wysokości na beton rozgrzany do czerwoności. Takie lądowanie w lawie z chlupotem.

A potem są dni jeszcze gorsze, bo noce mają przynajmniej tę zaletę, że – oprócz wielokrotnego umierania w męczarniach – nie trzeba już zajmować się niczym innym, całe skupienie idzie na to, żeby tę śmierć przyjąć, przetrwać i przygotować się na jej ponowne nadejście. Poza tym w nocy można wyć, w dzień, choć trudno w to uwierzyć, pojawia się jednak rodzaj konwenansu, otoczenie spina i blokuje, policzki krwawią do wewnątrz od nagryzania, paznokcie wbijają się w skórę, ale wyć się przecież przy ludziach nie godzi.

Dobrze, że założyli mi ten knebel, pomyślała Monika po czterdziestu godzinach leżenia na wznak z rękami i nogami przypiętymi do łóżka. Walińska usłyszałaby strasznie dużo nieprzyjemnych dla siebie słów, a dzięki ścierce w ustach wycie i inwektywy nie wydostawały się na zewnątrz. Powoli fale bólu i beznadziei słabły, wciąż jeszcze trudno było oddychać i w ogóle być, ale litry leków przeciwbólowych połączonych z płuczącymi krew elektrolitami i glukozą zaczynały powoli przynosić spodziewany skutek.

– Mogę już zdjąć? – Walińska popatrzyła na wychudzoną twarz Moniki o ziemistej cerze, na posklejane potem włosy, na poranione dłonie i połamane paznokcie, w końcu na zwitek gazy okręcony wokół głowy.

Monika potwierdziła ruchem głowy. Lucyna bardzo delikatnie, świadoma tego, jak bardzo bolesny był dla Moniki każdy dotyk, powoli odwiązała szmatę.

– I jak? – zapytała.

– Lepiej, ale jeszcze trochę ciężko – wysapała Monika.

– Wiem – spojrzała na nią Walińska. – To znaczy: nie wiem do końca, bo nigdy nie wpakowałam się w taką głupotę, ale jakoś tam przeczuwam. Wiesz, że bez terapii nic z tego nie będzie.

– Wiem. – Monika patrzyła w sufit, kości i ścięgna bolały mniej, psychika jednak wciąż ledwie dyszała. – Ale na razie nie mogę, muszę dopaść tych skurwieli.

Lekarka przyglądała jej się przez chwilę, zastanawiając się, czy może też już zdjąć pasy pętające Monikę.

– Pasy? – zapytała w końcu, bo kto, jak nie sama zainteresowana, wiedział najlepiej, czy można ją już wyswobodzić, czy jednak nie.

– Jeszcze nie. – Monika nie była pewna, a wątpliwości wołała przynajmniej na razie interpretować na swoją niekorzyść. – Ile leżę?

– Jakies czterdzieści godzin. – Lekarka spojrzała na zegarek.

– Przepraszam. – Monika spojrzała na jej pomarszczoną twarz.

– Przestań – uśmiechnęła się Walińska. – Przede wszystkim przestań walić. Jesteś gotowa z kimś pogadać?

– Z kim? – zdziwiła się Brzozowska.

– Z kimś, kto nie znosi przyjeżdżać do Warszawy, ale dla ciebie to zrobił – łagodnie uśmiechnęła się Walińska.

– W tym? – Monika wskazała głową na pasy.

– A co za różnica? – Uśmiech nie zniknął z twarzy Lucyny.

– Kalicki? – W końcu Monika zaczęła się domyślać, o kogo może chodzić.

– Dawniej, a teraz... – zaczęła Walińska.

– ...Porkut – skończyła Monika. – Przyjechał z gór?

– Przyjechał z Mazur – gdzieś z niedaleka dobiegł ją przyjemny, ciepły, męski głos komisarza Kalickiego, który jakiś czas temu w ramach ukrywania się przed siłami zła zaszył się w podhalańskim Dzianiszu i zmienił nazwisko na Porkut.

Monika była trochę zła, bo postronki wciąż pętające kończyny uniemożliwiały podniesienie się na łóżku i spojrzenie w oczy przystojnego, choć już niemłodego posiadacza aksamitnego barytonu.

– Z Mazur, w góry wciąż nie mogę wrócić. – Porkut stanął nad wezłowiem łóżka, teraz Monika widziała go więc do góry nogami, co w jej stanie nie było przyjemne. – Ostatnio obiecała mi pani, że to posprząta i wreszcie będę mógł mieszkać, gdzie chcę, i używać nazwiska, które lubię.

– Nie lubi pan nazwiska żony? – uśmiechnęła się Monika, pot znów lekko napłynął jej na plecy, gdzieś w żołądku zakręciło lękiem.

– Lubię, ale mam swoje, po tacie. – Porkut wyszedł teraz do przodu i stanął tak, że widziała go już na wprost, a nie na odwrót. – Co ty odpierdalasz?! – Wskazał na pasy na nogach.

– Omsknęłam się – wyjaśniła lapidarnie Monika.

– Nie omsknęłaś się, tylko wlałaś w to jak w kupę, a potem zamiast wyrwać gicę z gówna, to dołożyłaś drugą. – Jej lapidarność najwyraźniej nie przekonała Kalickiego. – Po to Mietek cię wtedy z tego wyciągnął, po to zdechł, żebyś teraz wracała w to samo miejsce?!

Nerwy zaczynały mu puszczać trochę za bardzo i Walińska delikatnie dotknęła jego ramienia.

– Wiem. – Monika przymknęła oczy i pomyślała, że jednak za dnia ludzie, którzy nastreczają problemów swoją obecnością, czasem bywają też pomocni, bo teraz jej lęk zmienił się w poczucie

winy i wstydu, a to jednak łatwiej było oswoić.

Kalicki pokiwał głową, a zielonkawa tapeta w złotawe kwiaty za jego plecami zaczęła w oczach Moniki odrobinę pływać.

– Wiem, gdzie jest Pytłasiński – odezwał się nagle, sięgając jednocześnie do jednego z pasów troczących stopy Moniki do ramy łóżka.

– Skąd? – Monika zapytała trochę głupio, bo tak naprawdę to, skąd komisarz miał tę informację, w obecnej sytuacji było zupełnie drugorzędne, ale takie właśnie pytanie przyszło jej do głowy, bo tapeta pływała coraz bardziej.

Kalicki zaczął odczepiać pas, Walińska chciała zaprotestować, ale Monika lekko pokręciła głową. Poczula, że teraz właśnie przyszła faza totalnego wycieńczenia, o ucieczce do brania nie było już więc mowy. Kalicki odczepił w milczeniu drugi pas, potem te nad jej głową, w końcu pochylił się nieco, złapał ją wpół i pomógł jej się podnieść do pozycji siedzącej.

– Dam ci ten namiar, ale przede wszystkim chcę, żebyście dopadli Stasiaka. – Kalicki patrzył teraz przez okno sypialni. – Mam już właściwie w dupie, kto za tym wszystkim stoi, ale tego, że pies, którego znam, z którym tyle przeszedłem, wystawił kolegów, nie daruję.

Monika ledwie dawała radę usiedzieć w pionowej pozycji. Tapeta szalała, szalały też eleganckie rokokowe meble, lustro i okno, za którym widać było szarzącą zmierzchem brudną ścianę z odpadającym tynkiem.

– Dorwiesz go? – Kalicki nagle przypomniał sobie, do kogo mówi, i spojrzał na Monikę.

Potwierdziła. Teraz chciała już tylko, żeby komisarz sobie poszedł, chciała zasnąć i może po raz pierwszy od trzech dni przespać chociaż kilka godzin bez koszmarów i budzenia się co dziesięć minut.

– Jak doktor cię teraz wyciągnie, a ty znowu w to pójdziesz, to własnoręcznie cię zabiję. – Kalicki sprawiał wrażenie, jakby mówił serio. – Jak znów zaczniesz walić po kablach, to nic mnie nie powstrzyma.

– Nie waliłam po kablach – skłamała Brzozowska, choć nawet za bardzo nie wiedziała, po co to robi. Takie stare przyzwyczajenie: kiedy jest się w ciągu, trzeba kłamać cały czas, nawet gdy to kompletnie nie ma sensu. W końcu spojrzała na niego wyjątkowo trzeźwym wzrokiem. – Adres!

Po kolejnych kilku dniach u państwa Walińskich, po dwudziestu partiach brydża i osiemnastu godzinach spędzonych z mężem Lucyny na dyskusjach o tym, jak to świat schodzi na psy, Monika trafiła w końcu z powrotem do dziupli na Żurawiej. Wzrok pilnujących posesji na dole chłopaków z CBS, którym przywitali panią komisarz, był trudny do podrobienia. Mieszanka pogardy, wściekłości, a jednocześnie podziwu była sporządzona w proporcjach tak zaskakujących, że aż niepowtarzalnych. Wzrok Mateckiego, który siedział teraz na kanapie naprzeciw Moniki, był inny: różnił go od tamtych głównie brak podziwu.

– No i jak się pani czuje? – Kamienny wyraz twarzy inspektora przełamał delikatny uśmiech. – Grypa puściła?

Monika popatrzyła na niego i przez mgnienie pomyślała, że może jednak się udało, może Warecki i Wójcik ochronili ją na tyle, że inspektor nie wiedział.

– Tak, jeszcze trochę wszystko boli, ale w sumie już dobrze – zaczęła, po czym dodała trochę

idiotycznie, ale przedobrzyła: – Mam nadzieję, że nie zarażam.

Matecki pokiwał głową, grymas uśmiechu nie opuszczał jego twarzy, ale teraz Monika zauważyła, że w oczach nie było po nim śladu. Uśmiech, jeśli jest szczery, musi się też odbijać w spojrzeniu, a ten się nie odbijał. Złudzenie, że wszystko jest dobrze, że znów się udało, że przeszło bokiem i jakoś uszła psim śwędem, opuściło ją na ułamek sekundy przed tym, kiedy Matecki odezwał się znowu.

– Co pani w ogóle pierdoli!? – Matecki opuścił głowę, co nie wróżyło dobrze. – Nie zaraża pani już heroiną!?

Monika nic nie odpowiedziała, przez moment trwała cisza, a ona była przekonana, że właśnie straciła pracę, i wtedy w sekundę zrozumiała, jak cholernie była dla niej ważna.

– Czy pani sobie zdaje sprawę z tego, że jeśli to by wyszło, jeśli Biuro Spraw Wewnętrznych by panią trafiło w trakcie tej, kurwa, grypy, to w sekundę byłaby pani pod celą? Policjantka, której wszyscy się przyglądają, która prowadzi najważniejsze w tej chwili dochodzenie w Polsce, napierdolona opiatami w jakiejś kotłowni?!

Matecki przestał mówić, a Monika zauważyła, że zrobił się czerwony jak burak, i zaczęła się martwić.

– Skąd pan wie, że w kotłowni? – Już gdy je zadawała, zdała sobie sprawę, że pytanie jest kretyńskie i potwornie wkurzające, a siedzący naprzeciwko niej facet rozpiął właśnie kołnierzyk. – Może wody panu podam.

– Ja pierdole! – prawie krzyknął Matecki. – Nie wierzę... A czy to, że chwilę po tym, jak pani trafiłaby pod celę, ja trafiłbym na bruk, panią obchodzi?

– Tak – odpowiedziała Monika szybko, chciała teraz naprawić przynajmniej to, co zawałiła przed chwilą. – Przepraszam...

– Przepraszam, to się więcej nie powtórzy? Ile pani ma lat? – Matecki odetchnął trochę, rozpięty kołnierzyk zrobił swoje, a może też jej przeprosiny pomogły na tyle, że purpura zmieniła się z powrotem w czerwień.

– Pójdę na terapię. – Teraz Monika opuściła głowę. To, co powiedziała, miała rzeczywiście na myśli, nie lubiła rzucać słów na wiatr, chyba też nie umiała, a terapia była ciężka.

– Nigdzie pani na razie nie pójdzie. – Matecki stał się rzeczowy. – Terapię musi pani sobie zrobić sama, bo jeśli jeszcze raz to się wydarzy przed końcem tego dochodzenia, to nigdy więcej nie będzie pani pracowała w policji, nie dostanie pani też pozwolenia na broń ani zresztą pozwolenia na nic, zniszczę panią, żeby pani sama już nie musiała. Rozumiemy się?!

Brzozowska przytaknęła, kątem oka zauważyła, że w drzwiach do kuchni stanął Warecki. Wiedziała, że tu jest, podobnie zresztą jak Adam, ale w trakcie rozmowy z inspektorem na chwilę o tym zapomniała. Jego nadejście wróżyło, że dyskusja z Mateckim na tematy natury zasadniczej dobiegała końca. Zbliżał się czas konkretów, a ona nie straciła jednak jeszcze pracy.

– Dziękuję – powiedziała nagle, a ponieważ ani Matecki, ani Warecki, ani właściwie bodaj nikt do tej pory w życiu nie usłyszał od niej tego słowa, to na moment zapanowała konsternacja.

W końcu inspektor po prostu pokiwał głową i gestem przywołał Wareckiego, w ślad za którym pojawił się też Adam.

– Czy ktoś może mi wyjaśnić, co się w ogóle dzieje? – Inspektor rozpoczął coś na kształt odprawy.

– A gdzie jest Morawski? – Monika przypomniała sobie nagle i nie do końca w tym momencie *à propos*.

– Status koronnego, gdzieś go zabrali... w bezpieczne miejsce. – To drugie Czesław dopowiedział bez przesadnego przekonania.

– Nie wierzy pan, że w bezpieczne? – Matecki miał jednak słuch do niuansów.

Czesław nie odpowiedział, nie odpowiedziała też Monika, na którą inspektor spojrział, kiedy zrozumiał, że Warecki nic mu już więcej nie powie, ani Adam, na którego nie spojrział, ale który – gdyby miał coś do powiedzenia – na pewno by nie omieszkął.

– Czyli co jest, kurwa, wszyscy są zamieszani, spisek na wszystkich szczeblach, jesteśmy w matni, w labiryncie bez wyjścia? – nakręcał się inspektor.

– Wygląda na to, że jesteśmy w sytuacji, w której ktoś ma pozbierane kwity potencjalnie na każdego, kto ma jakiegokolwiek znaczenie w polityce, policji, agendach bezpieczeństwa. – W końcu do rozmowy włączył się Adam, który uznał, że skoro jest najniższy szczeblem, to kiedy te informacje padną z jego ust, być może wydadzą się inspektorowi najmniej dotkliwe.

– Co on pierdoli? – Matecki spojrział na Monikę. – Powiedzcie mi, że to jest jakiś sen wariata.

Monika nie odpowiedziała, a to, że tego nie zrobiła, miało w tym momencie największą siłę rażenia.

– Jakież nazwiska, organizacje, tropy? – Matecki znów zaczął się czerwienić.

– Nazwisk trochę jest, pojawiają się nowe, ale na razie, chociaż to najczęściej ludzie, którzy powinni trafić do kryminału, to bardziej sprawiają w tej akurat sprawie wrażenie ofiar niż tych, którzy tym zarządzają – zaczął Warecki.

– A kto zarządza, kto gromadzi te kwity? – zadał kluczowe pytanie Matecki.

– Tego na razie nie wiemy, chociaż... – kontynuował Warecki, który popatrzył teraz na pozostałą dwójkę – mamy pewne przesłanki, żeby sądzić, że być może jest to ktoś spoza granic naszego państwa.

– Może pan przestać być taki tajny przez poufny i powiedziec mi coś konkretniejszego? – Inspektor oczywiście domyślał się, co kryje się pod stwierdzeniem „ktoś spoza granic państwa”, ale chciał to usłyszeć od nich.

– Na razie mamy białoruskie rejestracje, które należą tam do rejestru samochodów niejawnych, państwowych, więc właścicieli konkretnych nie ustalimy. Zresztą Białorusini, jak wiadomo, generalnie nie są przesadnie chętni do współpracy. Udało mi się tylko dowiedzieć, że przynajmniej jeden z samochodów, które pół roku temu parkowały pod domem, a właściwie pałacem pana Boreckiego, zaginionego od kilku miesięcy właściciela kas pożyczkowych, jeździ czasem w eskorcie tamtejszego ministra spraw wewnętrznych – rozgadał się Czesław.

– Kurwa! – skwitował inspektor, po czym zamilkł, a po kilku sekundach rzucił do Wareckiego: – Musimy to oddać tam do pana przełożonych, to już nie wchodzi w moje kompetencje. Wali mnie to. Dzwonię do ABW.

– Jak pan zawiadomi oficjalnie ABW, to sprawa najprawdopodobniej utknie, nikt nigdy tego nie rozwiąże, a oni będą dalej wozic w teczkach te kwity Bóg wie na kogo, Bóg wie gdzie, po całej Polsce – całkiem śmiało jak na niego zaprotestował Adam.

– A pan co? Młody gniewny? Analityk? – Matecki wiedział, że młody gniewny ma rację, ale jakoś

musiał pokryć poczucie kompletnego zdezorientowania.

– Spróbujemy zawinąć Pytłasińskiego – zdecydowała Monika. – Mamy na niego namiar.

– Skąd? – Matecki zadał to samo niezbyt istotne pytanie, które wcześniej Monika zadała Kalickiemu.

Teraz to ona, podobnie jak wcześniej komisarz, nie odpowiedziała, tylko popatrzyła na Mateckiego z dokładnie takim samym wyrzutem, z jakim wcześniej popatrzył na nią komisarz Kalicki. Jak to człowiek odgrywa się za to samo, czego doznał wcześniej... Zamiast się uczyć i tego już nie robić, powtarza dokładnie to samo, pomyślała o swoim zachowaniu.

– Sami wyjdziecie na tych białoruskich zakapiorów, we trójkę, czy może się podzielicie i tam pójdzie już tylko jedno z was? – zakpił w rewanżu Matecki.

– Nie, jak już będziemy wiedzieli kiedy i gdzie, to weźmiemy pluton antyterrorystów albo dwa, ale bez informowania dokąd i po co. Lepiej może właściwie będzie, jak pan wyda im rozkazy, bo kiedy tylko pojawi się któreś z naszych nazwisk, to i tak ewentualny kret się pokapuje – Warecki rozwinął koncepcję operacyjną. – Jak już antyterrorysty zjawią się na miejscu, będzie za późno na kreta.

– A my teraz będziemy kretów szukali wszędzie? – Inspektor bardziej wyraził swój niepokój niż dezaprobatę.

– Na razie tak, bo nie mamy pojęcia, jak szeroko to idzie, na jak wielu ludzi coś mają – przekonywała Monika.

– A co mogą mieć na wszystkich? Sugerujecie, że wszyscy są pedofilami – brnął Matecki.

– Nie, ale na każdego coś jest, każdy z kimś spał, o kimś źle mówił, coś przeszkrobał, z kimś się dogadał, pije po godzinach, wciąga coś, pali, gra w karty, ogląda pornografię z sieci, cokolwiek. A przykładowo: w domowych w komputerach są kamery. – Adam wrócił do głównego nurtu dyskusji. – Rozumie pan? – Popatrzył Mateckiemu prosto w oczy.

Matecki przez moment się zastanawiał. Pytanie było skierowane do niego, a najlepiej rozumie się kogoś wtedy, gdy ma się z nim wspólnotę doświadczeń. Matecki nie robił szwindli, żony nie zdradzał, nie pił pokątnie, nie kręciły go dzieci, nie oglądał pornografii... prawie...

– Dobrze. – Inspektor nie patrzył już na Adama, którego zresztą trochę wbrew samemu sobie zaczynał powoli lubić, teraz patrzył na Monikę. – Przygotujcie grunt, nie chcę nic wiedzieć, w ostatniej chwili dacie znać, odpalę antyterrorystów. – Po chwili dodał: – Kurwa, jak za okupacji.

– Może w sumie jesteśmy trochę pod okupacją – spuentował Adam.

– A co do pani, to rozumiem, że mamy wszystko ustalone... – Matecki spojrzał na Monikę.

Najlepszą obroną jest atak albo chociaż zmiana kierunku rozmowy. Tego Matecki nie musiał się uczyć na psychologii, to była czerpana prosto z pnia mózgu wiedza nieomal atawistyczna.

– Jak zawali pani jeszcze raz, to koniec, zanim sam stracę robotę, panią doprowadzę na dno. – Inspektor wstał i ruszył do drzwi. – Czy wyrażam się jasno?

Monika pokiwała głową, a zarówno Czesław, jak i Adam akurat w tej sprawie byli w stu procentach po stronie inspektora i było to po nich widać.

Tym razem lokal, w którym wedle słów Kalickiego miał się ukrywać, a być może był ukrywany Adam Pytłasiński, mieścił się w willi na warszawskim Żoliborzu, i to w jego części najbardziej

ekskluzywnej, czyli w okolicach ulic Słonecznej i Czarneckiego. Sprawie pewnej pikanterii dodawał fakt, że było to nieopodal domu, w którym w czasie okupacji państwo podziemne przez kilka lat ukrywało swoją radiostację. Obserwacja miejsca była utrudniona o tyle, że w tej wąskiej uliczce właściwie wszyscy się znali i każdy nowo pojawiający się człowiek lub nawet zaparkowany na zbyt długo samochód budzili od razu żywe zainteresowanie sąsiadów. Może zresztą z tego też względu ci, z którymi współpracował Pytłasiński, wybrali takie właśnie miejsce. Nie ma jednak utrudnień, których nie da się obejść. Po kilkudniowych poszukiwaniach Wójcikowi udało się znaleźć lokal przeznaczony na wynajem, z którego okien było widać znajdujący się kilkadziesiąt metrów dalej dom z dużą werandą i przeszklonym gankiem od przodu. Informacja o tym, że znajdą tam Pytłasińskiego, pochodziła z nieoficjalnego i niepotwierdzonego źródła, bo komisarz Kalicki, zaraz po tym, jak objawił się niczym duch w mieszkaniu doktor Walińskiej, zniknął w niebycie, z którego wcześniej się wyłonił, i o nic więcej nie można go było już zapytać. Dlatego przed przeprowadzeniem akcji Monika i jej towarzysze musieli się upewnić, czy pod wskazanym adresem rzeczywiście znajdą tego, kogo szukają. Wywiad administracyjny dotyczący samego budynku, jego właścicieli i tego, komu wynajmowali lokal, był niezwykle utrudniony z tego względu, że każde zapytanie kierowane do urzędu dzielnicy mogło zostać następnie przekazane do osób zainteresowanych, a te mogły powiadomić zamieszkujących lokal, w tym, o ile rzeczywiście przebywał on pod wskazanym adresem, również samego Pytłasińskiego. Żeby więc potwierdzić informację, Monika, Warecki i Wójcik na zmianę spędzali w mieszkaniu wynajętym na piętrze nieodległej willi całą dobę.

Niewiele z tego wynikało, bo ruch w obserwowanym budynku był raczej umiarkowany, żeby nie powiedzieć – żaden. Do willi nikt nie wchodził, nikt też z niej nie wychodził, w nocy nie paliły się światła, a w każdym razie nie było ich widać. Tak sprawa wyglądała przez cztery kolejne dni. Piątego jednak w końcu wydarzyło się coś absolutnie niespodziewanego. Pod dom zajechała nagle półciężarówka dostarczająca zakupy z jednej z sieci supermarketów. Kierowca wyjął z samochodu kartonowe pudło, po czym podszedł pod drzwi, wcisnął przycisk domofonu i po chwili wszedł do środka. Po wniesieniu pierwszego kartonu swoją drogę powtórzył jeszcze parokrotnie, i to już nie z paczką na rękach, ale z wózkiem, na którym miał plastikowe skrzynki z jedzeniem i zapewne nie tylko. Matecki, poinformowany o sprawie, chciał od razu go przesłuchać, ale namówiony przez Wójcika, którego polubił, zrezygnował z tego i pozwolił im najpierw przez jakiś czas śledzić także dostawcę. Trójka podzieliła się od tego momentu na dwie grupy. A właściwie dla usprawnienia działań wszyscy troje rotowali i na zmianę byli albo w wynajętym mieszkaniu, z którego obserwowali willę, albo w samochodzie, z którego obserwowali poczynania dostawcy. Zasadniczo można było przyjąć punkt widzenia inspektora, który twierdził, że facet jest prawdopodobnie przypadkowym kurierem, który do obsłużenia dostał akurat ten adres. W okolicznościach normalnego śledztwa tak najprawdopodobniej założyłby każdy prowadzący je śledczy. Tyle że to nie było normalne śledztwo. Nie tylko z tego względu, że przy okazji tej sprawy zginęło już tak wielu ludzi, ale też dlatego, że co i rusz odsłaniały się w niej coraz bardziej tajemnicze i niepokojące tropy. Jeśli ci, którzy za tym stali, byli na tyle zuchwali, by zabić policjanta i próbować zamordować prowadzącą śledztwo, jeśli wciąż byli o krok przed nimi, to wedle tej logiki nawet dostawca nie mógł być przypadkowy. Kilka kolejnych dni obserwacji nie potwierdzało jednak tej hipotezy. Młody

chłopak pracował codziennie, jeżdżąc ciężarówką po całej Warszawie, z nikim się nie kontaktował, nie zniknął, treść jego rozmów telefonicznych też nie wzbudzała podejrzeń. Kiedy już mieli odpuścić i wezwać go na rutynowe przesłuchanie, nastąpiło jednak coś, co zaskoczyło wszystkich. Nagle okazało się, że równo tydzień później, o podobnej godzinie co poprzednim razem, dostawca pobrał towar i zjawił się z nim pod tym samym adresem. To nie było normalne, bo – po pierwsze – dostawcy rzadko przyjeżdżali pod te same adresy, losowość dostaw raczej to uniemożliwiała, a po drugie – tego akurat dnia chłopak jeździł na Mokotowie i żeby przedostać się na Żoliborz Oficerski, musiał przejechać prawie całe miasto.

– Jak mamy go podejść? – Inspektor Matecki dołączył do narady, która odbywała się tym razem w mieszkaniu obserwacyjnym w żoliborskiej willi. Inna opcja nie była możliwa, ponieważ zawsze przynajmniej jedno z nich i tak musiało tam być. – Skoro twierdzicie, że może być obserwowany?

– Jak będzie jechał na Żoliborz następnym razem, pewno za kilka dni, pieczarki zatrzymają go w tunelu na Wisłostradzie do rutynowej kontroli. – Warecki miał już gotowy plan. – Zaprowadzą go do swojego vana, tam będę czekał ja z Moniką, sprawdzimy go na podsłuch, potem pogadamy, w sumie góra pięć minut.

– A co z pieczarkami? Podobno boicie się wszystkich, a nie boicie się, że nas drogówka podpierdoli – zapytał logicznie Matecki.

– Musi pan znaleźć albo zaufanych, albo takich jełopów, którzy nie ogarną, co się dzieje. – Do rozmowy włączyła się Monika. – No i w vanie gadamy z nim tylko my.

– Myślę, że na całość będzie góra siedem minut; jeśli go obserwują na przykład na GPS-ie, to potem zaczęliby się dziwić, co robi tyle czasu w tunelu. Teraz najważniejsze. Jeśli go nie złamiemy, to musi być gotowy ten pluton antyterrorystów, żeby wjechali do willi od razu, jak damy znać. W innym wypadku albo on da cynk, albo tamci się sami połąpią i będzie posprzątane. Znowu wyleżą stamtąd jakimś przekopem, jak robactwo. – Warecki domknął część instruktażową. – Swoją drogą, tak jak w domu u Pytłasińskiego na Mokotowie, tu też musi być jakaś droga łączności. Niemożliwe, żeby nikt przez tyle dni stamtąd nie wyszedł ani tam nie wszedł.

– Sprawdzamy, kto mieszka w sąsiednich willach, na razie tylko jedna jest podejrzana, bo teoretycznie nie mieszka tam nikt, właściciele są nieosiągalni, podobno mają dom na Cyprze. – Do rozmowy włączył się Wójcik.

– No to możemy zgadywać, że wchodzi tamtędy, pewno jakoś znów przez ogród, trzeba będzie też zamknąć drogę ucieczki tamtędy – podsumował Warecki.

– A sprawdziliśmy, kto zamawia te rzeczy z willi? – Matecki śledził jednak dość wnikliwie to, co do niego mówili.

– Od razu. – Wójcik wrócił do rozmowy. – Na zamówieniach widnieje jakieś fikcyjne nazwisko, płacą gotówką przy odbiorze, a zamawiają przez internet z komputera z zaszyfrowanym numerem IP.

– Czyli próbujemy przez tego dostawcę? – zreasumował, głównie na własne potrzeby, Matecki.

– Tak, jutro powinien znów jechać na Żoliborz, pewno około trzynastej, więc ja zasadzę się na niego z drogówką w tunelu – wyjaśniła Monika. – A kapitan – wskazała na Wareckiego – będzie za nim jechał i komunikował, gdzie są. Jeśli uda nam się z nim dogadać, to zainstaluje nam pluskwę w mieszkaniu i powie, co tam się w ogóle dzieje. Jeśli nie, dziesięć minut później pluton

antyterrorystów z Adamem musi wjechać do domu.

Monika spojrzała na Mateckiego pytająco, a ten przytaknął.

W momencie kiedy ciężarówka z napisem „Przeprowadzki Nowak” zatrzymała się przy placu Słonecznym, dostawczak, za którym już od godziny jeździł Czesław, zjechał z Trasy Łazienkowskiej na Wisłostradę. Kwadrans wcześniej, znów jak co tydzień i znów o tej samej porze, kierowca, który wcześniej krążył po Służewcu i Górnym Mokotowie, nagle zmienił trasę i ruszył na północ Warszawy. Ford stołecznej komendy ruchu drogowego czekał w tunelu już od dwudziestu minut. Nie był to oznakowany transit, bo wszyscy zgodnie uznali, że jeśli kierowca dostawczaka zobaczyłby samochód policyjny w tunelu, mógłby zacząć zmieniać pas, a przy tak gęstym ruchu ściąganie kogoś z zewnętrznego pasa, oprócz tego, że niebezpieczne, to dla kogoś, kto zachowuje w miarę przytomny umysł, byłoby też mocno podejrzane. Transit był cywilny, policjant z drogówki miał też z niego wysiąść dopiero po tym, jak dostrzeże furgonetkę w bocznym lusterku. Tak się stało i chociaż kierowca dostawczaka próbował jeszcze uciekać na środkowy pas, to już mu się to nie udało. Dlaczego zresztą niczego nieświadomy dostarczyciel bułek i ziemniaków miałby obawiać się kontroli drogowej?

– Czy pan spożywał alkohol? – Sierżant sztabowy czujnie przyglądał się nieogolonemu uwodzicielsko młodzieńcowi.

– A skąd. – Tamten uśmiechnął się zawadiacko, ale wprawne oko sierżanta, który z tak uśmiechającymi się miał do czynienia od dwudziestu pięciu lat, gdzieś pod spodem dostrzegło cięć niepewności.

– Poproszę pana ze mną na chwilę do radiowozu, sprawdzimy dokumenty i trzeźwość – uśmiechnął się przyjaźnie sierżant.

– Ale czemu do wozu, dokumenty dam, a alkomat może pan chyba przynieść? – Młody zrobił się nagle trochę niemiły, ale od razu spróbował załagodzić to uśmiechem. – Ten żółty, taki poręczny, co macie.

– Nie mamy żółtego poręcznego, mamy stacjonarny w wozie, zapraszam. – Policjant odsunął się delikatnie, spojrzał w prawo, czy nic nie nadjeżdża, i ledwie zauważalnie dotknął białej kabury na pasku.

Młodzieniec, widząc to wszystko, wprawdzie niechętnie, ale otworzył w końcu drzwi i wysiadł z furgonetki. Policjant puścił go przed sobą w kierunku transita zaparkowanego na końcu zatoczki autobusowej. Podeszli razem. W tym momencie odsunęły się boczne drzwi forda i młodzieniec najpierw zobaczył wymierzonego w siebie glocka, a chwilę później palec kobiecej dłoni zapraszający go do środka. Kiedy wszedł, przez moment trwało milczenie, bo Monika, wciąż do niego mierząc, równocześnie sprawdzała go ze wszystkich stron czujnikiem do wykrywania urządzeń podsłuchowych. Kiedy skończyła, chwilę jeszcze przyglądała mu się, nic nie mówiąc, a on patrzył na nią i próbował na szybko wykombinować kilka możliwych wariantów rozwiązania zaistniałej sytuacji.

– Nie kombinuj, bo się zmęczysz – zaczęła w końcu Monika. – Jest sporo zarzutów. Udział w zorganizowanej grupie przestępczej, działanie na szkodę państwa, współpraca z obcym

wywiadem... wymieniać dalej?

– Nie wiem, o czym pani mówi. – Młody uśmiechnął się beztrąsko, a Monika pomyślała, że ktoś go dobrze wyszkolił, więc nie będzie lekko.

– Nie pierdol, bo nie ma czasu. Chcesz iść do więzienia? – raz jeszcze przyblefowała Brzozowska i zanim młody zdążył odpowiedzieć, szybko dodała: – I nie mów mi, że cię zabiją i tak dalej. Nie mam już siły tego słuchać. Jak nie będziesz współpracował, to i tak im podpierdolimy, że współpracujesz, więc cię stukną. A jak będziesz współpracował, to masz naszą ochronę i cień szansy.

– Wy, czyli? Komenda ruchu drogowego? – Młody nie tracił rezonu.

W tym momencie drzwi od transita odsunęły się ze szcękaniem i na tle ściany tunelu zobaczyli Wareckiego, który skinął na Monikę, żeby wysiadła na moment.

– W aucie są dwie skrzynki, jedna z bronią automatyczną, druga z amunicją do niej – powiedział, a łomot przejeżdżających aut zagłuszył jego głos na tyle, że siedzący w aucie chłopak nie mógł tego usłyszeć.

Nie mógł usłyszeć, ale jako że nie był po prostu zwykłym młodzianem zajęтым myśleniem zasadniczo o niczym, oprócz tego, co dziś zje i czy wyszedł już nowy model smartfona, tylko młodzianem z aspiracjami, planem i nieprzeciętną inteligencją, to wiedział już, że oni wiedzą, i zastanawiał się teraz, czy jest to też jednoznaczne z tym, że i on musi o tym wiedzieć. Po czterech sekundach, które dostał od opatrności na to, by zrobić głębszy namysł, odezwał się w końcu, przekrzykując szum aut w tunelu:

– Dobrze!

Monika wsiadła z powrotem do vana i popatrzyła na niego.

– Teraz to już dupa, a nie dobrze – powiedziała. – Myślimy razem. Jeśli im tego nie wniesiesz, to się kapną, jak im wniesiesz, to zaraz potem będzie jatka.

Młody pokiwał głową. Nie było co za wiele myśleć. Ta kobieta, kimkolwiek była, i tak myślała szybciej od niego, a coś takiego w swym młodzieńczym zarozumiałstwie dostrzegał wyjątkowo rzadko.

– Ręce. – Monika głową wskazała na jego dłonie, jednocześnie zza paska wydobyła kajdanki. – Ilu tam jest ludzi?

Młody nic nie odpowiedział.

– Nie baw się ze mną teraz, bo będziesz miał przesrane bardziej, niż jesteś sobie w stanie wyobrazić. – Ścisnęła mu dłoń w kajdankach mocniej, niż musiała, po chwili zreflektowała się, a może raczej udało, że się reflektuje, bo tak było przydatniej, i popuściła obręcz kajdanek. – Ponegocjujemy sobie później. Ile?

– Normalnie cztery osoby plus ten staruch, czasem jakieś dzieciaki, takie nastolatki, ale to nie wiem, o co chodzi – mówił powoli młody.

Monika pokiwała głową, na jej twarzy pojawił się przez moment nawet delikatny uśmiech zachęty.

– Jak uzbrojeni? – dopytała.

– Na razie – wskazał na furgon gdzieś w przestrzeni za ich plecami – chyba tylko broń krótka.

– Polacy?

– Tacy raczej tyle o ile, mówią, ale jakimś akcentem, tylko stary mówi normalnie, czasem pojawia

się jeszcze jakaś babka, trochę starsza od pani, atrakcyjna nawet, ale nie aż tak. – Teraz w odruchu samoobrony uśmiechnął się też i młodzian. – Ona mówi trochę jak te wszystkie Ukrainki w sklepach.

– Poczekasz tu grzecznie, potem zabierzemy cię gdzieś, gdzie cię na razie nie odwalą. – Monika nagle pomyślała o tym chłopaku, jakby był jej synem, którego nigdy nie miała, wczesnym synem, bo musiałaby mieć wtedy szesnaście lat. – Wtedy powiesz nam inne rzeczy i dzięki temu może nie będziesz musiał sobie tatuować cyngwajsów.

Kiedy Monika wysiadła, za swoimi plecami usłyszała jeszcze pytanie:

– Czego?

Jak oni się teraz chowają, pomyślała. Chłopak pakuje się gorzej niż w kryminal i nie wie nawet nic o grypserze. Podeszła do Wareckiego, który stał obok otwartych drzwi furgonu i który klarował coś sierżantowi z drogówki. Obok nich stała skrzynia, w zamyśle przeznaczona do transportu mrożonek. W skrzyni jednak, zamiast marchewki i szpinaku, leżało kilkanaście sztuk krótkiej broni maszynowej.

– Ma pan tu arsenał i chłopaka, który miał go dowieźć. Musi pan tu z tym zostać, wytrzymać i przez kilka minut nie powiadamiać nikogo – tłumaczył Warecki szybko, ale klarownie. – Żadnego wsparcia, kolegów, nic. Najpóźniej za kwadrans dojadą ludzie wysłani bezpośrednio przez komendanta. Da pan radę?

– A co mam nie dać? – Sierżant, który poprzedniego dnia po raz trzydziesty w życiu podjął próbę rzucenia palenia, już wiedział, że znowu mu się nie uda.

Kapitan popatrzył jeszcze chwilę na sierżanta, od którego w znacznym stopniu zależało w tym momencie powodzenie operacji, po czym ruszył w kierunku służbowego opla, zaparkowanego za furgonem. Monika podbiegła za nim. Warecki w ostatniej chwili jednak się zatrzymał i wrócił do transita. Odsunął boczne drzwi i spojrzał na młodziana, przypiętego teraz kajdankami do stolika.

– Telefon – powiedział.

– Co: telefon? – Młody wciąż próbował być jeszcze zbyt rezolutny.

– Gdzie masz telefon? – Warecki wszedł do samochodu i stanął nad chłopakiem. – GPS, po którym cię namierzają, jest w telefonie?!

W głosie kapitana musiało być już w tym momencie coś, co spowodowało, że młody zrezygnował w końcu z bycia królem życia, pokiwał głową i wskazał na wewnętrzną kieszeń kurtki.

Warecki sięgnął do kieszeni i wydobyl aparat, otworzył go i wyciągnął baterię. Mógł wprawdzie zabrać aparat ze sobą, ale wtedy tamci zorientowaliby się za moment, że młody z furgonetki przesiadł się do sportowego bolidu.

Kiedy wrócił do swojego opla, Monika siedziała już za kierownicą. Czesław popatrzył na nią przez moment, po czym bez słowa wszedł na miejsce pasażera. Nie lubił jeździć, kiedy to nie on prowadził, ale zdarzały się sytuacje wyjątkowe, takie jak ta. Ruszyli. Normalnie, przy płynnym ruchu, dojechanie z tego miejsca w rejon placu Słonecznego na Żoliborzu Oficerskim zajmowało koło ośmiu minut. Oni byli na miejscu w trzy. Kalkulacja była prosta; jeśli tamci obserwowali ciężarówkę z pomocą GPS-u, który w telefonie miał młody kierowca, to od momentu, kiedy auto zniknęło w tunelu, do teraz upłynęło dwanaście minut. Nawet gdyby był korek, a przecież na mapach Google widać było, że go nie ma, to w tym tunelu nie spędzało się tyle czasu. Domyśliliby się, że coś musiało się wydarzyć, może wypadek, może padła mu bateria w komórce, a może...

– Jak jest? Coś się dzieje? – Monika i Warecki byli już z Adamem w furgonie z napisem „Przeprowadzki Nowak”, ustawionym zaledwie sto metrów od willi, w której z dużym prawdopodobieństwem siedzieli tamci.

– Na razie spokój. – Dowodzący plutonem antyterrorystów komisarz Rabiej w czarnym moro i kominiarce zwiniętej na czubku głowy wpatrywał się w ekrany z podglądami z kamer, w które byli wyposażeni jego ludzie.

Obraz nie okazywał się zbyt dobry, bo policjanci musieli uważać, żeby nie było ich widać z okien willi, chwilami pojawiały się też zakłócenia w przekazie.

– Obstawiamy oba budynki: ten główny i ten opuszczony na tyłach – wyjaśnił komisarz w czerni.

– Od godziny nikt nie wchodził ani nie wychodził, chyba że mają przekop do sąsiedniej dzielnicy.

– Może tam jednak nikogo nie ma – zasugerował technik, asystujący przy obsłudze kamer.

– Jak to: nie ma? Ktoś chyba musi czekać, żeby odebrać spozrywkę i dwadzieścia uzi z Leclerca – uśmiechnął się Warecki. – Wjeżdżamy, bo za moment się pokapują, że kuriera wcięło.

Komisarz Rabiej popatrzył na Monikę. Ją znał przynajmniej od lat, a faceta z ABW pierwszy raz widział na oczy w mieszkaniu u alkoholika Araszkiwicza. Do tego nie lubił ludzi z ABW. Brzozowska pokiwała głową, po czym dodała:

– Wedle informacji kuriera w środku jest czterech typów, są na pewno uzbrojeni, ale nie mają raczej na razie nic ciężkiego, bo uzi nie dojechały. Jest jeszcze staruch, czyli Pytłasiński, i czasem pojawia się kobieta, ale przeważnie jej nie ma.

– Ta kobieta? – Warecki spojrzał na nią pytająco.

– Pewno ta, a może inna, skąd mam wiedzieć? – Monika wzruszyła ramionami. – Wchodzimy czy będziemy się zastanawiali, co to za kobieta?

Brzozowska, choć wolna była już kilka dni od fizycznych objawów odstawienia, to wciąż miała emocjonalną huśtawkę. Właściwie huśtawka kołysała ją coraz mocniej. Były momenty, że bała się wszystkiego, chwilę później wszystko doprowadzało ją do szału, a czasem też ulegała zupełnie nieuzasadnionym dziwnym wzruszeniom.

Komisarz Rabiej sięgnął po radio leżące na pilśniowym blacie pod ekranami, po czym ostrożnie odsunął boczne drzwi wozu meblowego. Sekundę później wysiadł i spojrzał na napis na burcie „Przeprowadzki Nowak”, próbując sobie przypomnieć, kto wymyślił tak debilny kamuflaż.

– Uwaga! Do wszystkich. Zgłóście gotowość – powiedział do radia i spojrzał na stojącą obok komisarz Brzozowską.

Przez kolejne piętnaście sekund wszyscy zgłaszali gotowość, a on wpatrywał się w szare chmury schodzące znad Wisły.

– Nieźle nawywijałaś – powiedział nagle do Moniki, nie patrząc na nią nawet.

Nie odpowiedziała, bo akurat nasza ją właśnie fala lęku uogólnionego i wolała się nie dowiadywać, co właściwie dokładnie miał na myśli Rabiej. Wtedy on jednak spojrzał na nią, dosyć zdziwiony. Do tej pory, odkąd ją znał, nigdy nie zdarzyło się, żeby po takiej wrzutce komentujący nie został skasowany celną ripostą.

– Atak, atak, atak! – powiedział po chwili do radia, uruchamiając w ten sposób sekwencję zdarzeń, których rezultatu nigdy nie można było do końca przewidzieć. Tę zaś nieprzewidywalność

komisarz Roman Rabiej lubił w swojej pracy najbardziej.

Antyterrorysty uderzyli z trzech kierunków naraz. Główna grupa w ostatniej fazie podchodzenia pod drzwi frontowe musiała się stać najbardziej widoczna, więc miała zaatakować ostatnia. Zaczęli ci, którzy szli od strony ogrodu. Na odprawie wszyscy otrzymali jasną informację, że tym razem może być grubo, więc uderzenie musiało być naprawdę silne, szybkie i bardzo zdecydowane. Na początek szklane drzwi od werandy wleciały do salonu na tyłach domu, razem z drewnianymi żaluzjami. Kiedy na górze eksplodowały petardy hukowe, a zasobniki z gazem, sycząc, rozlatywały się po podłodze, druga grupa wywaliła drzwi z boku, prowadzące do spiżarni, i dalej przez kuchnię przedostała się na korytarz. Na koniec do hallu wpadły, razem z ościeżnicą, drzwi frontowe i do domu wbiegła ostatnia grupa pięciu czarnych, których prowadził wysoki funkcjonariusz ze stalową tarczą kuloodporną przed sobą. Bronić próbował się tylko jeden z obecnych w domu, który – jak później ustalono – akurat kończył czyszczenie broni i niefortunnie dla siebie podjął próbę jej użycia. Zginął od sześciu ran postrzałowych, które dostał z trzech różnych stron. Reszta obecnych, czyli trzech młodych, roślących i łysych mężczyzn, od razu położyła się na podłogę w różnych pomieszczeniach. Tymczasem znajdujący się w sypialni na górze Pytłasiński nie zdążył zrobić nawet tego, więc zemdlął prawdopodobnie ze strachu i z nadmiaru adrenaliny, którą gruczoły dokrewne wtoczyły w kilkanaście sekund do jego krwiobiegu.

Wstępne oględziny pomieszczeń wykazały, że oprócz czwórki roślących i jednego starucha w domu znajdowało się jeszcze dwóch czternastoletnich, przerażonych chłopców.

– Co się odwleczecie, to nie ucieczecie, co, panie Pytłasiński? – Monika patrzyła na dziadka siedzącego przed nią na fotelu.

– Nic mi nie zrobisz, ćpunko. – Pytłasiński, choć rzeczywiście porządnie zestrachany, wciąż próbował jeszcze trzymać fason. – Za cienka jesteś w uszach.

Monika znów nie czuła się najlepiej, ale o ile jeszcze kilka minut wcześniej strasznie się wszystkiego bała, o tyle teraz raczej wszystko potwornie ją wnerwiało. Może nie chodziło zresztą tylko o jej fizjologiczny stan ani o psychiczne perypetie związane z odstawianiem heroiny. Może rzecz polegała na tym, że potwornie nie znosiła starych oblechów, którzy krzywdzili młodych ludzi. Tak czy owak Pytłasiński nie miał po prostu szczęścia i sekundę później fotel, kopnięty kozakiem, przewrócił się do tyłu, a on sam wyrznął potylicą o podłogę wyłożoną perskim dywanem.

– Nie przechodziliśmy na ty, ale skoro nalegasz... – Monika stała teraz nad nim i zastanawiała się, czy obcasem nie wgnieść mu nosa do wnętrza twarzoczaszki. Pytłasiński, choć poturbowany, widział to w jej oczach i teraz przestraszył się już naprawdę porządnie.

– Wstawaj! – krzyknęła policjantka, a on, nie zastanawiając się długo, podniósł się najpierw na czworaki, a chwilę później, przytrzymując się ściany, stanął na nogach. – I podnieś to! – Brzozowska wskazała na przewrócony fotel.

Staruch podniósł go grzecznie, a ona odsunęła go trochę i usiadła.

– Gdzie jest ta baba i gdzie przechowujecie kwity? – Od wjazdu czarnych upłynęło dwadzieścia minut i Monika wiedziała już, że ani w domu, ani wokoło niego, dokumentów, zdjęć czy cokolwiek miałyby być kwity, które zbierała na ludzi tajemnicza organizacja, tutaj raczej nie znajdują. Komisarz wiedziała również, że ten stary, zgrzybiały staruszek miał niestety rację, gdy

powiedział, że nic mu nie są w stanie zrobić. Dopóki nie zdobyli dokumentów i nie aresztowali ludzi, którzy zawiadywali tym procederem, dopóty właściwie mogli niewiele, bo zawsze gdzieś nad nimi byli ci, których organizacja trzymała w okowach szantażu tymi właśnie kwitami.

Pytłasiński, opierający się wciąż o ścianę, już otwierał usta, żeby znów powiedzieć coś idiotycznego, ale przypomniał sobie obcas buta nad swoją twarzą i się powstrzymał.

– Nie wiem – powiedział tylko cicho i jakby trochę nieśmiało.

– To się dowiedz – odpowiedziała spokojnie Monika, której nagle coś przyszło do głowy. – Masz dziesięć minut.

– A potem co? – zapytał jednak, znów trochę buńczucznie.

– A potem całe miasto się dowie, że jesteś zasranym zbokiem – uśmiechnęła się Brzozowska. – Może nie mam jak cię przyskrzynić, ale na szczęście wciąż jeszcze jest w tym kraju trochę wolnych mediów, no i mnóstwo brukowców wszelkiej maści. A ty masz przecież dzieci, a one mają swoje dzieci. Masz wnuczęta, które chodzą do szkół, i masz pierworodnego, który współpracuje, zdaje się, z różnymi fundacjami dobroczynnymi i zarabia na tym kupę sosu. To wszystko wyjdzie na jaw i oni wszyscy będą musieli... nawet nie wiem, co właściwie. W każdym razie boję się, że w tej sytuacji nikt cię nawet nie odwiedzi w domu starców.

Pytłasiński wycofał się jeszcze bardziej w głąb siebie.

– I co, tych chłopaczków wystawisz mediom, żeby świadczyli przeciwko mnie? – Wskazał na dwóch nastolatków siedzących na krzesłach w otwartej kuchni. – Nie wierzę.

– To już twój problem. Zginęło na razie jedenaście osób. Jeśli myślisz, że się będę krygowała, to lepiej sobie wyreguluj kombinatorykę – blefowała Monika, bo tak naprawdę ten staruch znów miał rację.

Nie było takiej ludzkiej mocy, żeby wystawiła tych chłopaczków. Zbyt wielu widziała takich jak oni, pochłanianych przez brud tego świata, podczas swojej pracy w policji i wcześniej, w czasach gdy często szukała razem z nimi działki kompotu na Centralnym. Od zabicia takiego właśnie chłopaczka jak ci dwaj zaczęła się przed szesnastoma laty ta cała historia.

– Ty nie rozumiesz, o co tu chodzi – zaczął Pytłasiński filozoficznie. Widać było już, że pęka, tylko nie do końca wie, w którym miejscu będzie najbezpieczniej się złamać.

– To mnie oświeć. – Monika wskazała mu krzesło naprzeciwko siebie.

Jeśli miał coś jej powiedzieć, to musiał dożyć, a z chwili na chwilę dyszał coraz ciężiej, więc istniała uzasadniona obawa, że zaraz zejdzie. Poza tym była na razie twarda, teraz przyszedł czas, by odrobinę zmięknąć i dzięki temu pozwolić zmięknąć także jemu.

Stary usiadł i odsapnął. Rozejrzał się wokoło. Dziwne to było miejsce w rzeczy samej, aczkolwiek on akurat był tu prawdopodobnie od co najmniej miesiąca, więc mógł przywyknąć. Może trzymali go przez cały czas na piętze albo był zbyt zaabsorbowany chłopcami, żeby ogarnąć cokolwiek wokół siebie. Monika, idąc za jego spojrzeniem, też zlustrowała ściany wyklejone ciemnymi tapetami, na których gdzieniegdzie tylko, podkreślone światłem wpadającym z zewnątrz, widoczne były jakieś fantazyjne kwiatowe wzory. Do ścian w równych odstępach przybito ramki ze starymi czarno-białymi zdjęciami jakichś ludzi i obiektów. Niektóre wyglądały na pocztówki, inne – na coś osobistego, ale tak naprawdę nie było tu żadnych rzeczy osobistych. Wyglądało to trochę tak, jakby ktoś próbował udawać, że ma rozbudowane drzewo genealogiczne, którego tak naprawdę nie miał,

a przynajmniej, bo każdy przecież ma jakieś korzenie, nie miał w formie udokumentowanej zdjęciami eleganckiego państwa w dostojnej sepii. Słowem: właściciel tego domu pochodził skądinąd, niż udawał, że był.

Monika spojrzała na moment w kierunku wyprowadzanych teraz dwóch mężczyzn w kajdankach i kurtkach na głowach, a następnie przeniosła wzrok na Pytłasińskiego. Ciekawe, kim był naprawdę? Do tej pory nie udało im się nawet ustalić do końca, kogo udawał. Filantropa zamożnego z domu? Przyjaciela młodzieży, erudyty, profesora nie wiadomo czego i nie wiadomo gdzie? W końcu doszła do wniosku, że Pytłasiński miał po prostu w całości fikcyjną tożsamość. Niemniej jednak z fikcyjnej tożsamości nie da się za bardzo wyżyć, nie mówiąc już o posiadaniu domu na Sadybie i milionowych lokat w bankach. Pytłasiński był kimś na pewno ważniejszym, niż próbował udawać, że jest. Monika zerknęła przez okno, jak policjanci z plutonu antyterrorystycznego pakowali dwóch słabo mówiących po polsku osiłków do jednego z nieoznakowanych vanów.

– Oni zaraz wyjdą – stwierdził stary, który przyglądał się tej scenie razem z nią.

– Wiem. – Monika pokiwała głową. – Białoruscy dyplomaci. Mam rację?

– Może tak, może nie, ale wyjdą, ja też wyjdę – kontynuował Pytłasiński. – Albo wyjdę, albo mnie wykończą. Może bardziej to drugie, bo za stary już jestem, nie przydam im się dłużej.

– Przydasz im się. – Monika popatrzyła w jego oczy, które wyglądały trochę jak małe szarawe meduzy rozmoczone w wodzie. – I mnie też.

– Musisz mnie zamknąć. Ktoś nacisnie, żeby mnie wypuścić. Możesz ustalić kto, ale to ci wiele nie pomoże, bo gdyby nie nacisnął ten, to nacisnąłby inny, wielu ludzi można złowić. Przy dzisiejszych możliwościach właściwie każdego. – Pytłasiński zaczął się rozkręcać.

– Kto zabija? – wcięła się Monika.

– Ci sami, którzy werbują, chyba głównie ta kobieta, ale to nie ma większego znaczenia – skwitował stary.

– Znaczenie ma, bo za różne rzeczy różne paragrafy są. Kim ona jest?

Monika znów przypomniała sobie nagle po kolei wszystkie momenty, w których zetknęła się z tą kobietą. Najpierw kiedy tamta wstrzykiwała jej narkotyk szesnaście lat temu, potem kilka miesięcy wstecz, gdy przyprowadził ją do niej Piotr, czyli Borys. Po co tak naprawdę to zrobił? Może to była taka forma pokrętej, perwersyjnej zabawy. Czy to ona tego chciała, czy – Piotr? Kim byli dla siebie? Ona – jego zlecniodawczynią, szefową, a może kimś jeszcze? No i ostatnie spotkanie, wtedy gdy weszła do mieszkania domniemanego maklera z Pekao. Jak on miał na imię...? Marek.

– Tego nie wie nikt. – Głos starego wyrwał ją z zamyślenia. – To znaczy: ktoś gdzieś pewno wie, ale ja jeszcze kogoś takiego nie spotkałem. Różni różnie do niej mówią, Masza, Tatiana, Lena, ale też czasem Ewa albo nawet... – Stary uśmiechnął się z przekąsem, bo nagle sobie skojarzył – Monika. Myślę, że ile imion, tyle teorii na to, kim i skąd ona jest.

– Obstawiam raczej wschodnie rubieże. – Monika przetarła oczy, była zmęczona i lekko przytłumiona. Walińska na szczęście pozwoliła jej jeszcze przynajmniej przez kilka dni brać klonazepam. Bez tego nie udźwignęłaby ani tej, ani żadnej innej sytuacji, ale benzodiazepiny miały też swoje słabe strony, a jedną z nich było tłumienie percepcji.

W tym momencie Monika poczuła, że ktoś stoi tuż za nią. Obejrzała się. Rzeczywiście, za jej plecami pojawił się Warecki, który skończył przeszukiwanie mieszkania i teraz, patrząc na nią,

pokręcił tylko lekko głową. Niestety, zgodnie z jej przypuszczeniami nic ciekawego tu nie było.

– To na pewno, ale wschodnie rubieże to dość ogólne pojęcie – zripostował tymczasem Pytlasiński.

– Coś więcej, panie inżynierze? – Warecki patrzył na staruszka wyraźnie bez sympatii. – Już raz nas pan zbył niczym, a potem koledzy pana wywlekli i musieliśmy się natrudzić, żeby znowu pana znaleźć. Ten trud nie może pójść na marne. Rozumie pan?

Pytlasiński rozumiał doskonale, bo choć nijak tego nie potwierdził, to widać było po nim bardzo wyraźnie.

– Pięć minut i dzwonię po telewizory i szmatławce. – Monika zerknęła na zegarek, po czym wstała i podeszła do wybitych drzwi balkonowych.

Pod stopami chrzęściło szkło, a ona chciała się już tylko położyć, no, może gdzieś z tyłu głowy, pod skórą, w łędźwiach i szpiku chciała czegoś jeszcze, ale do tego była teraz bardzo daleka droga.

– U nich też mają swoich ludzi – próbował się bronić ostatkiem sił staruszek.

– Nie wątpię, ale gorącego newsa nikt nie zdąży zatrzymać. Potem może ktoś każe gasić, ale mleko będzie wylane i nie wiem, gdzie pan się schowa. – Warecki został przy starym, bo zdał sobie sprawę, że Monika nie ma już za bardzo siły.

Z jednej strony był na nią wściekły, z drugiej trochę było mu jej żal. Dlaczego jej współczuł? Czyżby dlatego, że on też chciał tego czegoś jeszcze, do czego była taka długa droga?

– Możemy stąd wyjść? Duszno mi – zapytał Pytlasiński, który z pewną zazdrością wpatrywał się teraz w plecy Moniki stojącej w ogrodzie.

Warecki popatrzył na niego. Nie miał w zasadzie ochoty umilać czasu temu zgredowi, ale tknęło go, że może chodzi o coś innego. Złapał Pytlasińskiego, skutego z tyłu kajdankami, pod ramię i wyprowadził go do ogródka. Przez chwilę stali we trójkę. Monika i stary ciągnęli do płuc świeże powietrze tak, jakby właśnie ktoś wydobył ich cudem i w ostatniej chwili z komory gazowej. Warecki patrzył na nich i kręcił głową z niedowierzaniem.

– Jest miejsce, w którym oni mają skrzynkę kontaktową – zaczął nagle stary. – Wzywają tam ludzi, których akurat do czegoś potrzebują, a mają na nich coś i już wcześniej ich sobie ustawili. Tam nigdy nikogo nie ma, ale zawsze jest dyspozycja, co dana osoba ma zrobić. Zakładam, że ktoś ją tam wcześniej umieszcza.

– Skąd pan wie? – zaciekawił się Warecki.

– Bo mnie też tam wezwali pierwszy raz jakieś dwadzieścia lat temu – zafrasował się stary. – Potem jeszcze kilka razy. Myślę, że wciąż używają tego adresu.

– Czemu pana tu schowali? – Warecki zadał pytanie, które samo się cisnęło, bo do logicznego ciągu następstw fakt, że stary wciąż jeszcze żył, zwyczajnie nie pasował. Frapowało go to, że innych, gdy tylko stawali się zbyt ryzykowni, tamci po prostu likwidowali. Czemu ten stary, obleśny facet wciąż żył?

– Czemu wciąż żyję, chciał pan zapytać? – Rozmoczone małe meduzy w jego oczach skierowały swoje macki w stronę Czesława. – Nie wiem – dokończył Pytlasiński, meduzy rozmiękły jeszcze bardziej.

Monika lepiej wiedziałaby, co to wszystko oznacza, pomyślał kapitan, ale Monika patrzyła teraz w stronę wielkiego i zaniedbanego rododendronu, próbując choć trochę odpocząć od staruszka, od

całej tej sprawy i przede wszystkim od samej siebie.

– A co pan właściwie dla nich robił – dopytał Czesław – przez te wszystkie lata?

– Głównie używali mnie jako słupa, trochę lobbowałem wśród ludzi, których znałem, a znałem dawniej wielu. – Staruszek odpłynął w stronę wspomnień, tak jak Monika odpłynęła w nicość rododendrona.

– A za czym pan lobbował? – Warecki jednak był oficerem ABW z wieloletnim stażem i ciągi pytań były jego specjalnością.

– Lobbowałem interesy dużych zagranicznych firm – uśmiechnął się Pytłasiński. – Wśród posłów i osób, nazwijmy to, opiniotwórczych. Więcej panu nie powiem, żeby miał pan coś do przemyślenia na wieczór. – Spojrzał na Wareckiego wymownie meduzami, po czym zamilkł.

Przez chwilę stali w ogródku w milczeniu. Z tyłu, za ich plecami, policjanci z CBS kończyli zbieranie śladów. Ktoś zasunął suwak na torbie, w której leżały już od godziny zwłoki jednego z tamtych. Ten dźwięk wybudził starego z letargu.

– Myślę, że teraz już mnie odwałą. – Popatrzył na Monikę, która też powróciła właśnie do rzeczywistości. – Ale nie jakoś spektakularnie. Po prostu wkrótce umrę, bo przecież już jestem stary. Takie rzeczy też potrafią robić, oni w ogóle są strasznie zdolni, muszą państwu powiedzieć. Może dlatego tak długo tu siedzą i robią z tym krajem całe to gówno. Tak, to na pewno dlatego. Są kurewsko zdolni, i to do wszystkiego. – Stary nagle się zaśmiał.

Facetów zatrzymanych w willi na Żoliborzu, a komunikujących się tylko w języku podobnym do rosyjskiego, ale jednak nie rosyjskim, musieli zwolnić następnego dnia, bo okazali się pracownikami ambasady białoruskiej i w ten sposób przy okazji wyjaśniła się też tajemnica ich języka. Oczywiście MSZ, chcąc nie chcąc, musiało wydalić z kraju owych dyplomatów o twarzach jakby bez twarzy, ale to niewiele zmieniło. Wiadomo było, że na ich miejsce przyjadą następni, zresztą już tu pewno byli. Na pewno tych kilku facetów, którzy z wciąż nie do końca jasnych powodów pilnowali starego zgreda, nie stanowiło całego personalnego zaplecza tej organizacji. Musieli być kolejni, a przede wszystkim gdzieś musiała przebywać owa tajemnicza kobieta, która stała za tym całym procederem. Kobieta, która prawie wyprawiła Monikę na tamten świat, i to już dwukrotnie – kobieta, przez którą Brzozowska zabiła swojego męża. A może jest jeszcze coś, czego ja nie pamiętam, pomyślała nagle Monika. Może klucz do tej całej gmatwaniny leży jeszcze wciąż w mojej głowie, gdzieś na dnie tego kawałka mózgu, który dla jednych jest podobny do migdała, a dla innych do konika.

– Może jest coś jeszcze dotyczącego tej baby, co pamiętasz, jakiś detal, coś, co pomogłoby nam ją namierzyć? – zapytał Wójcik, kiedy w końcu usiedli razem z Wareckim i szefem, czyli Mateckim, w dziupli na Żurawiej, żeby zebrać to, co mieli, i zastanowić się, co dalej.

Monika uśmiechnęła się życzliwie, bo nie pierwszy raz ten młody chłopak tak idealnie trafił w obszar, który zajmował też jej myśli. Czyżby to aż tak było po niej widać?

– Najbardziej ją pamiętam z wtedy, sprzed szesnastu lat – odpowiedziała po chwili namysłu. – Może dlatego, że wtedy prawie mnie zabiła, a może dlatego, że przypomniałam to sobie tak niedawno.

– Może tam znajdziesz też odpowiedź, której szukamy – zasugerował Warecki.

– Na Radarowej, tam u Marka, też ją widziałeś. – Monika chciała choć częściowo przerzucić

odium pamięci na kogoś innego. Ona wyjątkowo nie lubiła dłużyć w swojej.

Czasu nie minęło zbyt wiele, raptem niecały rok, tamta nie mogła się raczej za bardzo zmienić. Przyszło jej do głowy, że widziała ją jeszcze gdzieś, i to całkiem niedawno, ale za cholere nie mogła sobie przypomnieć, gdzie to mogło być. W końcu uznała, że może we śnie, albo raczej w jednym z koszmarów, które wciąż ją nawiedzały, odkąd zaczęła brać. Teraz, kiedy brać przestała, było ich zresztą jeszcze więcej.

– Widziałem ją przez trzy sekundy z pięćdziesięciu metrów, było ciemno i do tego ona do mnie strzelała. – Warecki pokręcił głową. – Za wiele informacji to nie wniosło do mojego życia. Może tyle, że strzela źle.

– Myślę, że ona wciąż zmienia swój wygląd – zagaił Matecki.

– Pieprzyk. – Monika coś sobie jednak przypomniała. – Miała go za każdym razem, więc nie sądzę, żeby był doklejany, musiałyby być strasznie konsekwentna, żeby przez szesnaście lat doklejać pypeć.

– Ale za to teraz może go w końcu usunąć, jeśli jest jej – uśmiechnął się Wójcik. – Rezultat będzie zbliżony.

– Nie sądzę, że czuje się na tyle zagrożona, żeby chcieć cokolwiek usuwać – zaprotestował Czesław. – Ma, zdaje się, wszystko na tyle poustawiane, że przez myśl jej nawet na razie nie przeszło, że cokolwiek może pójść nie tak.

– A co mamy zrobić, żeby poczuła się zagrożona? – W końcu Matecki włączył się aktywniej do rozmowy, której przysłuchiwał się do tej pory ze średnią uwagą. – Ona i jej mocodawcy, kimkolwiek są.

– Musielibyśmy ją namierzyć, czyli patrz punkt pierwszy. – Wójcik kompletnie stracił opory w kontaktach z przełożonym. Poczł się już pełnoprawnym członkiem najbardziej elitarnego i przy okazji najbardziej zagrożonego zespołu śledczego w Polsce, dlatego uznał, że krygowanie się jest już kompletnie zbędne. – A jeszcze lepiej, jakbyśmy namierzyli to, co mają nazbierane na tych wszystkich ludzi.

– Pytanie, co robimy dalej, bo tak naprawdę teraz już bez dwóch zdań pan – tu Matecki zwrócił się w stronę Czesława – powinien powiadomić swoich przełożonych z Agencji, bo to sprawa wagi państwowej jest, a ja swoich. – Zastanawiał się chwilę. – Myślę, że bezpośrednio ministra, tym bardziej że mamy zabezpieczone dwie skrzynki z bronią automatyczną i amunicją do niej. Żarty się skończyły.

– Tyle że jeśli zrobimy to teraz, jeśli ich zawiadomimy, to w zastanej sytuacji obaj od jutra będziemy zawieszeni w czynnościach, a z pozycji prywatnego detektywa pewne rzeczy robi się trudniej – odpowiedział Warecki. – Proponuję robić swoje, a przełożonych na razie nie informować o możliwej skali problemu. Po prostu ścigamy jakąś organizację przestępczą związaną ze środowiskami pedofilskimi. Na wszelki wypadek dałbym nawet taki komunikat gdzieś do mediów, wtedy już raczej nas nie ruszą. No bo jak? Przecież nie będą utrudniali ścigania pedofilów. A te gnaty? Trzeba je gdzieś zabezpieczyć... może nawet tutaj, jako materiał dowodowy, i tyle.

– A co w ramach robienia swojego pan proponuje na teraz? – Matecki akcent położył na ostatnich dwóch słowach, ale wydawało się, że zasadniczo przekonała go logika wyводу kapitana.

– Mamy ten adres od Pytlasińskiego – odpowiedział Adam. – Swoją drogą, on poprosił, żeby

przewieźć go do szpitala, że niby miał stan przedzawałowy czy coś podobnego, najwyraźniej nie chce na razie wychodzić na wolność.

– A status koronnego? – Matecki popatrzył na nich pytająco.

– Stary twierdzi, że dni, a może nawet godziny Morawskiego są policzone, jego zresztą też, więc woli się nie chować – wyjaśniła Monika, która przez jakiś czas była poza rozmową, czuła się fatalnie, a z każdą minutą wręcz coraz gorzej. Tabletki, które przepisała jej Walińska, powoli stawały się za słabe, a zwiększenie dawki byłoby jednoznaczne z całkowitym odpadnięciem z gry. – Swoją drogą, czy my wiemy, gdzie jest w ogóle Morawski?

– Nie, jeśli byłaby jakaś sprawa do niego, ci z CBS mogą nam zaaranżować spotkanie. Zasada jest taka, że nikt oprócz jednego oficera o nieznanym tożsamości nie wie, gdzie go umieścili – wyjaśnił Matecki.

– Nie ufają nam? – niezbyt mądrze zapytał Wójcik.

– A my sobie ufamy? – skontrował jego pytanie, bardzo tym razem celnie, Matecki.

Cała czwórka popatrzyła na siebie. Zasadniczo sobie ufali, ale w całym tym chaosie trzeba było założyć, że krety mogłyby być właściwie potencjalnie wszędzie.

– Jeśli osaczają kogoś z nas... – Monika podjęła wątek poruszony raczej mimowolnie przez Mateckiego. Lęk i zawroty głowy, jak fala, na przemian przychodziły i odpływały. W krótkich momentach polepszeń funkcjonowała nie najgorzej, ale te fluktuacje samopoczucia stawały się coraz gwałtowniejsze i coraz trudniej było je znieść. – Jak na kogoś wsiądną, musimy się umówić, że jakoś da nam znać. Wtedy będziemy go pozornie utrzymywać w grupie, bo w innym wypadku go zniszczą, ale tylko pozornie... A może – Monikę olśniło, ale zanim podzieliła się swoim pomysłem, przez moment jeszcze się wahała – może ktoś z nas powinien im się wystawić.

– Zabiją – zawyrokował Adam, a po chwili dodał jeszcze dla wzmocnienia efektu: – I chuj z tego będzie.

– Nie zabiją jednego, bo są na to zbyt racjonalni. Zaczynamy im zachodzić za skórę, więc muszą zniszczyć nas wszystkich, a jedno z nas może im się przydać do tego, żeby wystawić resztę – dokończyła Monika.

Pomysł był isticie szatański i na tym etapie raczej abstrakcyjny, bo nikt nie miał pojęcia, jak miałyby wyglądać jego realizacja. Jednak dochodzenie się zakleszczyło i nie bardzo było wiadomo, w którą stronę je dalej popchnąć. Może jej pomysł to właśnie była ta strona, pomyślał Warecki, patrząc na Monikę.

Sen. Tak bardzo go potrzeba i tak bardzo nie przynosi ulgi. Co kwadrans przerwa, bo znów śni jej się coś tak okropnego, że mózg woli już uciec w jawę. Stilnox działa na tyle, że dzięki niemu w kilka minut po każdym takim przebudzeniu znów zapada w sen. Ale czy to w ogóle jest sen, czy raczej jakiś rodzaj czuwania? Obawa przed kolejnym koszmarem jest tak wielka, że świadomość nie chce oddać pola, woli podglądać, cały czas być blisko, żeby kiedy znów pojawi się to nieokreślone coś, od razu zareagować. Migający neon na budynku po przeciwnej stronie Marszałkowskiej jest jednak czymś bezpieczniejszym niż tamten mrok, w którym wszystko dzieje się bez jej udziału. Ile to potrwa? Ranek, a potem dzień po czymś takim jest gehenną, mimo dziesiątek kaw o kolorze i smaku asfaltowej brei, bo zwykła kawa z łyżeczki czy dwóch kompletnie już nie działa. No więc mimo kaw,

oczy i tak zamykają się co chwila, co czyni dzień niewiele różnym od nocy. Tam mózg walczy, by nie wpaść w otchłań własnej podświadomości, tutaj próbuje odzyskać choćby odrobinę z nocy, którą z lęku wcześniej zaprzepaścił.

– Ile to potrwa? – Monika patrzyła przekrwionymi oczami na Walińską, która rozcinała właśnie powłoki brzuszne jakiegoś mężczyzny znalezionej poprzedniej nocy w piwnicy na Woli z torebką leków w dłoni.

– Nie mam pojęcia, ile dokładnie, nie jestem psychiatrą, ale myślę, że już jest z górki, jeszcze kilka dni i zacznie się robić normalnie – uśmiechnęła się lekarka, ale po chwili uśmiech zniknął z jej twarzy. – Tylko wtedy jest najgorszy moment, możesz znowu przywalić, bo będzie już dobrze.

– Nie przywalę. – Monika pokręciła głową. – Mam krwawienie.

– Co? – Walińska oderwała ręce od wątroby denata, którą miała już właśnie wydobyć z mroku trzewi ku jarzeniowemu światłu sali prosekcyjnej, i spojrzała na Monikę spod okularów.

– Krwawię stamtąd. – Monika pokiwała głową. – A już nie powinnam od jakichś dziesięciu dni.

– Mocno? – Walińska wciąż patrzyła na nią.

– Dość.

– To na co czekasz? – Walińska pokręciła głową, po czym odwróciła się od stołu i od leżącego na nim bez życia ciała, zdjęła zakrwawione gumowe rękawiczki i podeszła do stolika, na którym leżała starodawna komórka z klawiaturą z gumowych guzików. Gmerała w niej przez moment. Po chwili podeszła do Brzozowskiej, która wciąż wpatrywała się w martwe zmaltretowane ciało młodego człowieka, i podała jej telefon.

– Masz, przepisuj sobie numer. To jest dobry ginekolog, zadzwoń, powiedz, że ode mnie i że pilnie. A jak już u niego będziesz, to wszystko jak na spowiedzi. – Popatrzyła na nią z lekko filuternym uśmiechem.

– Nie mam z czego się spowiadać. – Monika wzruszyła ramionami i przepisała numer do swojej komórki.

– Nie przesadzaj. – Walińska zabrała telefon

– Co mu się stało? – Monika wskazała na leżące ciało.

– Umarł – lapidarnie wyjaśniła Walińska.

– Jak?

Walińska, zamiast odpowiadać, przywołała Monikę bliżej do stołu, a gdy ta była już za jej plecami, odwinęła szarą rękę bez krwi, limfy i życia. Na wewnętrznej stronie przy nadgarstkach i przy stawie łokciowym było mnóstwo ciemnych punkcików. Monika pokiwała głową. W życiu widziała całą masę takich rąk i stóp, widywała takie kropki też na głowie, na szyi, w zgięciach kolan i we wszystkich miejscach, w których gdzieś pod skórą wędrowały żyły. Jej ręce też już tak kiedyś wyglądały.

U ginekologa była do tej pory może pięć razy w życiu. Nie lubiła tych wizyt, zawsze wydawało jej się, że to jakoś stygmatyzuje, że ludzie, a szczególnie faceci na ulicy, wiedzą, dokąd idzie albo gdzie przed chwilą była. Kiedy jechała teraz do gabinetu ginekologa z Adamem i dodatkowo w eskorcie kilku roślących chłopaków z plutonu komisarza Rabieja, myślała o metodzie na arachnofobię, o której gdzieś kiedyś czytała. Podobno najlepszym sposobem na to, by przestać bać się pajaków, jest obłożyć

się nimi na całym ciele. Prawdopodobnie teraz już nigdy nie będzie miała problemu z chodzeniem do ginekologa.

– Ma pani cystę na jajniku, która teraz się uaktywniła, prawdopodobnie dlatego, że pani organizm przeszedł, a właściwie przechodzi, skrajne wyczerpanie. – Ginekolog, leciwy już dość na szczęście doktor Kunicki, miał rękawiczki identyczne jak te używane przez Walińską. Kiedy zaglądał do jej wnętrza, skojarzenie z wątrową w rękach Walińskiej nasuwało się samo. W sumie czym zresztą miałyby się właściwie różnić od siebie lateksowe rękawiczki, pomyślała Monika, patrząc na własne nogi rozrzucone na boki.

– Będzie trzeba usunąć, ale to za jakiś czas, jak się pani wzmocni – uśmiechnął się lekarz, jednocześnie delikatnym ruchem pomagając Monice zdjąć nogi z gumowych prowadnic. – Pewno gdyby pani urodziła jeszcze jedno dziecko, nie byłoby tego problemu. Zawsze mówię moim pacjentkom, że natura jest mądra, a z jej punktu widzenia dwoje dzieci to lepiej niż jedno. Chodzi o przetrwanie gatunku. To taki atawizm jest.

Doktor Kunicki się rozgadał, ale Monika kompletnie go już nie słuchała. Wpatrywała się w jego ruszające się usta, zupełnie nie rozumiejąc słów.

– Jakie drugie dziecko? – przerwała w końcu taniec tych jego warg. – O czym pan mówi?

– A ile pani ma dzieci? – Uśmiechnął się, jakby był z jakiejś innej rzeczywistości. – Widzę tylko jedno cięcie krocza, bardzo zresztą pięknie zszyte, prawie nie ma blizny. Przy pierwszym musiała pani być bardzo młoda, ale nie wierzę, żeby panią rozciąli jeszcze raz w tym samym miejscu i żeby to nie pogrubiało blizn, jeszcze się z czymś takim nie spotkałem, a jak pani widzi, zęby na tym zjadłem, że tak powiem.

Monika spojrzała na jego zęby, teraz słyszała go już całkiem dobrze, ale wciąż zupełnie nie rozumiała, o czym mówił.

– W ogóle nie mam dzieci, używam tabletek, rozumie pan, kurwa? – przeklęła i zrobiło jej się głupio. Lekarz był miły i starej daty. Tylko że to wszystko nie miało kompletnie sensu.

Przez chwilę Kunicki milczał, wyraźnie urażony.

– Jeśli pani usuwała, to na pewno nie w takim stadium ciąży, żeby musieli ciąć, więc... – powiedział w końcu i znów zamilkł.

– Więc? – Monika wpatrywała się tymczasem w siwego faceta w białym kitlu i czuła się trochę tak, jakby obcy porwali ją nagle i niespodziewanie do swojego statku kosmicznego.

– Więc musiała pani urodzić. – Lekarz powoli orientował się, że Monika nie robi sobie żartów i że rzeczywiście nie bardzo wie, o czym do niej mówi. Za cholerę tylko nie potrafił zrozumieć, jak to możliwe. – Nie wie pani, że urodziła dziecko?

Monika chwilę temu wstała już z ginekologicznego fotela i opuściła skórzaną spódnicę, sięgającą jej lekko nad kolano. Teraz musiała usiąść z powrotem, wciąż nie mając zresztą na sobie majtek. Pytanie, które zadał lekarz, wydało jej się tak absurdalnie niedorzeczne, że nawet nie wiedziała, co na nie odpowiedzieć. Siedziała chwilę z bielizną w ręku, a stary doktor przyglądał się tej dziwnej pacjentce, nie wiedząc, co ma powiedzieć.

– Kiedy? – zapytała w końcu. – Kiedy to było?

– Na podstawie blizny nie potrafię dokładnie określić czasu, zresztą kształt macicy też wskazuje na to, że dźwigała kiedyś pełnowymiarową ciążę, jest już obkurczona, ale...

– Kiedy?! – przerwała mu Monika.

– Jak na moje oko jakieś dziesięć, może piętnaście lat temu – odpowiedział Kunicki, a po chwili namysłu dodał: – Zresztą tego tak naprawdę nie da się za bardzo określić. W każdym razie dawno.

– Siedemnaście lat? – zapytała.

– Możliwe. – Pokiwał głową.

Monika wstała z fotela i wyszła z gabinetu. Gdy była już na ulicy i szła do samochodu w towarzystwie ochraniającego ją antyterrorysty, zorientowała się, że w ręku ma wciąż majtki, których zapomniała założyć. Teraz i tak nie bardzo było już jak, więc ku totalnemu zaskoczeniu kolegi wrzuciła je do mijanego śmietnika. W jej zachowaniu nie było żadnej ostentacji. Majtki, kolega, to, gdzie była w tej chwili, wszystko to nie miało dla niej najmniejszego znaczenia. Oto w układance jej życia, w której, jak sądziła, do tej pory udało jej się już odtworzyć wszystkie brakujące elementy, nagle pojawił się nowy, przez który cały obraz nagle został całkowicie pozbawiony sensu. Myślała, że wie już wszystko, że tamten zapomniany rok w pełni do niej powrócił, ale okoliczności wskazywały na to, że niezupełnie, a w świetle tego, co przed chwilą usłyszała, sprawy miały się zupełnie inaczej, niż dotąd sądziła. Borys, terapia nad morzem, tajemnicza kobieta, która próbowała ją zabić, zabójstwo nastolatka na Nowogrodzkiej, wszystko to teraz nagle dostało nowego kolorytu, jedna informacja zmieniała ułożenie wszystkich pozostałych, porządkowała życie w kompletnie inny sposób.

– Mamo, miałam dziecko? – bardziej stwierdziła, niż zapytała Monika pół godziny później, siedząc przed Barbarą, która wpatrywała się w jakiś punkt w przestrzeni usytuowany jakby we wnętrzu głowy córki.

– Wiem. – Zgodnie z jej przypuszczeniami mama bardziej potwierdziła stwierdzenie Moniki, niż odpowiedziała na pytanie. – Dlaczego nigdy z nim nie przychodzisz?

– Syn? – Teraz Monika już nie stwierdzała, teraz pytała bardzo zdecydowanie.

– Syn. – Mama w końcu przeniosła wzrok z punktu gdzieś w głowie Moniki na jej oczy, wystrzyła spojrzenie i się uśmiechnęła. – Tylko raz z nim byłeś, potem się zaczęły te wszystkie okropności, potem byłeś w tym szpitalu, a Maćka już nie było.

– Chryste, mamo, jakiego Maćka? Co to znaczy, że już nie było?

Monika była coraz bardziej przerażona. Z jednej strony miała świadomość, że mama może wszystko, co mówi w tej chwili, zmyślać, może to tylko wytwory jej chorej głowy, konfabulacje bez żadnego osadzenia w faktach, jakaś mikstura jej pragnień o posiadaniu wnuka z majakami świadomości zmęczonej chorobą, ale – z drugiej strony – może w tym wszystkim był jakiś ślad pamięci, a może nawet to wszystko było prawdą?

– Jak to: był, a potem nie było? To czemu nic nie zrobiłaś, czemu ja nic o tym nie wiem? – Monika za wszelką cenę starała się nie stracić kontroli nad swoimi emocjami. Wiedziała doskonale, że jeśli tak się stanie, jeśli mama wyczuje w jej głosie irytację albo pretensję, to za chwilę zasklepi się w sobie na tyle, że nic już nie uda się z niej wydobyć.

– Bo nic nie dało się zrobić – odpowiedziała mama i jej wzrok znów odleciał gdzieś w czasoprzestrzeń, która nie miała żadnych koordynatów ani współrzędnych.

– Musisz mi powiedzieć coś więcej, mamo. Musisz... – Głos Moniki nie stał się zirytowany, nie

było w nim cienia pretensji, a tylko rodzaj rozpaczliwego błagania. Jak straszna jest świadomość, że samemu nic się nie pamięta, a jedynym rezerwuarem przeszłości jest pamięć osoby chorej na alzheimera.

– A może to była w ogóle dziewczynka, nie jestem pewna teraz już. – Mama odpadła zupełnie, a Monika ukryła twarz w dłoniach.

– No, tak. – Monika mogła tylko westchnąć.

– Idź już, spodziewam się gościa. – Mama wstała nagle i szybkim krokiem ruszyła w stronę kuchni, dodając jeszcze na odchodne: – Dobrze, że mi przypomniałaś.

W drodze do wyjścia z klatki schodowej Brzozowska minęła się ze starszym mężczyzną o lasce, który skłonił jej się lekko. Nie znała go, ale wyglądało na to, że on znał ją. Może ze zdjęć, które pokazywała mu mama. Wiele wskazywało w każdym razie na to, że to on był spodziewanym gościem mamy. Przez moment Monikę zaciekało, o czym rozmawiają. Ledwo chodzący staruszek z kobietą, która co i rusz zapomina, kim jest, jak się nazywa i która zmyśla sobie wnuki. Dość specyficzna randka. Potem jednak zapomniała o tym od razu, bo znacznie bardziej absorbowwały ją próby przypomnienia sobie czegoś innego. Najgorsze było zaś to, że nie było już nikogo innego, kto mógłby jej cokolwiek powiedzieć o tamtym czasie. Tylu ludzi już nie żyło, komisarz Kozak i jej przyjaciele z tamtego okresu, i jej mąż, którego zabiła, bo nie miała wyjścia. Wszyscy oni mogli pomóc, ale nikogo z nich nie było już na tym świecie. Pozostała jej tylko nic niepamiętająca matka. Nie, nie tylko. Nagle Monice przyszło do głowy, że istnieje jeszcze jedna osoba, która towarzyszyła wydarzeniom jej życia od wtedy, a może od jeszcze dawniej. Osoba, która już dwukrotnie próbowała ją tego życia pozbawić. Kobieta z pieprzykiem nad wargą. Ona mogła coś wiedzieć. Tylko jak ją o to zapytać?

Dni mijały. Temat ewentualnej ciąży i porodu, w które wciąż nie mogła, a przede wszystkim nie chciała uwierzyć Monika, musiał na razie zejść na dalszy plan, ale tylko w sferze wydarzeń, bo wyrugować go z głowy było nie sposób.

Adres kolejnego mieszkania podany im przez Pytłasińskiego, który sam pozostawał dla nich, jak do tej pory, niezmierną tajemnicą, był w tym momencie właściwie jedynym tropem, jakiego mogli się ucześcić. Matecki znów zaproponował, żeby dla bezpieczeństwa obserwacją miejsca zajęli się zaufani ludzie z CBS albo choćby z brygady antyterrorystów od Rabieja. Oni, czyli Monika, Czesław i Adam, nie chcieli się jednak na to zgodzić, bo pierwsi wydawali im się nie dość zaufani, a drudzy może i byli zaufani, ale za to nie mieli odpowiednich kwalifikacji. Stanęło na tym, że miejsce znów obserwowali na zmianę we trójkę, ale pod przysięgą musieli obiecać inspektorowi, że jeśli zdarzy się cokolwiek nieprzewidzianego, natychmiast wezwą wsparcie. Matecki ze swej strony się upewnił, że jeden pluton antyterrorystów przez cały czas czekał w gotowości i był w stanie dojechać na miejsce, czyli w okolice osiedla Za Żelazną Bramą, w ciągu kwadransa. Miejsce do obserwacji było trudne: wieżowiec przy ulicy Grzybowskiej, a w nim mieszkanie na dziewiątym piętrze, jedno z ośmiu na tej kondygnacji. Te okoliczności stanowiły nie lada wyzwanie, co zresztą ci, którzy tutaj właśnie ustanowili lokal kontaktowy, doskonale wiedzieli. Wyjście z sytuacji było takie, że jeden z techników zajmujących się wywiadem elektronicznym przygotował miniaturową kamerę, którą podczepili na rurach biegnących wzdłuż sufitu. Zasięg przekazu z kamery był akurat wystarczający

na tyle, że osoba siedząca w samochodzie, na miejscu wynajętym na parking przy bloku obok, przez cały czas na swoim laptopie mogła oglądać obraz z kamery. Dodatkowo, żeby nie musieć wgapić się w ekran przez sześć godzin na okrągło, technik zainstalował w kamerze czujnik ruchu, dzięki któremu każde pojawienie się jakiegokolwiek osoby na piętrze zapowiadane było sygnałem dźwiękowym, po którym na ekranie laptopa pojawiał się od razu obraz. Przez pierwsze kilka dni sygnałów nie było zbyt wiele. Rano, zawsze mniej więcej o tej samej porze, z sąsiednich mieszkań wychodzili ludzie, którzy następnie o podobnych porach do nich wracali. Z mieszkania wskazanego przez Pytłasińskiego przez pierwszy tydzień nikt jednak nie wyszedł ani też nikt do niego nie wszedł. Dlatego Monika, Adam i Czesław nabrali podejrzeń, że mieszkanie tak naprawdę nie jest żadną dziuplą, a jedynie miejscem, które stary dziadek podrzucił im po to, by zyskać na czasie. Jednak takie rozwiązanie też nie było do końca logiczne. Tydzień, który zajęło im dojście do takiej refleksji, jemu i tak nic nie dał, bo Pytłasiński wciąż leżał na OIOM-ie szpitala na Banacha, strzeżony przez chłopaków z CBS.

Zmiana sytuacji nastąpiła siódmego dnia. Było grubo po ósmej wieczorem i Adam miał właśnie kończyć swoją szychotę. Matecki nie zgodził się na to, żeby ktokolwiek z ich trójki pozostawał na parking w nocy, więc od dwudziestej pierwszej do siódmej rano ewentualne pojawienie się kogokolwiek zostałyby wyłącznie nagrane na kamerę. Za dwadzieścia dziewięć laptop położony na siedzeniu pasażera zapiszczał po raz następnego dnia, a Adam, bez szczególnego entuzjazmu, zerknął na ekran i zobaczył mężczyznę w jasnym eleganckim płaszczu, majstrującego przez chwilę przy drzwiach, a zaraz potem wchodzącego do obserwowanego mieszkania.

Kiedy zadzwonił telefon, Monika siedziała przed telewizorem w salonie mieszkania na Żurawiej i przeglądała w internecie adresy klinik ginekologicznych. Już kilka dni wcześniej postanowiła, że informację otrzymaną od starego ginekologa Kunickiego musi koniecznie jeszcze z kimś zweryfikować. Do tej pory tkwiła w poczuciu, że w jej życiu stało się coś bardzo ważnego, o czym ona znów nie ma pojęcia, ale dziś rano obudziła się z przekonaniem, że to wszystko jest jakąś wielką fikcją, a jej nieszczęście polega wyłącznie na tym, że wskutek potężnej wyrwy w pamięci, wyrwy, którą kiedyś sobie sprokurowała, teraz można jej właściwie wmówić wszystko. Przede wszystkim jednak ta wyrwa powoduje, że to ona może sobie wmówić wszystko.

– No co tam? Wracasz? – rzuciła do Adama od razu po odebraniu połączenia.

– Wręcz przeciwnie, do mieszkania przyłaził przed chwilą jakiś typ! – Adam był mocno pobudzony. – Zawiadom Czeška i zjeżdżajcie tu do mnie, będzie trzeba za nim iść albo jechać, musimy się wymieniać! – mówił jak nakręcony.

– Dobrze. Jaki typ, jak wygląda, kiedy wszedł? – Monika zamknęła wieko laptopa, wzięła do ręki drugi telefon i od razu wykręciła numer do Wareckiego.

W tym telefonie, podobnie jak w pozostałych, wymieniali co dzień karty prepaid, które kupowali sobie sami od handlarzy na Allegro. Ranek zaczynał się zawsze od tego, że cała trójka uzgadniała swoje nowe numery na dany dzień. Czasem podawali te numery także Mateckiemu, ale nie zawsze, zasada ograniczonego zaufania była w tej chwili najbardziej podstawową regułą ich funkcjonowania. Chodziło o to, że nawet jeśli tamci mieli swoich ludzi w sieciach komórkowych, to w ten sposób tracili możliwość namierzenia ich numerów.

– Typ jak typ, nie wiem, jaki, plecy tylko widziałem, elegant raczej. Wszedł przed minutą. Czuję,

że raczej nie będzie tam nocował, więc dawajcie jak najszybciej. Jak się ruszy, będę dzwonił. – Adam się rozłączył.

Monika przyłożyła drugą słuchawkę do ucha. W oczekiwaniu na to, że Warecki odbierze, podniosła wieko komputera i odpaliła program do śledzenia telefonu Wójcika. Technik zamontował im też takie udogodnienie, nieświadom zresztą, że robi to dla nich, bo oni byli w tej chwili najbardziej strzeżoną tajemnicą, jaką miała stołeczna policja, a konkretnie, jaką przed stołeczną policją miał Matecki.

– Cześć, ktoś wszedł do mieszkania – odezwała się Monika od razu po tym, jak Czesław podniósł słuchawkę.

– Kiedy? – zapytał kapitan.

– Kilka minut temu, dzwonił Adam, jadę do niego. – Monika wzięła laptop pod pachę i ruszyła z nim do wyjścia z mieszkania.

– Dołączę, ale mam sporo dalej od ciebie, poza tym pewno będę się musiał tłumaczyć chłopakom z dołu, oni nie lubią takich niespodzianek. – Warecki też zaczął się od razu ubierać.

W mieszkaniu był sam, ojciec już od kilkunastu dni nie wychodził ze szpitala. Właściwie Czesław mógł zamieszkać razem z nimi w mieszkaniu na Żurawiej, jednak z jakiegoś powodu tego nie robił. Monika przypuszczała, że po tym, co zrobiła, stracił nią zainteresowanie, a w ten sposób nie musiał się z tego tłumaczyć – ale tak naprawdę było wręcz odwrotnie.

– Odpal aplikację, będziesz wiedział, gdzie jesteśmy – poradziła Monika, która zdążyła już wyjść na klatkę i wezwać windę.

Ją też na dole czekały drobne pierepały. Od ostatnich wydarzeń, które stały się jej udziałem, albo raczej – których była motorem, Matecki włączył różne obostrzenia. Przykładowo: od teraz nie wolno im już było podróżować samodzielnie samochodami. Każdy wyjazd obsługiwało co najmniej dwóch chłopaków od antyterrorystów. W mniemaniu Brzozowskiej i kolegów takie rozwiązanie czyniło wszystko raczej bardziej niż mniej ryzykownym, ale z Mateckim na ten temat nie było już żadnej dyskusji.

Z chłopakami od Rabieja na szczęście wszystko poszło dosyć sprawnie: byli inteligentni i jeśli przychodziła potrzeba, łatwo adaptowali się do nowych okoliczności. Dzięki temu pod blokiem Za Żelazną Bramą Monika znalazła się już kilka minut później. Odkąd wyjechała samochodem z obstawą z garażu pod budynkiem na Żurawiej, próbowała się kontaktować z Adamem, ale on nie odbierał. Na szczęście wciąż widziała go na ekranie komputera w programie śledzącym jego telefon. W pewnym momencie punkcik na ekranie przestał się jednak poruszać. Mapa wskazywała na parking przy supermarkecie blisko rogu Karolkowej i Wolskiej. Monika przez moment się zawahała, czy iść na górę i sprawdzić mieszkanie, ale decyzja przyszła szybko.

– Jedziemy. – Pokazała mapę antyterrorystów prowadzącemu samochód.

Miasto wieczorem było na szczęście w miarę puste, więc znów na miejscu znaleźli się już pięć minut później. Na parkingu o tej porze stało jeszcze sporo samochodów. Sklep znajdujący się na piętrze był czynny, podobnie jak ten narciarski w podziemiach. Wokoło kręcili się ludzie. Służbowy opel, którym tego dnia jeździł Wójcik, stał na samym końcu parkingu, przy budce z chińskim jedzeniem. Podjechali od tyłu, chwilę przyglądali się oplowi, w końcu antyterrorysty wysiedli, ale Monice kazali zostać w aucie. Kiedy podeszli blisko, ten, który wcześniej prowadził, zauważył, że

opel ma otwarte drzwi od strony pasażera. Jego kolega sięgał już do klamki po drugiej stronie, ale tamten w ostatniej chwili go powstrzymał. Z wewnętrznej kieszeni wyciągnął komórkę, włączył latarkę i zaświecił do środka. Do obu podłokietników w przednich drzwiach przywiązane były linki, które prowadziły do czegoś, co leżało między siedzeniami, przykryte gazetą. Kierowca, starszy rangą i szczęśliwie też doświadczeniem, pokazał tamtemu, żeby się odsunął, a sam wykręcił numer.

– Witczak mówi, pluton antyterrorystyczny, identyfikacja siedem sześć dwa osiem, saperów i zabezpieczenie, róg Karolkowej i Wolskiej, na *cito* w kodzie czerwonym dawaj, mamy najprawdopodobniej ładunek wybuchowy w aucie – powiedział do słuchawki.

Jego kolega, który też zorientował się już, co się dzieje, wyciągnął policyjną blachę spod kurtki i ruszył szybkim krokiem w stronę sklepu, z którego wyszła właśnie rodzina z trójką dzieci.

– Policja. Proszę państwa, bardzo proszę na drugą stronę, proszę odejść do rogu ulicy. – Policjant wyciągnął ramiona na całą szerokość i powoli zagarniał wychodzących ze sklepu ludzi, kierując ich jak najdalej od zaparkowanego samochodu.

– Ale my tam mamy samochód, ja tylko podejdę i zaraz odjadę – upierał się ojciec rodziny.

– Później pan odjedzie – tłumaczył policjant.

– Ale na jakiej podstawie, proszę mi pokazać paragraf! – rzucał się szeroki w barach mężczyzna.

– Na takiej, że w aucie obok pańskiego jest kilo semteksu, jak to wypierdoli w powietrze, to urwie łeb panu, pana rodzinie i nam wszystkim.

Monika, widząc, co się dzieje, wysiadła ze swojego samochodu i przeszła na stronę kierowcy. Przeparkowała auto tak, że zablokowała wjazd na parking, po czym sięgnęła po telefon i wybrała numer Wareckiego.

– Porwali go! – zaczęła roztrzęsiona.

– Kogo? – niezbyt rozsądnie zapytał Czesław.

– Adama, porwali Adama – Monika była nagle bliska płaczu. – Zostawili samochód, tam jest jego komórka, chłopaki z antyterrorystycznego prawie wleźli tam... w środku zostawili bombę.

– Dobrze, spokojnie, zaraz tam będę. – Warecki skończył, ale czekał, nie chciał rozłączać rozmowy, bo czuł, że Monika jest w naprawdę słabym stanie.

– Kurwa! – krzyknęła. – Mam tego dość, rozumiesz, mam dość tych wszystkich zabitych ludzi, moich przyjaciół i tych innych, dość!!!

– Zaraz jestem, poczekaj, wytrzymaj – mówił spokojnie Warecki, choć też powoli zaczynał chodzić po ścianach z nerwów. – Jestem z tobą, rozumiesz? – zapytał nagle, trochę jakby nedorzecznie.

– Rozumiem – powiedziała nagle trochę spokojniej.

Może wcześniej, wręcz jeszcze tydzień temu, to wszystko było jakieś inne, umiała sobie z tym lepiej radzić, spływało bardziej po niej. Może nawet za bardzo, myślała czasami. Ale teraz, odkąd dostała tę cholerną, idiotyczną informację od doktora Kunickiego, nic już nie było jak tydzień temu: każda rzecz, każda sprawa miała inny kształt, od wszystkiego oddzielała ją już tylko cienka błonka, a czasem nie dzieliło jej nic. Dawniej była obudowana ścianami, teraz stała twarzą w twarz i sam na sam z całą tą pieprzoną rzeczywistością.

Trzy kwadransy później, po tym jak saperzy rozbroili to, co było ukryte pod gazetą, a kryminalistyka zebrała wszystkie ślady, których zresztą prawie nie było, a te, które znaleziono, nie należały i tak

najprawdopodobniej do sprawców, Monika, Warecki i skrajnie już wyczerpany nerwowo Matecki siedzieli w chińskim barze przy parkingu.

– Pytlasiński? – Monika popatrzyła pytająco na Mateckiego.

Po tym, co się wydarzyło, powiązanie z tą sprawą starego pedofila przyszło automatycznie, bo to on właśnie nadał im lokal, spod którego najprawdopodobniej tamci zawinęli Adama. Czyli wyglądało na to, że być może wszystko było ukartowane od samego początku.

– Wyszedł do toalety, godzinę temu, i tyle go widzieli. – Matecki pokręcił tylko głową. On też był już naprawdę zmęczony tym wszystkim.

– No to przypadku nie ma – skonstatował Warecki.

– Miejsce też jest nieprzypadkowe. – Inspektor wskazał za okno. – Tu w okolicy nie ma żadnych kamer.

– A po drodze? – zapytała Monika, chociaż tak naprawdę nie liczyła na wiele. Ci ludzie byli zdecydowanie zbyt dobrzy w te klocki, żeby wyłożyć się na takim drobiazgu jak miejskie monitoringi.

– Widać, jak przejeżdża Jana Pawła, potem Towarową, ma spuszczoną osłonę słoneczną, więc twarzy nie widać – Matecki potwierdził jej obawy. – Jeszcze sprawdzają, ale wygląda na to, że jedzie trzech ludzi. W kamerze, która zarejestrowała bok i tył, widać jakichś dwóch ludzi na tylnym siedzeniu.

– Czyli uprowadzili go od razu spod budynku. – Monika nagle coś sobie przypomniała. – A nasza kamera? Ta na piętrze. Moglibyśmy zobaczyć, czy on wszedł na górę. Trzeba przesłuchać kioskarę, która ma ten sklepik na dole.

W ich kamerze nie dało się czegokolwiek sprawdzić, bo nie było już w ogóle kamery. Na szczęście okazało się, że Matecki, wiedziony brakiem zaufania do nich, a może bardziej szczególnie pojmovanym rodzajem troskliwości, poprosił technika o zamontowanie jeszcze jednego rejestratora obrazu. Ten drugi, zasilany baterią słoneczną, został umieszczony na dachu budki parkingowego. Dlatego wiedzieli o nim tylko technik, Matecki i pan strzegący samochodów pod budynkiem. Ten ostatni akurat jednak nie był w stanie odtworzyć za wiele, bo co noc wykasowywał swoją pamięć za pomocą kilku głębszych wypijanych dla podtrzymania funkcji życiowych.

– Czyli obserwowaleś nas bez naszej wiedzy? – nie kryła oburzenia Monika.

– No i dzięki temu mamy przynajmniej cokolwiek. – Matecki nie miał siły wdawać się w utarczki słowne.

Rzeczywiście mieli, nawet nieco więcej niż cokolwiek. Kamera zarejestrowała, jak Adam, wyraźnie zdenerwowany, wysiadał z opla i ruszał w kierunku wejścia do klatki schodowej. Chwilę później w rogu kadru zatrzymało się nowe bmw serii pięć, z którego wysiedli dwaj mężczyźni i kobieta. Faceci poszli w stronę klatki schodowej, ona pozostała chwilę, po czym wsiadła z powrotem do auta, które następnie odjechało. Po kolejnych kilkunastu sekundach jeden z mężczyzn wyszedł z klatki, wsiadł do auta Adama z pakunkiem w rękach i ruszył. Z tych kilkudziesięciu sekund materiału wynikało tylko parę kolejnych zagadek. Po pierwsze, jak, któredy i dokąd mężczyźni wyprowadzili Adama. Po drugie, skąd mężczyzna wziął paczkę, skoro wchodził bez niej. W materiale była jednak pewna podpowiedź. W kadrze nie znalazły się wprawdzie numery

rejestracyjne samochodu, ale widać było markę, typ i kolor, a dzięki temu resztę można było podejrzeć na kamerach monitoringu na którymś z pobliskich skrzyżowań.

– Wchodzimy do mieszkania! – zdecydowała Monika.

Nikt nie oponował, takie działanie nasuwało się samo. W innych okolicznościach pewno obserwowaliby je nadal, nie ujawniając swojej o nim wiedzy, ale teraz nie miało to już sensu.

W drodze na górę Monika podeszła do przerażonej lekko kioskarki, która musiała chyba nocami realizować podobne hobby, co pan z parkingu, bo jej fizys mijała się z wiekiem metrykalnym wyraźnie na niekorzyść. Panią Pelagię Mroczek przesłuchiwał już od kilku minut jeden z policjantów z prewencji, który zapisywał wszystko skrętnie i z przejściem do małego notesu w skórzanej obwolucie.

– Pani widziała naszego człowieka i tych dwóch drabów w skórach, podobno najpierw on pojechał, a potem oni. On na ósme, a oni na dziewiąte, a potem zjechał tylko jeden, ale tam za winklem są schody, których pani nie widzi – referował policjant.

– A inne wyjście z klatki? – zapytała Monika już nie jego, ale samą panią kioskarkę.

– Nie ma, to znaczy chyba że przez okno, tam na końcu korytarza. – Pani Pelagia może i była zmęczona życiem, ale wydawała się kombinować całkiem spójnie.

Okno na końcu korytarza było rzeczywiście otwarte, a pod nim chwilę później kryminaliści wypatryli ślady odcisniętych butów.

– Czyli wyskoczyli z nim tutaj? – Policjant z prewencji podał logiczne rozwiązanie kwestii zniknięcia Adama i dwóch facetów, bo oprócz tego, który wjechał na górę i nie zjechał, był jeszcze przecież „elegant”, jak określił go Adam, po tym jak wypatrył go na kamerze.

Ci z plutonu antyterrorystycznego wywalili drzwi, gdy już saperzy, z wykorzystaniem sondy wpuszczonej przez wizjer, sprawdzili, czy po drugiej stronie nie ma ładunku. Najpierw weszli czarni. Kiedy mieszkanie było już sprawdzone, do wnętrza wpuścili Monikę i Wareckiego. W mieszkaniu nie było zbyt wiele: kilka mebli, jakieś obrazki na ścianach, wszystko przykryte grubą warstwą kurzu, żadnego śladu czyjejkolwiek obecności. Tylko nie wiedzieć czemu w całym mieszkaniu ktoś zamiótł podłogę. W rogu stała szczotka, którą to zrobiono.

– Czego szukamy? – zapytał Monikę czujny kierowca z plutonu antyterrorystów, który był z nią przy samochodzie z ładunkiem wybuchowym i swoją przytomnością prawdopodobnie ocalił życie kilku osób.

W normalnym trybie operacyjnym w ogóle nie powinno go tu być. Po sprawdzeniu mieszkania przez antyterrorystów we wnętrzu powinni zostać tylko śledczy, ale czas naglił, a tylko tych kilku ludzi od Rabieja, który zresztą też uczestniczył w operacji, było na tyle zaufanych, żeby można ich było wdrożyć.

– Wszystkiego. – Monika stała zamyślona w rogu małego salonu, po chwili dodała: – Adama.

Policjant pokiwał głową i ruszył na poszukiwania czegokolwiek, co mogłoby ich naprowadzić na trop porwanego kolegi. Nie miał pojęcia, że Monika nie mówiła o szukaniu Adama w przenośni, ale całkiem dosłownie. Czuła, że jest gdzieś blisko.

Sama najpierw obeszła mieszkanie, zajrzała do regałów i komody w salonie, po czym podeszła do szafy w wąskim korytarzu. Już chciała ją otworzyć, ale wyprzedził ją jeden z saperów.

– Poczekaj. – Saper odsunął drzwi na kilka milimetrów, zapalił latarkę i przeszedł najpierw

kawałek po kawałku całą mroczną szparę.

Następnie wyszedł na chwilę na klatkę, z której wrócił z kamerą na światłowodzie, i wprowadził ją do wnętrza szafy. Po dwóch minutach powoli odchylił drzwi dalej, w końcu odsunął je na całą szerokość.

Monika zajrzała do środka. W szafie, podobnie jak w innych meblach w mieszkaniu, nie było nic. Ziało z niej pustką, na dole leżał tylko jakiś papier pakowy do wyściełania szuflad. Monika zaczęła opukiwać szafę pięścią.

– Wariujesz? – Warecki stał tuż za nią i przypatrywał się temu, co robiła, z pewną troską. – Oni go wyprowadzili przez to okno, potem wsadzili na ulicy do tej beemki, właśnie sprawdzamy monitoringi.

– Oni go nie wyprowadzili – pokręciła głową Monika.

– Bo? – Warecki z trudem ukrył pobłażanie w swoim spojrzeniu.

– Bo pod oknem na dole są ślady czterech stóp. Wyskakiwało dwóch gości, których tu rzeczywiście nie ma, ale gdzieś musi być jeszcze trzeci, czyli Adam. – Monika zamachnęła się mocniej i z dużą siłą uderzyła w plecy od szafy.

Ich oczom ukazała się dziura, przez którą było widać wnętrze mieszkania za ścianą.

– Proste? – Monika uśmiechnęła się i gestem przywołała pirotechnika, stojącego wciąż w odwodzie za drzwiami.

Mieszkanie obok też stało puste, niewiele było tu przedmiotów i mebli, okna, niemyte prawdopodobnie od lat, tak bardzo pokrywał brud, że ledwie dostawało się przez nie światło.

Adam leżał na podłodze w kuchni, związany i pobity. Był nieprzytomny, więc w pierwszym momencie Monika przestraszyła się, że nie żyje. Żył, a nieprzytomny był, jak się wkrótce okazało, nie od pobicia, tylko od leku, który wstrzyknęli mu prawdopodobnie po to, żeby przez jakiś czas nie wzywał pomocy. Jasne było, że nie chcieli go zabić, bo gdyby im zależało, to pozbawienie go życia było znacznie prostsze od bicia i wstrzykiwania dożylnie lorafenu. Po co więc to wszystko? Czyżby tylko po to, żeby ich nastraszyć? Tyle że Monikę i Wareckiego straszono już wcześniej, i to znacznie bardziej.

Monika czuwała przy Adamie, kiedy ten obudził się na szpitalnym łóżku.

– Gdzie jestem? – zapytał, gdy tylko w kobiecie siedzącej obok łóżka rozpoznał Monikę.

– W szpitalu, jest dobrze. Nic ci nie zrobili, tylko lekkie potłuczenia – uspokoiła Brzozowska.

– Czemu mnie nie odwalili? – zdziwił się w pierwszym odruchu.

– Nie wiem. – Monika pokręciła głową. – Myślę, że może chcieli cię stamtąd wywieźć i odwalić gdzie indziej, ale nie zdążyli. Potem myśleli, że nie wpadniemy na to, że jesteś w mieszkaniu obok. Pewno za jakiś czas by wrócili.

– Możliwe. – Adam spróbował się uśmiechnąć, ale od razu syknął z bólu. Żuchwa była jednak obita. – Znowu mi się przyfarcilo.

W tym momencie do jednoosobowej sali, w której Matecki kazał położyć Adama, wszedł Warecki. Był zziąjany, spieszył się najwyraźniej. Po wypadkach z wieczora musiał jeszcze pojechać do szpitala: wzywali go, bo stan ojca się pogorszył.

– Jak tam? – zapytała Monika, zanim zdążył się odezwać.

– Słabo – odpowiedział. – Pocięcha tylko taka, że zabiciem ojca raczej mnie nie zaszantażują. A jak on? – Warecki wskazał na Adama, który miał przymknięte oczy, więc chwilowo wyglądał, jakby wciąż był nieprzytomny.

– On w miarę – stęknął Wójcik, nie otwierając oczu.

Monika popatrzyła na Czesława pytająco, tak jakby umówili się wcześniej na coś. Warecki podszedł najpierw do drzwi, uchylił je i wyjrzał na korytarz. Następnie je zamknął, podszedł do wezłowania łóżka, z kieszeni płaszcza wyciągnął notes i długopis.

Monika wzięła notes, spojrzała w górę, upewniając się jeszcze, czy w pomieszczeniu nie ma kamer. Raczej być nie powinno. Szpital w salach nie montował monitoringu, a tamci, nawet gdyby byli nie wiadomo jak wszechwładni, to nie odgadliby z góry szpitala ani sali, do której położony miał zostać Adam. Teraz, gdy od trzech godzin już w niej leżał, też nie mieliby jak założyć kamery, bo w sali cały czas przy Adamie czuwała Monika. Pomimo że przed salą na stałe zainstalowanych było też dwóch policjantów od komisarza Rabieja, Brzozowska na wszelki wypadek nie wyszła nawet do toalety. Z podsłuchem mogło być już gorzej, bo wystarczyło nastrzelić go od zewnątrz na szybę. Monika zdjęła skuwkę długopisu, który okazał się wiecznym piórem. Otworzyła notes i napisała jedno zdanie. „Złapali cię?”.

Pokazała to, co napisała, Adamowi, a on pokiwał głową.

– Jak to się stało? – Warecki zadał pytanie kontrolne, żeby milczenie w sali nie zapadło na zbyt długo.

Monika pisała tymczasem kolejne zdanie: „Na co?”.

– Kiedy wjechałem windą na górę, drzwi do mieszkania były uchylone, wszedłem i dostałem chyba czymś w łeb. Jak się obudziłem, siedziałem przyklejony taśmami do krzesła, potem okładał mnie jakiś osiłek, szykowali się, żeby mnie chyba stamtąd wywieźć, ale nagle ktoś zadzwonił, dostałem zastrzyk i tyle.

Adam wziął notes i pióro z rąk Moniki. Chwilę pisał, po czym oddał. „Jak nie będę współpracował, to zabiją Witka”.

– Ale coś próbowali od ciebie wyciągnąć? – Teraz teatrzyk dialogowy na wszelki wypadek przez chwilę uprawiała Monika. – Jakież informacje o nas?

– Chyba nie zdążyli – nieco sztucznie ucieszył się Adam.

Monika pokiwała głową, po czym oddała notes Wareckiemu. Teraz on mógł się zapoznać z niema listą dialogową. Po przeczytaniu pokiwał głową, po czym sam dopisał zdanie i za pośrednictwem Moniki przekazał je Adamowi.

– Ale jak to się stało? – Warecki trochę za bardzo przypalił głupa. – W sensie: skąd wiedzieli?

Adam tymczasem przeczytał to, co dostał na kartce od Czesława: „Jak macie procedować?”.

– Nie mam pojęcia. – Adam się zafrasował. – Może mnie zauważyli, jak wchodziłem do klatki.

Kiedy tylko skończył mówić, od razu zabrał się do pisania. „Mam dostawać dyspozycje, ale nie wiem jeszcze, jakim kanałem. Informację o naszych ruchach mam im zostawiać jako niewysłane na skrzynce na Gmailu”. Monika się uśmiechnęła: ten sposób znali z Adamem doskonale, sami stosowali go przed kilkoma miesiącami, gdy tamci próbowali ją wrobić w zabójstwa. Wtedy to ona musiała się ukrywać przed policją, a Adam okazał się nieocenionym przyjacielem.

Oczywiście cała trójka, a także Matecki wiedzieli doskonale, jak to się stało, że tamci tak świetnie ich rozpracowali, i jak to było możliwe, że od razu wiedzieli, jak podejść Adama. Wcześniej przez jakiś czas wszyscy zachodzili w głowę, dlaczego człowiek, którego tak długo chroniła ta dziwna mafia, czyli Pytłasiński, tak łatwo wystawił im tę dziupłę w bloku Za Żelazną Bramą. Odpowiedź mogła być tylko jedna. Wyjawił im to miejsce, bo taką dostał dyspozycję. Policjanci spodziewali się też w sumie, że tak to się mniej więcej wszystko potoczy. Nie byli wprawdzie pewni, na czym dyżurze rzecz się wydarzy, ale z pewnym prawdopodobieństwem zakładali, że tamci uznają Adama za najłabsze ogniwo. Ostatnią rzeczą, którą Monika napisała na kartce w notesie, była informacja mająca choć trochę uspokoić zszargane nerwy Wójcika. „Postaramy się ochronić Witka, ale musimy to robić z dużego oddalenia”, przeczytał Adam i znów się uśmiechnął, ale tym razem trochę blade. Wiedział, że ochronić kogokolwiek przed tamtymi było wielką sztuką, a zrobić to z oddalenia – już majstersztykiem. Tak naprawdę w tym momencie bezpieczeństwo Witka, który nie był już wprawdzie facetem Adama, ale do którego ten czuł wielką sympatię i sentyment, leżało głównie w jego rękach. To od czujności i sprytu aspiranta Wójcika zależały teraz losy jego samego, Witka oraz całej operacji, która weszła właśnie w nową fazę. Tak oto Adam stał się klasycznym podwójnym agentem.

Jego ochroną w szpitalu zajmowało się od tej chwili na zmianę sześciu policjantów z plutonu od Rabieja. Tak naprawdę zresztą akurat Adamowi przynajmniej na razie nie zagrażało żadne niebezpieczeństwo, bo chronił go właśnie status podwójnego agenta, ale tamci za nic nie mogli się zorientować, że Wójcik gra właśnie taką rolę. Z dalszej notesowej wymiany informacji Monika i Warecki dowiedzieli się jeszcze, że Adam będzie musiał chodzić wyposażony w lokalizator, który przekazali mu tamci, i w urządzenie podsłuchowe, które dopiero miał dostać, najprawdopodobniej od kogoś z ludzi pracujących na komendzie. Przy okazji zaistniała więc możliwość ujawnienia chociaż jednego kreta spośród prawdopodobnie wielu nieuczciwych policjantów w ich otoczeniu. Oczywiście ujawnienie musiało paradoksalnie przebiec w sposób tajny i na razie z całą pewnością kret nie mógł wiedzieć, że został zdekonspirowany. Jednocześnie jasne było od razu, że ten, który miał dostarczyć urządzenie podsłuchowe Adamowi, nie mógł zrobić tego w taki sposób, by przed nim się ujawnić. Zasady działania wywiadu wykluczały, by jeden agent znał tożsamość drugiego, nawet jeśli pracowali bardzo blisko siebie. Dlatego, na mocy zarządzenia Mateckiego, technik zainstalował kilka dodatkowych ukrytych kamer w miejscach, w których potencjalnie kret mógł pozostawić przesyłkę dla Adama. Pojawiły się one w gabinecie Moniki, w którym pracował normalnie Adam, w szatni, gdzie się przebierał, oraz na parkingu, gdzie zostawiał samochód. O istnieniu tych kamer, oprócz instalującego je technika, który nie miał pojęcia, po co ani dlaczego to robi, wiedzieli tylko Monika, Matecki i Czesław. Adam, który wrócił do pracy po kilkudniowym pobycie w szpitalu, o kamerach dowiedział się dopiero jakiś czas później, w czasie jednej z ich niemych narad. Do komunikacji z Moniką siedzącą biurko w biurko Wójcik używał czasem tej samej techniki, którą stosował do komunikacji z tamtymi, czyli zostawiał dla niej wiadomości w skrzynce roboczej na ustalonym koncie na Gmailu. Wszystko ogólnie było cholernie skomplikowane. Rozmowy oficjalne, które prowadzili, były improwizowane i cała trójka, a czasem także Matecki, musiała uprawiać ekwilibrystykę komunikacyjną, żeby mówić o sprawie rzeczy interesujące, jednocześnie nie ujawniając najważniejszych tropów. Na szczęście tak naprawdę najważniejszym

w tej chwili tropem był sam Adam.

– Pytłasiński? – rzucił Matecki, kiedy rankiem, trzy dni po powrocie Adama na komendę, wszedł do ich gabinetu. Wyraz jego twarzy świadczył o tym, że wydarzyło się coś naprawdę wartego uwagi.

– Co Pytłasiński? – odpowiedział pytaniem Adam.

– W Wilanowie na tym nowym osiedlu zgłosili właśnie jakieś makabryczne zabójstwo, stary facet rozpruty nożem, ściany we krwi, jakieś debilne napisy na ścianach – zreferował krótko inspektor.

Napisy krwią na ścianach nie były wcale debilne, choć oczywiście w ogóle pisanie krwią po murach nie jest szczególnie wysublimowaną formą komunikacji. W tym jednak konkretnym wypadku chodziło, zdaje się, głównie o to, żeby rzecz była jak najbardziej spektakularna. Po to, aby mogła spektakularnie wybrzmieć w mediach. Kiedy dojechali na miejsce, pod domem było już kilka stacji telewizyjnych i całe mnóstwo dziennikarzy kręcących się bez ładu i składu. Kto ich powiadomił, dlaczego tu byli szybciej niż pogotowie i szybciej niż policja, nie było wiadomo, ale można było się tego domyślić.

Na ścianach rzeczywiście widniały napisy, a ponieważ mieszkanie mieściło się na parterze i w oknach nie miało zasłon, to zanim udało się uniemożliwić dziennikarzom zajrzenie do środka z ulicy, cała Polska mogła je już oglądać w mediach, a głównie w internecie. Szybko też pojawiły się komentarze zamieszczane przez internetowych trolli nie wiadomo skąd, odsłaniające przy okazji intencje zabójców. Po pięciu godzinach cała sieć zarzucona była hejtem mówiącym o tym, że policja nic nie robi, oraz prowokacyjnymi pytaniami w rodzaju „ile jeszcze tych ofiar”, „może czas zmienić ekipę, która ściga zabójców” i temu podobnymi. Słowem: zabójcy, a w każdym razie aparat, który za nimi stał, pozornie namawiali do tego, żeby wzmóc działania poszukiwawcze, i domagali się rezultatów dochodzenia. Paradoks? Jedyne pozorny. Przekaz rozsiewany w internecie dotyczył tego, żeby wzmóc działanie policji za sprawą wymiany ekipy śledczych. Pod spodem chodziło o odsunięcie Moniki, jej współpracowników i Mateckiego od prowadzenia sprawy, a w efekcie o ukreślenie łba dochodzeniu. Prosta szkoła manipulacji opinią publiczną, znana od dziesiętek, jeśli nie od setek lat. Jedyne, co się zmieniło, to kontrola, a właściwie utrata kontroli, nad jakimikolwiek mediami. Teraz ludzie tacy jak tamci, jeśli posiadali odpowiednie środki, a tego mafii z wschodniej granicy na pewno nie brakowało, mogli ominąć wszystkie media głównego nurtu i internetowym światłowodem promować na szeroką skalę dowolną brednię ku ucieście ludności. A *vox populi* takie farmazony pochodzące z sieci traktował obecnie jak prawdę najprawdziwszą, pochodzącą wprost z kryształowego ruczaju społecznej mądrości.

– Zaraz mam spotkanie z komendantem głównym. – Matecki pochylił się nad wanną, w której leżały rozplątane zwłoki Pytłasińskiego. Obok niego stała Monika.

– Teraz pytanie, czy na Głównego też coś mają i czy może jeszcze cokolwiek zrobić podług własnego zdania? – skomentował z korytarza Warecki.

– Nieważne, czy na niego coś mają, czy nie. Nad nim i tak są więksi, a na nich już na pewno coś jest. – Monika uśmiechnęła się i przyklekła nad wanną.

Zwłoki były już obfotografowane, kryminaliści zebrali ślady, widziała je też doktor Walińska, więc można było już dotykać i w ogóle przebywać w łazience. Monika zauważyła, że we wnętrzu

zgiętej dłoni coś jest, odchyliła dłoń i rozwarła palce. Na poduszczykach, w miejscu, gdzie zaczynały się palce, ktoś wyciął nożem kilka dziwnych znaków.

– Co to? Jakies znaki satanistyczne? – Adam też zajrzał przez drzwi do wnętrza łazienki i przyglądał się teraz temu, co robiła Monika.

Komisarz pokręciła głową, wyjęła telefon i sfotografowała wnętrze dłoni.

– Nie satanistyczne, tylko cyrylica. – Uśmiechnęła się. – No, może bardziej grażdanka. – Brzozowska, która dawno temu, w trakcie swoich narkotykowych peregrinacji, studiowała przez chwilę filologię ukraińską, uśmiechnęła się teraz przez chwilę. – Tu jest napisane „Smersz”.

– Smersz? – jako jedyny zdziwił się Adam.

– Smert’ Szpionom – wyjaśnił Warecki. – To taka organizacja czyszcząca świat z ludzi, którzy są nie na rękę.

– Nie na rękę komu? – Adam był młody, nie wiedział nawet za bardzo, że świat kiedyś wyglądał nieco inaczej. Nawet jeśli kiedyś się o tym uczył, to czym innym było znać teorię, a czym innym było pamiętać czasy, gdy ta inność była rzeczywistością.

– Dawniej KGB, dziś pewno GRU albo FSB, może FSR – wyjaśnił Warecki.

Monika już chciała powiedzieć Mateckiemu, że prześle mu zdjęcie, które być może pomoże mu w rozmowie z Głównym, ale w ostatniej chwili ugryzła się w język. Adam miał na sobie podsłuch, uprzedzanie takich faktów było uprzedzaniem tamtych o krokach, które zamierza się przedsięwziąć. Swoją drogą, tamci musieli się czuć naprawdę bardzo pewnie, skoro zostawiali taką niespecjalnie schowaną wiadomość. Kiedy o tym pomyślała, przyszło jej do głowy, że nie tylko prześle to zdjęcie Mateckiemu, lecz także poprosi swoich techników, żeby rozpowszechnili je w necie, oczywiście z odpowiednimi komentarzami. Tamci, używając broni masowego rażenia, jaką był internet, zapominali czasami o tym, że miecz był obosieczny.

Wizja lokalna i dowody zebrane z mieszkania, które znów wynajęto na lewe papiery i opłacano wyłącznie gotówką, nie przyniosły nic nowego. Tamci byli w tym procederze zbyt biegli, żeby gdziekolwiek zostawić po sobie jakieś ślady. Inna sprawa, że pracowali, zdaje się, pod dużą presją. U nich, dopóki ktoś się sprawdzał, miał oczywiście jak w raj, ale w momencie gdy cokolwiek zawalił, Smersz przychodziła szybko.

– Czemu go stuknęli? Przecież z wszystkiego w sumie się wywiązał – zastanawiał się Warecki chwilę później, gdy Adam, zresztą sam z siebie, świadom, jakie niesie zagrożenie dla operacji, oddalił się na papierosa.

– Wywiązał się i jego rola się skończyła – skomentowała Monika. – Poza tym miał niefart. Dotarliśmy do niego raz, potem drugi, pewnie obawiali się, że dotrzemy trzeci.

– A tak przy okazji, skąd Kalicki wiedział, gdzie go znajdziemy za tym drugim razem? – Warecki zadał pytanie, które i jej chodziło po głowie od jakiegoś czasu.

– Nie mam pojęcia, może on też ma tam jakiegoś kreta, który kabluje... – Monika zawiesiła się nagle. – Tylko kabluje do kogo? Oto jest pytanie.

Warecki odwiedził ją i Adama wieczorem na Żurawiej. Inspektor Matecki, który też miał przybyć, nie pojawił się jednak, co nie wróżyło zbyt dobrze. Spotkanie z Głównym odbyło się o siedemnastej i od tej pory cała trójka się zastanawiała, co będzie dalej.

– Dostałem cynk z MI6 z Londynu – zaczął Warecki, kiedy siedział jeszcze z nimi Adam. – Ten odcisk, który znaleźliśmy wtedy na torebce z mieszkania tego twojego Marka. – Czesław nie mógł się powstrzymać przed dodaniem zaimka dzierżawczego. Figura językowa „tego twojego” wracała za każdym razem jak bumerang. Monikę na początku mocno to denerwowało, ale potem przywykła, a w końcu nawet zaczęło jej to trochę schlebiać, może dlatego, że to każdorazowe podkreślanie tego faktu świadczyło po prostu o tym, że Warecki był zazdrosny.

– No i? – włączył się Adam.

– No i ten odcisk znaleźli wtedy na jachcie, na którym zabito jakiegoś agenta MI6. Po pewnym czasie zidentyfikowali go jako należący do kobiety, która pracowała długo w ambasadzie rosyjskiej w Londynie, a potem zniknęła – zreferował Warecki, w pełni świadom tego, że tamci albo słyszą to w czasie rzeczywistym, albo usłyszą za chwilę.

Co prawda była to informacja tajna, ale niewiele już w tej chwili wносиła do sprawy. Zwłaszcza odkąd w domu na Żoliborzu policjanci zwinęli Białorusinów, a teraz tamci sami podpisali się na zwłokach Pytłasińskiego jako Smersz. Innymi słowy, odkrycie, że kobieta była związana ze wschodnimi służbami, zostało już przez nich dokonane wcześniej, ale przekazanie tej wiadomości, pochodzącej z MI6 i niejawnej, legitymizowało Adama jako użytecznego z punktu widzenia tamtych.

Kiedy Warecki miał już wychodzić, zadzwonił telefon Moniki.

– Matecki – poinformowała pozostałych, po czym odebrała.

Rozmowa z jej strony była mało treściwa, bo sprowadziła się do krótkich monosylabicznych przytaknięć. Po piętnastu sekundach było po wszystkim. Adam i Warecki utkwili w niej spojrzenia.

– Nie brzmiał najlepiej – odchrząknęła Monika. – Chyba jest źle – dodała po chwili, po czym raz jeszcze odpaliła telefon, ale tym razem, by użyć elektronicznego notesu, w który wpisała jedno zdanie.

„Mamy tydzień, potem nas wypierdola”.

– No to słabo. – Adam skomentował to, co napisała, ale jednocześnie dla tych, którzy słuchali podsłuchu, był to komentarz do jej ostatniego komunikatu wypowiedzianego głośno. Znów w podwójnej grze w głuchy telefon wszystko się zgadzało.

Po tym wszystkim Warecki udał, że wychodzi. Kiedy zatrzasnął drzwi, pozostając wciąż w mieszkaniu, Wójcik oddalił się do swojego pokoju, żeby dać tamtej dwójce choć chwilę porozmawiać bez kombinowania, co powinni wiedzieć tamci, a czego wiedzieć nie mogli. Adam czuł się fatalnie ze swoją nową rolą, bo była totalnie schizofreniczna. Przez cały czas musiał funkcjonować jakby w dwóch obiegach myślowych. Jednym obiegiem, nadrzędnym, obsługiwał całą sytuację z góry, mając nadzór nad obiegiem mniejszym, który służył do sprawiania wrażenia przed tamtymi, że wszystko jest jak należy i że przede wszystkim on grzecznie gra swoją rolę. Sytuacja była tak trudna, a uprawianie tej permanentnie podwójnej gry tak wyczerpujące, że już po kilku dniach Adam był u kresu sił. Zostawiłby to natychmiast, gdyby nie lęk o życie Witka, a bardziej jeszcze poczucie misji, jakiego nigdy jeszcze w swojej karierze nie miał i z prawdopodobieństwem granicznym z pewnością można było założyć, że mieć już nie będzie. W pewnym sensie od tego, jak wypadnie w nowej roli, zależały losy kraju, a w każdym razie – na pewno życie bardzo wielu ludzi.

Wójcik leżał już zamknięty w swojej sypialni, a urządzenie nagrywające umieszczone w pasku od spodni rejestrowało teraz ciszę. Jego myśli krążyły wokół tego, że tak naprawdę nigdy nie był

policjantem z poczuciem misji. Przyszedł do tej roboty przed kilku laty trochę przez przypadek, a teraz znalazł się w sytuacji, która dosyć mocno go przerastała. Tak widać miało być, pomyślał, po czym zadał sobie pytanie, dlaczego właściwie, ale nie potrafił znaleźć na nie odpowiedzi, a szukając jej, w końcu zasnął.

Warecki obszedł salon ze specjalnym urządzeniem do wykrywania podsłuchów. Zrobił to, bo tak kazał im robić Matecki, który wyposażył ich w ten instrument, ale w sumie było mu trochę głupio. Do mieszkania na Żurawiej nie przychodził nikt oprócz nich i Mateckiego właśnie. Sprawdzanie zatem, czy w środku nie ma podsłuchów, zawierało w sobie niezbyt zawoalowaną sugestię, że wniósł go ktoś z nich. Oczywiście sprawdzając, siebie wykluczał z automatu, pozostawiali więc tylko: Monika, Adam i inspektor, który kazał mu to robić, więc raczej nie założyłby tu podsłuchu.

– Nie możemy wykluczyć, że wchodzi tu ktoś jeszcze. – Monika tak jakby słyszała jego myśli i zaczęła trochę usprawiedliwiać Mateckiego.

– Gdyby ktoś tu wszedł, to raczej zostawiłby tu bombę i byłoby po herbacie, nie instalowałiby tu jakichś debilnych pluskiew – uśmiechnął się Warecki, odkładając instrument, który przypominał trochę talerz satelitarny, tylko w rozmiarze kieszonkowym.

– Może w końcu zostawi. – Monika ściszyła głos. Nie wiedzieli do końca, jak czuły był podsłuch, który nagrywał wciąż z paska od spodni za drzwiami sypialni Adama. – Co robimy dalej?

– Czekamy. – Warecki podszedł do barku, który wcześniej sam wyposażył, i spojrzał pytająco w stronę Moniki.

– Wolę nie ryzykować – Brzozowska pokręciła głową odmownie. – Szarpnę się na to, a potem już znowu poleci.

– No to lepiej nie, rzeczywiście – przytaknął, po czym zapytał: – A nie będzie ci przeszkadzało...

– Nie – ucięła Monika, lekko zniecierpliwiona, bo chciała pogadać o rzeczach ważnych, a utknęli przy barku. – Oby szybko.

Warecki uśmiechnął się i nalał sobie szkockiej. Pomyślał, że dawniej nie mógłby się tak po prostu napić, bo zawsze wieczorem musiał jeszcze jeździć samochodem. Teraz, gdyby wezwali go do taty do szpitala, to nawet jakby chciał, nie mógł pojechać tam sam. Na dole w garażu stało stare poprezydenckie, a może popremierowskie, opancerzone bmw, które na osobistą prośbę Mateckiego przydzieliła im w końcu tak zwana Służba Ochrony Państwa, czyli dawny BOR. Do tego na dole czekali zaufani ludzie od Rabieja, którzy mieli obowiązek wozić ich wszędzie i w każdej chwili. Było to z jednej strony uciążliwe, ale z drugiej miało pewien swój urok. Można było choćby napić się szkockiej.

– Nie mamy dokąd się spieszyć, Monika. – Warecki zdał sobie sprawę, że z jakiegoś powodu prawie nigdy nie używał jej imienia, a było ładne. – Tropów za bardzo nie mamy, można by obserwować ambasadę białoruską na przykład, ale do tego potrzeba tabunu ludzi, a to mija się z celem, bo wtedy na pewno ktoś spośród tych ludzi albo ich szefów szybko wystawiłby całą akcję.

Chwilę milczeli.

– Szkoda, że wzięli akurat Adama – zaczęła Monika.

– Wszyscy byliśmy wystawieni, a oni wybrali jego – przypomniał Warecki. – I się nie dziwię. My jesteśmy twardsi.

– Bo nie mamy nic do stracenia, a on ma – spuentowała Brzozowska.

– Zacząłem rozmawiać z Amerykanami. – Czesław wypił łyka drinka i popatrzył w stronę wyłączzonego telewizora.

– Co? – zdziwiła się Monika.

– Ten z MI6 skontaktował mnie z oficerem łącznikowym CIA z ambasady amerykańskiej. – Warecki wciąż nie patrzył na nią.

– Co ty mówisz? Bez uzgodnienia ze swoimi? Przecież mogą cię władować za szpiegostwo. – Monika wymusiła w końcu, żeby popatrzył na nią.

– To co? Miałem zgłosić swoim? – zapytał retorycznie Czesław.

– I co teraz?

Dotarło do niej, że adrenalina podskoczyła jej tak, jakby dowiedziała się, że w podobny sposób ryzykuje ktoś z jej bliskich. Tylko kto właściwie? Oprócz mamy nie miała nikogo, a jakoś trudno jej było sobie wyobrazić, że mama kontaktuje się z kimś z obcego wywiadu. Uśmiechnęła się do swoich myśli.

– Nie mam pojęcia, co teraz. Trochę się obawiam, bo nie wiem, czy przypadkiem oni nie są już też ustawieni przez Rosjan. Trump jest na pewno, ale muszę zaryzykować, może jeszcze CIA się jakoś trzyma. No, a oni mogą mieć wśród Rosjan jakąś wtykę, raczej normalnie by nam jej nie ujawnili, ale sytuacja nie jest normalna. W zasadzie wychodzi na to, że jakaś pani z pieprzykiem, kimkolwiek jest i kogokolwiek reprezentuje, w pewnym sensie rządzi Polską. A jesteśmy, o ile mnie pamięć nie myli, członkiem NATO. Głupio, żeby członkiem NATO rządziła nieznana nikomu bliżej pani z pieprzykiem, związana, zdaje się, ze służbami z za wschodniej granicy. Jak sądzisz? – Warecki niebezpiecznie się nakręcił.

– Ty jesteś patriotą – wypaliła Monika.

– To źle? – skontrował Czesław.

– Nie, to jest właściwie nawet dosyć seksowne. – Brzozowska uśmiechnęła się po raz pierwszy tego wieczora.

No, ładnie. Najpierw zmartwiła się, że się naraża, teraz powiedziała mu, że jest seksowny. Popatrzyli na siebie znów, ale tym razem inaczej, tak jakby zobaczyli się po raz pierwszy od dawna. Wspomnienie wspólnej nocy spędzonej w dziwnym hoteliku przy sanktuarium biskupa Kurzeby, po tym jak Monika miała narkotyczną zapaść, wypierali od tamtej pory oboje. Ona, bo było jej wstyd za to, co zrobiła. On najpierw, bo był na nią wściekły, potem, bo miał wrażenie, że ona nie chce tego wspominać. Ale przez cały ten czas, gdy było z nią źle, kiedy podnosiła się u Walińskiej i potem, kiedy wróciła do pracy, ale wciąż psychicznie była wiotka jak źdźbło trawy, on był w pobliżu, pilnował, żeby szło ku dobremu, a nie odwrotnie. Ona, choć w swoim uzależnieniu przede wszystkim skrajnie egocentryczna, chociaż zaabsorbowana swoimi problemami, wspomnieniami, wyrzutami sumienia i sprawą, to jednak wciąż myślała o nim za dnia, a potem w nocy. Może nawet po części dzięki niemu udało jej się przetrwać te najcięższe momenty u Walińskiej. Wtedy wprawdzie nie chciała, żeby ktokolwiek się do niej zbliżał, ale żyła, bo pamiętała ciepło jego bliskości. Kto w takich okolicznościach powinien to zainicjować? Monika próbowała coś wymyślić. A przecież była dojrzałą kobietą, świadomą swoich braków i swoich potrzeb, kobietą po przejściach, która przede wszystkim powinna już, do cholery, wiedzieć, że takich rzeczy wymyślić głową się nie da.

– Pójdę już. – Czesław powiedział coś, czego nie pomyślał.

Czemu to zrobił? Może chciał po prostu wprowadzić element dynamiki do sytuacji, może nie miał pojęcia, że ona pragnęła tego co on, równie mocno jak on. Może tak go wychowali, że nigdy nie przychodziło mu do głowy, że ktoś może pragnąć tak jak on.

Wstał. Monika też wstała, ale trochę niezadarnie, jakby była zawstydzona, zawiedziona. W końcu przypomniała sobie, że jest kobietą po czterdziestce, więc choć trochę oczywiście było w tym wszystkim przypadku, to jednak była też i odrobina reżyserii. On wprowadził dynamikę, ona dodała zawstydzenie. Doszli do drzwi.

Drzwi otwierały się do wewnątrz, przez co na sekundę stanęli bliżej siebie. Wtedy ona pomyślała, że jest na szczęście takie miejsce, taka odległość graniczna, po której przekroczeniu przychodzi moment, gdy dwoje pragnących się ludzi przestaje w końcu wreszcie myśleć. Ten moment to jedno z piękniejszych doznań, jakie mogą stać się udziałem dwójki ludzi, zdążyła jeszcze pomyśleć, a potem zdmuchnęła ich miłość.

Kiedy Czesław obudził się nad ranem, patrzył na nią chwilę. Przez myśl przeszło mu: jakie to dziwne, że kobieta, która prowadziła tak wyniszczający tryb życia, wciąż wyglądała tak pięknie. Cera alabastrowa, krótkie ciemne włosy – trochę chłopiące, ale cała reszta tak kobieca, że krótkie włosy właściwie raczej dodawały seksapilu, niż go ujmowały. Pociągła twarz, lekko wpadnięte policzki, ale wszystko miękkie, żadnych krawędzi, tylko brwi wyraźne, ale też delikatne. No i oczy, których teraz nie widział, ale nie musiał. Pierwszy raz w życiu pamiętał kolor czyichś oczu. Czesław uśmiechnął się do swoich myśli. Brąz głęboki, a jednocześnie trochę bursztynowy, hipnotyczny. Monika jakby przez sen poczuła, że jej się przygląda, uśmiechnęła się delikatnie, a czubek jej języka zwilżył spierzchnięte usta, tak pełne, że trudno było mu się powstrzymać, żeby ich nie pocałować. Powstrzymywał się długo. Właściwie powstrzymywał się od początku. Zanim po raz pierwszy zobaczył ją na żywo, kiedy przed rokiem wyznaczili go do jej ścigania, najpierw oglądał zdjęcia. Już wtedy czuł, że trudno byłoby mu się powstrzymać. Tyle że wtedy była z jego punktu widzenia przestępcą, podejrzaną o wielokrotne zabójstwo z wyjątkowym okrucieństwem. Teraz już przestępcą nie była z całą pewnością. Ale kim tak naprawdę była teraz dla niego, oprócz tego, że piękną kobietą z dołkami w policzkach, kiedy się uśmiechała? Wszystko było w niej pełne, obfite i sensualne. Tak dużo zrobiła w życiu, żeby zgubić swoją kobiecość, i nic jej z tego nie wyszło. Na szczęście, pomyślał jeszcze, opuścił nogi na podłogę i usiadł na łóżku. Ze stolika obok wziął telefon. Była piąta trzydzieści nad ranem. Ci z dołu, którzy będą go zaraz wieźli do domu, i tak domyślą się na pewno co i jak, ale na szczęście nie zrobi to na nich przesadnego wrażenia. Zapomną szybciej, niż im to przyjdzie do głowy. Czesław wstał z łóżka.

– Chyba urodziłam dziecko – usłyszał za sobą nagle głos Moniki.

Czesław przysiadł z powrotem.

– Słucham? – Spojrzał na nią zaskoczony. – Kiedy?

– Nie wiem – Jej bursztynowe oczy patrzyły teraz na niego, a w spojrzeniu była jakby prośba i łagodność. Monika po raz pierwszy od wielu tygodni wreszcie się nie bała. Ten mężczyzna, choć z jednej strony wciąż lekko ją onieśmiał, to z drugiej dawał jej poczucie bezpieczeństwa. – Myślałam już, że wszystko wiem o sobie, że cała pamięć wróciła, o Borysie, o tamtych zdarzeniach,

że odzyskałam tożsamość... Ginekolog mi powiedział, że mam bliźny poporodowe i że moja macica nosiła już w sobie dziecko.

– Czyli? – Czesław nadal był kompletnie zdezorientowany.

– No właśnie...? – Monika uśmiechnęła się smutno. – Podobno na pewno urodziłam, ale może urodziłam martwe, może... Nie wiem, znowu nic nie wiem.

Czesław chwilę jeszcze jej się przyglądał, po czym pogładził ją po włosach, a w końcu po prostu położył się z powrotem obok niej.

Adam niedługo się obudzi, pomyślał, ale to nie ma znaczenia, zmagają się tu z poważniejszymi problemami, konwenanse nie mają znaczenia. Był jej potrzebny, czuł to i chciał, żeby tak zostało.

Następnego dnia już na komendzie Adam zachowywał się dziwnie, był mało rozmowny, jakby markotny. Przez chwilę Monice i Wareckiemu wydawało się, że chodzi o to, że ujawniła się ich relacja, że Wójcik obraził się na nich za to, że do ich zawodowego współistnienia wprowadzili nagle, trochę bez pardonu, element mocno prywatny. Po godzinie okazało się jednak, że zupełnie nie o to mu chodziło i że zmagął się w tym momencie ze znacznie poważniejszymi problemami od tego, kto z kim sypiał i gdzie. Na kartce wsuniętej pod klawiaturę stacjonarnego komputera, którego zresztą wcale nie używała, bo był tak przedpotopowy, że nie obsługiwał jeszcze chyba nawet Windowsa, Monika przeczytała krótką informację skreśloną ręką Adama. Po minucie o tym, że tamci chcą się spotkać z Wójcikiem, wiedzieli już też Warecki i inspektor.

– A udało się ustalić, kto i jak przekazał mu te urządzenia podsłuchowe? – zainteresował się Matecki, kiedy po półgodzinie Monika i Czesław usiedli w jego gabinecie.

– Niestety. Informacje, gdzie tego szukać, dostał na maila, który mu podali wcześniej, a urządzenia razem z instrukcją leżały w foliówce w krzakach przy Nowolipkach – wyjaśniła Monika.

– Czyli może jednak niekoniecznie to był ktoś z komendy. – Inspektor próbował za wszelką cenę znaleźć jakieś optymistyczne akcenty w ich mało radosnej sytuacji, po czym po chwili wahania przeszedł do tego, co chciał im zakomunikować, odkąd weszli do gabinetu: – Dali nam tydzień tylko dlatego, że mamy wsparcie ze strony mediów związanych z opozycją. Tam na górze nie mamy chyba żadnych sprzymierzeńców.

– Pewno oni wszyscy tam są ustawieni przez mocodawców pani z pieprzykiem i tańcą, jak ona im zagra – odpowiedział Warecki. – Taki trochę pełzający zamach stanu oparty na kompromatach.

– Na czym? – zapytał Matecki.

Monika popatrzyła na Mateckiego, zdziwiona, że nieznany był mu ten termin, po czym przeszła do rzeczowego objaśnienia:

– Kompromaty. Oni tak działają teraz, zdaje się, na całym świecie. Każdy człowiek ma jakąś swoją drugą, mniej oficjalną twarz. Niektórzy po godzinach są pedofilami, inni tylko obgadują swoich zwierzchników przez telefon, a wszyscy mają kredyty na mieszkania. Jak kompromat się rozleje, to ci pierwsi kredytów nie spłacą, bo trafią do pierdła, gdzie najprawdopodobniej będą ich cwelować, a ci drudzy nie spłacą, bo po prostu stracą robotę. Pomędzy jednymi a drugimi jest jeszcze cała przestrzeń zdrad małżeńskich, burd pijackich, uzależnień, narkotyków, zbrodni mniej dotkliwych od pedofilii, acz mimo to nieobyczajnych. Ktoś kiedyś coś ukradł, choćby tylko fragment pracy doktorskiej sprzed piętnastu lat albo garsonkę w sklepie. Ktoś był karany za napaść na

funkcjonariusza po pijaku, cokolwiek. Na każdego jest kompromat – skończyła Monika.

– Przecież wiem, co to jest kompromat, ma mnie pani za idiotę? – Matecki w końcu zdołał się wciąć w jej monolog.

– Ale pytał pan? – zdziwiła się Monika.

– Pytałem, bo nie dosłyszałem. – Matecki spojrzał na Czesława. – On za cicho mówi, pewnie tak go nauczyli w tej wywiadowni.

– Z politykami jest jeszcze gorzej. – Warecki jakby nie usłyszał odnoszącego się do niego komentarza. – Bo wszystko musi u nich być do tego bardzo politycznie poprawnie. Więc polityka można wysadzić z siodła choćby tym, że powie coś nie dość kulturalnego o kobietach czy mniejszości narodowej albo przeklnie, albo... zażartuje z kolorowych.

– Myśli pan, że miałem pomroczość jasną wtedy, kiedy ci, co teraz rządzą, wysadzali z siodła poprzedników za pomocą podsłuchów? – Matecki patrzył na Czesława z mieszaniną pobłażliwości i wkurzenia.

– Rosyjskich podsłuchów. – Warecki pokiwał głową. – Za pomocą rosyjskich podsłuchów.

– Dobrze, teorię mamy omówioną, nie pierwszy już raz zresztą, zdaje się. – Inspektor postanowił sprawy popchnąć naprzód. – Co z tym Wójcikiem?

– Chcą się z nim spotkać – odpowiedziała Monika, po czym dodała: – Dziś wieczorem.

– Nie ma mowy. – Matecki pokręcił głową. – Może za kilka dni, jakbym zebrał grupę zaufanych ludzi, potrzebujemy przynajmniej kilkunastu osób, żeby to porządnie obstawić... Na dziś nie ma mojej zgody.

– Tylko że oni nie negocjują, nie pytają o jego najbliższy wolny termin, tylko kazali mu się zjawić pod wiaduktem Trasy Toruńskiej dziś o dwudziestą – uzupełniła informacje Monika.

– No to się nie zjawi. – Matecki był nieprzejednany.

– No to mu odwałą Witka, może też matkę, siostrę i kuzynów w Sieradzu. – Monika też nie chciała się cofnąć.

– On ma kuzynów w Sieradzu? – zainteresował się inspektor.

– Nie mam pojęcia, gdzie on ma kuzynów. – Monika pokręciła głową. – Rodzinę mu rozwałą i tyle.

– No ale to nie może tak być, żeby oni nas trzymali z czymś takim, to jest jakieś popierdolone kompletnie. – Matecki znów zaczął ciemnieć na twarzy, a kołnierzyk jego wykrochmalonej koszuli nagle zrobił się o wiele za ciasny.

– Zgadzam się, ale tak jest i dopóki ich nie dorwiemy, tak będzie. – Do rozmowy powrócił Czesław, który uznał, że dalsze eskalowanie kłótni pomiędzy inspektorem a Brzozowską do niczego konstruktywnego nie doprowadzi, a za to może się źle skończyć.

– Czyli co, kurwa?! – Na niewiele się zdały te próby uspokojenia sytuacji, bo inspektor bulgotał coraz bardziej.

– Mam kontakt z Amerykanami – wypalił nagle Czesław.

– Co?! – zdziwił się Matecki i w końcu zaczął też przy okazji odдыchać, co było dobre, bo całą poprzednią sekwencję rozmowy przeprowadził na totalnym dęgu tlenowym.

– Może mają kogoś u tamtych, może nam sprzedadzą, może wejdziemy jakoś od tyłu, ale potrzebuję jeszcze trochę czasu – wyjaśnił kapitan.

– Jeszcze trochę czasu i kilka trupów? Na przykład teraz poświęćmy naszego młodego kolegę geja? – Inspektor oddychał, jednak do uspokojenia była jeszcze długa droga.

Warecki nic nie odpowiedział. Popatrzyli za to na siebie z Moniką, zdziwieni nie lada. Nigdy wcześniej nie przyszło im do głowy, że Matecki wie cokolwiek o preferencjach seksualnych Wójcika. Co więcej, wydawało im się, że był to sekret z kategorii najściślej tajnych. To, że Matecki o tym wiedział i nie zwolnił Wójcika ze służby już dawno temu, naprawdę zjednało mu w tej chwili ich dużą sympatię. Inspektor Witold Matecki był człowiekiem raczej starej daty, służbę w policji zaczynał w czasach, gdy zjawisko homoseksualizmu w społeczeństwie pozostawało nieznane, do tego był osobą żywiołowo wręcz wierzącą i praktykującą, a przecież Kościół, choć sam przenicowany homoseksualizmem do cna, to w swej oficjalnej doktrynie tę seksualną orientację potępiał.

Przez chwilę nikt nic nie mówił, słychać było wiatr wiejący za oknami gabinetu, a także krople deszczu bębniące o parapet.

– Może lepiej im to już puścić – odezwał się Matecki nagle w tonie refleksyjnym, idealnie sprzężonym ze smutkiem panującym za oknem. – Ludziom i tak nie robi różnicy, kto tu rządzi i czy jest na pasku, czy nie.

– Ale nam robi, poza tym, do chuja, zginęło już za dużo niewinnych ludzi! – Monika prawie krzyknęła, po czym utkwiała wzrok w inspektorze, próbując go zmusić do tego, żeby popatrzył też na nią.

– Jeśli temu chłopakowi coś się stanie, to was zajebię. I tyle wam powiem. – Matecki spojrział w końcu na Monikę, a chwilę później obojgu wskazał drzwi.

Adam niestety nie mógł mieć na sobie żadnej elektroniki. Ryzyko zdekonspirowania było zbyt wielkie, a czasu na to, żeby wykombinować coś bardziej technologicznie zaawansowanego, za mało. Na godzinę przed wyjazdem nad Wisłę odbyli jeszcze długą rozmowę na karteczkach, w której Monika i Warecki, używając różnych argumentów, próbowali go odwieść od podjętego zamiaru. Adam jednak obawiał się, co zrobią tamci, jeśli się nie pojawi, a dodatkowo u niego też zaczęły trochę pobrzmiwać nuty patriotycznego wzmożenia. Która motywacja w tym momencie przeważała, nie miało większego znaczenia, efekt był w każdym razie taki, że o wycofaniu się z przedsięwzięcia nie mogło nawet być mowy. Adam zafiksował się w swoim uporze, a oni mogli tylko zrobić, co w ich mocy, żeby akcja się udała. Przy czym to, co w ich mocy, ograniczało się w zasadzie do ewentualnej modlitwy, gdyby akurat któreś z nich było wierzące. Adam musiał na miejsce pojechać sam. Oni mogli go obserwować, ale z daleka, żeby nie wyszło na jaw, że ktokolwiek o czymkolwiek wiedział.

W nocy pod pylonami Trasy Toruńskiej nie jest miło, nawet jeśli przychodzi się tam na spacer z psem. Jeśli przychodzi się na spotkanie z organizacją, która bez najmniejszych oporów zamordowała już jedenaście osób, wejście pod most jest przeżyciem granicznym.

Adam zostawił samochód na małym placu przy magazynach, w których niegdyś mieściła jakaś hurtownia – ale to było dawno. Teraz stały tu tylko pordezwiątałe kontenery, nie wiadomo z czym w środku. W jednym z nich kilka godzin wcześniej zainstalowali się ludzie, którzy ewentualnie mieli mu przyjść z pomocą. Ich obecność miała go jednak raczej wspierać duchowo, bo od miejsca

wyznaczonego spotkania kontenery dzieliło kilkaset metrów, a siedzący w środku nie mieli literalnie żadnego wglądu w to, co działo się z Adamem od momentu, gdy opuścił samochód. Może usłyszeli, gdyby bardzo głośno zawołał o pomoc, ale po pierwsze, najprawdopodobniej jego krzyk stłumiły i tak rumor aut przetaczających się w liczbie kilku tysięcy na godzinę ponad jego głową, a po drugie, jeśli tamci chcieliby rzeczywiście coś mu zrobić, to na pewno nie pozwoliliby mu przy tym krzyczeć. Słowem: całe zaplecze w kontenerze miało jedynie oddziaływać psychologicznie, przy czym bardziej chodziło tu o psychikę Mateckiego niż Adama. Od trzech kwadransów w lasku sąsiadującym z piaszczystą łachą pod mostem leżała wprost na ziemi Monika z noktowizorem na głowie, a obok niej – Warecki, który zabrał nawet karabin snajperski, również wyposażony w lunetę noktowizyjną. O ich obecności Adam jednak nie wiedział, bo gdyby wiedział, to na pewno by na nią nie przystał. Byli zbyt blisko, choć wciąż od betonowych filarów mostu dzieliło ich minimum dwieście metrów.

Wójcik zszedł po ziemnej skarpie w dół i dostał się na utwardzoną ścieżkę rowerową. Noc była tak ciemna, że aby przejść choćby parę kroków, musiał włączyć latarkę, którą szczęśliwie zabrał ze sobą. W normalnym świecie funkcję latarki spełniał telefon komórkowy, ale miejsce, w które trafił Wójcik, nie było już normalnym światem i dlatego telefonu nie wolno było mu mieć ze sobą. Po tym jak w ciemnościach odnalazł drogę, Adam ruszył w stronę Wisły, próbując jednocześnie wyteńczyć wzrok i wypatrzeć coś pod estakadą mostu. To tam właśnie nakazano mu się stawić. Tyle że „tam” było terenem dosyć rozległym i bez bliższych wskazówek trudnym do zdefiniowania.

– Chodź tu – usłyszał nagle z oddali gdzieś po swojej lewej.

Zszedł ze ścieżki, wszedł na piaszczystą łachę i ruszył w stronę, z której dobiegł go głos. Serce waliło mu tak, że zagłuszało nawet szum aut przetaczających się gdzieś ponad jego głową.

– Widzisz coś? – zapytała Monika, która w swoim noktowizorze, oprócz oddalającej się sylwetki i samochodów w przezroczystym tunelu na górze, nie widziała nic.

– Nie – cicho odpowiedział Warecki.

Na domiar złego teren pod wiaduktem znajdował się w niecce, więc z poziomu lasku, w którym leżeli, nie widzieli niczego, co działo się w cieniu estakady. Wiedzieli od początku, że tak będzie, ale nie mogli podejść bliżej ani też od innej strony, by nie zagrozić operacji, a także życiu Adama.

– No to dupa – skomentowała Monika, wciąż usilnie próbując coś dojrzeć.

Ogólnie czuła się okropnie. To ona, a nie Adam, powinna być teraz tam, bez prawdziwego zabezpieczenia, zdana sama na siebie, nie mając pojęcia, czy dożyje ranka. Ryzyko tej operacji było tak wysokie, że łamało wszelkie możliwe standardy i Matecki, który nie chciał się na nią zgodzić, miał stuprocentową rację. Tyle że w tym wszystkim nie chodziło już o morderstwa, a sprawa od dawna nie była tylko sprawą kryminalną: tu chodziło o coś znacznie poważniejszego, co można by nazwać po prostu racją stanu. Oczywiście, oni nie byli powołani do rozwiązywania takich spraw ani do brania na siebie takiej odpowiedzialności, ani tym bardziej do podobnych poświęceń. Istniały specjalnie do takich celów stworzone organa, jak Agencja Wywiadu albo Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego, a także nawet specjalne formacje wojskowe. Tyle że sytuacja, w jakiej się znaleźli, sprowadzała się do tego, że w każdej z tych instytucji, podobnie zresztą jak w samej policji, byli ludzie, którzy współpracowali z tamtymi, i wszelkie próby kontaktu z tymi instytucjami drogą

formalnie właściwą spełzyłoby na niczym.

– Sprawdź go – powiedziała jakaś postać bez twarzy, bo po pierwsze, było zbyt ciemno na to, by dostrzec rysy, a po drugie, trzech mężczyzn, którzy czekali na Adama pod mostem, miało na sobie czarne bluzy z kapturami.

Adamowi przyszło nagle do głowy, że pewnie na naszywkach przymocowanych do rękawów panowie mają napisane „Śmierć wrogom ojczyzny”. Czy on był wrogiem ojczyzny? Raczej wręcz przeciwnie, ale przecież na wszystko jest zawsze bardzo wiele punktów widzenia.

Drugi z zakapturzonych wyciągnął z kieszeni urządzenie, którym zaczął przejeżdżać po ubraniu Wójcika. W okolicach pasa urządzenie zabręczało.

– Co tam masz? – spiął się ten, który sprawdzał.

– Nasz podsłuch, baranie – wyjaśnił mu bardziej rozgarnięty, który wcześniej zlecił sprawdzenie. – Ściągnij pasek – dodał po chwili, mówiąc już do Adama.

Adam zrobił, jak kazał tamten, urządzenie nie pisnęło już więcej, nawet kiedy ten mniej rozgarnięty przejeżdżał mu plastikowym pałakiem po twarzy.

– Jesteś na pewno sam? – zapytał rozgarnięty.

Adam pokiwał głową, ale było tak ciemno, że łączność mimiczna raczej nie działała, więc na wszelki wypadek po chwili też się odezwał.

– Tak. – Własny głos trochę go zaskoczył, drżał i ledwo wy dostał się z zaschniętego gardła.

– Idziemy – powiedział rozgarnięty, po czym ruszył wzdłuż filarów mostu, w inną jednak stronę, niż spodziewał się Adam.

Plan był taki, że po tym, jak tamci spakują go do jakiegoś auta, bardzo z oddali i na kilka zmieniających się samochodów, ludzie od Rabieja ruszą za nimi. Na razie nie wyglądało jednak na to, że idą w stronę samochodu, skoro szli wprost ku czerni rzeki, przelewającej się w oddali.

Wrzucą mnie do Wisły, przemknęło Adamowi przez myśl. Jest zimno, jeśli rzucą mnie żywego, wytrzymam góra trzy minuty, tam są wiry, nic nie widać, nie dam rady dopłynąć do brzegu. Będzie koniec. Tylko dlaczego?

– Gdzie oni idą? Do rzeki? – Monika zauważyła nagle kilka sylwetek przemieszczających się w stronę wody. – Utopią go.

Warecki przekierował swój karabin i lunetę we wskazaną stronę. On też widział sylwetki. Przez moment się wahał, czy nie zacząć strzelać. Nie waliłby w ludzi, ale obok nich, może wtedy zrobiłby się bałagan i Adamowi udałoby się uciec. W tym momencie zauważył, że do brzegu zbliża się od strony ciemnej toni jakiś większy kształt.

– Łódka – wyszeptał.

– Co? – Monika też próbowała wypatrzeć coś jeszcze w gęstwinie zielonkawo rozjaśnionych noktowizją ciemności, ale nie mogła, denerwowała się coraz bardziej, ręce jej drżały.

– Idą do łódki. – Czesław poszerzył swoją wypowiedź.

– Wrzucą go do wody z łódki, na środku rzeki. – Monika zaczynała tracić kontrolę, nerwy brały górę, chciała się poderwać i biec w tamtą stronę, ale Warecki w ostatniej chwili ją powstrzymał.

– On się nie opiera, czyli nie czuje zagrożenia – powiedział. – Wygląda to tak, jakby raczej

wymyślili sobie łódkę, żeby nas zgubić.

– Niech pan wsiada. – Adam usłyszał z łódki miły, damski głos, mówiący tonem nieznoszącym sprzeciwu. W głosie była jakaś urokliwa nuta delikatnego wschodniego zaciągania.

Wsiadł, a za nim włądowało się tamtych trzech mężczyzn. Motorówka była całkiem spora, ale jednocześnie przystosowana do warunków żeglugi wiślanej, bo płaskodenna. Po chwili silniki zaburczały niskim brzmieniem i łódka niespiesznie oddaliła się od brzegu. Wyrzuca, czy nie wyrzuca, zastanawiał się Adam, ale czuł, że to pierwsze rozwiązanie byłoby zbyt proste.

Gdyby chcieli go załatwić, mogli to zrobić już na brzegu, ewentualnie wrzuciliby ciało do łódki i potem gdzieś wywalili na środku rzeki. – Warecki patrzył na przerażoną Monikę. – Naprawdę nie sądzę, żeby o to chodziło.

– To po co go w ogóle gdzieś wywożą? – Monika starała się opanować nerwy, ale nie przychodziło jej to łatwo: kolejnej ofiary, i to w osobie Adama, już nie zniesie.

– Nie wiem, może strzeżonego pan Bóg strzeże, może obawiali się, że przyciągnął ogon, może na wszelki wypadek. – Czesław nie był przesadnie przekonujący w swej argumentacji, a to z tej prostej przyczyny, że sam nie był przekonany o prawdzie tego, co mówił.

Łódka przybiła do brzegu w chaszczach po drugiej stronie, ale nastąpiło to kilkaset metrów w dół rzeki, w rejonie, gdzie Kanał Żerański wpadał do Wisły. Adam szczęśliwie wciąż był na pokładzie. Mężczyźni, którzy wcześniej wprowadzili go do łódki, teraz go z niej wywlekli. O ile tam było groźnie, ale kulturalnie, o tyle tutaj zrobiło się już raczej brutalnie. Po wyprowadzeniu Adama na brzeg ten, który słabo myślał, ale za to był zwalisty jak komin pobliskiej elektrociepłowni, walnął go na początek mocno na odlew w twarz, i poczuł przy tym wyraźną ulgę. Ludzie, których opatrność nie wyposażyla w przesadnie rozbudowany system neuronów, często mają z tego powodu jakiś kompleks. Dlatego możliwość zmiżdżenia komuś twarzy daje im to, czego potrzebują najbardziej: potwierdzenie, że istnieje jakieś pole sprawności, na którym mają jednak przewagę. Adam, choć nie musiał, bo cios nie był aż tak silny, to jednak obalił się na ziemię. Po pierwsze, gdy się leży, można się nieco lepiej osłonić, a po drugie – zawsze trzeba jednak mieć w sobie empatię dla drugiego człowieka. Skoro tamtemu tak bardzo zależy na potwierdzeniu własnej wartości, to lepiej mu to ułatwić, niż utrudniać.

– Wstawaj. – Teraz ten trzeci, który do tej pory nic jeszcze nie powiedział, pochylił się nad Adamem, złapał go za połą kurtki i dźwignął w górę.

Czyli jednak mnie odwała, pomyślał Adam. W tym momencie zauważył jednak podjeżdżające zza kępy krzaków czarne bmw i poczuł, że tamten ciągnie go w stronę auta. W tę samą stronę udawała się też przystojna kobieta w pończochach ze szwem na łydkach i z pieprzykiem nad wargą. Gdyby mieli mnie odwalić, to po co bym jeszcze żył? Myśli biegały po wnętrzu czaszki Wójcika ze zwielokrotnioną prędkością. Pytania, hipotezy, logiczne odpowiedzi i od razu ich obalanie. Najpierw mnie pomęczą, żeby czegoś się dowiedzieć, spuentowała się myśl w głowie Adama. Inna sprawa, czy jest coś, czego oni mogą jeszcze nie wiedzieć? Pytanie znów podważyło puentę.

Kobieta wsiadła na miejsce pasażera z przodu. Ten trzeci małowmny wepchnął Adama na tylne

siedzenie, po czym całym sobą przepchnął go na środek. Z drugiej strony wsiadł ten, który sprawniej myślał, a nie ten, który sprawniej walił w dekiel. Ten fakt Adam przyjął z niekłamaną ulgą. Wprawdzie z całą pewnością każdy z nich potrafił dobrze przyłożyć w łeb, ale ten, który został na zewnątrz, dodatkowo bardzo lubił to robić, a ci – może nie aż tak bardzo. Kiedy samochód ruszył, myślący założył Wójcikowi worek na głowę, po czym przycisnął go w dół tak, że jego obita już twarz obita się znów, tym razem o własne kolana. Adam syknął z bólu i pomyślał z ulgą, że jeśli założyli mu worek, to znaczy, że ma nie wiedzieć, dokąd jada, a skoro ma nie wiedzieć, to istnieje cień szansy, że tamci obawiają się, że mógłby to potem komuś opowiedzieć. Reasumując: pojawiła się jednak szansa na jakieś potem.

Wściekłość Mateckiego nie znała granic. Ani Monika, ani Warecki podczas jego pięciominutowego monologu, który nieomal przypłacił zawalem, nie odezwali się ani razu. Oboje czuli się winni, choć przecież tak naprawdę nie było innego wyjścia. Po spotkaniu w komendzie Czesław urwał się swojej ochronie i zniknął. Monice, która domyślała się, dokąd udał się kapitan, udało się ubłagać chłopaków od Rابيةja, żeby nie zgłaszali tego wyżej. Gdyby inspektor dowiedział się jeszcze i o tym wybryku Czesława, to prawdopodobnie Mateckiemu nie pomogłaby już nawet noszona przez niego zawsze i wszędzie, w maleńkiej, jakby specjalnie po to stworzonej, wewnętrznej kieszonce marynarki, nitrogliceryna.

Warecki w akcie wścieklej bezsilności pojechał prosto na spotkanie z oficerem łącznikowym CIA, pracującym w roli zastępcy attaché wojskowego przy ambasadzie amerykańskiej. Spotkanie niestety nie wniosło do sprawy zbyt wiele. Amerykanie wiedzieli oczywiście o istnieniu rozbudowanej siatki wywiadu rosyjskiego operującej w Warszawie i w Polsce, ale mimo usilnych starań do tej pory nie udało im się dotrzeć do nikogo z ludzi w niej działających. Może zresztą Steve, który wyglądał bardziej na Petera, ale pewno nazywał się Martin, miał w zanadrzu jakieś ewentualne opcje działania. Niestety przynajmniej na razie nie chciał się nimi podzielić z Wareckim. Kapitana sprawdził zresztą zawczasu swoimi kanałami w polskim wywiadzie i od swojego informatora dowiedział się, że Czesław Warecki był, owszem, obiecującym oficerem, ale ostatnio nałogi i sprawy osobiste spowodowały, że mocno opuścił się w pracy i zaczął snuć teorie spiskowe dotyczące różnych rzeczy. Te brednie wynikały jednak z tego, że źródło Steve'a też już było objęte programem rosyjskich kompromatów, gdyż współpracujący z Amerykaninem agent „Wiosna” miał romans, a jednocześnie mocno kochał swoją żonę, ponieważ była bardzo bogata z domu. W jego wypadku zatem kompromat był prosty jak konstrukcja cepa i nasunął się tamtym właściwie sam.

Panowie stali teraz w chińskiej altance w pobliżu Starej Oranżerii w Łazienkach. Było zimno i ciemno, światło z lampionów nie dawało zbyt wiele, ale nawet nie widząc jego twarzy, Warecki wyczuwał niechęć i brak zaufania. Nie musiał też przesadnie długo zastanawiać się nad tym, z czego najprawdopodobniej ona wynikała.

– *But if I get to know anything, you'll be the first to know*¹. – Steve, choć pracował dla jednego z najlepszych wywiadów na świecie, nie potrafił kłamać zbyt przekonująco. A może po prostu mu się nie chciało lub, co najbardziej prawdopodobnie, uznał, że jeśli Warecki poczuje jego niechęć, to ich

spotkanie skończy się szybciej.

– *Person who told you bad things about me is probably, or surely even, part of the organization we're trying to defeat*². – Czesław mówił wprawdzie z akcentem innym niż Steve, ale był to raczej akcent brytyjski niż polski. – *Think about it*³.

– *What is it, that you're suggesting Czeslav?*⁴ – Trudność wymówienia jego imienia oraz to, że Warecki mówił z brytyjskim akcentem, też nie zjednywały mu sympatii Amerykanina.

– *All I'm suggesting is that our country has been deeply infiltrated by foreign secret service, Steve*⁵. – Warecki zastanawiał się, dlaczego jemu imię kolegi nie miało prawa nastęrczać problemów, a Amerykaninowi imię „Czesław” krzywiło usta, jakby tamten nagle dostał wylewu. – *And we are your ally as far as I know*⁶.

Steve zrozumiał już, że łatwo go nie zniechęci, co w jakimś sensie dało mu do myślenia. Gdyby ten facet, o imieniu brzmiącym jak nazwa sałatki z białej kapusty sprzedawanej w McDonalddie, był rzeczywiście lewy, jak go zapewniano, to w momencie gdy zorientował się, że on o tym wie, powinien z automatu odpuścić.

– *Yes, you are our ally, but then again, how should I know who is on the right side and who is not?*⁷ – Steve zdecydował się zagrać *va banque*. Mógł sobie w sumie na to pozwolić. Przynajmniej na razie nic nie ryzykował. – *Czeslav...* – dodał po chwili, patrząc Wareckiemu prosto w oczy. Na tyle oczywiście jedynie, na ile pozwalało na to wątle światło idiotycznych chińskich czerwonych lampionów.

– *Why would I even want to meet with you without permission from my bosses, if I didn't have a reason? You are aware, Steve, of the risk I'm taking meeting with you here*⁸? – Warecki wytrzymał spojrzenie. – *By the way when you checked me you have actually sentenced me*⁹. – Uśmiechnął się.

– *I'll think about it, captain*¹⁰. – Steve po raz pierwszy użył stopnia zamiast imienia przypominającego sałatkę, to już stanowiło dla Czesława, zdaje się, rodzaj nobilitacji. – *And by the way I didn't tell anyone that we're meeting. All I told them was that I heard you're playing some anti-russian game. That I suppose was no news for them*¹¹. – Steve uśmiechnął się nagle.

– *Think fast, major*¹². – Warecki odwzajemnił się oficjalnym sformułowaniem, zaskakując przy tym trochę Steve'a. Jego stopień nie był rzeczą powszechnie znaną. – *We have a hostage situation*¹³.

– *Thing is that even if I want to help you, I really don't have a rat among these guys*¹⁴ – zwierzył się Amerykanin.

Warecki właściwie mu uwierzył, ale nawet jeżeli rzeczywiście nie mieli wśród tamtych kreta, to na pewno mieli jakiś inny pomysł. A może nawet tego nie mieli? Może w Stanach rządu prawicy skumanej z Putinem osłabiły nawet zdolność CIA do brania się za bary ze złem wcielonym.

– *Do you need a ride*¹⁵? – zapytał nagle Steve.

W normalnych warunkach wożenie się z rezydentem obcego wywiadu po Warszawie byłoby dla pracownika ABW samobójstwem, ale w tej chwili samobójstwo było czymś, co Wareckiego martwiło najmniej. Przytaknął zatem. Steve zdziwił się trochę, ale zdaje się przy okazji upewniło go to o tym, że kapitan był rzeczywiście zdeterminowany do granic desperacji.

Panowie rozstali się w pobliżu budynku na Żurawiej. Trzy minuty później Czesław był w mieszkaniu na górze. Od wejścia chciał podzielić się z Moniką wrażeniami ze spotkania ze Steve'em, ale nie zdążył, bo ona zaczęła mówić pierwsza.

– Zadzwonili. – Była roztrzęsiona, ale jednocześnie jakby optymistyczna.

– Kto? – zapytał.

– On żyje. – Monika w ogóle go nie słuchała. – Rozmawiałam z nim, Adam żyje.

– Okej. – Warecki patrzył na nią, zdziwiony. – I... czego chcą?

– Chcą...? – Monika przez chwilę zastanawiała się, tak jakby zapomniała.

– No, czego chcą, pieniędzy, jakichś gwarancji, czego? – Warecki był coraz bardziej zaniepokojony, bo Monika zachowywała się co najmniej dziwnie. Co gorsza, to zachowanie przypominało trochę stany, w jakich bywała wcześniej, kiedy brała jeszcze narkotyki.

– Mnie. – Teraz dopiero Brzozowska nagle jakby się uspokoiła, popatrzyła Czesławowi w oczy i uśmiechnęła się, ale bez radości, raczej ze smutną konstatacją.

– No to nie dostaną. – Czesław pokręcił głową, a w jego spojrzeniu były jednocześnie niezgoda i smutek wynikający ze świadomości, że ta niezgoda i tak na nic się nie zda.

– Mam być sama. Jeśli się połapią, że ktoś jest ze mną, odwałą go – kontynuowała. – Mam przyjechać samochodem. Adam przejdzie do auta, którym ja przyjadę, i odjedzie.

– Monika, przecież to kompletnie nie ma sensu. – Warecki jeszcze próbował walczyć.

– Nie miało sensu, że go wystawiliśmy, wszystko, co może pomóc, żeby go odzyskać, ma sens. – W jej głosie czuć było absolutną niechęć do jakiegokolwiek kompromisu.

– Nawet twoja śmierć? – Czesław sięgnął po najcięższy argument.

– Miałam umrzeć dawno temu, wtedy przeżyłam przez przypadek, ostatnio miałam nie żyć znowu, tym razem przeżyłam dzięki tobie, albo uda się jeszcze raz, albo nie, ale na pewno sobie nie poradzę, jeśli z nim coś się stanie, więc nie ma wyjścia, kapitanie. – Monika uśmiechnęła się nagle, a w tym uśmiechu było coś, czego Warecki nie widział jeszcze nigdy wcześniej.

– Nie po to cię ratowałem, żeby teraz cię stracić. – Czesław nie odwzajemnił uśmiechu, był naprawdę przerażony. – Kiedy? Gdzie?

– Jutro. A gdzie, to mają dać znać w ostatniej chwili. – Monika podeszła bliżej i wyciągnęła rękę w geście oczekiwania na to, że on zdejmie z siebie kurtkę i jej poda.

Warecki zdjął kurtkę, podał ją Monice i w tym momencie zrozumiał, że po prostu nie pozwoli jej odejść.

Adam w czasie jednej z rozmów z kobietą z pieprzykiem zdał sobie sprawę, że Lizawieta, jak mu się sama przedstawiła, wprawdzie wiedziała o ich spisku i o tym, że komunikowali się za pomocą karteczek, ale tak naprawdę nie miało to dla niej większego znaczenia. Od początku chodziło o Monikę. Nie mogli porwać jej spod bloku Za Żelazną Bramą, bo Brzozowska była osobą znacznie trudniejszą do przejęcia niż on. Lizawieta powiedziała mu wprost, że o ile jego dało się zwabić na górę i w gruncie rzeczy rozpracować w dość prosty sposób, o tyle z Moniką byłoby o wiele trudniej. Prawdopodobnie doszłoby do wymiany ognia, a psychopatka, za jaką Lizawieta uważała Monikę, nie oddałaby się żywa w ich ręce. Wójcikowi nie chciało się tłumaczyć, że elementem ich gry było właśnie to, że spodziewali się z ich strony propozycji współpracy, więc Brzozowska prawdopodobnie

też podjęłaby jej pozorację. Nie chciało mu się, bo właśnie dotarło do niego, że w całej tej sprawie, która pozornie rozgrywała się na wyżynach politycznych stołków, chodziło jeszcze, a może nawet przede wszystkim, o coś zupełnie innego. Gdzieś pod spodem, aczkolwiek teraz już nawet nieprzesadnie ukryty, płynął strumień jakiejś zaszłości *stricte* emocjonalnej i bardzo osobistej. Choć jej mocodawcom chodziło o to, by zyskać wpływ na bieg wydarzeń w Polsce, to samej Lizawiecie zależało chyba bardziej na tym, by mieć wreszcie możliwość... No właśnie, możliwość czego, tak naprawdę? Tego Wójcik nie wiedział do końca, ale co do jednego był stuprocentowo przekonany: że ów osobisty wątek dręczący tę kobietę dotyczył jego szefowej, komisarz Moniki Brzozowskiej.

Adam i Lizawieta siedzieli w eleganckiej, wyłożonej marmurami kuchni jakiegoś domu położonego nie wiadomo gdzie, acz z długości przejazdu wynikało, że prawdopodobnie niezbyt daleko od centrum Warszawy. Za oknami widać było młodniak, jakich miliony, na niebie czasem przelatywały dość nisko samoloty podchodzące do lądowania na Okęciu, co dawało pewne wskazówki, ale bardzo mało precyzyjne. Dom zresztą był kolejną dziuplą, którą tamci prawdopodobnie za kilka dni opuszczą, a przy tym nie pozostawią w niej żadnych śladów. Może trochę włosów, drobinki naskórka, słowem: DNA, ale komu i na co DNA agentów obcego wywiadu, skoro i tak nigdy nie da się go porównać z niczym?

– Jaka ona jest? – Wschodni akcent kobiety z pieprzykiem przywodził mu trochę na myśl wspomnienie własnego dziadka, który pochodził, zdaje się, właśnie stamtąd, gdzie kiedyś była Rzeczpospolita, choć przecież nigdy nie było tam Polski. Zdaje się, że były to okolice Stanisławowa, czyli Iwano-Frankiwska na dzisiejszej Ukrainie.

– Kto? – Adam oczywiście wiedział, o kogo pyta Lizawieta, ale choć w tym niewielkim obszarze chciał mieć nad nią przewagę, choć tu chciał się z nią trochę podroczyć.

– Maładec, jeszcze próbujesz być cwany. – Uśmiechnęła się dziwnie. – Jaka?

– Odważna, szlachetna i ma kręgosłup – odpowiedział, wiedząc, jak wiele ryzykuje.

– Kręgosłup? – zdziwiła się kobieta. Widać jej znajomość języka nie sięgała na głębokość aż takiej idiomatyki.

– Tak, ma zasady, wie, co robi, a przede wszystkim wie po co. To pomaga w życiu. – Wójcik miał świadomość, że stąpa po cienkim lodzie, że właściwie jest na krawędzi między światami, zresztą może dlatego miał już na to wszystko wywalone. – Ludzie bez zasad muszą żyć w strasznym gnoju – bardziej zapytał, niż stwierdził.

– Nie tolka maładec, no geroj – zaśmiała się Lizawieta. – Różne są zasady, zależy skąd się jest, jak wy to mówicie, punkt widzenia zależy od punktu siedzenia. Jaka jeszcze?

– Mądra, dobra, ładna, troskliwa, odpowiedzialna... – Adam szedł po bandzie.

– Tak myślałam – przerwała mu nagle Lizawieta. – Zobaczymy, czy na tyle dobra, żeby ci uratować życie.

Tak, Monika, stojąc teraz na opustoszałym trzydzieści lat wcześniej parkingu za halami na Żeraniu, ratowała Adamowi życie, ale nie uważała, że robi to z dobroci, odpowiedzialności czy mądrości. Uważała, że robi to, bo gdyby tego nie zrobiła, to potem i tak musiałaby się zaćpać na śmierć. Matematyka życia była nieubłagana, a ten algorytm wydawał się jednak znacznie praktyczniejszy. Zginąć miała jeszcze tylko jedna osoba, a do tego prawdopodobnie miała umrzeć szybko, bez

wielomiesięcznej męczarni z kompotem w żyłach. Wszystkie opcje, w których przejście mieli zabezpieczać chłopcy od Rabieja, warianty, dzięki którym mogła się z tego wywinąć, Monika uznała za zbyt ryzykowne dla Wójcika. Musiała jednak i tak trochę zaryzykować, bo istniała możliwość, gdyby tamci się uparli, że mogli sprzątnąć i jego, i ją. Nie było jednak wyjścia. Stała więc teraz w swoim saabie pomiędzy halami, w których kilkadziesiąt lat temu kipiało robotnicze życie, a które teraz były w najlepszym razie magazynami elektronicznego złomu, i czekała na rozwój sytuacji.

Czarna limuzyna pojawiła się z kierunku, z którego kompletnie się jej nie spodziewała. Wyjechała pomiędzy dwóch magazynów, czyli od strony zakładów, a nie zza jej pleców, od ulicy Jagiellońskiej. Samochód stanął na wprost niej w odległości piętnastu metrów i błysnął światłami, co oznaczało, że Monika ma wysiąść. Ona nie chciała jednak ryzykować, wołała swój wariant, w którym najpierw musiała przynajmniej zobaczyć Adama, więc czekała. Po chwili tylne drzwi limuzyny otworzyły się i wysiadł z niej Wójcik, który ruszył w jej stronę, po czym stanął mniej więcej w połowie drogi. Wtedy wysiadła też w końcu Monika. W swoim samochodzie zostawiła włączony silnik i otwarte drzwi. Po chwili ruszyła w stronę drugiego auta. Minęli się po kolejnych kilkunastu krokach.

– Dziękuję – usłyszała z ust przechodzącego Adama.

– Drobiazg – powiedziała bardziej do siebie niż do niego.

Po chwili on doszedł do jej samochodu, a limuzyna podjechała bliżej niej. Monika podeszła do tylnych drzwi, zajrzała. W środku był drugi z facetów, których pamiętała z wydarzeń znad Wisły sprzed kilku miesięcy. Pierwszy już nie żył, zabity przez kobietę z pieprzykiem, gdzieś musiało być jeszcze pozostałych dwóch.

– Wsiadaj, kurwo. – Facet zaczął mało przyjaźnie i uśmiechnął się krzywo.

Wsiadła. Adam był już w jej samochodzie, a ona martwiła się wyłącznie o to, że nie rusza. Teraz, kiedy mieli już ją, mogli...

W tym momencie, gdzieś zza pleców, usłyszała salwę karabinową i przednia szyba w saabie pękła.

– A wy, chuj! – zdążyła krzyknąć. W tym momencie dostała z łokcia prosto w twarz i straciła przytomność.

Warecki zgodził się na wszystko, nie było ludzi od Rabieja, nie było CBS, ABW ani nawet zabezpieczenia w jakiegokolwiek innej formie, ale nie mógł przystać na to, żeby nie było też i jego samego.

Kiedy padł pierwszy strzał z serii, która miała uśmiercić Wójcika, Czesław ze swoim karabinem snajperskim był na dachu hali oddalonej o sto metrów od miejsca wymiany. Pierwszemu strzałowi na szczęście towarzyszył błysk. Warecki w ćwierć sekundy skierował swój karabin w rejon, w którym chwilę wcześniej zobaczył światło, odczekał jeszcze sekundę, a kiedy pojawił się kolejny błysk, przymierzył i raz za razem kilkanaście razy nacisnął spust. Znał się na tym dość dobrze, bo umiejętności szlifował na prawdziwym polu bitwy. Nikt, nawet jego przełożeni, nie wiedział, że kapitan Warecki w specjalnych jednostkach wywiadu wojskowego wcześniej walczył na przedmieściach Mosulu, i nie tylko tam. Po kilku sekundach tej jednostronnej wymiany ognia Adam wbił wsteczny, wcisnął gaz do dechy i położył się na siedzeniu. Zdążył, choć urwał przy tym tylne zawieszenie, wyjechać na wstecznym na środek ulicy Jagiellońskiej. Na szczęście był wieczór, więc nic nie nadjeżdżało od strony ronda Starzyńskiego. Dopiero chwilę później, kiedy wysiadł już,

roztrzęsiony, z auta, podbiegł do niego jakiś kierowca zabłąkanego tira na bułgarskich numerach rejestracyjnych.

Kiedy Warecki po kilkunastu sekundach spojrzął w dół, na plac między halami fabrycznymi, na którym przed chwilą doszło do wymiany Adama na Monikę, nie było tam już śladu po nikim ani po niczym. Adam wyjechał na Jagiellońską, a limuzyna z Moniką jakby rozplynęła się w powietrzu.

Pół godziny później razem z Rabiejem, jego ludźmi i z samym Mateckim przeszukiwali halę, z której padły strzały. Warecki utrzymywał, że musiał przynajmniej ranić strzelca, ponieważ po jego kanonadzie z okien hali nie padła już żadna salwa. Matecki w to nie uwierzył, bo nie wiedział, że Czesław na swojej drodze zawodowej zdążył już być strzelcem wyborowym, i to sprawdzonym w ciężkich warunkach bojowych – i Matecki się pomylił. Kiedy dotarli do miejsca, z którego padły strzały, a które w przybliżeniu na podstawie ułożenia okien określił Warecki, nie było już człowieka, ale leżał tam karabin i widać było ślady krwi. Przy okazji uwadze inspektora nie mógł umknąć fakt, że całe prawie obramowanie okna, przy którym strzelec umieścił swoje stanowisko, było rozharatane kulami, jakby trafił w nie granatnik.

– A pan co, kurwa, nadwzrocność ma? – Matecki popatrzył na Czesława ze zdziwieniem.

Warecki nie był teraz jednak zainteresowany ustalaniem z inspektorem zalet swojego wzroku. Interesowało go co innego. Z ilości krwi pod oknem można było wnosić, że rana musiała być dość poważna. Do tego krew była jasna, więc pochodziła najprawdopodobniej z którejś z tętnic, a z przestrzeloną tętnicą daleko zajść się nie da. Warecki w milczeniu ruszył tropem kropel czerwieni widocznych co kilka kroków na betonowej podłodze. W pewnym miejscu śladów było więcej, później nie było ich już widać w promieniu kilku metrów, ale zobaczył za to ślady wojskowych butów, odcisnięte w pyle.

– Tu musiał sobie uciskową założyć – ocenił Czesław, oświetlając ziemię latarką. – Ale i tak daleko nie czmychnął, ma przestrzeloną albo udowę, albo może nawet szyjną. Z czymś takim trekkingu nie da się uprawiać.

Warecki i Adam, wraz z towarzyszącym im Mateckim, komisarzem Rabiejem i dwójką jego ludzi, przeszli do wyjścia z hali i dalej na klatkę schodową. Już z piętra było widać leżący na samym dole, w dziurze między schodami, ciemny kształt ciała. Gdy doszli, okazało się, że mężczyzna w czarnym moro leżał z twarzą skierowaną w dół. Nie wiadomo było, czy spadł, czy doszedł aż tutaj i się obalił – a to miało znaczenie zasadnicze. Jeśli spadł, to na pewno nie żył, jeśli doszedł, to był jeszcze cień szansy, że żyje. Warecki, nie przesuwając ciała, dotknął szyi. Po chwili pokiwał głową na znak, że tętno jest jeszcze wyczuwalne, po czym obrócił mężczyznę i na moment zdębiał.

– Kalicki się ucieszy – skomentował po chwili, patrząc na poszarzałą i zakrwawioną twarz komisarza Leopolda Stasiaka.

– A to kurwa – westchnął Matecki.

Rabiej pokiwał głową. Jego dwaj podkomendni najwyraźniej nie wiedzieli jednak za bardzo, o co chodzi.

– Komisarz Leopold Stasiak, szef kryminalnej w komendzie stołecznej, w zeszłym roku wyszło na jaw, że jest powiązany z szajką pedofilską, a może nie tylko pedofilską, więc zniknął – wyjaśnił Rabiej, popatrzył chwilę na leżącego, po czym dodał: – A teraz się znalazł.

Monika obudziła się w jakiejś piwnicy. Nad głową zobaczyła mały zakratowany lufcik, wkoło było ciemno, kompletnie czarno wręcz. Tak naprawdę nie była nawet pewna, czy rzeczywiście się obudziła, czy może śni dalej. Ten stan? Znała go skądś. To, co było dla niego najbardziej charakterystyczne, to pamięć, a właściwie jej brak, jedynie skrawki, fragmenty poszarpane z kiedyś, chyba ze stosunkowo niedawna, wymieszane z innymi, znacznie starszymi. Tłukąca się szyba w jej aucie, wcześniej rozmowa z mężczyzną przystojnym i jakoś jej bliskim, któremu mówi, że sprawdziła u innego ginekologa, a ten potwierdził, że była kiedyś w ciąży i że urodziła dziecko... Dziecko. Cichy płacz, jakby kwilenie, gdzieś z oddali. Czy to tutaj, czy w głowie? Może to jej dziecko, ale jak to możliwe, czy jest teraz, czy jest wtedy, czyli kiedy? Monika spróbowała się poruszyć, ale nie było to możliwe, coś troczyło jej nogi i ręce do czegoś innego, na czym leżała. Nie miała pojęcia, ani co troczyło, ani na czym leżała, bo ciemności były nieprzeniknione. Ścisnęła dłoń i poczuła, że ma do niej przyczepione też jakieś przewody. W tym momencie światło rozbłysło jarzeniowo i w pomieszczeniu zrobiło się zielonkawo jasno. Monika spróbowała poruszyć głowę, ale ją też miała unieruchomioną. Kompletny bezruch i wciąż powracające skrawki wspomnień. Nagle wrócił ten najgorszy z możliwych, Monika zobaczyła, jak wbija nożyczki w szyję Borysa, i wtedy zamknęła oczy. Nie da się jednak przecież uciec od wspomnień, zamykając oczy. Znowu usłyszała kwilenie, po chwili rozrywający płacz dziecka, blisko, coraz bliżej, we własnej głowie. Czyli rzeczywiście urodziła?

– Miło cię widzieć... – usłyszała nagle znajomy męski głos za swoją głową. – Moniko.

Skąd dobiega ten głos? Może on też nie ma wcale źródła za głową, tylko w głowie, ale chyba nie, bo w ślad za głosem usłyszała też szcęk jakichś narzędzi w kance. Lekarz? Czyli może to teraz będzie rodzić. Ale gdzie jest i kiedy to wszystko się dzieje?

– Pamiętasz mnie? – Głos dobiegł teraz znad jej głowy.

Monika otworzyła oczy i zobaczyła nad sobą mężczyznę w białym kitlu. Tego samego, za którym parę miesięcy wcześniej sama rozsyłała listy gończe i europejski nakaz aresztowania, tego samego, do którego kiedyś w tamtym życiu wysłał ją Piotr, a właściwie chyba jednak Borys. No właśnie, kogo tak naprawdę zabiła, bo przecież nie można zabić dwóch ludzi w jednym człowieku? Czy zabiła Borysa za to, kim był, czy – Piotra za to, że tak ją oszukał?

– Pamiętam – odpowiedziała sennie. – Psycholog, hipnotyzer, psychiatra czy kimkolwiek jesteś, profesorze Zimecki.

– To ma znaczenie? – zapytał z uśmiechem, którego nienawidziła, bo był protekcyjny.

– Nie, chuju, to nie ma żadnego znaczenia, i tak cię dorwę. – Uśmiechnęła się, próbując naśladować cynizm jego uśmiechu, ale nie umiała.

Doktor nic już nie powiedział. Zamiast tego podniósł rękę, w której miał strzykawkę. Następnie odblokował wenflon wpięty do żyły na jej nadgarstku i wprowadził do niego żółtawą zawartość strzykawki.

– Pośpij jeszcze, zobaczymy się później, mamy całą wieczność. – Zimecki zaczął znikać powoli we mgle żółtawej substancji, która dotarła do jej mózgu. Poczuła błogość, a sekundę później lęk, bo zanim rozpląnęła się kompletnie w żółtej brei, zdążyła się jeszcze zorientować, że znowu wpada w otchłań heroiny.

Stasiak nie leżał w piwnicy, ale miejsce, w którym się obudził, nie było też z całą pewnością salą szpitalną. Pamiętał strzelaninę, potem moment schodzenia po schodach, pamiętał, jak słabł, jak krew uchodziła z niego razem ze świadomością, potem pamiętał coś jeszcze, ale miał nadzieję, że to już mu się przyśniło.

– Wróciłeś, przyjacielu. – Nie, to niestety mu się nie przyśniło, bo stał teraz nad nim człowiek, którego miał nadzieję już nigdy nie zobaczyć w swoim życiu: komisarz Kalicki.

Stasiak spróbował zamknąć oczy, najchętniej zniknąłby stąd, ale niestety wiedział, że to nie będzie możliwe. Po chwili usłyszał, że do pokoju, w którym się znajdował, wszedł ktoś jeszcze.

– Obudził się? – usłyszał głos doktor Walińskiej.

– Obudził się, ale próbuje udawać, że go nie ma – z ciemności pod powiekami odpowiedział Kalicki.

– Podać mu? – zapytała lekarka.

– Sam to zrobię, żeby pani doktor nie musiała łamać przysięgi. – Kalicki mówił tonem, który zwiastował dla Stasiaka coś naprawdę złego.

Walińska chyba wyszła, bo Stasiak usłyszał odgłos zamykanych drzwi, potem ukłucie i chłód czegoś, co rozchodziło się w żyle. Przez moment nie działo się nic, aż nagle poczuł ból, którego wcześniej nawet nie byłby w stanie sobie wyobrazić. Chciał zawyć, ale dłoń tamtego blokowała mu usta. Otworzył oczy i zobaczył, że Kalicki drugą ręką wcisnął mu skalpel w ranę postrzałową na udzie i teraz go przekreślił.

– Wróciłeś, przyjacielu – powtórzył pierwszą kwestię komisarz, nie wyciągając skalpela z rany.

– Wróciłem. – Stasiak uznał, że jedyną radą na to, by nie oszaleć z bólu, było mówić.

– Tak się cieszę, że znów jesteś z nami. – Kalicki mówił natomiast tak, jakby był robotem albo syntezatorem mowy.

– Kurwa, co ty odpierdalasz?! – krzyknął Stasiak.

– Karzę cię. – Kalicki wciąż się uśmiechał. – Właściwie to dopiero zaczynam cię karać.

Wyciągnął skalpel z rany, ale wcześniej nie obrócił go do pierwotnej pozycji, więc przy okazji wyrwał Stasiakowi z uda kawał mięsa.

Stasiak zobaczył ciemność, ale nie stracił przytomności, a to właśnie było w tym wszystkim najgorsze.

– Trochę cię podkreśliłem. – Kalicki wytarł skalpel o prześcieradło, którym przykryty był Stasiak, i wskazał na strzykawkę leżącą w stalowej kance. – Tak łatwo mi stąd nie odleczysz.

Następnie komisarz wziął krzesło i usiadł obok wezglowia łóżka, na którym leżał Stasiak. Tym razem Walińska nie zgodziła się na to, żeby rzecz działa się u niej w mieszkaniu, tego byłoby już za wiele. Byli w mieszkaniu na Żurawiej, do którego komisarz Andrzej Kalicki, odszukany z pomocą Walińskiej, przybył kilka godzin wcześniej. To w tym mieszkaniu poprzedniego dnia na stole kuchennym Walińska najpierw wyciągnęła kulę z rany na udzie Stasiaka, a następnie zszyła ranę tylko po to, żeby Kalicki ją teraz na nowo rozpruł. Gdyby zresztą lekarka o tym wiedziała, nigdy nie pozwoliłaby komisarzowi na takie okrucieństwo i marnotrawienie jej pracy. Generalnie kobiety strzegły świata przez złem, w które pchali go faceci. Teraz jednak akurat bez okrucieństwa

prawdopodobnie by się nie obyło, bo sama wymiana argumentów, jakkolwiek byłaby ze strony Kalickiego przekonująca, mogłaby Stasiaka nie zmusić do współpracy. A stawką było życie Moniki.

– No, dobra, Leon, nie ma czasu. – Komisarz po chwili milczenia przeszedł do rzeczy. – Powiem tak. Na różnych mają różne kwity, na tym, zdaje się, polega ich złota metoda. Wszyscy, których tymi kwitami złamali, mnie wnerwiają, ale jakoś ich czasem mogę próbować zrozumieć. Ale z tobą jest inna historia. Na ciebie nie mieli kwitów, sam do nich polazłeś. Tak czy nie?

Stasiak milczał do momentu, kiedy Kalicki znów nie ujął skalpela w swoje zwinne palce.

– Tak.

– No właśnie, i to czyni cię po prostu zwykłą kurwą – skonstatował Andrzej. – Niejedyną oczywiście, bo dzisiejszy świat roi się od ludzi, którym „być” tak bardzo popierdoliło się z „mieć”, że już nic nie rozumieją. Niejedyną, ale ty, Leon, byłeś policjantem, który wystawił swoich kolegów, i to jest absolutnie nie do zaakceptowania. Byliśmy kiedyś w tym razem: ty, Malewski, Kozak, ja. Wtedy wszyscy umówiliśmy się, że zadbamy o to, żeby Brzozowskiej nic się nie stało. Tak było?

Stasiak pokiwał głową.

– A ty odwaliłeś coś takiego, że właściwie wystawiłeś ją na pewną śmierć. – Teraz Kalicki nie zadał wprawdzie pytania, ale kiedy tylko zerknął na Stasiaka, ten na wszelki wypadek znów pokiwał głową.

– Nigdy nie odkupisz swojej winy, ale... – Kalicki znów zaczął się bawić skalpelem. – Możesz uniknąć dalszego cierpienia i nawet przeżyć. A jak przeżyjesz, to jako że nowe władze naszego kraju tak wiele zawdzięczają tamtym, kto wie, może nawet przywrócą cię do służby. To byłoby coś, co, Leon? – Andrzej odczekał chwilę, popatrzył na niego i dodał: – Gdzie oni ją trzymają?

– Nie wiem. – Stasiak zaczął się pocić, po chwili szybko dodał: – Nawet jak mi na żywca upierdolisz nogę, to ci nie powiem, bo, kurwa, nie wiem. Oni są za tajni, żeby ktoś taki jak ja mógł to wiedzieć.

– A co wiesz?! – Kalicki krzyknął tak, że tamten aż podskoczył. Po dodał już znacznie spokojniej: – I niech to będzie coś warte, Leon, bo inaczej najpierw potwornie cię zmęcę, a potem wywalimy cię do zsypu i wtedy nie zostaniesz już na nowo policjantem.

Przez chwilę panowała cisza, Stasiak ważył za i przeciw. W końcu doszedł jednak do wniosku, że przynajmniej na razie trzeba improwizować. Coś mówiło mu, że jeśli się nie spisze, to Kalicki ze zwykłej niechęci rzeczywiście utnie mu nogę na żywca, a potem, martwego i bez nogi, wyrzuci go na śmietnik.

– Dobra, Andrzej, ty w ogóle... – Jednak zaryzykował i natychmiast pożałował, bo komisarz wbił mu w tym momencie skalpel w drugą nogę z taką siłą, że ostrze oparło się na kości.

Chciał zawyć, chciał stracić przytomność – i znów ani jedno, ani drugie mu się nie udało.

Przez chwilę sapał ciężko, pot lał mu się z czoła, chociaż było otwarte okno, a na zewnątrz przymrozek.

Chciał powiedzieć, że go zabije, że mu nie daruje, że zniszczy go do piątego pokolenia, ale zamiast tego poczuł, że z kącików oczu zaczęły mu płynąć łzy.

– Znam takiego przydupasa, taki podaj-przynieś-pozamiataj, ale oni wszyscy tam są tacy, wszyscy srają na jej widok – zaczął. – Może on was do niej doprowadzi, a tam, gdzie ona, jest też Brzozowska.

- Kto to jest ona? – Kalicki znów wycierał skalpel o prześcieradło.
- Ona, ona... no, ta Rosjanka cała czy inna Białorusinka, chuj mnie to obchodzi. – Stasiak, skoro już nie dał rady stracić przytomności z bólu, to dostał nagle takiego wyrzutu adrenaliny, że zrobił się wściekły.
- Czemu? – zainteresował się Kalicki.
- Co czemu?! – Stasiak miotał się w bezsilności.
- Czemu Monika będzie tam, gdzie ona? – Kalicki był totalnie spokojny.
- Bo ona jej nienawidzi. W tym wszystkim to chyba jest w ogóle najważniejsze, ta nienawiść. – Stasiak dyszał. – Ale nie wiem czemu. Andrzej, gdybym ja mógł z tego wyjść! Ale już się nie dało, to jest jakiś koszmar.
- Przestań się mazać. Gdzie? – Kalicki popatrzył mu prosto w oczy. – Gdzie ten przydupas?!
- Przesiaduje w knajpce na Żoliborzu, Jaskółka się nazywa, najczęściej pierwszy stolik od razu przy drzwiach, taki zarośnięty żigolak. – Stasiak podjął próbę uśmiechnięcia się z zadowoleniem, co miało za zadanie psychologicznie wpłynąć na Kalickiego, ale po pierwsze, uśmiech nie wyszedł, bo nie udało mu się ukryć grymasu bólu, a po drugie, Kalicki nie ulegał tego typu psychologicznym manipulacjom.
- Komisarz podniósł rękę ze skalpelem.
- Poczekaj! – krzyknął Stasiak. – Dam ci jego numer telefonu, namierzycie sobie.
- A oni namierzą nas, jak namierzamy jego. – Kalicki pokręcił głową i popatrzył wymownie na skalpel.
- Dobra – poddał się Stasiak. – Jak mamy się tam spotkać, zostawiamy naklejkę na słupie przy przejściu przez tory na Wilsona.
- Jaką naklejkę? – westchnął Kalicki.
- Jak ci powiem jaką, to oni będą wiedzieli, że macie tę informację ode mnie... – Stasiak prawie płakał.
- W innym wypadku zsymp, Leon, ja bym już na twoim miejscu nie kombinował. – Kalicki był nieprzejednany.
- Z pandą. – Stasiak zamknął oczy.
- Co? Z jaką, kurwa, pandą? – Kalicki piasnął go dłonią w twarz.
- Ze zwykłą. Nie wiesz, co to, kurwa, jest panda? Taka naklejka zielona, WWF daje takie... – Stasiak spróbował się odwrócić do ściany, ale nie miał jak.
- Ja pierdolę – komisarz Kalicki skwitował rozmowę.

Knajpy są trudne, bo są miejscami publicznymi. Dlatego właśnie w knajpie dla wegan na Słowackiego spotykał się Stasiak z przydupasem Lizawiety. Czasem rzecz działa się z inicjatywy Leona, częściej, tak jak ostatnio na przykład, z inicjatywy tamtego. Stasiak, który wcześniej zarobił już na tych wszystkich układach bardzo dużo pieniędzy, teraz starał się zaskarbić sobie zaufanie tamtych na tyle, żeby w końcu zgodzili się na jego przyjazd do swojej ojczyzny. W Polsce były komisarz policji Leopold Stasiak miał trochę pod górę, bo choć czasy się zmieniły, to jednak nowa władza nie bardzo miała jak wycofać wystosowany za nim rok wcześniej list gończy i europejski nakaz aresztowania. Dlatego zarówno w Polsce, jak i w całej Europie, a nawet szerzej: w całym

świecie zachodnim, Stasiak miał raczej ciężko. Wciąż zapuszczał albo golił zarost, farbował włosy, ubierał się tak, jak nie ubrałby się nigdy, gdyby nie musiał, słowem: dyskomfort. Mieszkanie w Rosji, stały pobyt i najchętniej praca w tamtejszych organach była w tej sytuacji opcją najlepszą z możliwych. Żeby jednak zostać Rosjaninem, ktoś, kto nie dostąpił zaszczytu urodzenia się na tamtejszej ziemi jałowej, musiał się zdrowo napracować. I Stasiak pracował w pocie czoła. Jego ostatnim zleceniem, z którego przez Wareckiego się nie wywiązał, było zastrzelenie aspiranta Adama Wójcika. Nie dość, że nie dał rady, to jeszcze niefortunnym zbiegiem okoliczności nie zginął i teraz miał naprawdę przerąbane.

Knajpy są trudne. Dlatego właśnie kapitan Warecki czaił się od godziny w salce mieszczącej się z tyłu lokalu i czekał wytrwale, aż siedzący pod oknem jegomość wstanie i pójdzie do toalety. Były na to całkiem spore szanse, bo zarośnięty wielkolud wypijał właśnie czwarte piwo, a po piwie normalni ludzie muszą chodzić do ubikacji. Może trwało to długo, ponieważ masa siedzącego była tak duża, że piwo od przetyku do pęcherza miało strasznie zawiłą drogę. W końcu wielki jednak wstał, przeszedł obok Czesława i wszedł do ustępu. Kiedy czterdzieści siedem sekund później otworzył drzwi, by wyjść, ktoś złapał go za gardło i wepchnął z powrotem do pomieszczenia. Uścisk był tak silny, że na nic zdały się doświadczenia lejtnanta Iwana Grigoriewa, bo tak nazywał się wielkolud, wypracowane przez mozolne lata w specnazie. Mężczyzna próbował się jeszcze szarpać, leżąc na podłodze, ale sił ubywało mu wprost proporcjonalnie do zwiększania się długu tlenowego w jego organizmie. Kiedy już prawie stracił przytomność, trzymający go za krtań Warecki sięgnął drugą ręką za połe dzinsowej kurtki, wyciągnął glocka i włożył go do rozwartych ust duszącego się Iwana.

– Gdzie ona jest? – zapytał szeptem, który rozszedł się po wnętrzu czaszki Rosjanina jak ryk mamuta po paleolitycznej jaskini.

Iwan nie mógł odpowiedzieć, bo się dusił, a dodatkowo miał w buzi metalową lufę. Niechęć Wareckiego do niego była tak ogromna, że dopiero w ostatniej chwili kapitan przypomniał sobie, że za moment nie będzie miał z kim gadać. Wtedy w końcu zmniejszył uścisk i wyciągnął glocka z ust Iwana.

– Nie znaju – wybełkotał mężczyzna od razu po tym, jak zrealizował nagłą potrzebę życia, czyli wciągnął powietrze do płuc.

Warecki pokiwał głową, przeładował broń, odciągnął kurek i wraził mu tym razem lufę w oczodół. Bywa czasem tak, że ktoś naprawdę jest gotów zabić kogoś innego. Ludzie w ogóle, a tacy, którzy ze śmiercią i zabijaniem mieli w życiu wiele do czynienia szczególnie, potrafią bezbłędnie wyczuć ten rodzaj desperacji u adwersarza. Dlatego Iwan w ułamku sekundy zobaczył własną śmierć w oczach Wareckiego. Mało kto jest gotów umrzeć w sytuacji, kiedy ma jeszcze jakikolwiek wybór. Iwan do tej wąskiej grupy samobójczych desperatów nie należał.

– Nie wiem, gdzie ona jest, oni cały czas się przenoszą, nikt nie wie... – powiedział błagalnym tonem i najlepszą polszczyzną, na jaką było go stać, po czym dodał, rzutem na taśmę ratując sobie życie: – Ale wiem, gdzie archiw.

Warecki popatrzył na niego, skalkulował, że Rosjanin raczej nie kłamie, bo zobaczył przed momentem w jego oczach lęk przed śmiercią, a archiwum to też coś, co może sprawę posunąć dość mocno do przodu. Sięgnął po radio.

– Zbieramy się – powiedział, przyciskając czarny guzik z boku krótkofalówki.

– Dwie minuty. – Głos Adama był spokojny i rzeczowy.

Dwie minuty później uśmiechnięty na miarę swoich skromnych w tym momencie możliwości Iwan wyszedł z Jaskółki w towarzystwie Wareckiego i Adama. Panowie szli blisko siebie, jakby łączyły ich więzy wieloletniej zażyłości. Nikt z obecnych w kawiarence się nie zorientował, że łączył ich pistolet typu Glock, ukryty pod kurtką i wciśnięty w wątrobę Iwana.

– Czyli już wiesz? – Lizawieta uśmiechała się, patrząc na Monikę siedzącą na podłodze, rozebraną do naga i przypiętą kajdankami za ręce i nogi do kaloryfera.

Brzozowska miała koszmarne mętlik w głowie. Nie wiedziała, gdzie jest i jak długo już trwa ten koszmar, chwilami zapomniała nawet, o co w ogóle w tym wszystkim chodzi i kim jest ta kobieta. Teraz jednak to akurat pamiętała doskonale. Obrazy znów zaczęły wracać. Ta sama kobieta stoi nad nią ze strzykawką pełną brunatnego gówna, z tyłu za nią widzi mężczyznę, Borysa, ale teraz Monika zdała sobie sprawę, że mężczyzna mówi do niej coś bezgłośnie, poruszając ustami. Uspokaja ją chyba, a kiedy tamta wbija strzykawkę, uśmiecha się nawet, jakby mówił „Do zobaczenia”. Ale gdzie? Na tamtym świecie? Po tamtej, kurwa, stronie tęczy?

– Co wiem? – Monika zapytała bez przesadnej ciekawości.

– No... że ciąża, że dziecko, że poród – wymieniła Liza, a zimny uśmiech wciąż nie zniknął z jej twarzy. Ten cholerny cyniczny uśmiech, ale teraz Monika widziała, że grymas podszyty był czymś jeszcze, może nienawiścią.

– Wiem – odpowiedziała, bo wiedziała trochę, choć właściwie prawie nic. Powinna być ciekawa, ale nie miała siły. Odkąd tu była, ten bydlak Zimecki wpompował w nią już taką ilość toksyn, że ledwie widziała na oczy.

– Ale nie wiesz nic poza tym – dopowiedziała z satysfakcją Lizawieta. – Powiem ci, żeby ci się ciężiej zdychało.

Teraz Lizawieta czekała na jakąś odpowiedź, ale ta nie nadchodziła, co lekko ją dziwiło, bo nie miała pojęcia, co to znaczy być w takim stanie. Nigdy nie była, zawsze brzydziły ją narkotyki, od zawsze uważała, że wszelkie używki, oprócz wódki, właściwie są dla słabeuszy. A ona przecież nie była słaba, była potężna, decydowała o losach setek ludzi. W jakimś sensie decydowała nawet o losach dużego państwa w środkowej Europie. Po co jej używki? Czy istnieje jakiś lepszy narkotyk od władzy?

– Dziecko nie było martwe – zaczęła od tej informacji, bo wiedziała doskonale, że Monika rozpatrywała taki wariant od momentu, kiedy dowiedziała się, że ma te cholerne szwy w kroczu. – Urodziłaś chłopaka, dużego, zdrowego i silnego. Urodziłaś, bo tak chciał Borys, potem miałaś umrzeć...

Lizawieta umilkła, a Monika uśmiechnęła się teraz nagle, bo powoli zaczęło jej świtać, o co tak naprawdę w tym wszystkim chodziło. I wtedy przypomniała sobie w końcu, gdzie i kiedy widziała Lizawietę ten jeszcze jeden raz, którego nie mogła sobie wcześniej przypomnieć. Kobieta na cmentarzu z twarzą przykrytą czarną woalką tak szczelnie, że właściwie nie było jej widać. Nie było widać, ale było czuć: zapach piżma zmieszanego z wetiwerem i z czymś jeszcze. Tego się nie zapomina. Znicz palący się na płycie, kiedy już przyszła, nie był dla ojca... A więc Borys, myśli

Monika.

– Z czego się cieszysz, bladź? – Lizawieta spoważniała. Wyglądało na to, że te dwie kobiety nie mogą się uśmiechać naraz. Jeśli robiła to jedna, to drugą doprowadzało to do szewskiej pasji. Tak przynajmniej myślała Liza. – Chodził u mnie na smyczy przez szesnaście lat, bo wasz chłoptaş był tam, gdzie na jedno moje skinienie odstrzeliliby mu łeb, wrzucili do rozdrabniarki i nakarmili nim świnię. Teraz, jak mnie wnerwisz jeszcze bardziej, to wrzucą go do chlewa, nawet bez strzelania mu w łeb. – Liza zaczynała tracić kontrolę nad sobą. To zdarzało jej się cholernie rzadko, nienawidziła tego i dlatego paradoksalnie nakręcała się z chwili na chwilę jeszcze bardziej. Jak sprężyna, pomyślała Monika.

– Borys... – Monika miała w dupie nastroje Lizy, nie bała się sprężyny, wyczuła słaby punkt i już nie zamierzała puścić. – On cię nie kochał, a ty się tak starałaś, przez tyle lat, nawet po jego śmierci.

Wtedy Lizawieta podeszła do niej bliżej i kopała jej nagie ciało tak długo, aż Monika straciła przytomność. Dopiero wtedy sprężyna, nakręcona do granic możliwości, odpuściła.

Głupia sprawa, ale na Żurawiej zaczynało się powoli robić tłoczno. Normalnie zatrzymanych takich jak Stasiak czy Iwan przetrzymywałoby się w areszcie w pałacu Mostowskich albo ewentualnie w czymś lepiej strzeżonym, choćby w siedzibie ABW na Rakowieckiej. Normalnie tak by było, ale tym razem nic nie było normalnie. Apartament za Żurawiej niby teoretycznie należał do ABW, ale trójka w osobach Moniki, Adama i Czesława miała tu dość sporą autonomię i – co ważne – własną już w tej chwili ochronę. Gdyby oczywiście ich zwierzchnicy, oprócz wtajemniczonego we wszystko Mateckiego, wiedzieli o tym, że nielegalnie w mieszkaniu przetrzymywanych jest dwóch więźniów, sprawa wyglądałaby dla nich znacznie mniej przyjemnie, ale na razie zwierzchnicy nie wiedzieli o niczym, a jeśli nawet dostali taką nieoficjalną informację od kogoś, z kim współpracowali, to nie mogli się i tak z ową wiedzą zdradzać, przynajmniej na razie. Właśnie owo „na razie” było najbardziej niepokojące, bo oznaczało, że czasu było coraz mniej.

– Jak robimy? – Naradę odbywającą się na drugim, licząc od sypialni, końcu mieszkania rozpoczął Matecki.

– Jest namiar na archiwa, nie mam pojęcia, czy dobry, ale Iwan wie, że jeśli mnie okłamał, to go odwałę. – Warecki wrócił właśnie ze szpitala od ojca, był zmęczony nie tylko tym, co działo się tutaj, lecz także tym, co działo się tam, czyli w jego życiu rodzinnym.

– Nikogo nie odwalisz. – Matecki powiedział coś, co musiał.

– Tylko że jak wejdziemy na te archiwa, to oni będą wiedzieli, bo pewno nieźle tego pilnują, a jak nie wejdziemy i oni się zorientują, że mamy Stasiaka i Iwana, to sami je zaraz gdzieś ukryją i tyle będzie. – Adam popatrzył na nich z wyraźną sugestią.

– Musimy się tam zacząć, pilnować tych archiwów, a jak się ktoś zjawi, to albo go zawinąć, albo go śledzić i dojść za nim do Moniki – zawyrokował Czesław.

– Nie, te archiwa są zbyt ważne, żeby je wystawiać na wabik. – Matecki miał inne zdanie. – Oni tym głównym szachują nam państwo. Musimy je zdobyć, a potem zajmiemy się resztą. Gdzie to jest?

Dziwnie wyglądają budynki na przedmieściach, zamieszkiwane wyłącznie przez rzeczy, które są za

mało potrzebne, by mieszkać ze swoimi właścicielami, a jednocześnie za mało niepotrzebne, by je wyrzucić. Te dziwne świątynie kultu konsumpcji i posiadania są najczęściej pomalowane na krzykliwe kolory i mają widoczne z zewnątrz fragmenty korytarzy. Niektórych te przestrzenie, na zawsze pozbawione ludzkiej obecności, wprawiają w dziwny stan jakby uogólnionego lęku, innym uświadamiają idiotyzm przemijania albo w ogóle ziemskiej egzystencji. Zbieramy rzeczy, które potem zostaną zeskładowane w klimatyzowanych pomieszczeniach i tam dokonają swojego żywota w drodze erozji, tyle że to nastąpi wieki całe po tym, gdy nas już nie będzie.

Adam z Wareckim podjechali pod taki właśnie budynek i przez dobrą chwilę siedzieli w aucie, zastanawiając się, czy to w ogóle możliwe, żeby rzecz o tak ogromnej wartości, i to mierzonej na wszelkie możliwe sposoby, od tej czysto merkantylnej aż po tę, która wyznacza sens ludzkiego życia, była ukrywana w tak idiotycznym miejscu.

– Może jednak Iwan zaryzykował – zasugerował Adam. – I zrobił z nas kretynów.

– Nie sądzę. – Warecki też zaczął się właśnie obawiać tego samego, ale na razie robił dobrą minę do złej gry. – Wchodzimy do ochroniarza. Bierzymy klucz na legitymację, a jak się nie da, to na ostro. Potem ty zostajesz i go pilnujesz, żeby gdzieś nie zadzwonił, a ja idę na górę...

– A jak jest więcej ochroniarzy? – Adam podniósł logiczny argument.

– To zbieramy ich wszystkich do kupy, reszta jak wyżej. – Warecki był przygotowany.

– Czemu ja zostaję, a ty idziesz? – To, co mieli znaleźć w magazynie, miało tak kolosalną wartość, że po raz pierwszy Adam pomyślał, że może Warecki jest jednak kimś innym, niż sądził do tej pory.

Czesław patrzył na niego chwilę uważnie. Nie miał do niego pretensji. W końcu z tego samego powodu zaproponował taką kombinację, a nie odwrotną. Zastanawiał się raczej nad tym, jak rozwiązać psychologiczny węzeł gordyjski sytuacji, w której się znaleźli. W końcu postanowił go po prostu przeciąć.

– Idziemy po to obaj, ciecia albo cieci zabieramy ze sobą – powiedział i otworzył drzwi od samochodu.

Za ladą recepcyjną w przestronnym hallu, utrzymanym w tej samej krzykliwej tonacji barwnej, co reszta budynku, trochę jak w hotelu, siedziała przystojna młoda kobieta w garsonce dobranej kolorystycznie do reszty.

– Dzień dobry. – Adam przemówił pierwszy i uśmiechnął się do niej. Tak ustalili, bo o ile tajemnicze „ABW” mogło w ogóle pani nic nie mówić, o tyle termin „policja” był znany raczej wszystkim, a to on, a nie Warecki, był policjantem. – Aspirant Adam Wójcik, jesteśmy z policji... – Dawno niewyciągana blacha Adama wylądowała na ladzie przed recepcjonistką, a on znów uśmiechnął się urokliwie. – I chcielibyśmy zajrzeć do jednego ze schowków u państwa.

– Oczywiście, a czy mają panowie nakaz? – Niestety pani była przygotowana, a oni wprawdzie mogli wystąpić o nakaz i zapewne dostaliby go bez problemu, tyle że wtedy w schowku na rzeczy niepotrzebne nie byłoby już nic, oprócz może podrzuconych zawczasu dla utrzymania pozorów stojaka na choinkę i starej maszyny do biegania przed siebie i donikąd jednocześnie.

– Nie mamy nakazu, bo uznaliśmy, że nie będziemy pani szefowi robić oficjalnego bałaganu, tylko załatwimy to po cichu i bez rozgłosu – wyjaśnił Warecki, który wiedział już w tym momencie, że jego wyjaśnienie na nic się nie zda.

– To może ja zadzwonię do szefa. – Młoda dziewczyna szukała rozwiązania typu *win-win*.

Oni jednak nie mogli z niego skorzystać, bo powiadomienie kogokolwiek spowodowałoby prawdopodobnie lawinę wypadków, której nikt nie byłby już w stanie powstrzymać.

– Niestety nie może pani nigdzie dzwonić. – Adam położył tym razem na ladzie swoją broń, a Warecki stanął tak, by ten fragment blatu nie był widoczny w kamerze monitoringu. Broń była zabezpieczona i na wszelki wypadek nawet rozładowana. Z miłej twarzy kobiety zniknął uśmiech, a oni naprawdę źle się z tym poczuli. Ale nie było innego wyjścia.

– Proszę nam jeszcze powiedzieć, ale tak naprawdę szczerze – Adam nie zdejmował dłoni ze służbowego glocka leżącego teraz między nim a nią – ile osób, oprócz pani, pracuje tu w tej chwili?

– Dwóch panów ochroniarzy, jeden w pokoju za mną przy monitorach, drugi robi obchód i zaraz powinien się tu zjawić. – Młoda kobieta lubiła swoją pracę, ale na pewno nie była jej oddana na tyle, żeby teraz skłamać.

Warecki bardzo szybko wszedł za ladę i do pokoju na tyłach. Kiedy otworzył drzwi, ochroniarz, który widział już sekundę wcześniej jego ruch na monitorze, próbował się podnieść i jednocześnie sięgnąć po broń służbową. Nie zdążył, bo w przeciwieństwie do Czesława nie był tak naprawdę nigdy do tego szkolony. Po chwili panowie siedzieli już wspólnie, oglądając monitory, i czekali na moment, kiedy w hallu zjawi się drugi z ochroniarzy.

Po chwili od strony czerwonego korytarza prowadzącego w czeluść przechowalni wyszedł otyły mężczyzna w wieku na oko pięćdziesięciu lat. Ochroniarz z pękiem kluczy w ręku podszedł do lady i uśmiechnął się do ładnej recepcjonistki usiłującej ukryć przerażenie sytuacją. Usiłowanie nie do końca jej się udało, dlatego gdy był już całkiem blisko, ochroniarz zerknął w końcu na niepozornego człowieka stojącego naprzeciw niej. W tym momencie zrozumiał, że ma tu miejsce jakaś grubsza awantura, ale nie zdążył zareagować, bo niepozorny mężczyzna mierzył już do niego ze swojej broni służbowej.

Minutę później Warecki, Adam i troje przerażonych pracowników przechowalni ruszyli w kierunku pomieszczenia znajdującego się na drugim piętrze hotelu zamieszkiwanego przez niepotrzebne rzeczy.

– Klucz! – Warecki wyciągnął rękę w kierunku otyłego, gdy stanęli naprzeciw czerwonych drzwi, ozdobionych białymi cyframi ułożonymi w liczbę dwieście siedemdziesiąt dziewięć, tę samą, którą podał im Iwan.

Otyły gmerał chwilę w pęku kluczy, w końcu wybrał właściwy i podał go Czesławowi wraz z pozostałymi. Warecki zerknął jeszcze pytająco na panel z guziczkami znajdujący się z boku drzwi.

– Sześć, dwa, osiem, kratka – powiedział otyły.

Czesław pokiwał głową, wcisnął guziki, na koniec dodał kratkę i już miał otworzyć, ale zawahał się w ostatniej chwili.

– Zabierz ich stąd – zwrócił się do Adama. – Jak wywali, to lepiej, żebym tu był sam.

– Lepiej, żeby nikogo tu nie było. – Adam się nie ruszył.

– Ale ktoś musi być, bo samo się nie otworzy – objaśnił Czesław.

– Saperzy? – Adam chwycił się ostatniej deski ratunku.

– Nie mamy czasu, panie aspirancie, nie mamy czasu. – Czesław był nieugięty.

Adam popatrzył na niego jeszcze chwilę, po czym odwrócił się do tamtej trójki.

– Spadamy – powiedział i popchnął otyłego delikatnie w stronę, gdzie po kilkunastu metrach korytarz skręcał w prawo.

Czesław odczekał, aż zniknęli za załomem, po czym ostrożnie włożył klucz w zamek, przekręcił, nacisnął klamkę i pchnął drzwi, odsuwając się jednocześnie w bok. Gdyby wywaliło, fala uderzeniowa i tak prawdopodobnie zabiłaby go od razu, ale ludzie osłaniają się rękami nawet wtedy, gdy ma w nich uderzyć rozpędzona lokomotywa. Upłynęło kilka sekund i nic się nie wydarzyło. Czesław wychynął zza ościeżnicy i zajrzał do środka. We wnętrzu na pierwszy rzut oka nie było nic. Kapitan wszedł powoli, rozglądając się cały czas wokół siebie. Zapalił światło przyciskiem na ścianie. W rogu kompletnie pustego pomieszczenia coś leżało na podłodze. Podeszedł bliżej, pochylił się. Coś okazało się zewnętrznym dyskiem twardym, podłączonym do internetowego przekaźnika wi-fi. Wszystko było wpięte do sieci, świeciły się i migały lampki. Warecki podeszedł do drzwi.

– Adam, chodź! – krzyknął.

Po chwili Adam był już w środku, a trójka pracowników stała pod drzwiami, z ciekawością przyglądając się temu, co robili tamci dwaj.

– Jak odepniemy, będą od razu wiedzieli – zasugerował Adam.

– I tak będą wiedzieli. – Warecki spojrzął na stojących przy drzwiach.

Chwilę się namyślali.

– Jeśli są podpięci jakoś do tej czujki, to już wiedzą. – Warecki wskazał na biały czujnik na podczerwień podpięty do sufitu, który prawdopodobnie obsługiwał alarm, załączający się, jeśli ktoś włamałby się bez klucza albo bez wciśnięcia kodu. Oni weszli i z kluczem, i z kodem, więc nie uaktywnili alarmu, ale być może czujka rejestrowała coś jeszcze.

Adam pokiwał głową, pochylił się nad zestawem i odpiął dysk od przekaźnika wi-fi.

– A jak teraz się wykazuje? – zapytał Czesław.

– To mamy przejebane – odpowiedział Adam, po czym ruszył z dyskiem w rękę w kierunku drzwi.

Monika obudziła się nagle. Właściwie bardziej obudził ją własny organizm, który w zastraszającym tempie wpadał w coraz głębszą hipotermię i w coraz większy dług tlenowy. Komisarz wciąż leżała nago na gołym betonie, przy kaloryferze, który nie grzał, w piwnicznym pomieszczeniu wychłodzonym do temperatury tej samej, co na zewnątrz, czyli góra około pięciu stopni. Trzęsła się z zimna, a jednocześnie coś uwięzło jej w gardle i nie mogła złapać oddechu. Uniosła się na tyle, na ile pozwalały jej ręka i noga przypięte do kaloryfera kajdankami. Odkaszlęła. Z gardła wyrwał się wielki krwawy skrzep. Nadal było koszmarnie, ale przynajmniej udało się jej zaczerpnąć powietrza. Był dzień, więc widoczność w mrocznym wnętrzu nieco się poprawiła. Monika przysiadła na betonie. Właściwie to nie miała już na nic siły. Nie wiedziała, czy żyje jeszcze tylko przez przypadek, czy oprawcom, a właściwie oprawczyni, przyświeca jeszcze jakiś bardziej złożony cel. Przyszło jej nagle na myśl, że gdyby nie owa oprawczyni, to właściwie w tym momencie nie miałyby już żadnej motywacji do tego, żeby żyć. To właśnie na przekór jej siedziała teraz na podłodze i zastanawiała się jeszcze nad czymkolwiek. Gdyby nie Lizawieta, być może wychłodziłaby się na śmierć już przez sen albo skrzep wpadłby do tchawicy i nie byłoby co zbierać. Znów negatywna motywacja. Żyję komuś wbrew, a nie dla siebie, pomyślała. Po chwili przypomniała sobie jednak, że jest jeszcze coś,

a właściwie ktoś jeszcze. Gdzieś tam daleko stąd żyje pewien szesnastolatek, za którego życie oddał już jego ojciec i w związku z tym ona tego już zrobić nie może. Jeśli się podda, to chłopak w najlepszym razie zostanie sierotą, a w najgorszym ta koszmarna kobieta z zasranym pieprzykiem, po tym jak sprzątnie ją, żeby nie pozostawiać za sobą żadnych śladów, zabije też jego. Monika podsunęła się bliżej do chłodnego grzejnika i przyjrzała się przypiętym kajdankom. Nie było najgorzej. Nogę ktoś trochę mało odpowiedzialnie, zamiast do żeberka, przypiął do wieszaka podtrzymującego grzejnik na ścianie. Wieszak, na szczęście, był wmurowany w tynk, a nie w cegły.

Po dwóch minutach Warecki i Adam wsiedli do auta. Mieli teraz niewiele czasu, bo niezależnie, czy za pośrednictwem czujki, czy za sprawą odłączenia dysku od przełącznika wi-fi, czy wreszcie po prostu dzięki powiadomieniu od ochrony, tamci albo już wiedzieli o tym, co się stało, albo w najlepszym razie mieli dowiedzieć się za moment. Adam usiadł na miejscu pasażera, odpalił laptop i podłączył dysk. Warecki wskoczył za kierownicę, włączył silnik i z piskiem opon ruszył spod czerwonego budynku.

– O, ja... – Adam wpatrywał się w ekran laptopa. – Mamy minutę na wpisanie hasła, potem dysk pójdzie się jebać.

– Skąd wiesz? – Warecki musiał się skupić na jeździe.

– Bo mam napisane. – Adam sięgnął po telefon, wybrał numer.

Po chwili po drugiej stronie ktoś podniósł słuchawkę.

– Podejść do Iwana – zaczął – i zapytaj go o hasło do dysku.

Warecki zahamował nagle, tak że rzuciło ich prawie do rowu, wyrwał telefon z ręki Adama.

– Podejść do niego z klamką i przyłóż mu do łba – rzucił w słuchawkę. – Tylko musisz być przekonany, że jak ci nie powie, to go odwalisz. Jak tego nie poczuje, to cię oleje. Aha, i masz na to... – Warecki zerknął na ekran laptopa – trzydzieści sekund.

Przez chwilę stali, patrząc na siebie, a pracujący silnik diesla cichym warkotem miarowo odliczał upływający czas. To, co stanie się z tym dyskiem, decydowało tak naprawdę o losach ich kraju. Jeśli wszystko się skasuje, nic nie powstrzyma tamtych przed dalszą ingerencją. Gdy ma się na smyczy tylu znaczących ludzi, to przecież rządzi się całym państwem. Do zniszczenia dysku zostało dwadzieścia sekund. Nagle w słuchawce usłyszeli strzał.

– Naprawdę go odjechał – spokojnie skomentował Adam.

– Naprawdę mu się należało, tylko że dysku nie mamy – odpowiedział Czesław.

Telefon był przestawiony w tryb głośnomówiący.

– Borys121117 – usłyszeli głos tamtego. – Borys przez duże r.

Kiedy Adam wstukał hasło i nacisnął enter, do końca pozostały dwie sekundy. Dysk chwilę się namyślał, po czym przed ich oczami pojawiły się katalogi, całe mnóstwo katalogów, a każdy z nich był nazwany zapisanymi w cyrylicy imionami i nazwiskami ludzi. Setki nazwisk ułożonych alfabetycznie, niektóre z nich znane już na pierwszy rzut oka, inne znane mniej, a część w ogóle obca.

– Stuknąłeś go, a potem ci powiedział? – Warecki odezwał się w końcu do telefonu leżącego przy lewarku zmiany biegów.

– Przestrzeliłem mu nogę. Macie to? – zapytał tamten.

– Mamy, zadzwoń po Walińską, żeby go ogarnęła, bo jeszcze ci się wykrwawi. – Warecki skończył połączenie.

– Co mamy? – Zerknął na ekran komputera.

– Wszystko – odpowiedział Wójcik. – Mamy kwity kompromitujące połowę polskiego establishmentu.

– Czyli zesrała się właśnie w tym momencie kilkudziesięcioletnia robota Lizawiey i jej zwierzchników. – Warecki uśmiechnął się trochę smutno, bo przyszła mu do głowy jeszcze jedna rzecz: – I teraz w zemście odwalą nam Monikę.

Zadzwoił telefon. Na ekranie leżącym wciąż koło lewarka aparatu Adama pojawił się znajomy numer.

– Matecki – powiedział Czesław.

Adam sięgnął do aparatu.

– Halo? – odebrał. – Tak, mamy. Zaraz robię kopię. Umieścimy to też na jakiejś chmurze z hasłem dostępowym dla mediów w razie czego. Tak... Dobrze, przekażę mu.

Adam się rozłączył.

– Mama Moniki chcę się z tobą zobaczyć – powiedział do Wareckiego.

– Po co? – zdziwił się Czesław.

– Nie wiem, inspektor też chyba nie wie, może ona sama nie wie... – Adam zastanowił się przez moment. – Ale może powinienes tam podjechać.

Kiedy pół godziny później Lizawiea weszła do piwnicy, było już ciemno. Zanim jednak zapaliła światło, Monika, nie widząc nawet jej twarzy, poczuła już, że tamta przyszła ją zabić. Kiedy stała się jasność, nie miała już co do tego żadnych wątpliwości, bo kobieta z pieprzykiem trzymała w ręku długi bagnet od AK-47. Taki sam jak ten, którego używała do mordowania większości swoich ofiar, a czasami również do wcześniejszego ich torturowania.

– Zabiję cię teraz – powiedziała nie wiadomo po co, bo przecież wszystko było już i tak oczywiste. – Ale zanim to zrobię, opowiem ci coś, co uczyni twoje zdychanie jeszcze trudniejszym.

Piękny język, pomyślała Monika, choć może trochę akcent zaciąga, to składniowo i gramatycznie poprawnie. Liza musiała sporo czytać po polsku.

– Masz jakieś polskie korzenie? – zapytała trochę dla podtrzymania konwersacji.

– Mam, mojego dziadka zabili w Katyniu – odpowiedziała Liza z krzywym uśmiechem. – A resztę rodziny wywieźli na Kołymę. Tatuś i mamusia się zapili, trafiłam do sierocińca.

– Budująca przeszłość rosyjskiej patriotki. – Monika spojrzała na nią zimno.

– Wolę iść z nimi, bo przeciw nim się nie sprawdziło. – Lizawiea tym razem się nie uśmiechała.

– Kiedy urodziłam? – zapytała Monika.

– Zanim trafiłaś na terapię nad morze. – Lizawiea patrzyła na nią teraz przez chwilę jakby bez wcześniejszej wrogości. – Uciekłaś z porodówki, bo chciałaś już znowu walić. Pomogliśmy Borysowi wyrwać dzieciaka ze szpitala, a potem wyrwaliśmy go jemu. I tak na ojca się nie nadawał – dodała po chwili z lekką ironią, ale wciąż bez zajadłości.

Monika pomyślała, że może jednak ta kobieta miała w sobie jakiś niespodziewany okrucieństwo.

– Borys uratował ci wtedy życie, a potem pilnował, żeby nic ci się nie stało. I tak przez szesnaście lat, a na koniec ty go zabiłaś. Cóż za paradoks – powiedziała, po czym zamilkła, a po chwili dodała:
– Był nam potrzebny, więc tolerowałam jego warunki...

– Tobie był potrzebny – przerwała Monika.

– Może – zamyśliła się tamta. – Pewno tak. W każdym razie nie mógł zrobić nic, co byłoby wbrew nam, bo jego... – Lizawieta się zatrzymała – wasz syn by wtedy zginął, zginęłabyś też ty, to jeszcze mógł jakoś rozegrać, mógł cię ostrzec, mogliście razem uciec, ale chłopak... On nie miał ani jak, ani dokąd uciec. Był bez szans.

– Co z nim zrobisz, jak już mnie zabijesz? – Monika zapytała po chwili milczenia. – Też go zabijesz?

– Zastanowię się. On nie wie, czyj jest, trochę go nawet polubiłam przez te lata, pomyślę. – Teraz Liza nagle się uśmiechnęła. – No, dobra, pora kończyć. Chcesz z zastrzykiem czy bez?

– Z zastrzykiem. – Monika skwapliwie pokiwała głową.

Czy nie za ochoczo, pomyślała chwilę później, ale wyglądało na to, że Lizawieta przyjęła jej skwapliwość ze zrozumieniem. Każdy wolałby nie być obecny przy swojej śmierci. Kobieta otworzyła skórzaną torbę, którą przyniosła, i wyciągnęła z niej kilka ampułek, dużą strzykawkę, igłę i stazę. Po chwili krótkiej jak wieczność podeszła do Moniki ze strzykawką w ręku. Brzozowska doznała nieomal *déjà vu*.

– Masz jeszcze miejsce na rękach czy waliłaś już w kostki? – z nutą sarkazmu zapytała Lizawieta.

– Nie waliłam ostatnio za wiele – odpowiedziała Monika.

Lizawieta już miała się schylić, ale popatrzyła jeszcze na Monikę, wahając się jakby. W końcu jednak najwyraźniej podjęła decyzję.

– Gdybyś go nie zabiła, on zabiłby ciebie. Tym razem dałam mu wybór: albo ty, albo chłopak, a on wolał ocalić dzieciaka. W sumie mu się nie dziwię. – Liza przykucnęła i trochę na siłę odgięła nagie ramię Moniki.

W tym momencie Brzozowska wyszarpnęła uwolnioną wcześniej stopę spod kaloryfera, zarzuciła nogi na głowę tamtej i ścisnęła udami jej szyję. Lizawieta próbowała się bronić, wymachując strzykawką, którą usiłowała wbić gdziekolwiek w ciało Moniki. Taka ilość morfiny, nawet gdyby weszła w mięsień, momentalnie pozbawiłaby ją świadomości. Szamotanina trwała chwilę. W końcu Monice udało się zacisnąć nagie uda na szyi tamtej z taką siłą, że odcięła jej dopływ krwi do mózgu i Lizawieta straciła przytomność. Teraz cała nadzieja była w tym, że gdzieś, w którejś z kieszeni jej spodni albo kurtki, Monika znajdzie kluczyk od kajdanek. Udało się. W tej najmniejszej ze wszystkich, nad prawą kieszenią džinsów. Rozpięła rękę przytroczoną do kaloryfera, odpięła kajdanki z nogi, zdjęła spodnie i kurtkę z leżącej Lizawiety i założyła je na siebie. Kiedy tamta była już prawie naga, wbiła jej igłę w zgięcie łokcia i wprowadziła do żyły całą zawartość strzykawki. Gdyby nie fakt, że przebiła żyłę i część substancji rozeszła się w mięśniu, Lizawieta za kilkadziesiąt sekund już by nie żyła. Tego, że nie udało się jej zabić, Brzozowska nie mogła jednak wiedzieć, bo natychmiast przekroczyła drzwi i wybiegła na mroczny, piwniczny korytarz.

Rozdzielili się. Adam zajął się przrzucaniem całej zawartości dysku w kilku kopiach w różne miejsca na chmurze, do której dał dostęp Mateckiemu, Walińskiej i Kalickiemu. Każde z nich miało

osobny link prowadzący w inne miejsce w sieci. Gdyby tamci dorwali jedną z tych osób i dostali się do jej linku, i tak dwie pozostałe miały wszystko i w dowolnym momencie mogły upowszechnić zawartość dysku. Słabością tak zwanych kompromatów, czyli materiałów służących do szantażowania danej osoby, jest bowiem to, że w momencie gdy wstydliva informacja staje się powszechnie znana albo nawet potencjalnie dostępna dla wszystkich, nie da się już nikogo trzymać w szachu możliwością ujawnienia tego, co go kompromituje. A szantażem to wszystko stało, i to, zdaje się, od dłuższego czasu, choć dopiero w ostatnim okresie zyskało tak ogromną wartość użytkową. Na liście nawet już pobieżnie przejranej przez Adama widać było kilkadziesiąt nazwisk z samej góry obecnie rządzących. Osób kojarzonych z poprzednimi ekipami było na owej liście znacznie mniej, ale też się znalazły, więc i opozycja tak naprawdę została sparaliżowana.

Kiedy Adam przygotowywał materiały do internetu, Warecki pojechał spotkać się z mamą Moniki. Zrobił to głównie przez szacunek do niej i dla Moniki, bo tak naprawdę nie miał na to w tym momencie kompletnie czasu.

Spotkanie nie trwało na szczęście długo. Mama przeczuwała prawdopodobnie, że z Moniką dzieje się coś złego. Normalnie Monika, choć pojawiała się u niej rzadko, to jednak przynajmniej raz dziennie dzwoniła, a teraz od kilku dni telefon milczał. W związku z tym starsza pani chciała się od Czesława dowiedzieć jak najwięcej, a on nie mógł powiedzieć zbyt wiele. Zwodził, że Monika jest chora, że leży od kilku dni z gorączką i nie bardzo nadaje się do kontaktów. Mama nalegała, żeby powiedział jej prawdę, sugerowała, że prawdopodobnie znów zaczęła się jakaś afera z narkotykami, ale generalnie Barbara była tym razem w stosunkowo dobrej formie. W końcu po wypiciu kawy i dwóch herbat i po zjedzeniu trzech kawałków babki piaskowej przyniesionej specjalnie na tę okazję przez Tatianę opiekującą się mamą Warecki mógł wyjść i wrócić do poszukiwań Moniki. Gdzieś z tyłu głowy kielkował mu plan, żeby spróbować przehandlować dokumenty, które znaleźli, ale w tak sprytny sposób, by jednocześnie ich nie stracić. Pomysł był raczej karkołomny i nie rokował wielkich sukcesów, bo ci, z którymi się mierzyli, nie byli zgrają naiwnych dzieci, tylko pracownikami jednego z najlepszych wywiadów na świecie.

Kiedy Czesław, zamyślony, schodził po schodach, naprzeciw niego wyrósł nagle jak spod ziemi ten sam starszy mężczyzna, którego wcześniej na klatce spotkała kiedyś Monika. Kiedy się mijali, Warecki usłyszał nagle za swoimi plecami:

– Izwienitie pażałsta. – Głos był tak niski, jakby jego właściciel należał do jakiegoś petersburskiego chóru cerkiewnego.

Czesław zdrętwiał. Ostatnią rzeczą, jakiej spodziewał się na klatce w bloku na Bielanych, było usłyszeć język rosyjski. Odruchowo sięgnął pod kurtkę, żeby wyciągnąć broń, ale od razu zdał sobie sprawę, że to bez sensu, bo jeśli miałyby zginąć z rąk tego człowieka, to już by przecież nie żył.

– Nie nada. – Starszy pan uśmiechał się do niego, lekko kręcąc głową.

– Słucham. – Wareckiemu jeszcze nigdy w życiu nie zdarzyło się tak bardzo nic nie rozumieć, a był to zaledwie początek tej sytuacji. – Co się stało? – zapytał idiotycznie.

– Nic. – Staruszek wyciągnął do niego rękę, w której trzymał jakąś kartkę. – Coś panu wypadło – powiedział teraz dla odmiany polszczyzną najczystszą z możliwych.

Warecki, wciąż nie rozumiejąc, co się dzieje, podszedł do niego i wziął papier. Mężczyzna lekko

się skłonił, uchylając kapelusza, i ruszył po schodach w górę, nie odezwawszy się już ani słowem. Czesław rozwinął złożony na cztery części kawałek papieru, który z całą pewnością mu nie wypadł, gdyż w ogóle nigdy wcześniej nie widział go na oczy. Na kartce podany był adres domu w Łomiankach, następnie napisane było jeszcze, że znajduje się tam sześć osób, że podejście pod dom od frontu jest zaminowane i że mają bardzo niewiele czasu.

– Ja pierdole, o co tu w ogóle chodzi?! – Warecki sięgnął po telefon i wykręcił numer do Mateckiego. Jednocześnie ruszył pędem w kierunku zaparkowanego pod domem samochodu, w którym czekało na niego dwóch ludzi od Rabieja.

Kiedy wsiadł już do auta i podał kierowcy adres odczytany z kartki, zerknął jeszcze przez szybę w stronę mieszkania Barbary. Mama Moniki stała w oknie i patrzyła na niego, a w jej spojrzeniu Warecki zobaczył nagle całe brzemie odpowiedzialności, jaka na nim teraz spoczęła.

Monika dość szybko zorientowała się, że z domu nie bardzo jest jak się wydostać. Przez ostatnie kilka minut krążyła po korytarzach w piwnicy, nasłuchiwała i wyglądała przez okienka wychodzące na różne strony domu. Wszędzie ktoś był, nad głową słyszała kroki, na zewnątrz z każdej strony widziała jakiegoś człowieka. Na domiar złego jedyne wyjście z piwnicy wiodło właśnie przez parter domu. Nie wiedziała, co ma zrobić, ale była w pełni świadoma, że jeśli Liza zeszła do niej przed kilkoma minutami, to za chwilę ci na górze zorientują się, że coś musi być nie tak, skoro do nich nie wraca. Co robić? Monika cofnęła się do pomieszczenia, z którego przed momentem wyszła, Lizawiecia wciąż leżała na podłodze, a jej poszarzała twarz wskazywała na to, że nie żyje. Brzozowska wzięła bagnet i ruszyła powoli w kierunku drzwi wiodących z piwnicy na górę. Za chwilę te drzwi się otworzą, ktoś zacznie schodzić po schodach, bagnet się przyda, będzie przynajmniej o jednego złego mniej, pomyślała.

Warecki w Łomiankach pod adresem podanym na najdziwniejszej karteczce, jaką kiedykolwiek dostał, był po dziesięciu minutach. Najpierw przejechali dwa razy przed domem, który wyglądał na niezamieszany, a jeśli nawet był zamieszany, to na pewno przez kogoś, kto nie znośił dbać o zieleń. Dokładnie jak na Sadybie u Pytłasińskiego i potem na Żoliborzu, pomyślał Czesław. Widocznie taki mają patent na bałagan. Swoją drogą, liści o tej porze roku wprawdzie jeszcze nie było, ale było za to całe mnóstwo splątanych ze sobą gałęzi, które i tak zasłaniały widok. Po przejechaniu dwukrotnie przed domem zaparkowali samochód o jedną przecznicę wcześniej, przy zadbanym pałacyku z wypielegnowanym trawnikiem. Warecki wysiadł i pomny informacji o tym, że od przodu teren był zaminowany, szybkim krokiem ruszył w kierunku tyłów tamtej posesji. Kto podał tę informację i na ile była ona miarodajna? Nad tym kapitan nie miał się teraz czasu zastanawiać. Jeden z ludzi od Rabieja wyciągnął z bagażnika uzi i dwa shotguny. Drugi sięgnął po telefon i zadzwonił do swojego szefa.

– Będą za osiem minut – powiedział chwilę później, gdy całą trójką zbliżali się do płotu posesji, która graniczyła od tyłu z tamtą wskazaną na kartce. – Przekazałem, że przód zaminowany, żeby tylko zabezpieczyli, i że my idziemy od tyłu.

– Ja muszę iść. – Warecki zatrzymał się na moment i popatrzył na nich spokojnie. Sprawa była poważna, za parkanem, wśród chaszczy, siedziało prawdopodobnie sześciu psycholi ze specnazu

i jeszcze bardziej porąbana od nich ich szefowa, kobieta z pieprzykiem. Wejść w to i wyjść żywym graniczyło z niemożnością. – Wy poczekajcie na wsparcie.

- Nie jesteśmy pod pana rozkazami – powiedział ten, który przed chwilą rozmawiał przez telefon.
- I co z tego? – zapytał niezbyt miło Warecki.
- To z tego, że nie pójdzie pan tam sam – uśmiechnął się tamten.

Drzwi od piwnicy się otworzyły i Monika zobaczyła stojącego u ich szczytu kolosa ubranego w panterkę. Golem był oświetlony światłem wpadającym od tyłu, co czyniło go wizualnie jeszcze większym i bardziej przerażającym.

– Liza, idziesz? – Kolos miał głos tak zachrypnięty, że przypominał bardziej ryk jakiegoś paleolitycznego zwierzęcia niż ludzką mowę.

Po chwili, gdy odpowiedź nie nadeszła, bo nie miała od kogo, kolos ruszył po schodach w dół. Monika obserwowała go z najciemniejszego rogu korytarza i zastanawiała się, w którym miejscu coś takiego jak ten facet nie ma pancerza chitynowego, słowem: gdzie wrazić bagnet, żeby ostrze wyrządziło mu jakąkolwiek szkodę. Facet doszedł do końca schodów i zaczął czegoś szukać. Prawdopodobnie latarki albo chociaż telefonu, pomyślała Monika. Jeśli go znajdzie i zapali, to ją zobaczy i wtedy będzie koniec. Nabrała powietrza. Do kolosa miała jakieś trzy kroki. Pamiętała ze szkoleń, że ostatni krok musiał być już równocześnie rozbiegiem do uderzenia. Zrobiła dwa, wyciągnęła bagnet przed siebie, zamknęła oczy i uderzyła w okolice wątroby. Ostrze przeszło przez coś, otarło się o kość i utkwilo w czymś innym. Kolos zawył i zaczął się miotać. A ona – wraz z nim, próbując mu wyrwać pistolet z kabury przypiętej do uda. W tym momencie usłyszała rumor na górze, ktoś zbliżał się do schodów, już miał po nich zbiec i wtedy... gdzieś blisko rozległa się kanonada strzałów z broni maszynowej.

Warecki podszedł niezauważony, najbliżej jak się dało. Kiedy miał już zwalistego faceta o wystających kościach policzkowych, pilnującego posesji od tyłu, nieomal na wyciągnięcie ręki, oparł shotguna o biodro i krzyknął to, co musiał, choć akurat w tych okolicznościach może nie powinien:

- Policja, rzuć broń!

Kałmuk nic nie rzucił, za to sięgnął za poję kurtki, wyciągnął kałasznikowa i wtedy Czesław nacisnął spust. Ćwierć sekundy później Rosjanin leżał na szarym trawniku, a jego wnętrzności wisiały na płataninie gałęzi, które powiewały za jego plecami, kiedy jeszcze żył. Równocześnie od strony domu ostrzał już bez uprzedzenia rozpoczęli dwaj ludzie od Rabieja. Oponenti byli jednak najwyraźniej przygotowani na taki rozwój wypadków, bo albo przećwiczyli to wcześniej, albo – co bardziej prawdopodobne – mieli to po prostu we krwi, i po chwili nieomal ze wszystkich okien domu skierowanych na ogród odpowiedzieli ogniem z różnych rodzajów broni. W wyniku lawinowego ostrzału jeden z chłopaków od Rabieja został trafiony w nogę i wypadł z gry. Samotnie Warecki z shotgunem i tamten drugi z uzi, do którego powoli kończyła się amunicja, nie mieli najmniejszych szans w tej konfrontacji. Ich rolą nie było jednak pokonać tamtych, ale jedynie odciągnąć ich uwagę od Brzozowskiej.

Monika powoli wyszła na górę. W tym momencie nikt rzeczywiście przesadnie się nią nie interesował. Na podłodze w piwnicy dogorywał ten, któremu przebiła wątrobę, pozostałych pięciu zbirów obecnych w domu obstawiało okna, z których prowadzili regularną bitwę z nacierającymi siłami składającymi się jedynie z dwóch ludzi. O tym, że było ich tylko dwóch, nikt tutaj szczęśliwie miał pojęcia. Pewnie gdyby to wiedzieli, to zamiast marnować cenny czas na wywalanie całych magazynków w stronę zarośniętego ogrodu, podjęliby próbę ucieczki z domu, który lada moment miał się dla nich okazać ostatnim miejscem, jakie widzieli na ziemskim padole. Monika przeszła przez kuchnię, w której na podłodze walały się odłamki szkła i porcelany z postrzelanych szyb i rozbitych talerzy, i przeszła do wyjścia bocznego prowadzącego wprost do ogrodu.

– A ty kuda? – usłyszała nagle za plecami.

Wiedziała, że nie ma szans na to, żeby obrócić się z bronią i jednocześnie przeżyć, w związku z tym trzymany w prawej ręce pistolet, który odebrała temu z piwnicy, przełożyła pod lewą pachą i zaczęła strzelać przez plecy w kierunku, z którego usłyszała głos. Odwróciła się dopiero po oddaniu pięciu strzałów. Na podłodze leżał facet z przestrzeloną nogą i barkiem, był nieprzytomny, bo pozostałe trzy kule utkwily w kamizelce kuloodpornej w okolicach splotu słonecznego. Komisarz doszła do drzwi, otworzyła je i wybiegła ile sił w nogach w kierunku kępy krzaków na obrzeżu działki. Przez tych kilka sekund, które zajął jej bieg po życie, nie wiedzieć czemu myślała o chłopaku, który miał szesnaście lat, siedział w jakimś sierocińcu, Bóg wie gdzie, był jej synem, a ona nie miała nawet pojęcia, jak wyglądał.

Gdy dobiegła do kępy, wpadła w nią rozpędem, poraniła sobie o krzaki ręce i twarz. Przypadła szczerlnie do ziemi, nad głową słyszała łamiące się gałęzie i świst przelatujących kul. W powietrzu czuła swąd spalenizny i prochu, na języku odciskał się smak krwi. Po pięciu dniach ciągłego bicia, wstrzykiwania narkotyków i przymarzania nagim ciałem do betonu bolała ją każda część ciała. Czy była ranna, czy któraś z kul dosięgła jej w biegu? Nie miała pojęcia, ale nawet jeżeli, to rana nie była poważna, bo nie zasłabła. Nagle zobaczyła postać czołgającą się do niej od strony parkanu przy posesji obok. Chciała zacząć uciekać, ale ani nie miała siły, ani nie miała już dokąd, i wtedy okazało się, że czołgającą się postacią był Warecki. Czesław, gdy tylko zbliżył się do niej na wyciągnięcie ręki, złapał ją silnie za ramię, przyciągnął do siebie i otoczył własnym ciałem tak szczerlnie, jak wcześniej ona szczerlnie przywarła do ziemi. Zanim straciła przytomność, przemknęła jej jeszcze przez głowę myśl, że może w końcu coś jej się w życiu udało.

Akcja trwała kilka godzin. Najpierw do Wareckiego i dwóch ludzi od Rabieja dotarło wsparcie pozostałych chłopaków z plutonu, później dociągnęły większe siły. W końcu to, co się działo, nie mogło, i na szczęście nie musiało już, być tajne. Wreszcie trójka ludzi nie musiała walczyć sam na sam z czymś, co absolutnie przerastało ich możliwości. Po półtoiej godziny ciągłej strzelaniny, kiedy Monika i Warecki z dwoma antyterrorystami od Rabieja zostali już dawno wycofani w bezpieczne miejsce, do walki został włączony wóz opancerzony policji, a z powietrza szturmujących wsparł śmigłowiec. Po kolejnej godzinie było po wszystkim. Na miejscu zginęło pięciu ludzi, po stronie policji było trzech lekko rannych. Szturm we wnętrzu domu przeżyły dwie osoby. Jedną z nich był specnazowiec, którego na jego szczęście wcześniej raniła Monika, a drugą osobę policjanci znaleźli leżącą w piwnicy, i była to Lizawieta, która choć przeżyła narkotyk wstrzyknięty przez Monikę, to

wybudziła się z heroinowej śpiączki dopiero dwa dni później, na pilnie strzeżonym przez wzmocnione siły policji oddziale w zakładzie psychiatrycznym w Tworkach. W tych samych Tworkach, w których tyle czasu spędziła niegdyś Monika.

Brzozowska też trafiła na kilka dni na oddział, ale do normalnego szpitala na Banacha. Na internie lekarze opatrzyli jej powierzchowne rany, wzmocnili wycieńczony organizm i pomogli wyjść z kolejnej narkotykowej, tym razem zupełnie przez nią niezawinionej, sytuacji. Zupełnie inaczej wychodziło się z dragów, kiedy głowy nie skręcały dodatkowo koszmarne wyrzuty sumienia. Teraz chodziło wyłącznie o odzyskanie równowagi biochemicznej w organizmie. Oczywiście towarzyszyły temu też różne sensacje natury psychicznej i emocjonalnej, lęki, lekkie paranoje, ale wszystko to było niczym wobec wychodzenia z narkotyków, w które wlaźło się samemu i na własne życzenie.

Po kilku dniach poszukiwań policji udało się też dopaść w końcu doktora-hipnotyzera-hochsztaplera Zimeckiego, który usiłował opuścić kraj, jak to się mówi w żargonie kontrwywiadu, na kierunku wschodnim.

Kiedy Monika doszła już do siebie, na początek usiedli razem z Adamem, Mateckim i Czesławem, by przejrzeć dysk, który znaleźli w dziwnym magazynie na obrzeżach Warszawy.

– Dlaczego oni to w ogóle tam trzymali? – Matecki patrzył na zdjęcia czerwonego budynku z korytarzami widocznymi przez szybę.

– Bo tam było najbardziej anonimowo, nawet gdybyśmy zlikwidowali całą siatkę i zrobili wszędzie rewizje, to tego u nikogo byśmy nie znaleźli – wysnuł hipotezę Warecki.

– No ale to było podpięte do netu, przecież mogli mieć taki serwer po prostu gdzieś w Moskwie czy gdziekolwiek i tylko podsyłać informacje – zaoponowała Monika.

– W Moskwie mają oczywiście kopię, o czym wiemy, bo już zaczęli sypać co poniektórych ludzi. Ale tu chodziło o to, żeby nowe informacje mogły być dokładane tylko ręcznie, to znaczy, żeby ktoś, a konkretnie nasz Iwan, fizycznie przychodził i dogrywał coś na dysk, żadnego przesyłu netem od nikogo z nich, bo jednak obawiali się też inwigilacji elektronicznej. Bali się, że ich komputery, maile i tak dalej są trzepane, a tu był kurier w osobie Iwana, który zbierał nowe informacje z miasta, jechał tam, wrzucał je na dysk, a Moskwa sobie ściągała. Nikt nie tropił numeru IP jakiejś głupiej przechowalni na meble, a oni byli wpięci do tej właśnie sieci. – Warecki dokończył swój lekko długawy wywód.

– A co z naszym Iwanem, *à propos*? – zaciekawiał się Adam.

– Iwanowi najpierw chcieliśmy dać status koronnego i gdzieś go schować, ale doszliśmy do wniosku z Kalickim, że tutaj tamci mają i będą mieli swoje wtyki, więc za długo Iwan by nie pożył. – Matecki przerwał i spojrzał na Czesława.

– Tak, Steve go zabrał, u nich Iwan mimo Trumpa będzie miał jednak większe szanse na przeżycie, a ma sporą wiedzę, która dla kolegów Steve'a może być bardzo przydatna – uzupełnił Warecki.

– No dobra, co robimy z tymi kilkuset nazwiskami? – Monika wskazała na leżący między nimi dysk twardy, czarny jak monolit z Kubrickowskiej *Odysei kosmicznej*. Ten kawałek czarnego plastiku zawierał losy bardzo wielu ludzi.

– Z dziewięćset czterdziestoma siedmioma konkretnie – ożywił się Adam, dysk był jego

specjalnością. – Myślę, że jeśli chodzi o ludzi polityki, to trzeba te nazwiska przekazać szefom ugrupowań politycznych. Większość kompromatów na ludzi opozycji zresztą Rosjanie już wrzucili do sieci i do prawicowych mediów, ale jest jeszcze kilkudziesięciu, którzy powinni się wycofać z polityki. Jeśli chodzi o tych, którzy są teraz u steru władzy, to z tymi oczywiście GRU się nie afiszuje, bo ta opcja jest im znacznie bardziej na rękę niż ta opozycyjna. No, a tu mamy kilku ministrów, wicepremiera i całe mnóstwo pomniejszych działaczy różnych szczebli, których prawdopodobnie Ruscy do tej pory ustawiali, jak im się żywnie podobało.

– Myślę, że trzeba to przekazać komuś tam na górze, może premierowi, może szefowi partii, i powiedzieć, że jeśli sami się nie oczyszczą z ludzi, na których tamci mają haki, to damy to do mediów i wtedy zrobi się naprawdę bałagan – wciął się Warecki.

– A co to są w ogóle za haki? – zapytał nagle Matecki.

– Wszystko, co się da – uśmiechnął się Adam, który materiały przejrzał od góry do dołu i chwilami miał nawet poczucie, że wolałby ich nie znać. – Mężowie zdradzają żony i na odwrót, czasem z osobami płci przeciwnej, a czasem z płci tożsamej, jest też pedofilia, od której w końcu wszystko się zaczęło. – Adam spojrzał wymownie na Monikę. – Ale też mnóstwo dupereli, głównie rozmowy telefoniczne. W tych rozmowach też bardzo różne rzeczy się pojawiają, czasem ktoś źle mówi o Polsce, czasem o Polakach, czasem zamawia kokainę, czasem gada na swojego szefa, czasem omawia lewe interesy, a są też nagrania, w których ktoś wyzywa żonę albo pomoc domową, albo zdjęcia, jak ciągnie psa za mocno na smyczy. Dzisiaj czymś takim też można komuś zniszczyć karierę. Szczególnie polityczną, a polityków mamy tu głównie, ale nie tylko. Osobna kategoria to zdjęcia i nagrania z różnych monitoringów, no i ze zhakowanych kamerek w komputerach osobistych, tego też jest sporo, spotkania, jakieś libacje w hotelach, ktoś zabawia się z pannami, a co gorsza ma małego i mu nie staje. Albo to, co ludzie robią, kiedy są sami w domu przed swoim komputerem. Nie chcecie tego nawet wiedzieć. – Adam zatrzymał się na moment, po czym wrócił do rozważań już w tonie refleksyjnym: – Nigdy przez myśl mi nie przeszło, na jak wiele sposobów można zgnoić człowieka. Myślę, że to było tak, że najpierw typowali sobie kogoś, kto jest lub potencjalnie może być ważny w przyszłości w jakiegokolwiek dziedzinie, potem wsiadali na niego na tydzień, dwa czasem, albo na trochę dłużej, i w ciągu tego czasu na każdego w końcu coś znajdowali.

– Masakra – wcięła się rzeczowo Monika, żeby przy okazji przerwać też w końcu logoręę Adama.

– No nie? Ale co zrobisz, taki świat. – Adam pokiwał głową z powagą. – To co w takim razie robimy z tą resztą, z tymi, co nie są z polityki, ale z mediów, rozrywki, biznesu? Kilkuset takich też tu mamy.

– Można by to puścić przez wywiad – zastanowił się Warecki. – Jak będą wiedzieli, że mamy to też i my i że w każdej chwili może trafić do mediów, to może nawet zrobią to jak należy, ale... – Czesław się zatrzymał.

– Ale i tak głównie wykorzystają to do własnych gier – dopowiedziała Monika.

– Istnieje takie niebezpieczeństwo – potwierdził skinieniem głowy Warecki.

– To zrobimy to sami – zaproponował Matecki. – Do każdej z tych osób, oprócz polityków, bo tam ustaliliśmy już, co zrobimy, proponuję wysłać krótką informację o tym, co mają na nich Rosjanie, plus oczywiście przypomnienie, że w Polsce już też o tym wiadomo. To ich zablokuje przed

współpracą z tamtymi, potem albo zrobią coming outy, albo się wycofają z życia publicznego, albo tamtym pokażą wała i wtedy informacje wypłyną – albo nie. Mam naciski, żeby przekazać te informacje do moich zwierzchników, między innymi od ministra. Swoją drogą, on jest, nie daj Bóg, na tej liście? – Matecki spojrział pytająco na Adama.

– Nie, jego akurat nie ma. Już dawno bym cię... – Adam przez moment zastanawiał się, jaka jest obecnie forma ich relacji z Mateckim, w końcu zdecydował: – ...pana inspektora w sensie, już dawno bym poinformował. Są różni pomniejsi, między innymi pracownicy komendy, ale ministra akurat nie ma.

Matecki chwilę się zastanawiał.

– No dobra, przekażę to ministrowi, ale najpierw zrobimy sami to, co zaproponowałem. Chyba tylko tak możemy to wszystko tu wyczyścić? – Matecki popatrzył po zebranych, a oni po kolei pokiwali głowami. – A potem walną mnie na przymusowy urlop do końca kariery, w najlepszym razie.

Przez chwilę milczeli, bo już niby wszystko zostało powiedziane, ale jednak nie do końca.

– No ale ja to drobiazg. Natomiast jeśli chodzi o was, to pewno nikt wam oficjalnie nie podziękuje, bo po pierwsze ta sprawa nie istnieje, a po drugie jest koszmarnie niewygodna dla wszystkich, ale... – Matecki zaczął i utknął w namyśle, w końcu ruszył dalej: – Ale ja wam dziękuję w imieniu wszystkich uczciwych ludzi w tym kraju, a pewno trochę by się jeszcze takich znalazło. No... i myślę, że przyjdzie jeszcze kiedyś moment, że wróci tu rozsądek i wtedy dostaniecie Orła Białego przynajmniej, jak nie Virtuti Militari. – Inspektor uśmiechnął się z satysfakcją.

– Virtuti Militari jest tylko za zasługi na polu chwały... – objaśnił Adam. – Na wojnie dają.

– A to...? – Matecki wskazał na monolit z czarnego plastiku, jakby polerowanego kryształu, leżący na stoliku przed nimi. – Przecież to jest wojna. Jeśli nie wy byliście na polu chwały na tej wojnie, to kto był?

Jeszcze tego samego dnia Warecki spotkał się tym razem już za wiedzą swoich przełożonych z rezydentem CIA, przystojnym Steve'em z westernów, których Amerykanie zresztą od dawna już nie kręcili. W rozmowie Amerykanin pogratulował Wareckiemu niezwykle sprawnie przeprowadzonej akcji. Od siebie dodał, że nikt jeszcze w tej chwili nie ma prawdopodobnie nawet świadomości tego, jak ogromne straty poniósł wywiad obcego mocarstwa i jak bardzo ważne dla Polski i jej aliantów było to, co udało się zrobić. Po tej krótkiej przemowie, wypowiedzianej ustami sztywnymi od chłodu na środku królewskiego parku w Łazienkach, Steve raz jeszcze odniósł się do wcześniejszej prośby Czesława dotyczącej wtyczki wśród ludzi GRU w Warszawie. Okazało się, że wtyczki, która coś wiedziałaby o dalszych planach wywiadu rosyjskiego, Amerykanie nie mieli, ale mieli za to taką, za pośrednictwem której można było przekazać Rosjanom jakąś mylną informację. Ta rozmowa nie trwała długo: panowie wymienili się kurtuazyjnymi pozdrowieniami, po czym rozeszli się w dwie strony.

Godzinę później Czesław z Adamem i Moniką, w eskorcie kilkunastu funkcjonariuszy plutonu antyterrorystycznego i CBŚ, przewieźli Lizawietę z zakładu psychiatrycznego w Tworkach do dziwnego czerwonego magazynu na obrzeżach Warszawy. Na miejscu do wnętrza magazynu weszli

już tylko Adam z Wareckim i z Rosjanką. Na dole zaaranżowano z grubsza podobny przebieg wydarzeń, jaki miał miejsce tamtego dnia, gdy panowie zabrali z magazynu drogocenny dysk. Tym razem, podobnie jak wtedy, wszystko zarejestrowały kamery monitoringu. Materiał z tych kamer technicy policyjni za zgodą właściciela przechowalni wstawili następnie na dysk twardy przechowujący monitoringi: podmienili materiał, który zarejestrował się wtedy, gdy byli tu tylko Adam i Warecki. Właściciel magazynu nie miał za bardzo wyjścia i musiał pójść z nimi na współpracę. Tylko w ten sposób mógł uniknąć kary wieloletniego więzienia, grożącej mu za powiązania z obcym wywiadem, które wyszły na jaw w toku dochodzenia. To on upewnił ich najpierw o tym, że do tej pory, po ich zuchwałej kradzieży dysku, nikt monitoringów jeszcze nie sprawdzał. Na koniec z zarejestrowanego materiału z Lizawietą w roli głównej wykonano wydruki, które trafiły na biurko Wareckiego.

Dwa dni później na granicznym jeziorze Gołdap spotkały się dwie niewielkie łódki. Jedna z nich należała do policji polskiej, a druga – do rosyjskiej służby granicznej. Motorówce polskiej towarzyszyły jeszcze trzy pontony, w każdym z nich po sześciu żołnierzy wymieszanych z policjantami od komisarza Rabieja. Rosjanie też przyплыnęli w asyście, ale nie aż tak licznej. Z polskiej strony przygotowanie takiego zaplecza było wysłaniem jasnego sygnału do drugiej strony: gdyby tamci spróbowali kombinować, to zakończyłoby się to starciem nadgranicznym na dużą skalę, tym bardziej że dodatkowo na brzegach jeziora po polskiej stronie czekali żołnierze GROM-u z wyrzutniami RPG.

Wszystko odbyło się bez słowa. Łódki zetknęły się burtami na środku jeziora, dokładnie na linii wyznaczającej granicę pomiędzy państwami. Lizawieta po raz ostatni spojrzała na Monikę.

– To nie koniec – powiedziała groźnie.

– Nie koniec. – Monika pokiwała głową i się uśmiechnęła.

Dokładnie w momencie gdy Rosjanka przekraczała burtę, czyli granicę państwa, z tamtej łódki na motorówkę polską przeszedł wyraźnie przestraszony sytuacją, przystojny, choć mocno wychudzony siedemnastolatek. Chłopak wyglądał toczka w toczkę jak Borys, kiedy Monika go poznała. Był zdezorientowany. Wiedział chyba, kim jest Monika, być może ktoś życzliwy wtajemniczył go w całą sprawę. W każdym razie patrzył teraz na nią trochę pytająco, a trochę ze zdumieniem.

Monika też się mu uważnie przyglądała. Odkąd zobaczyła go jeszcze na tamtej łodzi, walczyła ze sobą, żeby się nie rozpaść. W końcu spojrzała na Wareckiego, u niego szukając pomocy. Czesław uśmiechnął się lekko i pokiwał głową, jakby dawał jej przyzwolenie w imieniu całego świata na to, żeby wreszcie pozwoliła sobie na emocje. I wtedy przestała się powstrzymywać. Z oczu popłynęły strugi niemych łez, a chłopak podszedł do niej i otoczył ją swoimi chudymi i nieproporcjonalnie długimi rękami.

Kolejne tygodnie przyniosły wiele zmian w życiu wielu ludzi. Z elit politycznych kraju powoli i bez rozgłosu zaczęli znikać różni notable. Ci z opozycji nie mieli wyboru, bo Rosjanie na szybko starali się upublicznić wszystko, co tylko na nich mieli, a co wiedzieli, że za chwilę będzie już stare i przeterminowane. Ludzi władzy zgodnie z przewidywaniami Wójcika i Mateckiego nikt nie próbował na razie kompromitować, bo obecna władza była dla Rosjan bardziej korzystna od

jakiegokolwiek innej i Wielki Brat łączył z nią dalekosiężne plany. Oczywiście kwity, które na ludzi tej władzy udało się Rosjanom zdobyć, czyniły te plany jeszcze łatwiej osiągalnymi, bo obciążeni nimi politycy już nie tylko mogli, ale wręcz musieli współpracować ze wschodnim sąsiadem. W świetle zagrożenia ujawnieniem owych kwitów w internecie większość funkcjonariuszy partii rządzącej, którzy dorobili się swoich teczek w GRU, musiała powoli ustąpić. Jeśli chodzi o innych ludzi związanych z różnymi domenami życia publicznego w Polsce, to oni też zostali poinformowani o tym, o czym z całą pewnością przynajmniej część z nich doskonale wiedziała: czyli że są naznaczeni różnego rodzaju kompromatami. Wielu wycofało się z życia publicznego, niektórzy odkryli wszystkie karty i mroczne zakamarki swojego życia uczynili jawnymi, jeszcze inni nie zrobili nic i przez kilka kolejnych miesięcy co i rusz w mediach, głównie plotkarskich, pojawiały się kolejne rewelacje na temat ich skrywanych tajemnic.

Wszystkie dokumenty musiały oczywiście w końcu trafić do prokuratury, która w kilkuset przypadkach wszczęła śledztwa na podstawie zgromadzonych informacji, przede wszystkim w sprawach korupcyjnych, ale też w tych dotyczących handlu substancjami niedozwolonymi i oczywiście w sprawach o pedofilię. Ta grupa, od której wszystko się zaczęło siedemnaście lat wcześniej, miała bodaj najbardziej liczną reprezentację pośród wszystkich szantażowanych grup.

– Znalazłem go w katalogu, po zdjęciach. To nie było w sumie trudne. – Adam uśmiechał się z dumą do Moniki, która widziała go w tylnym lusterku służbowego opla. – Facet ma dość charakterystyczną facjatę. Taki raczej z tych przystojniejszych, więc w sumie jakoś tam cię rozumiem.

– Adam! – W tonie głosu Moniki była zapowiedź eksplozji, więc Adam nie powiedział już nic więcej.

Po raz ostatni siedzieli wtedy razem w służbowym samochodzie policji, po raz ostatni pojechali wspólnie na akcję. Tę sprawę głównie chciała załatwić Monika, ale Matecki za nic nie puściłby jej samej, a siedzący obok niej Warecki i wpatrujący się już teraz w jej odbicie we wstecznym lusterku Adam byli, jak by nie patrzeć, jej najbardziej zaufanymi kolegami z pracy.

– To on. – Adam wskazał na człowieka z kapturem naciągniętym na głowę, który wchodził do lokalu znajdującego się naprzeciwko ich zaparkowanego samochodu.

– Skąd wiesz? – zdziwił się Czesław.

– Przygotowałem tę operację – odparł Wójcik z nieszczerze skrywaną dumą.

Monika uśmiechnęła się delikatnie pod nosem, po czym bez słowa pociągnęła za klamkę i wysiadła z auta. Oni zrobili to chwilę po niej.

Lokal był niewielki, składał się tylko z dwóch salek. W tej z przodu był niski barek z ladą chłodniczą, oddzielającą część gastronomiczną lokalu od reszty. Za barkiem stała młoda, uśmiechnięta dziewczyna. Poza tym w widocznej części lokalu nie było już nikogo.

– Niech pani stąd lepiej wyjdzie – powiedziała Monika cicho do dziewczyny i przechodząc, pokazała jej swoją blachę policyjną.

Zakapturzony siedział w drugiej salce za małą ścianką, tyłem do drzwi wejściowych. Monika pomyślała, że to niezbyt rozsądne z jego strony, a może wiedział, że i tak go tu znajdą, i nie chciał tego widzieć za wcześnie. Monika podeszła do stolika.

– Wolne? – zapytała.

On spojrział na nią, pokiwał głową i z pewną ulgą zdjął kaptur. Brzozowska usiadła na krześle obok niego.

– Cześć, Marek – powiedziała bez uśmiechu. – A właściwie Julek. Juliusz Pakosiński, tak się w końcu nazywasz?

Juliusz vel Marek Araszkiewicz pokiwał głową, a Monika zauważyła, że odkąd usiadła, jego dłonie znajdowały się pod stołem.

– Na przyszłość ci doradzę, żebyś nie nazywał się w ogóle, tylko wtedy może uda ci się zniknąć naprawdę – powiedziała.

– Masz doświadczenia z takimi. – Marek zupełnie niepotrzebnie spróbował być sarkastyczny.

W tym momencie jej dłonie w ułamku sekundy też zniknęły pod stołem. Działając w znacznej mierze na ślepo, Monika uchwyciła lufę pistoletu prawą ręką i skierowała ją w bok. W tym momencie padł strzał, który jednak chybił celu. Wtedy jej lewa ręka sięgnęła w głąb i znalazła to, czego szukała, czyli worek mosznowy Marka. Uścisk, a potem skręt razem z całym ciałem był na tyle mocny, że Marek zawył z bólu i wtedy dostał w głowę krzesłem, które Warecki trzymał już w rękach, kiedy wpadał do sali. Pistolet wypalił raz jeszcze, ale na szczęście i tym razem chybił. Wtedy Monika wstała razem ze stołem i z jajami Marka w ręku, pistolet spadł na podłogę, a on zemdlął z bólu.

Kilka dni później antydatowane zdjęcia z biurka Wareckiego, pochodzące z monitoringów w magazynowym apartamentowcu, zapakowane w kopertę oczyszczoną przez techników z wszelkich śladów biologicznych, trafiły za pośrednictwem wtyczki Steve'a do tych, do których trafić miały, czyli do moskiewskiej siedziby wywiadu wojskowego. Zgodnie z oczekiwaniami Moniki i pozostałych kilka dni później doszło do włamania do czerwonego magazynu, z którego skradziono dyski z wszystkimi zapisami monitoringów. Poważni ludzie nie mogli ot, tak dać się wywieść w pole, więc otrzymane informacje musiały zostać zweryfikowane – i zostały. Z nieoficjalnych, acz potwierdzonych źródeł kilka miesięcy później nadeszła informacja o tym, że Lizawietę najpierw za zdradę chciano po prostu zlikwidować, ale w uznaniu zasług w końcu litościwie skazano ją na dożywotni obóz pracy tam, gdzie było zbyt zimno, by dało się przeżyć.

Ową wiadomość, awansowani odpowiednio: Adam Wójcik do stopnia komisarza, Monika Brzozowska do stopnia podinspektora i Czesław Warecki do stopnia majora, otrzymali, będąc już jedną nogą zupełnie gdzie indziej. Wszyscy dobrze wiedzieli, że Smersz nigdy nie wybaczy takiej zniewagi i nie przejdzie do porządku dziennego nad tak bolesną porażką. Za rok, może za kilka lat wszyscy członkowie tego najdziwniejszego zespołu w historii współpracy polskiej policji i wywiadu albo poumieraliby śmiercią naturalną, acz przedwczesną, albo zginęliby w wypadkach, które przecież cały czas się zdarzają, bo los nie wybiera, los dziesiątkuje. W związku z tym, działając w porozumieniu z Mateckim, a także z przełożonymi wyższymi rangą, podjęto decyzję, że w tej wyjątkowej sytuacji nasze organa skorzystają z pomocy zachodniej agencji wywiadowczej i pozwolą całej trójce, a właściwie czwórce, bo zespół powiększył się o osobę przystojnego siedemnastolatka podobnego toczka w toczkę do Borysa, zniknąć gdzieś wśród anonimowego mrowia ludzi na Wyspach Brytyjskich.

Ostatniego dnia przed wyjazdem Monika pojechała z Czesławem i ze swoim synem, który miał na imię Sierhiej, na cmentarz Bródnowski. Tak się złożyło, że teraz i ona, i Warecki mieli tu swoje groby. W jednym leżał Borys: jej były mąż i ojciec Sierhieja, którego chłopak nigdy nie poznał, w drugim wraz ze swoją rodziną od strony matki spoczywał zmarły przed dwoma tygodniami ojciec Czesława. Odwiedzili oba, najpierw tatę Wareckiego, potem Borysa-Piotra. Na grobie stały wypalone dwa znicze, jeden przed kilkoma miesiącami zapaliła Monika, drugi, o czym teraz już wiedziała, przyniosła chwilę przed nią tajemnicza kobieta w czerni, czyli Lizawieta. Sierhiej postawił na grobie swoje światło, po czym zmówił modlitwę po rosyjsku, bo modlitw po polsku nie znał. Brzozowska też zapaliła znicz, a chwilę później jeszcze drugi, i wtedy delikatnie się uśmiechnęła. W końcu tamta kobieta naprawdę kochała Borysa, a cała reszta nie miała już w tej chwili znaczenia.

Po cmentarzu całą trójką pojechali do mamy. Tutaj najpierw zjedli bliny przygotowane przez Tatianę, a potem, kiedy przyszło do deserów, Czesław i Sierhiej poszli porozmawiać z Ukrainką. W końcu i dla Tatiany, i dla chłopaka rozmowa po rosyjsku była wytchnieniem od uciążliwości, jakie stanowiły, przynajmniej na razie dla obojga, próby porozumiewania się po polsku. Kiedy rozprawiali w kuchni, Monika usiadła przy ulubionym stoliku deserowym mamy i wypakowała babkę piaskową, kupioną specjalnie na tę okazję w cukierni Bliklego na placu Wilsona.

– Wyjeżdżamy, mamó – zaczęła, krojąc ciasto.

– Na długo? – Mama wpatrywała się w jej rękę. Z miejsca, gdzie siedziała, nie było widać noża, więc wyglądało to trochę tak, jakby szczupła dłoń zniknęła chwilami gdzieś w głębi ciasta, by za chwilę znów się z niego wynurzać.

– Na zawsze. – Monika popatrzyła uważnie na mamę. – Nie mogę ci powiedzieć dokąd. To musi być kompletnie tajne, nawet kraju, nic.

– I dobrze, tu nie ma co siedzieć. – Staruszka wciąż patrzyła na dłoń Moniki.

– Mamó... – Monika przestała kroić ciasto, jej ruch zatrzymał się w połowie, tylko tak mogła choć na moment ściągnąć na siebie jej uwagę.

– No? – Ona wciąż jednak nie chciała na nią spojrzeć.

– Uratowałeś mi życie. – Monika czekała cierpliwie.

– Przesadzasz. – Barbara natomiast zaczynała się denerwować.

– Kim był ten mężczyzna? – Monika nie odpuszczała. – Ten, który cię odwiedzał, a potem dał Czesławowi tę karteczkę?

– Mężczyzna? Mnie odwiedzał? – Mama uśmiechnęła się trochę ironicznie, po czym wyciągnęła rękę w kierunku jedyne ukrojonego już kawałka. Monika odsunęła talerzyk, a pomarszczona dłoń mamy zawisła w powietrzu.

Chwila się zatrzymała, niczym jakiś absurd złapany w stop-klatce.

– Kim ty jesteś tak naprawdę?! – podniosła głos Monika.

Wtedy Barbara popatrzyła w końcu na nią tym swoim nagle przytomnym i przenikliwym spojrzeniem.

– Matką. – Uśmiechnęła się łagodnie. – Jestem twoją matką, a kim? – Po czym dodała: – I kochajcie tam tego mojego wnuka w tej Anglii. Ciężko miał. Należy mu się.

W milczeniu patrzyły jeszcze chwilę na siebie. W końcu Monika też się uśmiechnęła, wróciła do krojenia ciasta, a mama, jakby już była na powrót w swoim świecie, pokiwała głową

z zadowoleniem.

-
- ¹ Ale jak tylko się czegoś dowiem, tobie przekażę pierwszemu.
- ² Osoba, która nagadała ci na mój temat złych rzeczy, jest prawdopodobnie, a właściwie na pewno, związana z organizacją, którą staramy się pokonać.
- ³ Pomyśl o tym.
- ⁴ Co sugerujesz, Czesławie?
- ⁵ Sugeruję jedynie, że nasz kraj został głęboko zinfiltrowany przez obcy wywiad, Steve.
- ⁶ A jesteście waszymi sojusznikami, o ile mi wiadomo.
- ⁷ Owszem jesteście naszym sojusznikiem, ale skąd mam wiedzieć, kto z was jest po dobrej, a kto po złej stronie.
- ⁸ Po co miałbym tyle ryzykować i spotykać się z tobą bez wiedzy moich przełożonych, gdybym nie miał po temu prawdziwego powodu? Masz świadomość, Steve, jakie ryzyko podejmuję, gdy spotykam się z tobą tutaj?
- ⁹ A tak przy okazji: w momencie gdy postanowiłeś mnie sprawdzić. tak naprawdę wydałeś na mnie wyrok.
- ¹⁰ Pomyślę o tym, kapitanie.
- ¹¹ A tak przy okazji: nie powiedziałem nikomu o naszym spotkaniu. Powiedziałem im tylko, że słyszałem, że prowadzisz jakąś antyrosyjską gierkę. A to już chyba nie było dla nich nowością.
- ¹² Proszę myśleć szybko, majorze.
- ¹³ Mamy sytuację z zakładnikiem.
- ¹⁴ Kłopot w tym, że nawet jeśli chciałbym ci pomóc, to nie mamy wśród nich kreta.
- ¹⁵ Podwieźć cię?

Redaktor inicjujący: Filip Modrzejewski
Redaktorka prowadząca: Ida Świerkocka

Redakcja: Joanna Dąbrowska-Resiak
Korekta: Małgorzata Denys
Adiustacja: Laura Kusiak

Projekt okładki: Joanna Strękowska
Fotografie wykorzystane na okładce: © Yurii Zymovin / Shutterstock GaudiLab / Shutterstock • fuyu liu /
Shutterstock • Davide Ragusa / Unsplash

Skład i łamanie: Typo – Marek Ugorowski

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.
02-672 Warszawa, ul. Domaniewska 48
tel. 22 826 08 82, 22 828 98 08
biuro@gwfoksal.pl
gwfoksal.pl

ISBN 978-83-280-7088-2

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / [Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.](#)
i Michał Latusek / [Virtualo Sp. z o.o.](#)

virtualo